

Serce czy rozum,
któremu z nich
byś zaufała?

Zwodnicza miłość



JULIE COHEN

JULIE COHEN

Zwodnicza
miłość



Przełożyła Magdalena Nowak

FILIA

Dla Kena

CZEŚĆ PIERWSZA

Co zrobić, jeśli w wieku trzydziestu lat, skręcając na rogu ulicy, nagle ogarnia cię uczucie błogości – absolutnej błogości – jakbyś ni z tego, ni z owego połknęła jaśniejący kawałek popołudniowego słońca, który teraz płonie w twojej piersi, rozsyłając iskry do każdej twojej cząstki, każdego palca u dłoni i stopy?

Bliss, Katherine Mansfield

Wiem dokładnie, dokąd idę.

Byłam w tej restauracji tylko raz, ale odkąd wysiadłam z metra w Richmond, wszystko wydaje mi się bardzo znajome. Toruję sobie drogę za pomocą mojej karty na metro i natychmiast po wyjściu ze stacji skręcam w lewo. Młody chłopak z dreadami gra *Walking on Sunshine*. Wkłada w to energię całego swojego ciała, szarpiąc struny, podrygując i śpiewając do zapadającego nad Londynem zmroku, jakby siłą woli mógł przywołać z powrotem letnie popołudnie. Przeszukuję kieszeń kurtki i wrzucam jednofuntową monetę do jego futerału od gitary.

Sprawdzam godzinę – mam spotkać się z Quinnem za pięć minut. Czasu mam niewiele, ale z tego, co pamiętam, powinnam zdążyć bez problemu. Mijam znajome wystawy sklepowe i skręcam w lewo na skrzyżowaniu. Restauracja Cerise jest tuż za rogiem: to ceglany, pomalowany na żółto budynek, z szyldem zrobionym z kutego żelaza. To ma być nagroda dla nas obojga po dniu spędzonym osobno na różnych spotkaniach w Londynie – to był pomysł Quinna, ponieważ powiedziałam mu, że podają tam najlepsze crème brûlée, jakie jadłam poza Paryżem.

Skręcam i nie widzę restauracji.

Stoję przez chwilę, patrząc w górę i dół ulicy. Może ją przemalowali. Rozglądam się od budynku do budynku, ale nigdzie nie ma szyldu z kutego żelaza ani dużych okien, przez które widać stoliki. Niepokój, który czuję w żołądku, podnosi mi się do gardła.

Małe opóźnienie to nie problem, powiedziała zaledwie kilka godzin wcześniej moja redaktorka Madelyne, kiedy siedziałyśmy razem w innej części Londynu. Ale to opóźnienie nie będzie małe.

Potrząsam głową. Oczywiście. Restauracja nie jest na tej ulicy, ale trochę dalej. Taka jestem niemądra. Przemierzam ulicę do końca i skręcam.

Quinn nigdy się nie spóźnia. Często jest przed czasem. Woli poczekać na zewnątrz, rozglądając się lub czytając gazetę, niż spieszyć się lub kogoś urazić. Można by pomyśleć, że zna mnie na tyle długo, aby wyrobić sobie pewną elastyczność, kiedy spotykamy się gdzieś w mieście, ale tak nie jest. Próbowалам mu raz bezceremonialnie podsunąć ten pomysł i on wysłuchał mnie, jak zresztą zawsze, kiedy próbuję mu coś wytłumaczyć. „Wolę raczej poczekać, czytając”, odpowiedział, i to było na tyle. Nauczyłam się, że Quinn to Quinn i pewnie się nie zmieni.

Chociaż nigdy nie jest niecierpliwy czy zirytowany, staram się spóźniać jak najrzadziej. Kupiłam sobie nawet zegarek. Nie cierpię myśleć o tym, że gdzieś na mnie czeka i czeka.

Jest ciepło i nadal jestem niespokojna, więc zdejmuję żakiet i przewieszam go sobie przez ramię. Restauracja powinna być dokładnie tutaj po lewej. Tyle że jej nie ma, jest Starbucks.

Marszczę brew. Dziwnym trafem musiałam skręcić w niewłaściwą stronę. Ten Starbucks wygląda dokładnie tak samo jak wszystkie kawiarnie tej sieci na całym świecie – z pewnością niczym nie przypomina francuskiej restauracji. Pewnie poszłam za daleko tą ulicą. Zawracam, aby wrócić tą samą drogą.

Mój telefon dzwoni. To Quinn.

– Cześć, cześć – mówię tak wesoło, jak wydaje mi się, że powinnam.

– Cześć, kochanie, gdzie jesteś? Nadal w metrze?

– Nie, nie, jestem już w Richmond, już idę. Wydaje mi się, że skręciłam w złą stronę, ale będę już za chwilę.

– Jasne – mówi. – Do zobaczenia za chwilę, kochanie.

Rozłącza się, a ja wkładam telefon z powrotem do torebki. Quinn zawsze mówi „kochanie”, zawsze, kiedy wychodzi rano, kiedy wchodzę do pokoju czy kiedy kończymy rozmawiać przez telefon. To słowo wyznacza początek i koniec. To właściwie nawyk jego ojca, który Quinn przeniósł do naszego związku.

Na rogu powiew przynosi do mnie zapach, dziwnie znajomy, pewnie czyichś perfum.

Zatrzymuję się.

– Mama? – mówię.

Mojej matki tu nie ma. Oczywiście, że nie. Ale ten zapach jest silny, jakby dopiero co przeszła koło mnie.

Rozglądam się. Dwie nastolatki słuchające muzyki z jednych słuchawek, mężczyzna wyprowadzający teriera, para młodych ludzi: ona w hidżabie, on z wózkiem dziecięcym. Na końcu ulicy dostrzegam kobietę, która oddala się ode mnie. Ma na sobie podkoszulek bez rękawów i podwinięte dzinsy, jej ramiona są opalone. Długie siwe włosy ma splecione w warkocz spływający po plecach. Kwiatowy zapach unosi się za nią w ciepłym powietrzu.

– Mama? – Spieszę za nią. Skręca za róg, a kiedy tam docieram, już jej nie ma.

Ale nadal czuję zapach jej perfum. Jest mi tak dobrze znany, choć nie mogę przypomnieć sobie jego nazwy, a poza tym moja mama nigdy nie używała perfum. Niemniej jednak ten zapach to esencja mojej matki: porusza coś głęboko we mnie, sprawia, że moje serce podrywa się z nadzieją i nasycą się jakimś słodkim cierpieniem. Biegnę dalej ulicą, ponieważ wydaje mi się, że dostrzegam tę kobietę daleko przede mną, jak przechodzi przez most na Tamizie.

To nie może być moja matka. To niemożliwe. Ale cały czas myślę o wszystkim, co powinnam jej powiedzieć: wyszłam za mąż, kupiłam dom, przepraszam. Tak bardzo przepraszam cię za to, do czego cię zmusiłam.

Zderzam się z plastikową torbą niesioną przez mężczyznę idącego od strony mostu, siatka upada z brzękiem metalowych puszek.

– Ej, patrz jak chodzisz – mówi.

– Przepraszam, bardzo przepraszam – mówię może do niego, może do kobiety przede mną. Sięgam po torbę, ale już ją podniósł. Przygląda mi się uważnie od stóp do głów.

– Nie martw się, ślicznotko, sama przyjemność – odpowiada.

– Przepraszam – mówię raz jeszcze i pospiesznie idę w stronę mostu.

– Uśmiechnij się – krzyczy za mną. – To się może już nigdy nie przytrafić.

Między mną a tą kobietą są ludzie, ona idzie szybko, a do tego chwila poświęcona mężczyźnie z siatką sprawia, że dystans między nami znacznie się zwiększył. Ale zapach jest bardzo silny, więc kiedy zbliżam się, wymijając innych pieszych, serce zaczyna mi bić coraz mocniej. Nie ma takiej możliwości, że kiedy dogonię tę kobietę, okaże się, że to moja matka, Esther Bloom, i że obróci się i powie do mnie „skarbie”. Nie ma takiej możliwości, że weźmie mnie w ramiona i mi wybaczy. Wiem to, a jednocześnie nie mogę oderwać od niej oczu. Jakby moje ciało nie miało dostępu do wiedzy posiadanej przez mój umysł. Nie mogę powstrzymać swoich stóp, żeby za nią nie szły, coraz szybciej, biegiem: moje baletki

dudnią o chodnik, pot sprawia, że kołnierzyk bawełnianej bluzki staje się mokry. Żakiet zsuwa mi się z ramienia, więc upycham go w torebce, nie zważając na to, że się pogniecie, i przyspieszam jeszcze bardziej.

Kobieta otwiera drzwi do lokalu z pizzą na wynos. Zdyszana łapię ją za ramię.

To nie jest ramię mojej matki. Jest inne w dotyku, a ta kobieta jest ciemniejsza niż moja matka, w jej warkoczu jest za dużo siwych włosów, które na dodatek są cieńsze niż mojej mamy – ale moje ciało żywi tę irracjonalną nadzieję, że kiedy kobieta się obróci, zobaczę twarz Esther.

– Mama? – dyszę.

To nie ona. To jakaś nieznajoma. W ogóle nie przypomina mojej matki.

– Pomyłka – mówię, wycofując się. – Bardzo przepraszam, wzięłam panią za kogoś innego.

Wzrusza ramionami i wchodzi do pizzerii. Zapach kwiatów ulotnił się, zastąpiony aromatem pieczonego ciasta i roztopiającego się sera.

Moja mama nie przepadała nawet za pizzą. Pocieram czoło i rozglądam się dookoła. Zaczyna robić się ciemno, zapaliły się latarnie, a ulica, na której się znajduję, jest mi zupełnie nieznana, co spotęgowane jest przez fakt, że nie dalej niż dziesięć minut wcześniej wiedziałam dokładnie, gdzie jestem i za kim idę. Jakby ulica zmieniła się wokół mnie. Jakby cały świat się zmienił.

Telefon dzwoni mi w torebce. Nie muszę sprawdzać, żeby wiedzieć, że to Quinn zastanawia się, gdzie jestem. Nie odbieram, zaraz do niego dojdę. Szybko wracam przez most i idę wzdłuż ulicy, która teraz jest całkiem ruchliwa, a samochody jadą z włączonymi światłami. Widzę drogowskaz do stacji i skręcam w tę stronę. Ta ulica również nie wygląda znajomo, ale jeśli zaprowadzi mnie do metra, to dobrze, bo stamtąd z łatwością znajdę drogę.

Choć przecież przed chwilą się zgubiłam.

Jak do tego doszło?

Jednak sięgam po telefon. Czasem lepiej jest przyznać się do porażki i dotrzeć na miejsce szybciej, zresztą Quinn uwielbia udzielać wskazówek, jak gdzieś dojść. Poza tym będzie mi miło usłyszeć jego głos, jego zwyczajny spokój.

Cześć, kochanie.

Dwie rzeczy dzieją się równocześnie: mój telefon przestaje dzwonić i dostrzegam restaurację. Jest trzydzieści metrów dalej i po przeciwnej stronie ulicy, niż sądziłam. Przed nią stoi Quinn z telefonem w dłoni. Ma na sobie ten sam szary garnitur, w którym dziś rano wyszedł z domu na pociąg do Londynu, chociaż nie ma już krawatu i rozpiął kołnierzyk koszuli, a jego ciemne włosy jak zawsze są rozczochrane z przodu, ponieważ przeczesuje je palcami. Restauracja jest pomalowana na żółto i ma szyld z kutego żelaza. Światło sączy się z okien. Wszystko jest dokładnie tak, jak powinno.

Quinn dostrzega mnie i przebiega przez ulicę, omijając taksówkę. Całuję go w policzek z kilkuniedniowym zarostem.

– Zacząłem się już martwić, kochanie – mówi, również mnie całując. – Co się stało?

Patrzę na mojego męża: szczupłego, bladego i poważnego, szarookiego miłośnika faktów. Gazeta, którą czytał, czekając na mnie, jest wetknięta pod jego ramię. Nigdy w życiu się nie spóźnił, a z całą pewnością nigdy nie szedł za kobietą, której już nie ma, chyba że w myślach.

– Och – odpowiadam. – Po prostu źle skręciłam.

W pociągu powrotnym z Londynu przysypiam oparta o ramię Quinna i staram się przypomnieć sobie zapach, za którym poszłam w Richmond. Z całą pewnością było to coś kwiatowego. Coś egzotycznego. Coś, co czułam wiele razy wcześniej, choć nie jestem pewna gdzie ani dlaczego.

Nie musiał przecież pochodzić od kobiety, za którą poszłam, może ktoś inny miał na sobie te perfumy i dlatego, kiedy ją dogoniłam, przestałam go czuć. Może ten zapach wydzielał jakiś kwiat w oknie lub ogrodzie. Może wydobywał się z jakiegoś eleganckiego butików i tylko przypominał perfumy, które znam.

Podczas jazdy samochodem ze stacji do Tillingford otworzyłam okno, aby świeże powietrze ocuciło mnie.

– Mówisz, że Madelyne z niecierpliwością czeka na twoją nową książkę? – pyta Quinn, choć rozmawialiśmy już o tym przy kolacji. A przynajmniej na tyle, na ile do tego dopuściłam.

– Mówi, że nie może się jej doczekać.

– Tak jak ja. Wpadłyście razem na jakieś pomysły?

Prostuję się na siedzeniu.

– Zjedź na pobocze – mówię.

– Wszystko dobrze?

– Tak, tak! Zatrzymaj się.

Zatrzymuje się na poboczu, a ja wyskakuję z samochodu.

– Chodź! – mówię i biegnę do przejścia między żywopłotami z głogu.

– Co robisz, Felicity? – Quinn wyłączył silnik, ale światła samochodu nadal się świecą. Zatrzymuje się w otwartych drzwiach, spoglądając za mną. Droga jest cicha, powietrze przesycone nocną roślinnością.

– Wyłącz światła i przyłącz się do mnie. Musimy zobaczyć.

– Czy ty... – och, w porządku. – Zamyka drzwi. Przekładam nogę przez żywopłot i przeskakuję na drugą stronę. Pokrzywa parzy mnie w gołą kostkę, ale idę dalej wśród drzew. Przede mną jest tylko tyle srebrnego światła, żebym widziała, gdzie idę. Za sobą słyszę chrzęst kroków Quinna. Czekam, aż zrówna się ze mną, i kiedy czuję go obok, zaczynam iść, mijając ostatni rząd drzew na polu.

Bez drzew przesłaniających widok, naszym oczom ukazuje się księżyc w pełni. Jest srebrzysty i ogromny, idealnie okrągły, zawieszony na niebie.

– To dlatego kazałaś mi się zatrzymać? – pyta Quinn.

– A czy nie było warto? – Spoglądam na księżyc. Quinn staje przy mnie i robi to samo. – Chciałabym wiedzieć, jak nazywają się te wszystkie kształty na jego powierzchni.

– *Mare Tranquillitatis* – zaczyna wyliczać Quinn – *Mare Serenitatis*, *Mare Imbrium* – wskazuje na różne miejsca srebrnego globu. – Morze Spokoju, Morze Jasności, Morze Deszczów.

– Piękne nazwy. Skąd je znasz?

– Dzięki wielu godzinom spędzonym z teleskopem i książką. Jest też Ocean Burz i Morze Chmur. Wszystko to na powierzchni, gdzie nie ma ani grama wody.

– Warto było się zatrzymać, prawda?

Bierze mnie za rękę, jego palce są ciepłe w nocy, która stała się dość chłodna.

– Tak.

Patrzę na księżyc jeszcze przez chwilę.

– Wiem, na którym polu jesteśmy – mówi Quinn – byłby bardzo zdziwiony, gdyby zobaczył, że stoję tutaj o tej porze.

– To usiądźmy. – Siadam na nierównej trawie na skraju pola. W tym momencie z mojej torebki dobywa się chrząst, przypominam sobie o pudełku makaroników. Częstuję nimi Quinna.

– Makaronik? Jest tylko lekko zgnieciony.

Zaczyna się śmiać.

– Jesteś nienormalna – mówi. – Kocham cię.

– Ja też cię kocham. – Kładę głowę na jego ramieniu i pozwalam myślom odpłynąć w kierunku spokojnych mórz księżycyca.

Małe opóźnienie to nie problem – powiedziała wczoraj po południu moja redaktorka Madelyne – ale to już nie jest małe. Minęło osiemnaście miesięcy i musimy zacząć myśleć o terminach. Naprawdę nie masz mi jeszcze nic do pokazania?

Siedziałyśmy w rogu jej biura z widokiem na park. Asystentka zaparzyła dla nas herbatę w najprawdziwszym imbryku, który przyniosła na tacy. Leżało na niej również małe pudełeczko makaroników i Madelyne nalegała, żebym je wzięła, ponieważ była na diecie. Całe biuro było takie ciche, jakby wszyscy czytali w tym samym czasie. Półki z książkami zajmowały każdą ścianę, na której nie znajdowały się okna. Nad drzwiami, którymi weszłam, wisiała oprawiona oryginalna okładka mojej pierwszej książki z obrazkami. Czulałam wielkie sowskie oczy Igora wpatrujące się w mój kark, kiedy usiadłam na drewnianym krześle.

– Pracuję nad tym – okłamałam ją. – Ale nic nie wychodzi tak, jak należy.

Wcześniej zawsze spotykałyśmy się w restauracjach. Długie, zakrapiane lunchy, podczas których na początku rozmawiałyśmy trochę o interesach, a przez większość czasu plotkowałyśmy i omawiałyśmy różne pomysły. Siedząc za swoim biurkiem, Madelyne wydawała się inna. Była bardziej wyprostowana, a ściągnięte w kucyk włosy nadawały jej surowego wyglądu.

– Jestem przekonana, że będzie w porządku – dodałam.

– Nawet jakieś szkice byłyby pomocne – powiedziała. – Tytuł, coś, z czym moglibyśmy pojechać na Targi Książki we Frankfurcie. Już dwukrotnie przesuwaliśmy datę wydania. Boję się, że możemy przegapić odpowiedni czas tej serii, robiąc taką długą przerwę.

– Rozumiem i zgadzam się z tym zupełnie.

– Wszyscy uwielbiamy Igora! I tęsknimy za nim. – Po raz pierwszy podczas naszego spotkania uśmiechnęła się i odłożyła filiżankę. – Wiem, że miałaś bardzo intensywne parę lat. Tyle wzlotów i upadków, ślub, twoja mama...

– Tak, ale jest w porządku, naprawdę. Wyślę ci jakieś szkice.

– Mogę ci pomóc z pomysłami, wiesz o tym. Po to tu jestem. Możesz podrzucić mi cokolwiek i wspólnie coś z tego zrobimy.

Ale nie, jeśli nie ma żadnego pomysłu w ogóle. Nie, jeśli jedyna rzecz, którą w całym swoim życiu potrafiłam robić, przepadła bezpowrotnie.

– Oczywiście.

– I wiesz, że jeśli kiedykolwiek potrzebowałabyś pogadać...

– Tak, oczywiście. Przepraszam cię, że książka się tak opóźnia, Maddie. Zawsze na wszystko się spóźniam. Spóźniłam się nawet na swój własny ślub.

Następnego ranka obudziłam się już po tym, jak Quinn wyszedł do pracy, i poszłam prosto do mojego studia, zakładając szlafrok i wiążąc włosy gumką. Włączyłam komputer oraz skaner, chociaż nie mam na razie nic, do czego mogłabym ich użyć. Uprzątnęłam stertę książek z krzesła pod oknem, wzięłam szkicownik z ołówkiem i spojrzałam na ten poranek.

Moje studio to właściwie tylna sypialnia Hope Cottage, czyli domku, który Quinn i ja kupiliśmy po ślubie. Jest w niej lepsze światło niż we frontowej sypialni, gdzie śpimy, i jej okna wychodzą na ogród, a właściwie mieszaninę kwiatów i chwastów, trawnik, który wymaga skoszenia, i sękate drzewka owocowe. Płatki kwiatów wiśni i jabłoni opadły na trawę jak białe i różowe płatki śniegu. W ciepłe dni wynoszę sobie poduszkę na metalową ławeczkę, na której luszczyc się niebieska farba, i czytam w cieniu. Zakochałam się w tym ogrodzie, jak tylko zobaczyliśmy ten dom: przerośnięty, dziki – ogród, w którym wróżki mieszkają w naparstnicach. Uwielbiam również sam domek z jego krzywymi podłogami i wyrzuszonymi ścianami, z podejrzeniem wilgoci w jadalni i strzechą, którą naprawdę wkrótce trzeba będzie wymienić – tego lata lub następnego. Ale to właśnie ogród jest moim ulubionym miejscem.

Po trawie skacze kos. Stawiam kreskę na papierze: czarny zarys łebka i skrzydeł, ostry dziób, połyskujące oko. W tle szkicuję dmuchawce. Wszystko to jest bardzo ładne, ale to nie Igor Sowa.

W ciągu ostatnich czterech lat napisałam i narysowałam sześć książek o Igorze Sowie – wszystkie zanim poznałam Quinna. Nie są skomplikowane: Igor jest małą, puszystą sówką, dużo mniejszą zarówno od członków swojej rodziny, jak i innych sów. Aby zrekompensować fakt, że jest taki mały i puchaty, niewiele większy od kurczątko, Igor rozwiązuje zagadki.

Na przykład w pierwszej książce serii, *Igor Sowa wzbija się w powietrze*, mój bohater ma problem, ponieważ jego skrzydła są za małe. Może latać, trzepocząc, ale nie potrafi szybować na cichych skrzydłach jak reszta jego rodziny i jest z tego powodu przygnębiony. Martwi się, że nigdy nie będzie prawdziwą sową. W międzyczasie zaprzyjaźnia się z rodziną wiewiórek, która mieszka w dziupli uschniętego drzewa nad rzeką. Kiedy rzeka wylewa, Igor chce pomóc swoim przyjaciołom, ale jest zbyt mały, aby przenieść ich w bezpieczne miejsce, więc naprędce wymyśla coś w rodzaju lotni: skrzydła urządzenia są zrobione z porzuconych piór, a rama z patyczków, i dzięki niej wiewiórki ulatują w bezpieczne miejsce. Później Igor używa lotni, aby szybować z rodziną na cichych skrzydłach. Wszystko wskazuje na to, że jest jedyną sową-lotniarzem w literaturze dziecięcej i książka sprzedała się znacznie lepiej, niż przypuszczałam, więc napisałam kolejne, choć robiłabym to, nawet gdyby nie miały zostać wydane.

Igor rozwiązuje również zagadki kryminalne w *Igorze Sowie i araukarii* (nikt oprócz Igora nie zauważa, że to mrówki kradną orzechy) i ratuje życie swoim przyjaciołom w *Igorze Sowie i dobrych jajkach* (był taki mały, że mógł wejść do pękniętego jaja). W ostatniej książce, od powstania której mijają właśnie dwa lata – napisałam ją, zanim

dowiedziałam się o chorobie mamy, Igor Sowa uruchomił własną Sowią Szkołę, w której uczył wszystkie leśne stworzenia, jak rozwiązywać zagadki, ale był sabotowany przez zazdrosną srokę. Na koniec, kiedy Igor odkrywa, kto był winowajcą, oba ptaki się zaprzyjaźniają.

Zaciskam usta i rysuję Igora obok naszkicowanego wcześniej kosa. Wielkie oczy, uśmiechnięty dziób, krótkie skrzydełka. Nigdy nie miałam problemów z rysowaniem Igora. Rysuję go od lat, odkąd wymyśliłam go jako nastolatka, dla rozrywki mamy i mojej w czasie długich podróży pociągiem lub podczas wieczorów przy świetle świecy, kiedy nie było prądu, ponieważ Esther zapomniała zapłacić rachunki. Moja matka, artystka we właściwym tego słowa znaczeniu, najbardziej lubiła pracować na dużych płótnach. Ja wolałam kawałki papieru i pióro kulkowe. Chuchałam na szybę i rysowałam na parze. Mogłam opowiadać historię gdziekolwiek za pomocą kilku zdań i kształtów, jeśli tylko była to krótka opowiadka.

Odkąd moja matka zachorowała na raka, wielokrotnie jeździłam pociągiem i odcinali mi prąd. Ale nie znalazłam żadnych nowych opowieści ani zagadek, które mogłaby rozwiązać małeńka sówka.

Wzdycham, opieram łokcie na szkicowniku i patrzę na ogród. Stara trawa jest nierówna i jeśli przesunę się trochę w drugą stronę, wygląda, jakby wznosiła się i opadała. Madelyne była miła i uprzejma, czarująca jak zawsze, ale nie była ze mnie zadowolona. Może powinnam znaleźć sobie jakąś inną pracę. Ale to było moje pierwsze zajęcie, które naprawdę lubiłam. Zanim się tym zajęłam, byłam kelnerką, pracowałam w barach i sklepach, zarabiając na podróże, a później wszystko wydawałam. Ludzie mówili, że byli zainteresowani moją sztuką, ale to tylko ze względu na moją matkę. Rysowanie Igora, pisanie jego przygód, dostawanie za to pieniędzy, trzymanie książki w rękach – wszystko to sprawiało, że czułam, jakbym znalazła swoje miejsce. Że zaczynałam żyć życiem, które było mi pisane.

Co się stanie, jeśli już nie wymyślę żadnej opowieści? Mój wydawca mnie zostawi. Pewnie będę musiała oddać moją zaliczkę, co nie będzie wielkim problemem, ale będzie upokarzające. Będę musiała znaleźć sobie coś innego, coś, czym zajmują się pozostałe żony w miasteczku, które nie mają pracy. Poranki kawowe. Działalność charytatywna. Kluby książkowe.

Wracam do narastającego uczucia paniki, które dopadło mnie wczoraj w drodze do restauracji. Czy był to lęk, ponieważ gdzieś głęboko w środku czułam, że Igor jest już skończony, że zużyłam już wszystkie historie, które wymyślałam, aby rozśmieszyć mamę, bo ją kochałam, i będę musiała wymyślić coś innego, żeby robić to w życiu? Bo nie mogę już wrócić do tego, co było kiedyś. Nie mogę już zatrudnić się w jakimś barze i polecieć do Indii, kiedy tylko uzbieram wystarczającą ilość pieniędzy. Mam męża, zdecydowałam się zamieszkać tutaj, w Tillingford, z Quinnem i wszystkie możliwości, jakie dawało mi moje poprzednie życie, uleciały z dymem.

Co to były za perfumy, które miała na sobie kobieta mijająca mnie na ulicy? Zapach był tak znajomy. Sprawił, że wróciłam myślą do przeszłości, jakiegoś nieokreślonego momentu, o którym zapomniałam.

Dzwoni telefon, więc siadam. Na zewnątrz zaczęło padać i kos odleciał, w środku na ekranie mojego komputera włączył się wygaszacz ekranu z przypadkowo poruszającymi się światłami, z których każde zostawia za sobą kolorowy ślad. Mój szkicownik jest pusty

poza dwoma ptakami, jednym prawdziwym, drugim wymyślonym. Idę przez ciemny dom do kuchni, gdzie znajduje się telefon.

– Cześć, kochanie – mówi Quinn. – Jak ci idzie?

– Powoli.

– Mogę jakoś pomóc?

– Och, dziękuję, ale nie, nie sędzę. Po prostu mam dziś dzień przerwy.

– Tutaj koperty znikają z szafki z przyborami. Może Igor mógłby to rozwiązać?

Biorę w palce kawałek kwiecistego obrusu, gdzie odpruł się ścieg. Ludzie, którzy nie są twórczy, którzy zajmują się opisywaniem historii z życia i sprawdzaniem faktów, rzadko zdają sobie sprawę z energii, jaką tworzy naprawdę dobry pomysł. Myślą, że można wybrać cokolwiek i to zadziała. Moja matka nigdy nie próbowała podsuwać mi żadnych pomysłów dotyczących Igora – czekała, aż opowieści się pojawią i wtedy słuchała.

– Żartowałem – mówi Quinn.

– Myślałam, że cały poranek miałeś być na spotkaniach.

– Jest już pora lunchu – mówi i faktycznie na to wskazuje zegar nad zlewem. – Po prostu tak sobie pomyślałem, że zadzwonię, żeby zobaczyć, jak ci idzie. Wydawałaś się...

– W porządku. Mam się dobrze.

– ...zmartwiona.

Na ociekaczu stoi kubek Quinna i jego miska po płatkach, które umył po sobie i zostawił do wyschnięcia. Widzę, że zostawił dla mnie kubek koło czajnika – mój ulubiony, z namalowanymi listkami. Bez patrzenia wiem, że włożył do środka torebkę herbaty, żebym nie musiała tracić cennych sekund, które mogłabym poświęcić na rysowanie. Był tutaj, gdy w szlafroku patrzyłam na ogród, nie dokonując niczego. Powinnam była mu podziękować, powiedzieć kilka ciepłych, czułych słów, aby sprawić, że jego przerwa na lunch będzie wyjątkowa po całym poranku spotkań, ale to mnie również irytuje, ponieważ kieruje moje myśli ku przyszłości, w której mogę nie mieć nic lepszego do roboty, jak zmywać po Quinnie lub robić herbatę.

Zamykam oczy. To kolejna sprawa w małżeństwie: wieczne przemyślenia. Robienie tego, co najlepsze, mówienie tego, co najlepsze, zamiast tego, co się czuje.

– Morze Spokoju – mówię. – Czyż księżyc nie był wyjątkowy zeszłej nocy?

QUINN

Chrzcziny były udane. Maleńki Jacob Edward Isaac Harrington, spowity w staroświecką biel, przespał polewanie wodą, a deszcz okazał się przelotny i minął, kiedy wszyscy byli jeszcze zgromadzeni w dwunastowiecznym kamiennym kościele w Tillingford. Teraz większość miasteczka tłoczy się w ogrodzie Harringtonów. Młoda rodzina stała w środku, niemowlę, już obudzone, przechodziło z rąk do rąk, gaworząc cicho. Quinn stał plecami do cisowego żywopłotu, z kieliszkiem prosecco w dłoni, rozmawiając o szopach z Patrickiem, korektorem w gazecie, który mieszkał w jednym z nowych budynków tuż za miasteczkiem.

– Mówię ci, teraz jedyne chwile spokoju, które mam, to te, kiedy robię porządek w kluczach – powiedział Patrick. – Najpierw masz do czynienia z pieluchami i jedzeniem dla niemowlaków, później dochodzą płatki śniadaniowe Weetabix. Czy kiedykolwiek próbowałaś pozbyć się przyschniętego Weetabixa ze ściany?

– Są jak cement, tak?

– Zastanawiam się nad użyciem ich, gdy będę potrzebował otynkować dom na nowo. I te pytania od starszej córki. „Tatusiu, dlaczego są ślimaki?” – zapytała wczoraj. Nie dlaczego ślimaki są śliskie ani dlaczego mają skorupy, nie. „Dlaczego ślimaki są?”. Zaniemówiłem. No i zabawki – są dosłownie wszędzie. Dziś rano nadepnałem gołą stopą na klocek lego. Pewnie nawet u ciebie było słychać, jak klnę.

– Zastanawiałem się, skąd ten cały hałas – mówi Quinn. Nie traktował narzekań Patricka poważnie: jego kolega miał na swoim biurku trzy zdjęcia swoich dwóch córek, a w portfelu kolejne. Quinn wierzył w potęgę słów – na tym w końcu zarabiał – ale czasem czyny mówią więcej.

– Teraz wasza kolej – stwierdza Patrick, z zadowoleniem pijąc swoje bąbelki. – A tak w ogóle, gdzie się podziewa twoja pani?

– Stoi pod jabłonią. – Quinn spogląda przez ogród na Felicity rozmawiającą z Emmą i Gurinder, każda trzyma kieliszek w dłoni. Jego świadomość Felicity była niemal jak szósty zmysł, nie doświadczył tego wcześniej z żadną kobietą ani dziewczyną, z którą był. Choć mogło to również być powodowane tym, że jego żona wyglądała inaczej niż wszyscy inni zgromadzeni w ogrodzie. Pozostałe kobiety były ubrane w pastelowe, kwieciste sukienki, paszminy i jasne buty, a ich włosy były starannie zakręcone, wyprostowane lub uczesane. Felicity miała na sobie jaskrawozieloną sukienkę w ekscentryczny wzór z kołami, koronkową halkę, gołe nogi i czerwone baletki. Jej włosy były spięte w coś w rodzaju niedbałego koka, z którego wymykały się pojedyncze pasma włosów. Oczy miała podkreślone kredką, a usta pomalowała pod kolor baletek.

Zanim Quinn poznał Felicity, nie spotkał żadnej kobiety, która umiała stworzyć wrażenie zamierzonego nieładu.

Zanim Quinn poznał Felicity, nie wiedział też o wielu sprawach. Na przykład o tym, że kiedy patrzył przez ogród na swoją żonę, czuł, iż rozumie ją lepiej niż wtedy, kiedy rozmawiał z nią w ich wspólnym domu.

– Ma swój styl, prawda? – powiedział Patrick.

– Jest artystką. Pochodzi z artystycznej rodziny. – Quinn skończył swojego drinka. – Jest cudowna.

Miał mnóstwo żonatych znajomych, mnóstwo przyjaciół, którzy twierdzili, że bardzo się kochają. Kiedy jednak nie byli razem, lubili na siebie ponarzekać. Wyglądało, że mają problemy w przyzwyczajeniu się do siebie nawzajem. Poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie taki, nigdy do tego nie dopuści.

– Nowożeńcy – powiedział Patrick. – Chcesz jeszcze jednego drinka?

– Tak, poproszę.

Patrick poszedł po nowe kieliszki, a Quinn włożył ręce do kieszeni i oddał się patrzeniu na swoją żonę. Mimo że od ich ślubu minął prawie rok, wciąż była to dla niego największa przyjemność. Dwie kobiety nadal ze sobą rozmawiały, ale uwaga Felicity powędrowała gdzie indziej. Stała z nimi, jednak jej wzrok utkwiony był w jakiś odległy punkt. Uśmiech spłynął z jej twarzy i zastąpił go wyraz skupienia, jakby wyęczała słuch, aby wyłapać coś, co było niesłyszalne.

O czym myślała, kiedy przybierała ten wyraz twarzy? Co słyszała i czuła?

Na początku, zanim się jeszcze pobrali, Quinn pytał ją o to. Chciał wiedzieć o niej wszystko. Ale te pytania ją przerażały, a odpowiedzi były tak wymijające, że przestał

dociekać. Również w małżeństwie, gdzie wszystko inne było wspólne, jego żona potrzebowała prywatności. Nawet jeśli dotyczyło to sfery jej umysłu, podczas tych krótkich pustych chwil, kiedy jej ciało było przy nim, ale myśli już nie.

Quinn z chęcią otworzyłby cały swój umysł przed Felicity. Nie mógł sobie wyobrazić choćby jednej myśli, jednego uczucia, których nie chciałby z nią dzielić, jeśli tylko ona byłaby nimi zainteresowana. Jego przeszłość była niczym otwarta księga. Mieszkali w miasteczku, gdzie dorastał, wśród ludzi, których znał całe życie, więc nawet jeżeli miałby jakieś mroczne sekrety do ukrycia, nie byłoby na to szans.

Wrócił myślą do ostatniego weekendu, kiedy siedzieli na otwartym polu i oglądali pełnię księżyca, a on trzymał ją za rękę i wymieniał nazwy księżycowych mórz. Długie godziny, które jako nastolatek spędził z teleskopem otrzymanym od taty na Boże Narodzenie: nie zdawał sobie sprawy z tego, że zbierał te wszystkie informacje jedynie po to, aby trzymać dłoń Felicity i szeptać jej te nazwy w srebrzystej poświacie.

Quinn zaczął iść przez zatłoczony ogród w kierunku żony, zamierzając wziąć ją za rękę pod jabłonią, przywołać ją ponownie do rzeczywistości.

– Cieszę się, że na ciebie wpadłam, Quinnie Wickham. – Irene Miller stanęła mu na drodze.

Pani Miller była największą plotkarą w miasteczku, choć sama uważała się za kogoś w rodzaju dziennikarza śledczego, posługującego się przede wszystkim herbatą i podsłuchiwaniami w ramach narzędzi do gromadzenia informacji. Quinn z rezygnacją przyjął do świadomości fakt, że czeka go kilka długich minut wysłuchiwania wiadomości z trzeciej ręki, których nie zamierzał drukować. Ostatnio pani Miller nalegała, aby dał jej własną kolumnę w gazecie – z plotkami lub jeszcze lepiej z poradami osobistymi dla czytelników. Patrick uważał, że to zabawny pomysł, który znacznie zwiększyłby sprzedaż gazety. Quinn był jednak zdania, że doprowadziłoby to jedynie do ogólnej wojny.

– Dzień dobry, pani Miller – powiedział. – Mam nadzieję, że wszystko u pani dobrze.
– Mam dla ciebie coś ciekawego. – Podeszła bliżej. – Myślę, że powinieneś porozmawiać z Bel Andrews.

– Naprawdę?
– Stoi przy kanapkach z ogórkiem. Plotka niesie, że ostatnio odbywają się nieoficjalne spotkania rady miejskiej. – Pani Miller stuknęła się po nosie. – Sekretne układy. W sprawie budżetu.

Burmistrz Bel Adrews faktycznie stała przy kanapkach i wyglądała tak pewnie i zupełnie nietajemniczo jak zawsze. Kątem oka Quinn dostrzegł, że Felicity obraca się, a następnie znika za żywopłotem.

– Dziękuję za wskazówkę, pani Miller. Z całą pewnością porozmawiam z Bel, jak tylko znajdę sposobność. Proszę mi wybaczyć... – Zaczął się wycofywać.

Pani Miller podążyła za spojrzeniem Quinna. Na trawie leżała porzucona torebka Felicity i jej kieliszek.

– Dlaczego ty i ta twoja żona tak się uparliście, żeby wejść w ten żywopłot?
– Damaszki – powiedział szybko. – Szukamy szczepek do naszego ogrodu. Dzięki raz jeszcze, pani Miller.

– Twój ojciec nigdy nie skradał się przez żywopłoty – zawołała za nim. Pomachał, aby pokazać, że przyjmuje to do wiadomości, i zostawił ją.

Emma i Gurinder rozmawiały wesoło, kiedy do nich podszedł.

– Właśnie rozmawialiśmy z... – och, była tu zaledwie chwilę temu. Naprawdę interesująca osoba z twojej żony. Inna.

– O czym rozmawialiście? – zapytał, nie potrafiąc się powstrzymać.

– O tym, jak Emma podkochiwała się w tobie w podstawówce – powiedziała Gurinder. Emma się zaczerwieniła.

– Ja w podstawówce podkochiwałam się we wszystkich. Poza tym tobie podobał się David Enright i zobacz, co się z nim stało.

– Ja przynajmniej nie ukradłam mu ołówka, żeby go trzymać pod poduszką, jak ty ukradłaś ołówek Quinna.

– Jejku – powiedział Quinn. – Mam chociaż nadzieję, że go nie obgryzłem. – Słuchajcie, czy Felicity powiedziała, dokąd idzie?

Emma rozejrzała się dookoła.

– Może po kolejnego drinka?

– To było tylko tak dla śmiechu – powiedziała Gurinder. – Zamierzchła przeszłość. Felicity nie wyglądała na przejętą.

Quinn nie podejrzewał, żeby Felicity miała się przejąć czymś, co zdarzyło się w podstawówce. Ale czemu zniknęła za krzakami? Podziękował Emmie oraz Gurinder i podszedł do żywoplotu. Była w nim mała przerwa, przez którą się przecisnął. Liść ostrokrzewu zahaczył o jego marynarkę, więc musiał przystanąć, aby go odczepić przy wtórze kobiecego śmiechu gdzieś za jego plecami.

Żywoplot oddzielał ogród Harringtonów od Thompsonów, którzy również byli na chrzcinach. Drabinka do wspinania i huśtawka stały samotnie na trawniku. Felicity klęczała na trawie niedaleko patio, trzymając coś w złożonych dłoniach.

– Felicity? – powiedział. – Co się stało?

Zignorował uczucie ulgi, które go zalało. Jeśli pozwoliliby sobie na nie, oznaczałoby to, iż naprawdę obawiał się, że jego żona ucieknie. Że podczas jednego z tych pustych momentów, w których nie mógł do niej dotrzeć ani jej zrozumieć, ona zapominała o nim.

Był to efekt uboczny tego, że kochał ją tak bardzo. Czasem nie mógł uwierzyć w to, że była jego.

Więcej włosów wymknęło się jej z koka, a na jej gołym ramieniu widniało długie, czerwone zadrapanie.

– To ptak – powiedziała.

Uklęknął przy niej. Wilgoć trawy natychmiast przesiąknęła jego spodnie. Był to czarno-brązowy wróbelek. Leżał w jej dłoniach ze złożonymi skrzydełkami i przymkniętymi oczami, tak że widniały jedynie wąskie szparki. Jego łapki były cienkie jak przecinki.

– Usłyszałam uderzenie – powiedziała Felicity. – Myślę, że wleciał w szklane drzwi. Na początku myślałam, że skręcił sobie kark, ale teraz czuję, że oddycha.

– Czy powinnaś była brać go do ręki?

– Cóż, myślałam, że skręcił sobie kark, więc już nic nie mogło tego pogorszyć. Co zrobimy, jeśli uszkodził sobie skrzydełka?

– Anil jest na chrzcinach – odparł Quinn. – Nie wiem, czy zajmuje się dzikimi zwierzętami, ale możemy go poprosić, żeby rzucił na niego okiem.

– Czuję bicie jego serca – wyszeptwała. Czubkiem kciuka dotknęła brązowych piórek na jego piersi. – Niczym wibracje. Przerwy są takie krótkie. Myślisz, że wróble żyją szybciej niż my? Nie tylko krócej, ale i szybciej? Intensywniej?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, choć sam nie wiedział co – pewnie coś o kolibrach, o tym, jak szybko one żyją – a wtedy wróbel otworzył oczy. Spojrzał na niego i Quinn miał krótką chwilę, aby zastanowić się, jak go widział – jako olbrzyma? Jako potwora? W okamgnieniu ptaszek skoczył na łapki i z trzepotem wzbił się w powietrze z rąk Felicity. Roześmiała się, zaskoczona, trzymając otwarte, puste dłonie.

Quinn poczuł silną potrzebę, żeby ją objąć i mocno przytulić, położyć się z nią w trawie wśród przytłumionych odgłosów imprezy po drugiej stronie żywopłotu. Poczuć bicie jej serca i porównać je ze swoim. Ale byli w ogrodzie Thompsonów, nie mogli tarzać się w trawie obok ich huśtawki.

– Cóż – powiedziała Felicity – miał szczęście. – Strzepnęła trawę i gałązki ze swojej sukienki. – Pewnie powinniśmy wrócić.

Quinn również się podniósł.

– Nie boli cię ramię? Podrapałaś je.

– Naprawdę? – Felicity spojrzała na niego. – Och, faktycznie. Nic mi nie jest.

– Może powinniśmy obejść żywopłot dookoła, do frontowego wejścia, a nie ponownie przeciskać się przez tę dziurę.

– Przepraszam – powiedziała Felicity, kiedy szli obok rowerów. – Wiem, że podoba ci się na imprezie.

– Uratowałaś mnie przed teoriami spiskowymi pani Miller.

– Czy wiesz, że jedna z kobiet ukradła ci ołówek, kiedy byliście dziećmi?

– Podczas jutrzejszej herbatki w Tallingford będzie mowa tylko o tym, jak Quinn i Felicity Wickhamowie zniknęli za żywopłotem.

– Ojej – zmarszczyła się, a on objął ją w talii. – Nie wydaje mi się, że bym ja ukradła ci ołówek.

– Dałbym ci go. – Doszli do bramy i Quinn ją otworzył. – Dałbym ci wszystko.

Cały czas myślę o tym, jakie to było uczucie, kiedy wróbel wylatywał z moich rąk. W jednej chwili był tam, lekki jak puch, a w następnej poczułam jego pazurki na dłoni i ruch powietrza na twarzy. I już go nie było.

Quinn przebrał się z garnituru, ale ja zostałam w swojej sukience. Zsunęłam buty i położyłam się na sofie, opierając gołe stopy o jej ramię. Wypite prosecco sprawiło, że byłam senna i rozluźniona. Kiedy Quinn wraca do pokoju, podnosi moje nogi, siada na kanapie i układa je sobie na kolanach.

– Podobało ci się? – pyta.

– Myślałam, że był martwy. To było tak, jakby w moich dłoniach powrócił do życia.

Uśmiecha się.

– Tak, ale chodziło mi o chrzciny.

– Och. Było w porządku. Nadal nie znam wszystkich hymnów.

– Ed i Alice wyglądali na szczęśliwych. Najwyraźniej starali się przez jakiś czas.

– Tak, byli bardzo szczęśliwi – mówię. – I korzystają, ile mogą z nowego pretekstu do robienia zakupów. Widziałeś ich nowy wózek w przedpokoju? Wygląda jak rodem ze statku kosmicznego.

Zgadza się ze mną, mrużąc, i zaczyna masować moje stopy. Quinn robi to naprawdę znakomicie. Jedną z jego byłych dziewczyn, Maya, nauczyła go, jak należy masować stopy, ponieważ zawsze ją bolały. Nie wpadła zapewne nigdy na myśl, że to ja będę korzystać z jej skłonności do kupowania źle dobranych butów. To dziwne, że każdy nasz związek, oprócz pierwszego, składa się z rzeczy, których nauczyliśmy się ze zwyczajów nabytych dzięki innym ludziom. Zamykam oczy, zastanawiając się, co wniosłam do związku z Quinnem. Sęk w tym, że jest on bardzo różny od wszystkich innych mężczyzn w moim życiu.

– Myślałem... – zaczyna Quinn.

– Ojej.

– To zawsze brzmi groźnie, wiem – przeciąga kciukiem po łuku mojej stopy, co powinno laskotać, ale jest bardzo przyjemne. Podniecające. – A do tego jeszcze Patrick powiedział coś, co sprawiło, że zacząłem się zastanawiać... no i chrzest był taki udany, Ed i Alice byli tacy szczęśliwi, ich rodzice też. Chodzi mi o to, że zacząłem się zastanawiać, czy sądzisz...

– Wziął głęboki oddech. – Czy sądzisz, że to już czas, żebyśmy zaczęli starać się o dziecko?

– Dziecko? – Prostuję się, podciągając stopy i siadając po turecku twarzą do Quinna, który patrzy na mnie.

– No wiesz, małe stworzenia – mówi. – Piją mleko. Słyszałaś o nich.

– Tak, słyszałam. Nie wiedziałam, że je chcesz.

– Nie sądzisz, że dobrze jest mieć rodzinę?

– Ja... ja, jeśli mam być szczerą, w ogóle o tym nie myślałam. Przecież dopiero co się pobraliśmy.

– W przyszłym miesiącu minie rok.

– Naprawdę? – Rok, cały rok za mną. Za nami. – Szybko minęło.

– Myślałem, że to jeden z powodów, dla których kupiliśmy ten dom – mówi. – Trzy

sypialnie: jedna dla nas, jedna na twoje studio i jedna jako pokój dziecienny. A w ogrodzie miejsce na rozbudowę, gdybyśmy chcieli mieć więcej dzieci.

Sądziłam, że kupiliśmy ten dom, bo się nam podobał. Z powodu róż nad drzwiami, pęknięć w tynku i złotego koloru strzechy podczas zachodów słońca. Myślałam, że trzecia sypialnia jest zapasowa.

– Wspominałem wtedy o tym – dodaje Quinn.

– Naprawdę?

– Tak – mówi cierpliwie. – Opowiedziałem ci, że państwo Ogden spędzili tutaj całe swoje życie i wychowali trójkę dzieci. Powiedziałem ci, że ich syn, Michael, uczył mnie matematyki w liceum. Powiedziałem też, że to dobre miejsce dla nas, żebyśmy zrobili to samo.

– Musiało mi to wylecieć z głowy.

Wzdycha ze znużeniem i rozczarowaniem.

– Ja po prostu o tym nie myślałam – mówię. – Nie wiedziałam, że ty tak.

– Wydawało mi się, że to normalny następny krok.

– Nie wiem. A tak jest? Jesteśmy normalną parą?

– Oczywiście, że tak.

Ale czy na pewno? Czułam się zupełnie inna od pozostałych par na dzisiejszych chrzcinach: z ich samochodami z napędem na cztery koła, z dziećmi w nosidełkach i niemowlakami w ubrankach z materiałów, które wymagają prasowania. Ludzie, którzy mówią o swoich „drugich połówkach” i rozmawiają o zaletach miejscowych szkół.

– To wszystko dość nagle, Quinn. Pomyśl o tym, że jeszcze półtora roku temu nie wiedziałam nawet o twoim istnieniu.

– Z pewnością zauważyłaś, że moja matka o tym mówi.

– No tak, ale to przecież Molly, prawda? Nie sądziłam, że zwracasz na to uwagę.

Quinn nie jest rozdrażniony, on jest zraniony. I do tego jeszcze obraziłam jego matkę. Dotykam jego ręki.

– Quinn, to dla mnie nowość. Pewnie masz rację i powinnam się nad tym zastanowić. Ty najwyraźniej już to zrobiłeś, ale ja nie. Przemyślę to. Obiecuję. Dobrze?

Nachyla się, żeby pocałować mnie w czoło, i wstaje.

– Dziękuję. Masz ochotę na kanapkę z serem? Ja sobie zrobię. – Potrząsam głową, więc zostawia mnie pogrążoną w myślach.

Następnego ranka, zanim wstaję z łóżka, Quinn jedzie na rowerze po gazetę. Kiedy stoję przy oknie sypialni, nakładając skarpetki, widzę, jak wraca. Wprowadza rower frontową furtką i zostawia go obok niezapiętego. Nikt nigdy nic nie zamyka w Tillingford. Na początku myślałam, że to dlatego, że nikt tu nic nie kradnie, ale nie w tym rzecz. To dlatego, że każdy tu każdego zna i kradzieże, które się zdarzają, są bez problemu rekompensowane. Dwukrotnie skradziono Quinnowi rower, dwukrotnie zrobił to Cameron Bishop i za każdym razem Quinn po prostu przyprawdzał swój jednoślad z powrotem z szopy Bishopów. Kilka razy spotkałam na poczcie matkę Camerona, Lisę Bishop, i nie wspomniała o tym ani słowa.

Nie spałam za dużo zeszłej nocy, choć poszłam do łóżka wcześniej niż Quinn, ale kiedy przyszedł, udawałam, że śpię. Quinn ma oczywiście rację, on zawsze ma rację. Ludzie się pobierają, a potem mają dzieci. To naturalna kolej rzeczy.

Quinn będzie cudownym ojcem. Jako para jesteśmy w dobrym momencie na dziecko.

Mamy stabilną sytuację finansową. Oboje mamy ubezpieczenie i spłacamy hipotekę w terminie. Mogę rozwijać karierę bez wychodzenia z domu. Dziecko wychowywałoby się na wsi, niedaleko od kochającej rodziny składającej się z dziadków i cioci. Naprawdę sytuacja jest idealna. Zupełnie inna od tej, w której ja dorastałam, podróżując między domami, państwami. Pieniędzy albo brakowało, albo było ich w bród – nic pomiędzy. Dziecko stworzone przeze mnie i Quinna byłoby pewne siebie i bezpieczne. Znałoby swoje miejsce w świecie. Byłoby Wickhamem z temperamentu, jak również z nazwiska.

Byłoby zupełnie inne ode mnie, co pewnie wyszłoby mu na dobre.

Schodzę do kuchni. Na framudze drzwi pozaznaczony jest wzrost trójki dzieci Ogdenów w odstępach centymetra lub dwóch, przy każdym znajduje się data. Michael jest najwyższy, najniższa jest Sophia. Najnowszy znaczek pochodzi z 1978 roku. Wcześniej uważałam to za jedno z uroczych dziwactw naszego domku, teraz widzę w tym mapę mojej przyszłości.

Quinn wstawił wodę. Po wymytej puszcze wnioskuje, że wystawił już jedzenie dla kota sąsiadów. Na stole leży gazeta i karton soku pomarańczowego.

– Dzień dobry, kochanie – mówi, sięgając po torebki herbaty.

– Dzień dobry. – Wyciągam mleko i stawiam je na stole. W każdą sobotę i niedzielę herbata i gazeta stanowią podstawy śniadania jedzonego w kuchni. Jeśli jest jakaś wielka sprawa, wtedy Quinn kupuje dwie gazety. On robi herbatę, a ja dolewam mleka do obu kubków. Quinn nalewa nam po szklance soku pomarańczowego i zaczyna czytać.

Patrzę na męża. Jest w pełni skoncentrowany. Gdybym później zadała mu pytanie o to, co przeczytał, byłby w stanie wyrecytować to niemal słowo w słowo.

Kilka razy pytałam go, czemu nigdy nie przeprowadził się do Londynu i nie zatrudnił się w jakiejś ogólnokrajowej gazecie, zamiast pracować tutaj dla lokalnej.

– Lubię tu mieszkać – odpowiadał za każdym razem.

– Ale przecież mógłbyś dojeżdżać – mówiłam. – To tylko godzina w jedną stronę.

– Długie godziny pracy, długi dojazd. Konkurencja. Felicity, nie jestem ambitny. Ja po prostu chcę być szczęśliwy.

Myślę, że byłby naprawdę dobry w dużej gazecie. Jest dociekliwy. Ma doskonałą pamięć. Ale widzę, że odpowiada mu życie tutaj, gdzie dorastał, gdzie wszystkich zna. Lubi być znany jako syn Dereka i Molly, brat Suz, człowiek, który znalazł swoje miejsce w społeczności, który sam do czegoś doszedł. Kiedy przejął prowadzenie gazety, już niemal nie funkcjonowała i była coraz bardziej bez znaczenia. Stopniowo doprowadził do tego, że zaczęła przynosić zysk, stworzył jej wersję online, poszerzył dział wiadomości tak, aby znajdowało się tam coś więcej niż sprawozdania ze spotkań harcerskich i komunikaty dla farmerów. Przeważającą część artykułów pisze sam, wybiera, które sprawy wesprzeć, stara się ulepszać swój mały skrawek świata. Gazeta Quinna została wyróżniona w dorocznym konkursie na gazetę regionalną i wielu jego współpracowników uważa, że w przyszłym roku go wygra. Większość z tego wiem od Patricka, Quinn nie mówi o sobie wiele.

Przewraca stronę. Piję herbatę i patrzę na czubek jego głowy, jego dłonie trzymające kubek, jego oczy podążające za słowami. Nie zapomniał naszej wczorajszej rozmowy. Zastanawiam się, kiedy wróci do tematu.

Zastanawiam się, co mu wtedy powiem.

Wstaję, żeby zrobić grzanki.

– Co masz dziś w planach?

– Myślałem, żeby po śniadaniu wybrać się na spacer – mówi ze wzrokiem nadal utkwionym w gazecie. – Zanim wpadnę do mamy i taty. Chcesz pójść ze mną?

– Och – patrzę na słońce za oknem. – Ja... powinnam spróbować porysować.

– Spacer mógłby dać ci jakąś inspirację.

Smaruję grzanki masłem i marmoladą, daję mu obie i wkładam do tosterka następne kromki dla mnie. Pytanie Quinna wisi w powietrzu: oba zresztą – to o spacer i to, które zadał wczoraj.

– Lepiej nie – odpowiadam.

Przez następny tydzień Quinn nawet słowem nie wspomina o dzieciach ani o ich posiadaniu – wręcz przeciwnie. Kiedy w telewizji leci reklama pieluszek, on wstaje, żeby zrobić herbatę, z wyrazem wystudiowanej obojętności na twarzy. Innym razem, kiedy byliśmy w pubie Seven Stars, jego właścicielka, Rowan, opowiadała o tym, jak nachyliła się nad wózkiem pary, która przyszła na lunch, a dziecko złapało obiema rączkami za jej włosy i nie chciało puścić. Quinn przerwał jej, zanim skończyła, i opowiedział o mieszkającym w naszej okolicy osiemdziesięciolatku, który planuje wspiąć się na Kilimandżaro w celach charytatywnych.

To byłoby nawet śmieszne, gdyby nie takie prawdziwe. Mimo że pytanie nie pada więcej, podobnie jak odpowiedź na nie – wisi nad naszymi głowami również w domu. Wyobrażam je sobie w postaci różowego bobasa unoszącego się pod sufitem, w otoczeniu innych pytań bez odpowiedzi, które nagromadziły się w tym małżeństwie. Rysuję dziecko fruujące w powietrzu, po czym wyrzucam ten rysunek do kosza. W zamian rysuję kwiaty z głupimi minami. Zauważam nowe pęknięcie na ścianie obok drzwi frontowych i zakrywam je kwiatami.

Kiedy w czwartek wieczorem w przerwie reklamowej Quinn wstaje i pyta, czy chcę piwo, odpowiadam, że tak. Gdy idzie do kuchni, zastanawiam się, jak by wyglądało nasze życie w czwartkowy wieczór, gdybyśmy mieli dziecko. Na podłodze, tam pod oknem, leżałyby zabawki. Dziecko pewnie byłoby z nami, śpiąc w moich ramionach. Albo spałoby na górze, a na niskim stoliku, gdzie Quinn czasem opiera stopę w skarpetce, leżałaby elektroniczna niania.

Nie byłoby o wiele inaczej. Nie byłaby to katastrofa. W dużej mierze byłoby po staremu. Wszystko na zawsze byłoby normalnie, oprócz tej nowej osoby, której życie zależałoby od tego, czy mi się uda.

Droga pani Bloom!

Być może pamięta Pani, że pisałem już kilka miesięcy temu, aby poinformować Panią o dużej retrospektywnej wystawie prac Pani matki, która odbędzie się w naszej galerii w lipcu i sierpniu. Jesteśmy bardzo podekscytowani, ponieważ będzie to pierwsza wystawa poza Londynem od czasu śmierci Pani matki i pierwsza, na jaką złoży się kilka obrazów Esther Bloom, które od lat pozostawały w prywatnych zbiorach na całym świecie.

Parę tygodni temu wysłaliśmy pocztą zaproszenie do Pani, aby uczestniczyła Pani w otwarciu wystawy jako gość honorowy. Wielu kuratorów, krytyków, historyków i kolekcjonerów sztuki, jak również prasa międzynarodowa, będzie zaszczyconych Pani towarzysztwem. Oczywiście pokryjemy koszty Pani podróży oraz pobytu.

Możliwe, że odpowiedziała Pani już na nasze zaproszenie, w takim razie proszę wybaczyć, że piszę ponownie. Być może Pani odpowiedź zaginęła w drodze i dlatego kontaktuję się z Panią ponownie...

Składam gruby kremowy papier na pół i jeszcze raz na pół, i jeszcze raz. Zwijam go w rulonik i wyrzucam do kosza.

Na tle białej poduszki jej skóra była żółta jak wosk, jej policzki zapadłe, wzięła moją dłoń w swoją i wyszeptwała: „Tak miało być od zawsze. Odpuść, moja kochana. Podróżuj lekko, moja dziewczynko”.

A później te inne rzeczy, które jeszcze powiedziała.

Nie potrzebuję retrospektywy, żeby pamiętać o mojej matce. Wolałabym raczej przestać na chwilę pamiętać.

– Jakies listy, kochanie? – woła z góry Quinn, wiążąc krawat i przygotowując się do wyjścia do pracy.

– Nie – odpowiadam. Staje u szczytu schodów.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem.

– Same śmieci.

Jest mi trochę niedobrze, więc otwieram drzwi i wychodzę na wyłożoną kamieniem ścieżkę, by stanąć w wodnistym słońcu poranka. Pewnego dnia będę pamiętać tylko dobre rzeczy. Pewnego dnia przestanę widzieć ją na ulicy. Pewnego dnia pomyślę o niej z radością, a nie z bólem i żalem.

Tak bardzo chciałabym móc ją spytać, co mam zrobić. Czy zawsze wiedziała, że chciała mieć dziecko, i skąd wiedziała, że mnie chciała. Wiem, co by powiedziała, ale chciałabym to usłyszeć od niej. Chcę, żeby zesłała mi znak.

Niedzielny obiad to rodzinna tradycja u Wickhamów. Matka Quinna, Molly, gotuje świetny obiad, na który dorosłe już rodzeństwo i ja przychodzimy do domu rodziców, znajdującego się po drugiej stronie błon od naszego domku. Spotkanie czasem odbywa się u nas, czasem u Suz, a jeszcze innym razem jedziemy do jakichś ciotek czy wujków, ale najczęściej spotykamy się u Molly i Dereka.

Ich dom, Stara Wikarówka, ma 220 lat i jest zbudowany z wydobywanego lokalnie

szarego kamienia. Wewnątrz udekorowany jest perkalem i akwarelami przedstawiającymi konie oraz kwiaty. To dom rodzinny Dereka.

W tym tygodniu Molly przygotowała pieczeń jagnięcą i górę tłuczonych ziemniaków. Przy stole jak zawsze siedzę obok Quinna, naprzeciwko jego siostry, Suz.

– Jedzenia wystarczy dla całej armii – mówi Molly, siadając do stołu z miską brokułów. Jej ciemne włosy poprzepłatane siwizną są założone za ucho. Uśmiecha się do swojej rodziny. Molly Wickham – pulchna i gościnna, swojska i konwencjonalna – prezentuje sobą dokładnie ten typ kobiety, którym moja matka ze wszystkich sił nie chciała być. Niemniej jednak świetnie gotuje i zawsze w ogromnych ilościach.

Quinn pomaga matce nałożyć jedzenie na talerze, podczas gdy jego ojciec i Suz nalewają wino i wodę. Zauważyłam, że zawsze nieświadomie dzielą się w ten sposób, kiedy jest coś do zrobienia. Quinn i ich matka, Suz i ich ojciec – małe, mieszane podzespoły. Wspomniałam kiedyś o tym Quinnowi i był zmieszany, jakby to było coś oczywistego, co nigdy nie było w jego rodzinie żadną kwestią i nikt nigdy nawet nie zwrócił na to uwagi. Może tak jest po prostu we wszystkich rodzinach, w których jest dwoje rodziców i dwoje dzieci. Nie mam pojęcia.

– Jak ci idzie rysowanie, skarbie? – pyta Molly, podając mi wypełniony po brzegi talerz. Przy stole Molly jako pierwsi jedzenie dostają powinowaci.

– Dziękuję, w porządku, Molly. Zrobię później trochę zdjęć, aby wykorzystać je w malowaniu tła.

– Któregoś dnia rozmawiałam o tobie z Ellą Richardson. Mówiliśmy o tym, jakie to musi być wspaniałe być twórczą osobą.

– Tak.
– Pewnie uwielbiasz to, że jesteś taka kreatywna? To musi być takie interesujące.

Molly zadaje wiele pytań, w odpowiedzi na które możesz się jedynie zgodzić. W dniu naszego ślubu, w samochodzie w drodze do kościoła (w którym pobrali się też Molly i Derek, a jeszcze wcześniej rodzice każdego z nich), położyła mi rękę na kolanie i szepnęła:

– Mam nadzieję, Felicity, że zawsze będziesz traktowała mnie jak swoją matkę? Miała na twarzy taki delikatny uśmiech, a jej szare, łagodne oczy się zaszklily. Było wiele rzeczy, które mogłam jej powiedzieć, jeśli chciałabym mówić o mojej matce. Mojej jedynej, prawdziwej matce, szalonej, utalentowanej i kochającej Esther Bloom, której nikt nie był w stanie zastąpić.

Ale naprawdę nie było innej możliwości, niż odpowiedzieć:

– Tak.
– Tak – mówię również teraz. – Tak, to bardzo interesujące.
– Też bym tak chciała! Ale nie potrafię nic oprócz haftu krzyżykowego, a i to jedynie, jeśli na materiale jest już wydrukowany wzór, wiesz.

– Gotowanie jest twórcze – mówi Derek, odbierając od niej swój talerz. – Jesteś wyśmienitą kucharką, Molly.

– Och, cóż, po prostu karmię moją rodzinę, to przyjemność – mówi, podając talerz Suz. – Ella wspominała również, że w przyszłym tygodniu przyjeżdża jej siostrzeniec – pamiętasz George’a, prawda Susan?

– Tak, oczywiście, jak się ma?
– Bardzo dobrze, jest rozwiedziony. – To ostatnie słowo Molly wymawia ściszym

głosem, jakby oznaczało pecha. W ten sam sposób wypowiada również słowa „rak” i „zawał”. – Może mogłabyś zabrać go na drinka do Seven Stars? Ella myśli, że pewnie miałyby na to ochotę. Może tym razem nawiążecie kontakt.

– Może – odpowiada Suz. – Quinn, co sądzisz o szansach Howartha w wyborach uzupełniających?

– Myślę, że są całkiem niezłe, choć nie byłbym zadowolony, gdyby wygrał.

– Howarth jest trochę bardziej na prawo niż Attyla Hun – mówi Suz, sącząc wino. – Niezłe wino, tato.

– Myślę, że ma solidne podstawy – mówi Derek. – Weź chociażby to, co powiedział o budownictwie.

– Znow się zaczyna, rozmowy o polityce – mówi do mnie Molly, przewracając oczyma w udawanym znudzeniu. – Zaraz się pobiją.

Śmieję się z jej dowcipu i nabijam na widelec różyczkę brokułu. Rozmowa toczy się dalej, niewiele głośniejsza od szczęku noży i widelców o talerze, swobodnie przechodząc od polityki do wieści o sąsiadach i przyjaciołach. Jadalnia jest duża i przestronna. To też największe pomieszczenie w całym domu, znajduje się obok kuchni, a jej rozsuwane okna wychodzą na zadbany ogród. Większość zdjęć z dzieciństwa, które pokazał mi Quinn, zostało zrobionych w domu lub tuż przed nim. Stół jest wykonany z drogiego, połyskującego drewna, na którym leży wyprasowany obrus. Został zakupiony przez poprzednie pokolenie, aby zaspokoić potrzeby rozrastającej się rodziny. Mnóstwo miejsca dla wnuków.

– Felicity?

Molly zadała mi pytanie. Zmuszam się do powrotu do terażniejszości.

– Przepraszam?

– Pytałam, czy macie już jakieś plany na rocznicę?

– Och. Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. – Patrzę na Quinna.

– Mam już jakiś pomysł lub dwa – mówi.

– Pierwsza rocznica to jaka? – zastanawia się Molly. – Papierowa?

– Ja zabrałem waszą mamę do drogiej restauracji – mówi Derek.

– Wcale nie – odpowiada Molly.

– Zawsze zabieram cię na wystawną kolację. Znam swoje obowiązki. Zamówiłaś homara.

– To nieprawda. Podczas naszej pierwszej rocznicy byłam już w ciąży z Susan i spędziliśmy spokojny wieczór w domu.

– Oczywiście, masz rację. Miałaś okropne mdłości.

– Nie, to przy Quinnie. Z Susan czułam się doskonale. Byłaś takim bezproblemowym dzieckiem, Susan.

Patrzę na moją teściową. Jest to jedna z możliwych wersji mojej przyszłości. Za trzydzieści lat mogę siedzieć przy tym stole obok Quinna, serwować pieczeń i wspominać moje ciąży wraz z moimi dorosłymi dziećmi. Nie powinno to być łatwe do wyobrażenia, ale w tym pomieszczeniu wydaje się niemal nieuniknione.

– Jak chciałabyś spędzić naszą rocznicę? – pyta mnie Quinn.

Chciałabym wyjąć mapę i z zamkniętymi oczami wbić szpilkę, a później pojechać tam, gdzie trafiłam. Chciałabym spędzić z Quinnem cały dzień w kinie, upijając się i oglądając tyle filmów, ile się tylko da, obściskując się pomiędzy łykami czerwonego wina z ukrytej butelki. Chciałabym nauczyć się nowego tańca albo pójść na koncert zespołu, o którym

nigdy nie słyszałam, albo spędzić cały dzień w łóżku.

– Zobaczymy, na co będziemy mieli ochotę tego dnia – mówię.

Derek odkłada nóż i widelec. Spogląda na swoją rodzinę z uczuciem.

– To było wspaniałe, kochanie – mówi. Jak zawsze.

– Jesteś taka cicha – mówi do mnie Suz, kiedy razem stoimy przy zlewie. Ja myję, ona wyciera, ponieważ wie, gdzie co włożyć, jak również dlatego (o czym nikt nie mówi głośno), że prawdopodobieństwo, by jej coś wypadło i rozbiło się o kamienną podłogę, jest zdecydowanie mniejsze.

Suz jest podobna do Quinna, a raczej oboje przypominają swoją matkę: cała trójka ma ciemne włosy i szare oczy. Włosy Suz są proste i obcięte do wysokości ucha. Mają podobne palce z krótko obciętymi paznokciami. Ich wuj i ciotka również mają te ręce, te oczy i te włosy. Ta przynależność jest wypisana na ich twarzach, jak również w ruchach i sposobie mówienia. Suz jest prawniczką i pracuje w tej samej firmie co Derek, choć ona specjalizuje się w tytułach własności, a on w uwierzytelnieniach testamentów. Suz pomogła nam z dokumentami przy kupnie domu.

– Quinn chce mieć dziecko – mówię.

Sięga po sosjerkę z ociekacza i zaczyna ją wycierać, poświęcając uwagę zwłaszcza zawijaskom przy uchwycie.

– Nie wyglądasz na zdziwioną – stwierdzam.

– Nie dziwi mnie, że Quinn chciałby założyć rodzinę, jeśli o to pytasz. Będzie z niego cudowny ojciec.

– Wasza mama byłaby bardzo szczęśliwa.

– To też. – Odkłada sosjerkę na miejsce w komodzie. – I nasz ojciec, i ja również, oczywiście.

– Nie uwzględniłaś mnie.

– Z faktu, że zaczęłaś o tym mówić, wnioskuję, że nie jesteś pewna.

– Nie chodzi o to, że nie chcę. Po prostu nigdy o tym nie myślałam.

– W takim razie powinnaś dać sobie trochę czasu. Bez pośpiechu.

– To jest takie... zobowiązanie.

– Tak jak małżeństwo. Podobno.

Jej słowa są wyważone, neutralne. Dlatego właśnie powiedziałam to jej, ale teraz nie jestem pewna, czy dobrze zrobiłam. Quinn jest jej młodszym bratem. Od zawsze. Nigdy nie musiała się martwić o to, że go zawiedzie, albo że nie jest taka, jaką on chciałby ją widzieć. Nigdy ani przez chwilę nie odczuwała jego miłości jako czegoś cennego i tajemniczego.

– Jeśli masz wątpliwości, powinnaś o tym porozmawiać z Quinnem. – Dostrzega moje wahanie i dodaje: – Poradzi sobie z tym, przecież wiesz. Dla ciebie zrobi wszystko.

– To część problemu – mówię, patrząc na pianę w zlewie.

– Nie musicie mieć dzieci. Wiele par decyduje się ich nie mieć. Nie ma sensu być nieszczęśliwym, próbując uszczęśliwić innych.

– Kocham Quinna.

– Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości – mówi Suz. – Kto by go nie kochał.

Pytanie, którego nie zadaję na głos, które ośmielam się wypowiedzieć jedynie w mojej głowie, brzmi: „Ale czy kocham Quinna wystarczająco?”. Jeśli tak by było, nie miałabym

wątpliwości, prawda?

Jeśli kochałabym go wystarczająco, nie miałabym nigdy żadnych wątpliwości.

Zgodnie z przypuszczeniami Quinna zaczęło mżyć, mimo to wszyscy szykujemy się do wyjścia na spacer, zakładając gumowce i peleryny, które schły w kuchni. Niedzielny spacer jest niemal tak ważny jak niedzielny obiad. Zawsze wolałam parasole od peleryn – parasole są piękne, kurtki przeciwdeszczowe nie. Mam zatem piękną, wiśniową parasolkę na niedzielne spacerki.

Wychodzimy razem, radosna rodzina Wickhamów i ja na końcu. Chociaż czasami naprawdę sprawia mi przyjemność to maszerowanie przez wieś, machanie do znajomych i przyjaciół, bycie częścią grupy, dziś jestem zadowolona, że zabrałam z sobą aparat. Dzięki temu mam wymówkę, żeby iść z tyłu. Balansuję parasolem na zgięciu ramienia i zaczynam robić zdjęcia, idąc. Krople spadające z żywopłotów, odbicia w kałużach.

Pomysł jest taki, żebym zrobiła zdjęcia tego, co chcę narysować, jednak nie poświęcam temu zbyt dużo uwagi. Zamiast tego myślę o tym, że Quinn nagle zapragnął dziecka na tym etapie małżeństwa, kiedy jego rodzice się go spodziewali. Jakby w ich DNA był wzór na właściwy czas dla poważnych życiowych zdarzeń, podobnie jak dla ciemnych włosów i szarych oczu.

Co w tym zresztą złego? Nie ma nic niewłaściwego w byciu przewidywalnym. Nic złego w byciu szczęśliwym. Czy to z powodu mojego dzieciństwa, które było takie chaotyczne, ponieważ przeprowadzałyśmy się z miejsca na miejsce, ze szkoły do szkoły, teraz mam takie problemy, żeby przyzwyczaić się do życia, w którym każdy następny krok jest przewidywalny i oczywisty?

To wybrałam, wybierając Quinna.

Poza tym moje życie wcale nie było wcześniej takie chaotyczne. Miało swoje centrum, miało swoją stałą: moją matkę. Wszystko inne wokół nas – przyjaciele, domy, państwa – mogło się zmieniać, ale nie ona. Ona zawsze mnie kochała, swoją Felicity, swoją jedynaczkę, swoją jedyną rodzinę.

– Twój ojciec – szeptała mi na ucho, kiedy przychodziła mnie pocałować na dobranoc w jakimś miejscu, gdzie zatrzymałyśmy się na dzień, miesiąc, rok – był jedynym mężczyzną, którego naprawdę kochałam. I chociaż nie mogliśmy być razem, podarował mi najdroższą osobę w moim życiu.

– Kto to taki? – szeptałam, wtulona w koce, doskonale znając odpowiedź.

– To ty, mój skarbie – mówiła. – To ty.

Na liściu siedzi biedronka, żywa czerwień na tle zieleni. Kadruję i robię zdjęcie. Patrzę w górę i widzę, że Wickhamowie są daleko przede mną, idąc swoim zdecydowanym krokiem. Wszyscy oprócz Quinna, który biegnie do mnie. Trzyma ręce w kieszeniach i się uśmiecha. Ten widok sprawia, że czuję motylki w brzuchu, trzepoczące obok niestrawionej pieczeni i ziemniaków.

– Pomyślałam, że przyda ci się ktoś do niesienia parasola – mówi, sięgając po moją wiśniową parasolkę. – Żebyś mogła skoncentrować się na zdjęciach.

Właściwie nie miałam ochoty na towarzystwo, ale to uprzejme z jego strony, więc odpowiadam: „Dziękuję” i kucam, żeby sfotografować dzikie geranium. Deszcz wydobył zapachy, wdycham aromat ziemi, zielonych łądyg i czegoś jeszcze. Czegoś ciężkiego i egzotycznego, kwitnącego. Czulałam to już jakiś czas temu, zupełnie niedawno na ulicy

w Londynie. I ten zapach znów się pojawił. Białe, aksamitne płatki, słodycz, która jednak nie jest mdląca.

Podnoszę się, Quinn trzyma moją parasolkę, nucąc cicho pod nosem. Jesteśmy na ścieżce jakiś kilometr od miasteczka, w zasięgu wzroku nie ma domów. Nie ma nikogo, kto mógłby pachnieć perfumami, żadnych egzotycznych kwiatów, które mogłyby wydzielać ten aromat. Przypomina mi moją matkę, ale ona nie żyje.

– Czujesz to? – pytam.

Quinn wącha powietrze.

– Ktoś pali ognisko?

– Nie, chodzi mi o kwiaty.

– Nie, kwiatów nie czuję.

Ogarnia mnie fala ciepła, radosne uczucie szczęścia. Jaki cudowny jest ten mój mąż, jak wspaniale jest być z nim na tej wiejskiej ścieżce.

Zarzucam mu ręce na szyję i całuję w usta.

– Co zrobiłem dobrze? – pyta, kiedy skończyłam, ale wygląda na bardzo zadowolonego.

– Kocham cię – mówię. Serce bije mi szybko i mrowi mnie w palcach. Czuję, że mam wypieki.

– Czyż wiosna nie jest fantastyczna?

– Cóż, w tej chwili głównie mokra, ale tak.

Oddycham głęboko.

– Cudowne powietrze, wszystko rośnie. Pachnie wspaniale.

I czuję się wspaniale. Pięć minut temu martwiłam się, chciałam być sama, tęskniłam za mamą. Teraz niedająca się powstrzymać radość płynie w moich żyłach. Wiśniowa parasolka, szarość nieba, postrzępiony niebieski kołnierz kurtki Quinna, biedronka na liściu. Wszystko to już widziałam i jest mi bardzo dobrze znane, ale też w jakiś sposób niezwykle, doskonale tu pasujące i mające swój powód. Wszystko jest dobre i właściwe, takie, jak być powinno – uwielbiam to.

Jest to najcudowniejsze uczucie ulgi. Jestem zakochana w moim mężu. Zupełnie, po uszy zakochana.

– Co cię tak bawi? – pyta Quinn.

– Nie chodzi o to, że mnie bawi – odpowiadam. – Jest... fantastycznie.

Obejmuję go i ponownie całuję, a później już dłużej nie mogę się powstrzymać i wykręcam piruet na ścieżce w swoich kaloszach.

Czuję, jakbym miała ochotę tańczyć w nieskończoność. Chcę się uśmiechać do całego świata.

Później w łóżku, kiedy mój mąż zasypia obok mnie, a moje ciało jest nadal ciepłe od jego rąk, moje usta ciągle pamiętają jego pocałunki, myślę o tym momencie na ścieżce. Zapach, tak szaleńczo znajomy, pojawił się znikąd.

Chciałam znaku i może właśnie go dostałam. Potwierdzenie, że podjęłam właściwą decyzję, wychodząc za mąż, wybierając takie życie. Że Quinn jest tym jedynym, osobą, z którą mam iść przez życie i być z nim na zawsze. Jeśli miałam jakieś wątpliwości – już definitywny z nimi koniec.

Sięgam przez poduszkę i gładzę jego twarz. Ogolił się przed pójściem do łóżka, więc jego twarz była gładka, kiedy się kochaliśmy. Jak na trzydziestolatka Quinn wygląda bardzo

młodo, dlatego zawsze stara się mieć zarost, żeby ludzie nie brali go za młodszego, niż jest w rzeczywistości. Najwyraźniej redaktor lokalnej gazety musi wyglądać poważnie. Goli się w nocy, przed pójściem do łóżka, i tylko raz na kilka dni. Na początku naszej znajomości uważałam ten jego nawyk za fascynujący. Jakby był przeciwieństwem każdego innego mężczyzny w moim życiu, z których każdy golił się rano.

Ten Quinn, ten gładko ogolony mężczyzna istnieje tylko nocą i tylko dla mnie. Do rana jego podbródek stanie się szorstki. Ponieważ ma bladą skórę i ciemny zarost, włoski odznaczają się już po kilku godzinach i jego twarz jest w dotyku niczym drobny papier ścierny. Quinn o gładkiej twarzy jest tylko mój.

Jest to jedna z niespodzianek naszego małżeństwa. Mój szczupły, szarmancki mąż, redaktor lokalnej gazety o łagodnym głosie i posiadający dużą wiedzę, w moich ramionach staje się niemal innym mężczyzną – bardziej konkretnym. Odczuwam go jako większego i szerszego, niż na to wygląda.

Zasypiając, myślę o Amorze i Psyche. Psyche spotykała swojego męża, Amora, tylko w nocy, tylko w łóżku, tylko w ciemnościach – nigdy nie mogła widywać go za dnia. Ale Psyche była coraz bardziej i bardziej ciekawa wyglądu męża. Pewnej nocy zapaliła świecę. Przez chwilę widziała go – najpiękniejszego mężczyznę, jakiego można sobie wyobrazić, boga miłości – a później kropla wosku spadła na jego skórę i obudziła go. Amor odleciał, a Psyche straciła go na zawsze.

Ale to tylko mit i do tego z morałem: strzeż się ciekawości. Nie muszę być ciekawa Quinna. Wiem o nim wszystko. I w końcu czuję się tak, jak powinnam.

Doktor Johnson zakłada mi na nadgarstek aparat do mierzenia ciśnienia i zaczyna pompować.

– Dobrze się czujesz?

– Tak – odpowiadam. – Tak, dobrze.

Niemal odwołałam tę wizytę, ale umówiłam się na nią pół roku wcześniej. Zazwyczaj zapominam o umówionych wizytach, więc pomyślałam, że szkoda byłoby nie stawić się na tę, o której akurat zdarzyło mi się pamiętać.

Zastanawiałam się, co pomyśli Quinn. Z pewnością widział, że po mojej stronie szafki z lekarstwami kończą się tabletki, i z pewnością zobaczył wizytę zapisaną w kalendarzu. Czy zapyta, czy na nią poszłam? I co, jeśli powiem, że tak?

W końcu to, że dostaję receptę z odpisem na tabletki antykoncepcyjne, nie znaczy, że muszę je brać przez kolejne pół roku. Nie muszę przecież brać ich w ogóle. Po prostu dobrze jest mieć je pod ręką.

Doktor Johnson siada z powrotem za biurkiem. Jest jak z obrazka przedstawiającego wiejskiego lekarza pierwszego kontaktu: rzadkie siwe włosy, tweedowa marynarka. Leczy Wickhamów od zawsze.

– Nie było nawrotu migren?

– Nie – mówię jak zawsze. – Nie, odkąd byłam nastolatką.

– Całe szczęście. – Naciska klawisz i recepta się drukuje. Ale udało mu się zasiać ziarno niepokoju w mojej głowie.

– Ostatnio zdarzyło mi się, że czuję jakiś zapach.

– Jaki zapach?

– Jak perfumy albo kwiaty. Poczułam go już kilka razy. Quinn nic nie czuł. Zapach był naprawdę mocny przez dwie, trzy minuty, a później zupełnie zniknął.

Zwęża oczy za szklami okularów.

– To dziwne. Żadnych towarzyszących temu bólów głowy?

– Nie.

– Jak często się to zdarza?

– Do tej pory tylko dwa razy, tak myślę. Za każdym razem byłam na zewnątrz i zapach był naprawdę silny. Myślałam, że to kwiaty, jednak później przyszło mi na myśl, że raczej perfumy. Raz nawet poszłam za jakąś kobietą, ponieważ wydawało mi się, że ten zapach pochodzi od niej. Ale po chwili zniknął.

– Czy twoim poprzednim migrenom towarzyszyły aury?

– Nie wydaje mi się. Kiedy bolała mnie głowa, nie czułam żadnego zapachu.

– Ale czy coś widziałaś? Kolory, kształty, coś w tym stylu?

– Nie.

– Cóż – mówi, krzywiąc się – to pewnie nic takiego, ale powinniśmy to sprawdzić. Wydaje mi się, że nieistniejące zapachy mogą być powiązane z twoimi wcześniejszymi migrenami, ale dla pewności skieruję cię na badania do neurologa.

– Naprawdę?

– Nie jest to nic, czym musiałabyś się martwić. Chodzi tylko o pewność. – Bierze

formularz i zaczyna go wypełniać. – Za jakieś dwa tygodnie powinno przyjść do ciebie zawiadomienie z datą badania.

– Dobrze.

– Obawiam się, że w międzyczasie nie mogę przedłużyć twojej recepty na środki antykoncepcyjne.

– Z powodu zapachu?

– To może być spowodowane przez te tabletki, poza tym istnieje związek między pigułką, migrenami i wylewem. Zaznaczam, że nie masz się czym martwić, zwłaszcza że wychwyciliśmy to szybko, ale nie powinnaś podejmować takiego ryzyka. Nie powinnaś też brać tych tabletek, które ci jeszcze zostały. – Mnie niewykorzystaną receptę i wyrzuci ją do kosza. – Mogę ci przepisać pigułkę zawierającą tylko progesteron albo możemy porozmawiać o innych metodach.

Prostuję się. Jeśli zapach był znakiem, to ten jest jeszcze silniejszy.

– Nie, nie trzeba. Quinn i ja i tak rozmawialiśmy o tym, żeby zaprzestać antykoncepcji.

Doktor Johnson cały aż promienieje.

– To wspaniały pomysł.

Tego wieczoru Quinn jest najbliżej telefonu, kiedy dzwoni. Podnosi słuchawkę i przytrzymuje ją przy uchu ramieniem, ponieważ wyciera naczynia.

– Cześć, mamó. – Jak zawsze jest zadowolony, że ją słyszy, chociaż widzieliśmy się z nią zaledwie dwa dni wcześniej i znów zobaczymy ją w niedzielę. – Dziękuję. Co słychać?

Słucha i patrzy na mnie.

– Mama mówi, że spotkała dziś w Waitrose doktora Johnsona, który coś jej powiedział. Wydaje mi się, że spodziewa się, iż wiem, o czym mówi.

Mam mokre ręce, ale wyrywam mu telefon.

– Molly, co powiedział ci doktor Johnson?

– Powiedział, że ty i Quinn zdecydowaliście się na powiększenie rodziny! Och, Felicity, jestem wniebowzięta! Zauważyłam, że ostatnio byłaś trochę zmartwiona i nic dziwnego. Wcześniej nic nie mówiłam, ale teraz powiem ci, że miałam nadzieję, że nie będziesz odkładać tego za długo. W dzisiejszych czasach jest tyle kobiet, które zaczynają zbyt późno i odkrywają, że mają problemy. Nie tak, jak za mojej młodości, kiedy każdy zakładał rodzinę tuż po dwudziestce, a nawet szybciej. Wszystko się zmieniło, prawda? Oczywiście, nie twierdzę, że ty będziesz miała jakieś kłopoty. Doktor Johnson mówi, że nie ma żadnych powodów do obaw, ponieważ jesteś bardzo zdrowa.

Quinn przygląda mi się uważnie. Odkłada ścierkę.

– Ja nie... – zaczynam.

– Derek też tu jest i chce ci coś powiedzieć. – Zanim zdołam się wtrącić, Molly przekazuje słuchawkę Derekowi.

– Jestem z ciebie taki dumny – mówi do mnie. – Jestem dzięki tobie bardzo szczęśliwy, kochanie.

Czuję, że do oczu napływają mi łzy. Quinn podchodzi do mnie i kładzie mi jedną rękę na ramieniu, a drugą wyciąga po telefon. Kręcę głową.

– Derek, to... to bardzo miłe z twojej strony. Ale nie sądziłam, że doktor... nawet nie rozmawiałam o tym jeszcze z Quinnem.

– O czym jeszcze ze mną nie porozmawiałaś? – pyta Quinn.

– Rozumiem – mówi Derek. – Chciałbym tylko ci powiedzieć, że nie wyobrażam sobie

lepszej osoby od ciebie, która miałaby przekazać dalej nazwisko Wickham. Jesteś częścią rodziny, zrobimy wszystko, żeby pomóc.

– W opiece nad dzieckiem – woła Molly z bliskiej odległości.

– Jasne, dzięki... Do usłyszenia wkrótce.

Quinn bierze ode mnie słuchawkę i odkłada ją na widełki.

– O czym jeszcze nie porozmawialiśmy? O co chodzi moim rodzicom? Nic złego, prawda?

Czy doktor znalazł coś złego?

– Nie, nic złego.

– To dlaczego płaczesz? – Ociera mi łzę kciukiem.

– Nic złego. Ja tylko... Twój ojciec był bardzo miły.

– O co chodzi?

– O to, że będziemy starać się o dziecko.

Twarz Quinna przeobraża się w coś pięknego.

– Czy ty... nie jesteś w ciąży, prawda?

– Nie, ale przestaję brać tabletki. Doktor Johnson obawiał się, że mogą wywoływać bóle głowy. Ale... – ale i tak chciałam przestać. Masz rację. To dobry pomysł.

– Och, Felicity – mówi i bierze mnie w ramiona. – Tak bardzo, bardzo się cieszę, kochanie.

Czuję, jak szczęście wsącza się z jego ciała w moje.

– Ja też – odpowiadam. Teraz, kiedy decyzja została za mnie podjęta, jest mi lżej. Przytulam go. – Też się cieszę.

Prasuję w sypialni koszule Quinna. Wyprane leżą skłębione w koszyku obok mnie, a wyprasowane w jego szafie. Quinn nie ma nic przeciwko prasowaniu własnych koszul, ale ja lubię to robić. Prasowanie mnie odpręża: przyciskanie gorącego żelazka do bawełny, rozprostowywanie zagnieceń, kołnierzyków i mankietów, manewrowanie wokół guzików. Pokój pachnie ciepłym materiałem i Quinnem. W kuchni gra w radiu program 4 i jego ściszone melodie docierają do mnie, tworząc kontrast dla padającego na zewnątrz deszczu.

Odkładam żelazko na deskę i sięgam po wieszak. Molly upiera się przy używaniu drewnianych wieszaków zamiast metalowych czy plastikowych – dała nam ich chyba ze sto, kiedy się wprowadziliśmy. Nie miałam pojęcia, że jest taka różnica między wieszakami, ale najwyraźniej tak jest. Podobnie jak różnią się od siebie poszczególne marki detergentów, płynów do usuwania zabrudzeń z kuchenki, mąk i soli, mleczek do czyszczenia prysznic oraz ręczników. Harmonijne prowadzenie domu wymaga całych zasobów wiedzy, które Molly ma zgromadzone w swojej głowie wraz z datami urodzin, rocznic oraz mniejszych i większych świąt. Czasem myślę o tym, jak uporządkowany musi być jej umysł, wszystko powkładane do odpowiednich przegródek i opisane jak na półkach u niej w spiżarni.

Kiedy wieszam koszulę na wieszaku, czuję zapach perfum.

Obracam się, aby sprawdzić, czy ktoś wszedł do sypialni, ale nikogo nie ma. To ten sam zapach, co poprzednio: silny, kwiatowy, egzotyczny, znajomy. Zdaniem doktora Johnsona nic go nie wydziela, jest jedynie w mojej głowie – dziwny rodzaj migreny.

W niczym nie przypomina to migren, na które cierpiałam jako nastolatka. Musiałam spędzać całe dni w zaciemnionych pokojach z mokrym okładem na czole. Miałam światłowstręt i prawie nie mogłam jeść. Moje migreny wyewoluowały z bolesnych do wonnych. Szczęściara z tej Felicity.

Biorę głęboki wdech. Czuję to, co naprawdę znajduje się wokół mnie: bawełnę i rozgrzany metal, detergent i kurz, resztki spalenizny po zwęglonym toście. Jednak nad tym wszystkim dominuje zapach kwiatowy: silniejszy i bardziej napierający. Zatykam sobie nos, ale mimo to nadal go czuję. Słodki i aksamitny, ciepły i tropikalny, z nutą korzenną i aromatem wiciokrzewu. Okrągły, dojrzały zapach, pełny, delikatny, ale silny.

I ja go znam. Wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Skąd go znam?

Ponieważ nie ma obok mnie nikogo, kto by mnie rozpraszał, i ponieważ nie muszę szukać jego źródła, mogę lepiej się na nim skoncentrować. Zamykam oczy i widzę kwiaty: białe o żółtych środkach albo różowe i pomarańczowe niczym zachód słońca na wyspie, pięć idealnych płatków jak na dziecięcym rysunku. Są ich całe chmary w otoczeniu woskowanych zielonych liści – leżą wokół krzesła. Główki kwiatów kołyszą się lekko od powiewu z otwartego okna.

Plumerie. Tak nazywają się te kwiaty.

Tamtego lata w Londynie codziennie przez wiele tygodni przychodziły ich całe naręcza – nieskończone piękno i zapach. Ścięte wędły w upale, a ich wiotkie płatki każdego wieczoru wydzielały jeszcze więcej zapachu, rozdeptane na drewnianych,

niewykończonych podłogach, a rankiem pojawiały się nowe. To było lato plumerii i...

I wtedy zalewa mnie to uczucie. Uczucie, że dzieje się coś wspaniałego, że wszystko wokół jest piękniejsze i pełne znaczenia, że czeka mnie nawet jeszcze większe szczęście. Puls mi przyspiesza i wstrzymuję oddech. Moje palce zginają się i dotykają wnętrza dłoni. Przechodzą mnie ciarki. Dotarłam do serca wszystkiego i wszystko jest doskonale. Słyszę w uszach przyspieszone bicie serca i chcę śpiewać, śmiać się i całować.

Jestem zakochana.

Nagle znika. Chwieję się i moja dłoń zahacza o rozgrzane żelazko. Z krzykiem cofam rękę.

W powietrzu nie ma już zapachu kwiatów. Moje serce nadal wali, ale ogromna radość, którą czułam zaledwie chwilę temu, w większości zdążyła się ulotnić, pozostawiając po sobie uczucie ciepła. Wspomnienie miłości raczej niż miłość samą w sobie.

– Co to było? – pytam na głos sama siebie, trzymając się za dłoń.

Nikt nie odpowiada. Jestem sama, choć kiedy miałam zamknięte oczy, wydawało mi się, jakby ktoś był tak blisko mnie, że mógł mnie dotknąć. Co innego mogłoby wytłumaczyć to oczekiwanie, to pragnienie?

Rozglądam się wokół. Nic się nie zmieniło. Płatanina koszul w koszu, gorące żelazko, drewniane wieszaki. Koszula, którą wieszałam, leży na podłodze, tak jak ją upuściłam. Na zewnątrz pada. Wącham i wącham powietrze, ale magia uleciała.

Ręka mnie boli. Pokój wcześniej tak konkretny, teraz wydaje mi się nierealny. Skąd się wzięły te kwiaty? I to uczucie? A te wspomnienia?

Chwiejnym krokiem przechodzę do łazienki i wkładam dłoń pod strumień zimnej wody. Według mojego zegarka mogło minąć zaledwie kilka minut. Ale to były minuty... czego? Migreny? Wspomnień?

Obracam się i wychodzę z domu wprost na deszcz. Kiedy jestem w połowie ogrodu, unoszę twarz ku chmurom, aby deszcz mi ją obmył, rozjaśnił mi w głowie.

Co się przed chwilą zdarzyło? I dlaczego było to inne od pozostałych momentów, kiedy czułam wymaginowany zapach?

Deszcz przygniata mi włosy i wpada za kołnierz mojej koszuli.

Różnica oczywiście tkwi w tym, że tym razem byłam sama. Za pierwszym razem byłam na ulicy i myślałam, że chodziło o moją matkę. A ostatnio byłam z Quinnem. Wydawało mi się, że zapach był prawdziwy. Sądziłam, że uczucia, które mnie zalały, dotyczyły Quinna, ponieważ jest moim mężem i stał koło mnie.

Myślałam, że doświadczałam przyływu miłości do męża. Którego kocham. Oczywiście, że go kocham.

Ale tym razem doznałam tego – cokolwiek by to nie było: migrena czy wspomnienie – sama, bez Quinna w pobliżu, i wiem, że to uczucie, to bardzo konkretne uczucie w ogóle go nie dotyczy. Dlaczego miałabym poczuć wszechogarniający przyływ miłości podczas prasowania koszul?

To dotyczy kogoś innego, mężczyzny z mojej przeszłości, który pachniał plumerią, który tamtego lata wkładał kwiaty za moje ucho. Wiem to, tak jak znam swoją przeszłość, jak znam dokonane przez siebie wybory, które przyprowadziły mnie tutaj, do tej chatki, do tej chwili, kiedy stoję w deszczu.

To był Ewan. Ten zapach, to uczucie, to wspomnienie: to Ewan. Nie Quinn. Ewan, którego znałam dziesięć lat temu przez dwa miesiące: lipiec i sierpień. Nie rozmawiałam z nim od tamtego czasu. Myślałam o nim, choć nie za często. Ale jest tylko jeden mężczyzna, który pachniał plumerią, który przez godziny stał otoczony jej kwiatami, a potem zabierał mnie do łóżka. Moje uczucia do niego zbladły. Nie da się utrzymać

takiej intensywności przez dziesięć lat, nie wobec kogoś, kogo nie widzisz. Nie wobec kogoś, kogo nie możesz mieć.

Ale kiedyś żywiłam wobec niego takie uczucia. Rozpoznaję je, tak jak jego rozpoznałabym na ulicy. To nie jest jakakolwiek miłość: to miłość do niego.

Prawdziwe pytanie brzmi, dlaczego to uczucie wypłynęło teraz i to tak potężnie.

– Mamo? – mówię na głos w deszczu. Brak odpowiedzi. Otwieram furtkę i idę ścieżką na błonia. Domy i chatki Tillingford otaczają je niczym kamienie przytrzymujące chusteczkę w wietrzny dzień. W jednym rogu jest pub, w drugim biura Wickhamów. Dokładnie naprzeciwko znajduje się dom Molly i Dereka. Solidny, pewny, nieruchomy.

Ewan McKillan. Jego niebieskie oczy, czerwony połysk jego brązowych włosów w promieniach słońca, blade piegi na jego ramionach, jego sprane džinsy z dziurą na kolanie. Nie mogę przestać o nim myśleć. Nosił buty, które były odrapane z przodu i miały starte obcasy. Opuszki jego palców były stwardniałe, paznokcie prawej dłoni dłuższe niż u lewej. Ewan uśmiechający się, Ewan przechylający kufel i wypijający jego zawartość, linia jego szyi, tekstura jego skóry, to, jak się marszczył, kiedy śpiewał.

Nie wiem, gdzie teraz jest. Skasowałam jego numer i wyrzuciłam kartkę, na której zapisał mi swój adres. Przez miesiące od naszego zerwania wydawało mi się, że widziałam go na ulicach. Spodziewałam się telefonu od niego. Ale nigdy nie zadzwonił – czy to dlatego, że powiedziałam mu, by tego nie robił, czy może dlatego, że sam nie chciał – z czasem przestałam o nim myśleć. Podróżuj lekko, moja droga.

Dawni kochankowie powinni zblaknąć, zwłaszcza w oczach zameężnej kobiety. Może od czasu do czasu dociera jakieś echo: kiedy słyszę jakąś piosenkę w radiu, zastanawiam się, jak zaśpiewałby ją i zagrał Ewan. Ale to właśnie powinno być tylko echo sprzed dziesięciu lat, zagłuszone przez nowsze uczucia i zdarzenia. Jeśli spotka się dawnego kochanka na ulicy, powinno się do niego uśmiechnąć i porozmawiać przez kilka minut, może pójść na kawę, i później rozejść się z powrotem. Myślałam, że tak postąpię, jeśli kiedykolwiek wpadnę na Ewana. Może poczułabym ukłucie lub cień pożądania, ale wszystko to w niewielkim stopniu. Niemal nieistniejące, jedynie miłe wspomnienie.

Nie powinnam czuć się uskrzydłona miłością do niego – do niego, do Ewana – w sypialni, którą dzielę z moim mężem. To nie powinno być takie świeże i bliskie, jakbym cofnęła się w czasie o dziesięć lat.

– Felicity?

Słyszę głos tuż za mną. Obracam się. Suz kładzie rękę na moim ramieniu. Jest w kostiumie i trzyma nad nami obiema wielką parasolkę.

– Wszystko dobrze? Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam cię, jak stoisz bez kurtki na środku błon.

– Och, ja... – ja po prostu myślałam.

Przygląda się mojej twarzy.

– Wyglądasz dziwnie.

– To znaczy? – pytam nagle, przerażona, że moja szwagierka czyta mi w myślach i wie, o czym myślałam. Ale ona się uśmiecha.

– Prawdę powiedziawszy, wyglądasz, jakbyś właśnie wypaliła ogromnego skręta. Błogość maluje ci się na twarzy.

Dotykam swoich ust i faktycznie się uśmiecham. Próbuję rozluźnić mięśnie twarzy, ale nie udaje mi się to. Uczucie sprzed dziesięciu minut nadal we mnie tkwi, nadal ogrzewa

mnie od środka.

– Nic nie paliłam.

– Nawet jeśli, to nie potrafiłabym tego rozpoznać. Nie miałabym nic przeciwko wypróbowaniu tego sama, jeżeli rzeczywiście czujesz się tak wspaniale, jak na to wyglądasz.

– To tylko... ja po prostu lubię deszcz.

– Och! Jak dobrze, że dotarłaś do niej z tą parasolką, Susan! – Przez trawę nadbiega Molly z chustką na włosach i w gumowcach. – Trzymaj, Felicity, przyniosłam ci pelerynę. Nie powinnaś wychodzić tak ubrana w taką pogodę, przeziębisz się na śmierć.

Okrywa mi ramiona kurtką. Suz trzyma parasol nad nami wszystkimi. Deszcz już na mnie nie pada, więc orientuję się, jak bardzo przemokłam. Woda spływa mi z włosów po plecach, grzywka jest przyklepiona do czoła.

– Nic mi nie jest – mówię Molly i zaczynam drzeć.

– Co ci się stało w rękę? Jest cała czerwona.

– Och, oparzyłam się żelazkiem. Nie boli.

Molly cmoka z dezaprobatą i obejmuje mnie.

– Chodź ze mną, zrobię ci gorącą kąpiel i dam suche ubrania. I filiżankę gorącej herbaty.

– Zaczyna ciągnąć mnie do Starej Wikarówki, ale opieram się.

– Wydaje mi się, że zostawiłam włączone żelazko.

– To pójdziemy do chatki. – Molly obraca mnie w drugą stronę. Nad jej ramieniem widzę, jak Suz mruga do mnie.

– Wracam do pracy, bo widzę, że jesteś w dobrych rękach.

– Naprawdę, wyszłam tylko, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza – mówię.

– Porządna filiżanka ciepłej herbaty i jakaś maść na to oparzenie. Będiesz jak nowa, zobaczysz.

W Hope Cottage Molly od razu zaczyna się krzątać. Sadza mnie na sofie owiniętą w koc, następnie przygotowuje dla mnie kąpiel i szuka suchych ubrań. Kiedy już jestem w wannie, przynosi mi herbatę, ostrożnie odwracając wzrok od mojego ciała w pianie od lawendowych soli, które dała mi na Boże Narodzenie. Stawia filiżankę na brzegu wanny.

– Możecie wymienić to na uroczy biały zestaw łazienkowy – mówi, wycofując się – dzięki temu byłoby jaśniej. Zrelaksuj się i ogrzej.

Nie zmieniliśmy wystroju łazienki na górze: wanna, umywalka i sedes są w odcieniu intensywnego łososiowego różu, który współgra z kwiecistą tapetą, odklejającą się w jednym rogu. Z tym wszystkim kontrastują kwiaty na płytkach. Nie używamy różowego bidetu, więc posadziłam w nim zielistkę. Wygląda na to, że dobrze się w nim czuje.

Kładę się w gorącej wodzie, trzymając oparzoną dłoń na brzegu wanny, żeby nie piekła. Chciałabym pomyśleć jeszcze o uczuciu do Ewana i o tym, dlaczego napadło mnie tak zniechęca, ale słyszę, jak Molly się krząta i mówi sama do siebie. Wygląda na to, że kończy prasować koszule Quinna, a później dobiega mnie szcęk garnków w kuchni.

Opieram głowę o wannę i wpatruję się w sufit. Może to przez obecność mojej teściowej, ale euforia, jakiej doznałam na błoniach, ulotniła się zupełnie, a ja czuję się ciężka i zmęczona. Lawenda zawsze przypomina mi o swetrze, który znalazłam kiedyś w sklepie z używaną odzieżą. Był z jasnoniebieskiej wełny: śliczny i lekki, ale mimo prania nie dało się pozbyć jego zapachu i za każdym razem, kiedy miałam go na sobie, pachniałam jak

stara kobieta. Teraz, przez bąbelki do kąpieli, przypomina mi o Molly. Złoty papier, w który zapakowała prezenty, udekorowane gałązką ostrokrzewu. Tradycyjnie u Wickhamów prezenty otwierane są dopiero po lunchu.

Delikatne pukanie do drzwi sprawia, że się podrywam i otwieram oczy. Woda jest letnia i nie ma już prawie piany. Otwierają się drzwi i Quinn wsadza głowę do środka.

– Cześć, kochanie. Obudziłem cię?

Ma mokre włosy i kiedy wchodzi do łazienki, przynosi ze sobą zapach deszczu. Dotyka mojego ramienia chłodną ręką.

– Mama jest na dole. Powiedziała, że snułaś się po błoniach w deszczu niczym wodna nimfa.

– Nie użyła żadnego z tych słów, prawda?

Potrząsnął głową.

– Przygotowała dla nas gulasz. – Opuszcza deskę sedesową i siada na niej, wpatrując się we mnie. – Przepraszam cię za to. Wiem, że jesteś dorosła i powinnaś móc pochodzić sobie w deszczu, jeśli masz na to ochotę, ale sama wiesz, jaka jest mama.

– Ona jest po prostu miła. Poza tym Suz natychmiast była przy mnie z parasolką.

– Tutaj wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Wszystko w porządku? Oparzyłaś sobie dłoń?

– Delikatnie podnosi moją rękę, oglądając opatrunek, który nałożyła mi jego matka.

– W porządku. Przeżyję to. – Ziewam. – Ale jestem wykończona.

– Powiem mamie, że chcesz położyć się wcześniej. Jestem pewien, że zrozumie. – Wstaje i bierze do ręki szczoteczkę do zębów.

– Quinn? Czy myślisz czasem o swoich byłych dziewczynach?

Widzi moje spojrzenie w lustrze i posyła mi półuśmiech.

– Masz na myśli poza tym, jak codziennie wpadam na nie w pubie lub na ulicy?

– Brzmi to, jakbyś umawiał się z połową miasteczka.

– Tylko z jedną lub dwiema. I nie, nie myślę o żadnej z nich, uważam je za dobre znajome. – Wyciska pastę na szczoteczkę. – A ty myślisz o swoich byłych?

– Och, dzisiaj coś przypomniało mi o kimś, kogo znałam całe wieki temu. – Zaczyna szcztokować zęby tyłem do mnie. Czekaj, aż powiem coś więcej, i przez chwilę, patrząc na jego szyję i włosy kręcące się od wilgoci, rozważam, czy mu nie powiedzieć. „To niezwykle” – powiedziałabym – „że poczułam, jakby dziesięć lat zupełnie zniknęło”.

„Czy to nie dziwne, że w ogóle cokolwiek do niego czuję?”

Ale to nie jest coś, co można powiedzieć swojemu mężowi w łazience, kiedy on myje zęby. Nie przyznaje się do tych uczuć, nie, jeśli nadal się je żywi, nie, jeśli nawet do poprzedniego dnia sądziło się, że one zupełnie zbladły.

– Dawno, dawno temu, za górami, za lasami – mówię. – To nic ważnego. Jak ci minął dzień?

QUINN

Czasem kiedy wracał z pracy, Felicity próbowała rysować. Czasem czekała na niego, pełna pytań, chcąc mieć swój udział w jego dniu. Czasem była w trakcie jakiegoś spontanicznego projektu dekoratorskiego. Pewnego wieczoru zeszłego września wrócił do domu i zobaczył, że zerwała całą wykładzinę z dołu i wyrzuciła ją do ogrodu. To było w porządku – okropna wzorzysta wykładzina dywanowa z lat sześćdziesiątych, kiedy to

najwyraźniej Ogdenowie po raz ostatni zmienili wystrój – ale planował zatrudnić do tego jakąś firmę.

– Zobacz! – powiedziała, stojąc na środku jadalni, w której wszystkie meble zostały zepchnięte pod jedną ścianę, aby Felicity mogła dostać się do podłogi. – Co za deski! Czyż nie są wspaniałe? Wiedziała, że tak będzie. Tylko spójrz. – Pokazała mu coś, klęcząc.

– Wydaje mi się, że to korniki.

– Tak. Ale to jest piękne, wszystkie te wydrążone dziurki. – Zmarszczyła brwi. – Musimy się jednak tego pozbyć, zanim wpadniemy do środka.

Pocałował ją – jedyną osobę na świecie, która uważała dzieło korników za piękne. Później zadzwonił do Patricka, aby poprosić go o polecenie jakiejś firmy zajmującej się kornikami i radę, skąd najlepiej wynająć cykliniarza.

Od czasu do czasu, niezbyt często, przychodził do domu, a jej nie było. Dom nadal był pełen śladów jej obecności: szminka na szklance, rozrzucone buty, włączone radio. Ale Quinn od razu wiedział, że jej nie było. Dom był pozbawiony swojego serca. Czasem zostawiała karteczkę lub później dostawał SMS-a. A czasem nie. Wraciała z bukietami dzikich kwiatów i zabłoconymi butami. Raz zostawiła swój telefon na kuchennym stole i wraz z upływem godzin Quinn wyobrażał sobie, że coś jej się stało, zgubiła się lub uciekła. Nie chciał być jednym z tych mężów, którzy sprawdzają swoje żony, ale już zamierzał zadzwonić do jej przyjaciółki, Lauren, kiedy do domu weszła Felicity z pudełkiem zawierającym dwa idealne eklery, po jednym dla każdego z nich, po które pojechała specjalnie do Londynu.

Dzisiaj, kiedy oparłszy rower o szopę, wszedł do domu przez kuchnię, słyszał ją na górze w pracowni. Poluzował krawat, wchodząc na górę. Uzgodnili znaki już wiele miesięcy wcześniej. Jeśli drzwi były zamknięte, znaczyło, że pracuje i nie chce, żeby jej przeszkadzać. Jeśli były otwarte, mógł wejść do środka, porozmawiać z nią i obejrzeć rysunki. Jej drzwi najczęściej były jednak zamknięte, a prace, które widział, były niezwiązane z książką.

Wiedział, że utknęła. Wyobrażał sobie, że siedzi i uderza głową o niewidzialną szybę, próbując wymyślić opowieść, która się nie pojawiała. Był wobec tego bezradny. Kiedy ją o to pytał, Felicity traktowała to jako nic ważnego. Gdy ofiarował swą pomoc, wyglądało na to, że się denerwowała. Widział, kiedy o tym myślała, kiedy próbowała przełamać wewnętrzną barierę. To sprawiało, że stawała się cicha i odległa, jak wtedy, kiedy spotkali się po raz pierwszy w pociągu, skulona w sobie i wpatrzona w kartkę przed jej oczyma.

Drzwi były uchylone. Zawahał się przed nimi, doleciał go zapach rozpuszczalnika i kwiatów.

– Cześć, kochanie – zawołał. – Jestem w domu.

Kiedy otworzyła drzwi, zapach uderzył go.

– Rety – powiedział, podnosząc ręce do twarzy. – Rozbiłaś jakąś butelkę?

– To eksperyment. – Felicity stała przy biurku. Przeniosła maca i skaner na ziemię, a na jego blacie ustawiła całe mnóstwo buteleczek i pudełeczek. Dostrzegł plastikową butelkę rozpuszczalnika i flakon perfum, pałeczkę kadzidła i pomarańczę nabitą goździkami oraz jasnoniebieski kardigan.

– Jaki eksperyment?

– Dotyczący zapachu. – Wzięła pomarańczę do ręki i podała mu. – Na przykład to.

Powąchaj i powiedz mi, co czujesz.

Powąchał.

– Boże Narodzenie.

– Boże Narodzenie w ogóle czy jakieś konkretne?

Zamknął oczy i raz jeszcze wciągnął zapach. Kuchnia jego babci, wyszorowana kamienna podłoga, zioła zawieszane na belkach.

– Babcia robiła grzany cydr. Suz i ja zawsze trochę podkradaliśmy. Wtedy upiłem się po raz pierwszy.

– Spróbuj tego. – Sosnowy odświeżacz powietrza.

– Miliony taksówek.

– A to? – Podała mu buteleczkę z żółtym płynem.

– Nie wiem co to. Jakiś olej?

– Olej lniany. Używa się go w malarstwie olejnym. – Zamknęła oczy i zaczęła wąchać. –

Tak pachniała moja matka.

Felicity nigdy nie mówiła o swojej matce, a z pewnością nigdy zbyt wiele. Quinn wiedział, że Felicity była jedynaczką i że jej matka była znaną artystką. Wiedział, że razem dużo podróżowały, a po ojcu nie było żadnego śladu. Nie dbały ponadto zbyt wiele ani o pieniądze, ani o punktualność, ani o przedmioty. Wiedział, że matka Felicity zmarła jakieś pół roku wcześniej, nim się poznali. Wiedział, choć nie był pewien, czy powinien, że prochy Esther Bloom znajdowały się w metalowej urnie w plastikowej siatce pod fotelem w pracowni Felicity.

Quinn patrzył, jak Felicity wdychała zapach swojej matki. Jego własna matka pachniała talkiem, konwaliami i stopionym masłem. Zastanawiał się, czy kiedy Molly umrze, będzie się starał odtworzyć ten zapach.

– Mogłaby być w pokoju obok – mówi Felicity. – To nadzwyczajne.

– Tak właśnie działa zapach – odpowiada Quinn. – Jest to ponoć zmysł najbardziej związany z pamięcią. Z powodu lokalizacji w mózgu – jakoś tak. Pamiętam, że pewnego razu w domu moich rodziców wziąłem książkę do rąk i otworzyłem ją, a jej zapach przypomniał mi o kocie, którego kiedyś mieliśmy. Nie myślałem o nim od wielu lat. A co dziwniejsze, że to wspomnienie dotyczyło śmierci kota. Przypomniałem sobie, jak go przytulilem, kiedy już nie żył, jego futerko było takie samo w dotyku, ale ciało było wiotkie. Musiałem mieć jakieś cztery, pięć lat. Przypomniałem też sobie, jak tata położył go w pudełku, żeby zakopać go w ogrodzie, a ja włożyłem mu do środka myszkę wypchaną kocimiętką, ponieważ to była jego ulubiona zabawka.

Felicity przyglądała mu się intensywnie.

– Wszystko to przez zapach?

– Musiałem wtedy również otworzyć tę książkę albo może przesiąkła kocimiętką. Nie wiem. Ale tak, wszystko to przez zapach. Nadal go czuję, kiedy o tym myślę.

Czekał, żeby zrewanżowała mu się podobną opowieścią, żeby opowiedziała mu coś o matce, jedno ze swoich wspomnień. Ale ona patrzyła na niego i nie mógł odgadnąć, o czym myśli.

– Tęsknisz za nią? – spytał w końcu.

To wyrwało ją z pewnego rodzaju transu. Kiwnęła głową i zakręciła butelkę z olejem lnianym.

– Nie jestem pewna, czy mi się to podoba – powiedziała. Podniosła kolejną butelkę,

prostokątną z kwiatowym motywem ozdobnym. Wyciągnęła szklaną zatyczkę i podała mu. – A co myślisz o tym?

To były perfumy, mdlące i tropikalne, za słodkie, niczym pokój pełen lilii. Skrzywił się.

– Skąd to masz?

– Kupiłam. Znasz ten zapach?

– Nie. Nie sądzę. – Obrócił butelkę w dłoniach. Frangipane^[1]. – Nie jest to zapach, który chciałabyś nosić, prawda?

– Nie ja, nie. – Wzięła butelkę z jego rąk i rozpyliła zapach w powietrzu. – W perfumach pachnie to inaczej. Nie jest taki, jak powinien.

– A jaki powinien być?

– Po prostu – ten jest niewłaściwy. Ma dodaną wanilię albo coś takiego. – Odłożyła butelkę zdecydowanym ruchem, jakby podjęła jakąś decyzję. – To właściwie nieistotne. Nieważne. – Podeszła do okna i otworzyła je na oścież, żeby wpuścić świeże powietrze.

^[1] W języku angielskim plumerie nazywają się *frangipani* – przyp. red.

Parę dni później, kiedy Quinn jest w pracy, przychodzi list ze szpitala. Otwieram go i przeglądam pobieżnie: jest tam plan oddziału neurologii, a data badania przypada za osiem tygodni w sierpniu.

Nigdy nie byłam na oddziale neurologii, ale spędziłam mnóstwo czasu w szpitalu. Oczyma wyobraźni widzę sterylne pomieszczenia o białych ścianach, obuwie z gumowymi podeszwami na wypastowanych podłogach, wielkie maszyny do zaglądania do mózgu, jak te, które widziałam w telewizji. Wyobrażam sobie lekarzy próbujących dociec, dlaczego mój umysł podsuwa mi te wspomnienia – traktują je jako symptomy lub jakiś rodzaj migren, co jest śmieszne, ponieważ nie czuję się ani trochę chora.

Możliwe, że jestem nawiedzona, możliwe, że mój mózg próbuje mi coś powiedzieć, przypomnieć mi o czymś, o czym zapomniałam. Ale nie jestem chora.

Przecież te wspomnienia są radosne. Zapach kwiatów i potężne uczucie zakochania. Kto chodzi do lekarza, aby zdiagnozował powód szczęścia?

Na samym dnie moich myśli, w miejscu, gdzie żyją wszystkie zmartwienia, zastanawiam się: „Ale co, jeśli ze mną faktycznie coś jest nie tak?”

Składałam list i kładę go na dno tacy, gdzie trzymam rachunki. Czuję się dobrze. Właściwie to nawet lepiej niż dobrze. Jeśli wspomnienia staną się dziwne albo jeśli zaczniesz boleć mnie głowa, zadzwonię do doktora Johnsona, czy nie mógłby przyspieszyć wizyty. Jeśli jednak miną, odwołam ją.

Do tego czasu wolę się raczej zastanowić i zrozumieć, co ten zapach i uczucie oznaczają – wielkie maszyny ani lekarze nie są w stanie udzielić mi odpowiedzi. Podobnie jak nie byli w stanie uratować mojej matki.

Na poddaszu w naszej chatce strop jest niski, mnóstwo tam pajęczyn i pachnie mokrą strzechą. Za pierwszym razem, kiedy wspierałam się tam po chwiejącej się aluminiowej drabinie, zapomniałam latarki, więc musiałam zejść z powrotem. Snop światła pada na pudła, walizki i dekoracje, które kupiliśmy na nasze pierwsze wspólne święta. Moje plastikowe pudło ze zdjęciami jest w samym rogu. Przyciągam je do otwartego wjazdu, gdzie jest jaśniej, i siadam z nogami zwieszonymi przez krawędź.

Z oglądaniem starych zdjęć wiąże się pewne niebezpieczeństwo. Z jednej strony są to po prostu kawałki papieru, utrwalone wspomnienia. Nie mogą działać, nie mogą zranić cię na nowo. Wszystko, co znajduje się w tym pudle, jest skończone, dokonane. Z drugiej strony, kiedy się je otworzy, trudno będzie nie obejrzeć wszystkiego. Trudno jest zapomnieć o tym, czego nie chce się pamiętać, nie żałować pewnych wyborów. Nawet radosne zdjęcia są niebezpieczne, jeśli uchwycone na nich szczęście już minęło.

Wiem, że gdzieś w tym pudle są zdjęcia Ewana. Jest przynajmniej jeden pasek z budki w Boots, na którym robimy głupie miny i się całujemy. Pamiętam też inne zdjęcie zrobione przez jednego z członków jego zespołu, Matta czy Dougie’ego, w klubie nocnym, gdzie było tak ciemno, że zaledwie można dostrzec rozmazaną twarz Ewana. Ale w większości są to zdjęcia, które sama zrobiłam. Fotografowałam Ewana, kiedy się śmiał, biegał, spał. Robiłam zdjęcia, siedząc z nim w wannie, w parku, kiedy był bez koszuli. Zapełniłam nim kilka rolek filmu, które wywołałam i trzymałam w błyszczącej

plastikowej kopercie. Uchwyciłam wiele chwil. Były dla mnie tak cenne, ponieważ był tak piękny, że aż trudno było mi w to uwierzyć. Robiłam zdjęcie i drukowałam je, nawet przed odejściem Ewana.

Czy to dlatego, iż wiedziałam, że tylko tyle mi po nim zostanie?

Nie mam tylu zdjęć Quinna – w każdym razie nie tych namacalnych. Jedno oprawione stoi w naszym salonie: czarno-biała fotografia z dnia naszego ślubu, na której Quinn trzyma parasol nad naszymi głowami. Ja mam na sobie suknię ślubną w kolorze kości słoniowej, a Quinn swój elegancki garnitur. Całuje mnie w policzek, a ja patrzę w niebo. To piękne zdjęcie, jego kompozycja jest świetna, pamiętam ten moment: ciepło jego ręki na mojej talii, uderzenia kropli deszczu o parasol, pod którym byliśmy bezpieczni, to jak chwilę później Quinn się roześmiał i powiedział mi, że mam ubłocone stopy.

Przez ostatnie dziesięć lat technologia bardzo się zmieniła. Robimy zdjęcia telefonami i wysyłamy je sobie do natychmiastowej konsumpcji. Mój nikon jest cyfrowy. Ściągam zdjęcia na maca, ale już ich nie drukuję. To zbyt wiele zachodu. Moje zdjęcia Quinna są elektroniczną informacją, dostępną od razu. Nie muszę ich oglądać, ponieważ mam Quinna przy sobie.

Patrzę na pudło. Gdybym zdołała włożyć do niego dłoń i od razu znaleźć kopertę ze zdjęciami Ewana, pewnie bym to zrobiła, ale jest tam wiele innych zdjęć. Zdjęć mojej matki, kiedy była jeszcze zdrowa. Moje zdjęcia z dzieciństwa, na których trzymam ją za rękę.

Wpycham pudło z powrotem do kąta i schodzę po aluminiowej drabinie.

Spotykam się z Lauren w jej biurze w City. To z nią przyjaźnię się najdłużej. Moje dzieciństwo minęło w zbyt wielu rozjazdach, żebym mogła nawiązać jakąś trwałą znajomość, chociaż nadal pamiętam Jodie, z którą jadałam lunchy w czwartej klasie, i Aiszę, która nauczyła mnie, jak robić makijaż, kiedy miałyśmy po dwanaście lat, i wiele innych dziewczynek, które były moimi najlepszymi przyjaciółkami przez chwilę. Czasem zastanawiam się, ile z nich minęłam na ulicy, nie rozpoznając ich dorosłych wcieleń.

Poznałyśmy się z Lauren w młodzieżowym hostelu w Bombaju, kiedy obie miałyśmy po osiemnaście lat. Obie podróżowałyśmy z plecakiem dookoła świata, obie byłyśmy upojone obcymi językami, obcymi ludźmi, dziwnymi widokami, zapachami i smakami. Wówczas Lauren miała dredy, małe okrągłe okulary i praktycznie kąpała się w olejku paczuli. Od tamtej pory przeszła operację laserowej korekty wzroku, zmieniła swoje ubrania na eleganckie kostiumy i ręcznie szyte buty. Pracuje jako konsultantka finansowa i połowę swojego czasu spędza w Londynie i Brukseli, a drugą latając po Azji i pomagając najbogatszym oszczędzać pieniądze.

Jak zawsze, kiedy wchodzi przez szklane drzwi do recepcji, musi minąć chwila, zanim rozpoznam tę szczupłą kobietę o starannej fryzurze. W mojej głowie, mimo wszystkich dowodów na upływ czasu, Lauren nadal jest nastolatką z lekką nadwagą i z mnóstwem bransoletek utkanych ze sznurka.

Uśmiecha się i znów jest moją przyjaciółką.

– Fliss – mówi, całując mnie w oba policzki. Jej skóra jest chłodna, a włosy wyprostowane. Wszystko w niej jest drogie, oprócz ciepłego sposobu, w jaki ściska moją rękę. – Nie masz nic przeciwko, żebyśmy zjadły lunch w ruchu? Muszę wyrobić swoje kroki na dzisiaj.

– Kroki? – pytam, wychodząc z nią z budynku. Założyła sportowe buty do kostiumu.

– Program fitness. Spotykam się w Brukseli z trenerem osobistym – Hansem. Nie mówiłam ci? Jest naprawdę fajny. Ale jeśli chodzi o ciało – to faszysta. Chodź, jeszcze pięćset kroków i będzie mi wolno zjeść wysokobiałkową tortillę. Wzięłam też jedną dla ciebie. Nie będzie ci smakować. – Uruchamia jakąś aplikację na telefonie i zaczynamy iść w dół ulicy, wymijając innych przechodniów.

– Myślałam, że spotykasz się z tym handlowcem Frankiem, jak mu tam?

– Jest żonaty. – Robi minę. – To już trzeci Amerykanin, z którym się spotykałam, a który okazał się żonaty. Przypomnij mi, żebym nigdy więcej nie zadawała się z kolejnym. Prędkiej pobiegnę w maratonie, co, nawiasem mówiąc, Hans planuje dla mnie na wiosnę. Jak się miewa czarujący Quinn?

– Dobrze.

– A nieznośna teściowa?

– Również dobrze.

– Stepford?^[2]

– Nie jest aż tak źle, choć faktycznie trochę przypomina to Stepford. Ale jest uroczo.

– A książka?

– Powoli, ale dojdę do tego.

– Jakies nowiny?

Lauren lubi mieć pewność. Jej raczej nie nawiedzają wspomnienia z przeszłości i nie niepokoją niespodziewane przyływy uczuć. Kiedy spotkałam ją w tym hostelu w Bombaju, miała w głowie listę „Co Lauren zrobi ze swoim życiem”. Przełożyła o rok studia ekonomiczne na Sorbonie, żeby objechać świat i doświadczyć wszystkiego. Ja z kolei podróżowałam, ponieważ nie miałam pojęcia, co innego mogłabym robić.

Jeśli powiedziałałabym jej o tych nagłych uczuciach do Ewana, urojonych zapachach i zakochaniu, chciałyby to sprawdzić. Chciałyby znaleźć racjonalne wytłumaczenie, a ja jeszcze nie jestem na to gotowa. Poza tym Lauren uwielbia Quinna. „Pokochaj go”, powiedziała mi na osobności, kiedy ich sobie przedstawiłam. „Zatrzymaj go. Jest dobry dla ciebie. Wyjdę za niego, jeśli się nie zdecydujesz”. Ale wiedziałam, że nie zrobiłaby tego. Kiedyś powiedziała mi, że w wieku trzynastu lat doszła do wniosku, że poślubić może jedynie kogoś, kto będzie jej dorównywał pod względem finansowym.

– Raczej nie – odpowiadam.

Podaje mi coś zapakowanego w folię spożywczą, rozpakowuję to i gryzę, ale natychmiast wypluwam do opakowania.

– To naprawdę paskudne – mówię.

– Wiem – odpowiada, żując swój. To wymaga dużo żucia. – Hans je uwielbia. Zero węglowodanów.

– Czy dorównuje ci finansowo?

– Jest dość zamożny. Odziedziczył spadek. Weź batonik proteinowy.

Batonik jest odrobinę lepszy. Moje baletki nie są stworzone do chodzenia w tempie, które nadaje Lauren, a ja nie jestem taka szybka jak ona. Z pewnością można stwierdzić, że Quinn nie jest faszystą, jeśli chodzi o ciało. Poza tym spędziłam ostatnie kilka tygodni, siedząc w pracowni i wpatrując się w pustą kartkę szkicownika. Lub chodząc w deszczu, doświadczywszy uczuć, których nie potrafię wytłumaczyć. Idziemy energicznie przez Bishopsgate do ogrodów.

– Pamiętasz Ewana? – pytam.

– Jakiego Ewana?

– Ewana McKillana.

Zatrzymuje się.

– Tego, który złamał ci serce?

– Cóż, nie jestem pewna, czy tak było...

– Złamał ci serce. Rozpoznałam objawy. Pojawiłaś się w Paryżu, wyglądając jak wrak człowieka. Spędziłaś cały miesiąc, snując się w okolicach cmentarza Père-Lachaise. Drań.

– Ewan nie złamał mi serca celowo – mówię. Lauren nigdy go nie poznała, podobnie jak nikt z moich znajomych. Ewan i ja byliśmy samowystarczalni. Do czasu. – Źle zgraliśmy się w czasie. Nie mogliśmy być ze sobą.

– Z tego, co pamiętam, jakaś dziewczyna zaszła z nim w ciążę.

– Jeszcze zanim mnie spotkał. Kiedy się poznaliśmy, Ewan nie wiedział, że była w ciąży. Lauren prycha.

– Przynajmniej tak twierdził. To nawet nie jest nieszczęśliwa miłość, Fliss. Nędzna kreatura. Lepiej ci bez niego.

– Naprawdę miałam złamane serce? Naprawdę? – teraz wydaje się to takie odległe. To znaczy, mój zawód miłosny. Próbuję sobie przypomnieć, jak czułam się tamtej jesieni, spacerując wokół grobowców, przyglądając się kocim harcom. Mogę ubrać to w słowa, ale nie mogę już tego poczuć.

– Został z ciebie szkielet. Prawie w ogóle nie jadłaś.

– Jeśli mam być szczerą, muszę nadmienić, że już wcześniej bywało, że żywiłam się tylko miłością. Nie pamiętam nawet, żebym jadła w tym samym pomieszczeniu co Ewan.

– Byłaś zbyt zajęta bzykaniem się. A bzykanie się to nie życie. Mężczyzna, z którym nie możesz jeść, to mężczyzna, z którym nie możesz być. – Wskazuję na jej wysokobiałkowe jedzenie, wywołując grymas na jej twarzy. – Punkt dla ciebie. Poza tym ja i Hans jadamy razem, tylko nic smacznego.

– Ewan był moją pierwszą prawdziwą miłością – mówię. – Był piękny i fascynujący. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie poznałam. Kiedy byłam z nim, czułam... że byliśmy dla siebie stworzeni. Że byłam dokładnie tam, gdzie być powinnam, i że wszystko było tak, jak być powinno.

– Co z pewnością było mylne, ponieważ nie jesteś już z nim. I dobrze. Ktoś, kto sprawił, że byłaś taka nieszczęśliwa, nie zasługuje nawet na minutę twojego czasu. – Doszliśmy do ławki, przy której stał kosz. Lauren wyrzuciła do niego jedzenie i usiadła. – Pieprzyć to. Masz rację. Zadzwoń do Hansa i powiem mu, że to koniec.

– Nie o to mi chodziło – mówię zaniepokojona, ale Lauren już szuka telefonu.

– Och. On i tak jest teraz zajęty, prowadzi zajęcia z pilatesu. Jak tylko wrócę wieczorem, zadzwonię do niego. Między wpół do dziewiątej a dziewiątą ma przerwę. – Obraca się do mnie. – Poza tym spójrz na siebie. Naprawdę wszystko jest u ciebie teraz dobrze.

– Naprawdę tak myślisz?

Patrzy na mnie z góry na dół. Zawsze jest to trochę peszące, kiedy Lauren to robi, ponieważ ma się wrażenie, że wycenia każdą część ciebie. Na szczęście, dzięki latom przyjaźni na krótką i długą odległość, wiem, jak miła jest w środku.

– Powiem ci coś. Kiedy zobaczyłam cię razem z Quinnem, niemal zmieniłam swoją listę.

– Zmieniłaś listę?

– Powiedziałam: „niemal”. Powiem ci szczerze, że kiedy zaprosiłaś mnie na swój ślub i to w roli drużyny, byłam zdziwiona. Ślub, w dodatku w kościele, był nie w twoim stylu. Podobnie jak przeprowadzka na wieś. Ale w dniu twojego ślubu to stało się dla mnie oczywiste. Wszystko było idealne.

– Padało.

– Wy dwoje jesteście wprost stworzeni dla siebie. Każdy to widzi. Przybrałaś na wadze, wyglądasz na zadowoloną.

Naciągam swoją koszulkę.

– Jego matka naprawdę świetnie gotuje.

– Jesteś spokojniejsza niż kiedyś. Bardziej zakorzeniona. Quinn cię uwielbia. Patrzy na ciebie, jakby wygrał na loterii. Zawsze uważałam, że mężczyzna i kobieta powinni być równi sobie w stu procentach – pod względem pieniędzy, pochodzenia, ambicji, wszystkiego – ale ty i Quinn sprawiacie, że myślę, iż mogłam się mylić.

– Nie – mówię. – Nie jesteśmy sobie równi. Quinn jest ode mnie znacznie lepszy.

Lauren się śmieje.

– Widzisz, o co mi chodzi?

– Nie masz wrażenia, że... – zaczynam. Nigdy wcześniej tego nie powiedziałam na głos.

– Nie masz wrażenia, że jednak taka miłość jest też pewnego rodzaju odpowiedzialnością?

– Co masz na myśli?

– Na przykład to, co sama zauważyłaś: zmieniłam się. Co, jeśli jestem spokojniejsza i zwalniam tempo, ponieważ taką chce mnie widzieć Quinn? Co, jeśli zmieniam się, aby mu dogodzić, a wcale nie powinnam taka być?

Lauren potrząsa głową.

– Wolałabyś być nieszczęśliwa i snuć się ze złamanym sercem?

– Nie, ale...

– Cześć, Lauren – mówi gość, który przechodzi obok nas, pchając wózek z kanapkami.

Ma kręcone włosy i podkoszulek, na którym jest napisane TWO SLICES CATERING, SPRAWIMY, ŻE TWOJA IMPREZA BĘDZIE EPICKA!

– Cześć, Bill – odpowiada. Patrzą, jak odprowadza go wzrokiem.

– Naprawdę zmieniłaś swoją listę!

– Co? Nie, powiedziałam, że niemal ją zmieniłam. To tylko gość, któremu mówię „cześć”.

– Nie spędziłam całej tamtej jesieni na szwendaniu się wokół cmentarza – tłumaczę jej.

– Poświęciłam trochę czasu na szukanie mojego taty.

– Znalazłaś go?

– Nie, nie wiem, jak on wygląda.

Dotyka mojej dłoni.

– To tylko potwierdza to, co powiedziałam, Fliss. Gdybyś była szczęśliwa, nie szukałabyś ojca, którego nigdy nie poznałaś. Bądź z osobą, która cię uszczęśliwia – wtedy można się ustatkować. A ty jesteś szczęśliwa z Quinnem w sposób, który nie byłby nigdy możliwy z Ewanem, kimkolwiek on był. Zgadza się?

Moja matka spotkała Lauren parę razy. Za drugim razem stuknęła się palcem w podbródek i powiedziała: „To kobieta, która wie, dokąd zmierza. Ciekawa jestem, czy zorientuje się, kiedy tam dotrze”.

– W inny sposób, niż byłam z Ewanem – odpowiadam. – Tak, jestem szczęśliwa.

Ale kiedy zegnę się z Lauren przy drzwiach do jej biurowca, nie idę od razu na stację Paddington, żeby wrócić do domu. Zamiast tego jadę główną linią metra do Stratford.

Miejsce to zmieniło się nie do poznania, odkąd byłam tu po raz ostatni. Budynek stacji jest nowy, a centrum handlowe Westfield napiera na otoczenie jak wrogi statek kosmiczny. Krążę powoli, aby przypomnieć sobie, którądy chodziłam dziesięć lat wcześniej. Wreszcie, postanawiam przejść przez ulicę i słuchać mojej intuicji.

Dziesięć lat temu byłam studentką i jeździłam metrem codziennie. To było gorące lato, znacznie gorętsze niż teraz, mimo że jest czerwiec. Ulice wydawały się zatłoczone dymem papierosowym i parą. Idąc, zaczynam dostrzegać punkty orientacyjne, które rozpoznaję, miejsca między nowymi budynkami lub stare budynki pełniące teraz nowe funkcje. Widzę mały warzywniak, gdzie sprzedawali hennę do włosów i czaj, a właściciel był bardzo uprzejmy i witał mnie łamaną angielszczyzną. Warzywa na zewnątrz wyglądają na zmęczone i zwiędłe, pokryte cienką warstwą kurzu. Pub został wykupiony przez sieć, a jego wystrój teraz składa się z tablic i zdjęć burgerów w oknach, ale budynek jest ten sam. Przystaję na chodniku przed wejściem i przypominam sobie migające światła automatów do gry i smak słodkiego cydru. To był okropny pub, z poplamioną wykładziną, pożółkłymi ścianami i popękkanymi obiciami, ale stał tam w rogu mały, chwiejący się stolik, którego nie widać z ulicy. Zastanawiam się, czy nadal tam jest.

Dom jest jeszcze dalej. To trzypiętrowy budynek z cegły z wielkimi oknami na parterze i pierwszym piętrze. Drzwi były pomalowane na czerwono. Staję przed nim, ręką trzymając swoje włosy zebrane na czubku głowy.

Moja matka, Esther Bloom, zajmowała cały ten budynek przez trzy lata. Ja mieszkałam w nim przez rok, kiedy zaczynałam szkołę artystyczną, której nigdy nie skończyłam. Pracownia była na pierwszym piętrze, gdzie jest najlepsze światło. Sypialnia matki była tuż obok: jej wystrój składał się z materaca na podłodze, ponieważ nie miałyśmy żadnych mebli. Ja spałam na samej górze w tylnej sypialni, której okna wychodziły na zachwaszczony ogródek, na jedynym łóżku, jakie znajdowało się w całym budynku, kiedy się wprowadziłyśmy.

Moja matka była już uznaną artystką, ale nadal nie miałyśmy zasłon. Przybiłyśmy różne materiały do okiennic i związałyśmy je sznurkami. Niektóre były piękne, utkane przez naszą przyjaciółkę, Marię, niektóre wcześniej chroniły meble przed kurzem, były poplamione farbą i nadal pachniały olejem lnianym. W mojej sypialni użyłam niebiesko-czerwonego wełnianego koca, który kupiłam w Grecji z Lauren.

Miałyśmy nową kuchnię: blaty, urządzenia, szafki, podłogi. Kiedy się wprowadziłyśmy nic tam nie było i Esther, która w tym czasie miała już pieniądze, wydała je razem ze mną w domu towarowym Johna Lewisa. Kupiła całe wyposażenie kuchenne, w tym sztucce, szkło, zastawę stołową i zestaw drogich garnków z miedzianym dnem, które nieniekajone mieszkały w szafkach. Ester rzadko gotowała, a ja byłam w tym raczej beznadziejna. Raz kupiłam w warzywniaku puszkę okry i ugotowałam ją. Wyglądem przypominała glony, a smakiem siki. Często goście przynosili nam coś do jedzenia albo gotowali na miejscu. Zawsze było wino. Pamiętam wielkiego mężczyznę, który nazywał się John i robił chleb: jego wielkie ciemne dłonie wyrabiające blade ciasto. Wydaje mi się, że był on jedną z osób, które napisały do mnie po śmierci matki.

Wspinam się na schody przed drzwiami wejściowymi, przed którymi jest domofon. Po

krótkim namyśle wciskam wszystkie guziki, jeden po drugim. Po chwili drzwi otwiera mi niska kobieta tuż po dwudziestce z przedłużanymi włosami i w krzykliwym różowym swetrze.

– Co tam? – pyta.

– Cześć – mówię. – Nazywam się Felicity. To pewnie zabrzmie śmiesznie, ale mieszkałam tu kiedyś i zastanawiałam się, czy mogłabym rzucić okiem wewnątrz? Tylko na chwilę?

Przygląda mi się i wzrusza ramionami.

– Jak chcesz – mówi. Obraca się i zaczyna iść korytarzem. Podążam za nią i po raz pierwszy przychodzi mi na myśl, że nikt nie wie, gdzie jestem, i że mam szczęście, że otworzyła mi kobieta, a nie dwumetrowy morderca z siekierą. Ona oczywiście nadal może okazać się mordercą z siekierą, ale raczej nie jest ubrana na tę okazję. Jej spodnie są zbyt obcisłe.

Korytarz prawie się nie zmienił, choć tam, gdzie stał nasz stolik na klucze, pocztę i buty, teraz jest upstrzone przez muchy lustro i na wpół uschnięty kwiatek. Ściany są w odcieniu kwiatów magnolii. Sklepione przejście do pokoju frontowego zostało zabudowane i wstawiono w nie lichy wyglądające drzwi. Podobne drzwi prowadzą do pomieszczenia, gdzie kiedyś była kuchnia.

– Długo tu mieszkasz? – pytam.

– Jakies trzy tygodnie. Zostawiłaś coś w mieszkaniu?

– Nie, ja...

– Nie odbieram żadnej poczty, która nie jest do mnie, więc nie mam nic twojego.

– Naprawdę chciałam się tylko rozejrzeć – mówię. – Które... które mieszkanie jest twoje?

Patrzy na mnie jak na wariatkę.

– To, do którego zadzwoniłaś.

– Ach tak, oczywiście.

Idę za nią po schodach na pierwsze piętro, gdzie otwiera następne liche drzwi.

– Wejdz i się rozejrzyj – mówi. – Ale muszę wyjść za jakieś pięć minut, więc...

Wchodzę do kawalerki, w której stoi rozkładana sofa zarzucona ubraniami. W rogu miga mały telewizor. Przez wysokie okno wpada ponure światło. W niczym nie przypomina to miejsca, które niegdyś znałam.

– To była pracownia mojej matki – mówię powoli, usiłując narzucić wizję przeszłości na oporną teraźniejszość. Kiedyś były tu dwa okna. Podział sprawił, że drugie znalazło się w następnym mieszkaniu. Nagie deski zachlapanie farbą zostały przykryte tanim dywanem.

Sztaluga matki zazwyczaj stała obok drugiego okna, gdzie teraz znajduje się pewnie podobna kawalerka. Płótna były ustawione pod ścianą, gdzie teraz jest aneks kuchenny. Był też skórzany szeslong, na którym siadałam i rozmawiałam z matką, kiedy ona szkicowała. Gdy światło gasło, matka odkładała ołówek, siadałyśmy razem ze stopami opartymi na pudłach i patrzyłyśmy przez okna, jak zapalały się pomarańczowe światła latarni ulicznych. Czasem w nocy można było usłyszeć sowę, nawet tutaj w mieście. Znalazła ona swoje odzwierciedlenie w historiach o Igorze: Adrienne, miejska sowa.

Staję przy jednym końcu sofy: tutaj ustawione były wazony z plumeriami. Tutaj stał on. Patrzyłam na niego z oddali, gdzie teraz wprawiono drzwi.

Wdycham powietrze, czuję zetlałe perfumy i płyn do czyszczenia dywanów. W telewizji

leci reklama jogurtu na wzdęcia. Wiem, że to ten sam dom, to samo miejsce, w którym Ewan stał całymi dniami, kiedy był malowany, ale nie czuję tego.

– Wszystko się zmieniło – zwracam się do kobiety. Ona patrzy na zegarek. – Dzięki – mówię, a ta kiwa głową.

Pod wpływem impulsu zamiast zejść na dół, idę po schodach w górę. Wykładzina jest nowa, ale schody te same. Moja ręka sunie po poręczy wypolerowanej przez wiele dłoni, również moją. Biegałam po tych schodach z Ewanem – oboje w gorączce oczekiwania. Kiedyś mnie po nich wniósł, gdy wypiliśmy za dużo, i niemal upuścił mnie na samej górze.

Drewno jest gładkie i nie zostaje na nim ślad.

Drzwi do mojej starej sypialni są te same i przez ułamek sekundy, patrząc na sosnę pomalowaną na biało i gałkę z brązu, cofam się w czasie. Moje łóżko, moje pojedyncze łóżko, w którym mieściliśmy się, jakby było zrobione na miarę. Moje książki i budzik, który dzwonił za głośno, i mój grecki koc, przez który rankiem przeświecało światło, ślizgając się po moim policzku i budząc mnie, a potem jego.

Po chwili dostrzegam na drzwiach numer sześć i zamek yale dodany nad klamką.

Wszystko znika. Pamiętam to, ale wiem, że to było dawno temu i się skończyło. Bezpośredniość, którą czułam tamtego dnia, miłość tak świeżą, jest teraz nieobecna. Koniec. Jak wtedy, kiedy wąchałam perfumy Frangipane: są w tym przebłyski tego, czego kiedyś doświadczyłam, ale przytłumione przez zmianę.

Nie muszę nic robić w sprawie tego uczucia do Ewana. Mogę zostawić je w przeszłości, do której należy. Jest w tym ulga, ale i smutek – wszystko razem.

[2] Nawiązanie do filmu *Żony ze Stepford* – przyp. red.

– Mogę już popatrzeć?

– Jeszcze nie.

– Quinn, minęły już godziny. Powieki mi się zaraz zrosną.

– Minęła dokładnie godzina i siedem minut. Podczas snu masz oczy zamknięte dużo dłużej.

– Skąd wiesz? Przecież sam śpisz w tym czasie.

Quinn nie odpowiada. Jadąc, nuci cicho melodię z radia. Jesteśmy na autostradzie, ale nie jestem pewna, na której, i nie mam pojęcia, w jakim kierunku jedziemy. Wiem tylko, że jutro przypada nasza rocznica, a kiedy się dziś obudziłam, Quinn wyciągnął moją walizkę, położył ją na łóżku i powiedział, żebym się spakowała na weekend. Już wcześniej spakował siebie, ale nie chciał mi powiedzieć, jakie powinnam wziąć ubrania, więc spakowałam sukienki, ubrania przeciwdeszczowe, szpilki i buty górskie. Po śniadaniu zawiązał mi oczy apaszką i zaprowadził za rękę do samochodu.

– Daj mi chociaż jakąś wskazówkę. Czas minie szybko, kiedy będę zgadywać.

– Nie.

– Połowa przyjemności tkwi w oczekiwaniu, wiesz? Ograbiasz mnie z niej.

– Trudno.

Wzdycham zadowolona i szczęśliwa. Opieram się wygodnie – to jest dokładnie to, czego chciałam na naszą rocznicę. Dokładnie to.

Myślałam o tym, co powiedziała mi Lauren – Quinn sprawił, że zmieniłam się na lepsze. I zdecydowałam, że to, co naprawdę się liczy, to tu i teraz. Mój związek z mężem, który mnie kocha z wzajemnością. Wspomnienia, nawet intensywne, należą do przeszłości.

Najlepszym dowodem na to jest to, co dzieje się w tej chwili. Quinn najwyraźniej włożył wiele wysiłku, aby zrobić coś dla mnie, coś, co sprawi, że będę szczęśliwa. Wie, że lubię niespodzianki, nawet jeśli czasem narzekam i twierdzę inaczej. Wie, że moja przyjemność będzie po stokroć większa przez to, iż nie mam planu i nie przemyślałam tego... podobnie jak ja wiem, że dla niego przyjemność tkwi właśnie w planowaniu.

Samochód zwalnia, z przyjemnością wsłuchuję się w jego odgłosy. Zjechaliśmy na drogę wyjazdową i czekamy na światłach, a teraz jest rondo. Słyszę, że jedziemy przez tunel i kilka kolejnych rond, a później samochód zwalnia jeszcze bardziej na spowalniaczach, aż wreszcie wjeżdża na parking – wiem to, ponieważ silnik pracuje inaczej i słyszę również inne auta. Quinn wyłącza silnik.

– Teraz mogę popatrzeć?

– Jeszcze nie. Otwórz schowek. – Szukam go po omacku i otwieram. – Wyjmij to, co jest w środku.

Papier.

– Mam. Teraz mogę popatrzeć?

– Tak.

Zrywam apaszkę z oczu. W rękę trzymam zaklejoną kopertę. Rozrywam ją, a w środku znajduję dwa bilety lotnicze do Nowego Jorku.

Zaczynam krzyczeć.

– Lecimy do Nowego Jorku! – próbuję się rzucić na Quinna, ale powstrzymuje mnie zapięty pas. Odpinam go i wpadam w ramiona męża. Drażek zmiany biegów wbija mi się w nogę, a łokieć naciska na klakson. Nic mnie to nie obchodzi.

– To cudownie – mówię, całując go w policzek.

– Obawiam się, że to tylko na weekend. Muszę być z powrotem w poniedziałek, więc wylatujemy w niedzielę rano.

– Nic mnie to nie obchodzi! To Nowy Jork! – Całuję go i całuję.

– Cieszę się, że jesteś zadowolona – mówi, śmiejąc się. – Musimy iść do terminalu. Pakowanie zajęło ci całe wieki, odprawa zaczyna się za pięć minut.

– Nie trzeba być całe dwie godziny przed odlotem – odpowiadam mu. – Jest mnóstwo czasu. Byłam spóźniona wiele razy. Zazwyczaj i tak wpuszczają na pokład.

– Wolę być punktualnie. – Całuje mnie w policzek i wysiada z samochodu. Wkładam bilety oraz apaszkę do torebki i również wysiadam.

Quinn niesie nasze torby na przystanek autobusowy na parking, skąd odjeżdżamy do terminalu. Śmieję się.

– Od jak dawna to wszystko planowałaś?

– Od jakiegoś czasu. Miałem trochę pomocy.

– Lauren ci pomogła, prawda? – Kiwa głową. – Nie tak dawno wyśpiewywała hymny na twoją cześć. Nie wiedziałam, że knujecie coś razem w tajemnicy.

– Parę razy myślałem, że się domyślisz, bo wchodziłaś do pokoju, kiedy z nią rozmawiałem przez telefon.

– Naprawdę? Nie zorientowałam się. – Sięgam pamięcią wstecz, ale nic sobie nie przypominam. – Pewnie myślałam, że rozmawiasz o swojej pracy.

Quinn potrząsa głową.

– To niesamowite. Kiedy rysujesz lub jesteś czymś zainteresowana, potrafisz dostrzec najmniejszy nawet detal, ale kiedy indziej wszystko jest ci tak obojętne, jakby się nie działo.

– Nie wszystko. Zauważam... cóż, zauważyłam wczoraj, jak Cameron Bishop kradł twój rower. Nawet go na tym przyłapałam.

– Nie krytykuję cię. Szczęściarzem ze mnie, bo wiem już, że mógłbym mieć jakiś sekretny romans, kiedy bym chciał, a ty niczego byś nie zauważyła.

Trącam go łokciem.

– Albo nawet trzy lub cztery romanse – mówi. – Czemu nie?

– Mam nadzieję, że namówisz chociaż jedną ze swoich przyjaciółek, żeby prała ci skarpetki.

– Poważnie, bardzo się cieszę, że mogłem cię zaskoczyć.

Autobus zatrzymuje się przed terminalem. Quinn nie bierze wózka, chociaż przynajmniej moja torba jest dość ciężka. W środku patrzy na ekrany informacyjne i prowadzi nas po lśniącej posadzce na odprawę. Nigdy nie leciałam z tego terminalu. Od lat nie byłam w podróży, takiej prawdziwej. Wszystko jest nowe i błyszczące, pełne możliwości i mocno osadzone w teraźniejszości.

Idę za nim tanecznym krokiem.

Z powodu różnicy czasu jesteśmy w Nowym Jorku godzinę po wylocie z Londynu. W taksówce opuszczam szybę, mimo zirytowanego spojrzenia taksówkarza, któremu

marnuję klimatyzację. Chcę poczuć to miasto, wdychać zapach rozgrzanego betonu, ropy, benzyny i śmieci.

– Uwielbiam Nowy Jork – mówię Quinnowi, odgarniając włosy z twarzy i zamykając oczy. – Wszystko ci pokażę.

Przez cały siedmiogodzinny lot robiłam sobie listę rzeczy, które Quinn powinien zobaczyć i zrobić w Nowym Jorku. Nigdy wcześniej nie był w tym mieście. Ja byłam kilkakrotnie. Moja mama uczyła tutaj przez jakiś czas i odwiedzałam ją, również z Lauren. Ale miasto jest tak ogromne, iż nie muszę się obawiać, że dopadną mnie wspomnienia.

– Jest już pora lunchu, prawda? – pytam, łapiąc Quinna za rękę i wykręcając ją tak, żebym mogła zobaczyć zegarek, ponieważ nie przestawiłam swojego na czas lokalny. – Powinniśmy udać się prosto do delikatesów i zjeść po gigantycznej kanapce. Najlepiej Ruben Sandwich. Będzie ci smakowała. Jest w niej wołowina konserwowa, kiszona kapusta, jakiś sos majonezowy i ser, i...

– Pojedźmy najpierw do hotelu i zostawmy bagaże – mówi, śmiejąc się. – Mogę poczekać pół godziny dłużej na kanapkę nazwaną od imienia jakiegoś faceta. Nie jesteś ani trochę zmęczona?

– Nie!

– Ja chciałbym wziąć prysznic i zmienić ubranie. Później jestem cały twój.

– Nie uwierzę, że zabrałaś mnie na weekend do Nowego Jorku i nic nie zaplanowałaś. To nie w twoim stylu, Quinn.

– Mam plany na jutro, miejska dziewczyno. – Palcem dotyka czubka mojego nosa. – Czasem nie mogę uwierzyć, że udało mi się namówić cię do zamieszkania ze mną na wsi.

– Tylko nie zacznij żuć słomy i pluć na Times Square, mój ty wieśniaku. – Robię wielkie oczy w udawanym zaskoczeniu. – Och nie, właśnie sobie o czymś przypomniałam. Kto da drugie śniadanie kotu sąsiadów?

– Też mam dla ciebie niespodziankę – mówię Quinnowi podczas kolacji w libańskiej restauracji, którą sama wybrałam. Miejsce jest zatłoczone, stoliki są bardzo blisko siebie i panuje ogólny gwar. Mój deser jest udekorowany płatkami róży i startymi na puder zielonymi pistacjami.

– Jaka?

Nie zamierzałam nic mówić. Jest za wcześnie i wiem, jaki jest Quinn. Ale ten dzień był taki cudowny, a on zrobił to wszystko dla mnie. Byłoby nieładnie, gdybym zatrzymała dla siebie to, co jemu może sprawić tak wielką radość.

– Okres mi się spóźnia.

Quinn powoli odkłada łyżkę.

– Naprawdę?

– Tak. Zorientowałam się dopiero dziś rano, kiedy się pakowałam i zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam wziąć tampony... więc zaczęłam liczyć i wyszło mi, że się spóźnia.

– Felicity, myślisz, że jesteś...?

– Nie wiem. Myślę, że robiliśmy wystarczająco dużo tego, co trzeba.

– To cudownie.

Wygląda, jakby chciał zeskoczyć z krzesła i mocno pocałować mnie w usta przez stół. Ale

nazywa się Wickham i jest zbyt angielski, aby robić takie rzeczy. Po prostu siedzi, uśmiecha się i patrzy na mnie błyszczącymi oczyma.

– Więc pewnie nie powinnam była zamawiać wina.

– Co? Ach, rozumiem. Masz rację. – Odsuwa ode mnie kieliszek i robi to samo ze swoim.

– Felicity, naprawdę myślisz...? Czujesz się jakoś inaczej?

– Może. Trudno powiedzieć, ponieważ niespodziewanie jesteśmy w Nowym Jorku.

– Mam nadzieję, że to prawda – mówi i dotyka mojej dłoni na stole. – To byłoby... to byłoby dla mnie wszystkim, Felicity.

– Może mogłabym zrobić jutro test. Podejrzewam, że mają testy ciążowe w Nowym Jorku.

– Mają – mówi kobieta z sąsiedniego stolika. – Najlepiej kupić w CVS. Przepraszam, że podsłuchałam, ale te stoliki stoją tak blisko i nic nie poradzę na to, że usłyszałam dobre wieści. *Mazzal tov!*

– *Mazzal tov* – mówi jej koleżanka, również uśmiechając się od ucha do ucha.

– Dziękuję – odpowiada Quinn. – To nasza pierwsza rocznica ślubu.

– Och – woła przyjaciółka kobiety. – To cudownie. Nie chcę zapeszać, ale mam nadzieję, że będzie się wam wspaniale układało.

– Dziękuję – mówię. – Ja również.

Quinn wstaje, nachyla się nad stolikiem i całuje mnie. Wokół nas inni goście zaczynają bić brawo.

Tu i teraz jest idealnie.

– Obudź się, słoneczko.

Otwieram jedno oko. Quinn stoi obok łóżka. Umył się już i ubrał.

– Mmm – jęczę i naciągam na głowę hotelową pościel z egipskiej bawełny.

– Jest wpół do ósmej. – Quinn delikatnie ściąga pościel z mojej głowy.

– Wpół do ósmej? Dopiero co zasnęłam.

– Zamówiłem już śniadanie. Będzie tu za minutę.

– Nie mogę się przestawić na tę strefę czasową – mówię. – Potrzebuję snu.

– To nie działa w ten sposób. W Anglii jest wpół do drugiej po południu, więc jeśli chodzi o strefy czasowe, powinnaś być już bardzo rozbudzona.

On jest już rozbudzony od wielu godzin. Wnioskuje z jego wyglądu.

– To wakacje, Quinn. Wracaj do łóżka.

– Przylecieliśmy z tak daleka i to jest nasz jedyny pełny dzień tutaj. Nie zostaniemy w łóżku.

– Czy przypadkiem nie o to chodzi w świętowaniu rocznicy? Zwłaszcza dopóki jesteśmy na tyle młodzi, żeby robić fajne rzeczy w łóżku?

– Jeśli chcieliśmy tylko robić fajne rzeczy w łóżku, mogliśmy zostać w domu.

– Tak, ale fajne rzeczy są jeszcze fajniejsze w Nowym Jorku.

Śmieje się i całuje mnie w czoło.

– Z całą pewnością. Później. Zaraz będzie śniadanie, a następnie wybierzemy się na Empire State Building. Kupiłem bilety.

– Nigdy na nim nie byłam.

– Tak, wiem.

Siadam i przecieram oczy. Mam mętlik w głowie, chociaż poprzedniego wieczoru wypiałam tylko pół kieliszka wina.

– To z powodu zmiany czasu. Zawsze muszę przespać kilka dni, jeśli znacznie zmienię strefę.

– Kawa ci pomoże. – Gwiżdżąc, podchodzi do telewizora i włącza kanał informacyjny.

– Czy na Empire State Building trzeba przyjść o jakiejś konkretnej godzinie?

– Nie, ale przed dziewiątą jest mniej ludzi. Jeśli wstaniesz teraz, będziemy mieć mnóstwo czasu.

– Nie możemy pójść później?

– Nie, chyba że zmienimy cały plan.

– Cały plan?

– To niespodzianka. Wszystko, co lubisz.

Opadam z powrotem na poduszki. Wiedziałam, że spontaniczność nie potrwa za długo. Tak samo było podczas naszego miesiąca miodowego: Quinn lubi planować. Pojechaliśmy na Sycylię i Quinn zapełnił nam każdą minutę samymi interesującymi rzeczami. Wczoraj najwyraźniej było dniem mojego wyboru, ale dziś idzie już według rozkładu.

– Ja po prostu lubię nowojorskie łóżka – mówię, dąsając się trochę.

Rozlega się pukanie do drzwi, które Quinn otwiera, aby kelner mógł wepchnąć mały stolik nakryty obrusem i zastawiony daniami pod srebrnymi kloszami. Jest na nim

również kryształowy wazonik z czerwoną różą, dwa dzbanuszki z kawą i dzbanek soku pomarańczowego. Na sam zapach ślina napływa mi do ust. Podróżowanie sprawia, że robię się głodna, nawet mimo pryncypiów związanych z leżeniem w łóżku.

Quinn daje kelnerowi napiwek i zamyka za nim drzwi. Przysuwa stolik bliżej łóżka i odkrywa dania.

– Gofry z bekonem – mówię.
– I syropem klonowym.
– Pamiętałeś, jakie jest moje ulubione nowojorskie śniadanie do łóżka.
– I chociaż, przyznam szczerze, uważam, że to szalone połączenie, nie przepadam też za klejącym się syropem i okruchami w pościeli, to jestem gotowy zgodzić się na to. – Uśmiecha się do mnie i wygląda na tak zadowolonego z siebie, że nie mam wyjścia i odwzajemniam uśmiech.

– Dziękuję – mówię. – Przepraszam, że byłam zrzędą.
– Już o tym zapomniałem – odpowiada, podając mi talerz. – Mamy czas, żeby kupić test ciążowy, jeśli chcesz. Chociaż myślę...

– Może lepiej nie dowiadywać się dzisiaj, na wypadek, gdyby to nie było to, czego chcemy. Może lepiej poczekać, aż będziemy z powrotem w domu.

– Dokładnie. Skoncentrujmy się na nas. – Podnosi kawałek chrupkiego bekonu z talerza, zanurza go w syropie klonowym i zjada go z grymasem na twarzy, który doprowadza mnie do śmiechu.

Siedem godzin później znów jestem w złym humorze, ale staram się tego nie okazywać. „Odbębniłmy” cały środkowy Manhattan z zegarmistrzowską precyzją: Empire State, Times Square, Lincoln Centre, Central Park. Quinn wygadał się, że ma na wieczór bilety do teatru, choć nie chce powiedzieć, na jakie przedstawienie. Zaplanował ten weekend co do milisekundy, a wszystko to specjalnie dla mnie.

Słuchał mnie. Myślał o mnie. Uwzględnił moje zdanie i kocha mnie. Jest też niezwykle przejęty tym, że udało mu się zrobić coś tak niewiarygodnie miłego i słodkiego i to w dniu, w którym nie tylko przypada nasza pierwsza rocznica, ale kiedy również prawdopodobnie oczekujemy naszego pierwszego dziecka.

Bolą mnie stopy i mam niestrawność przez hot doga, którego kupiliśmy od ulicznego sprzedawcy i zjedliśmy na pół, ale nie zamierzam nic mówić. Quinn bardzo się napracował, żeby mnie uszczęśliwić. Jeśli nie przepełnia mnie radość, to nie przez niego. To tylko moja wina.

– Teraz będzie coś specjalnego – mówi Quinn. – Właściwie, to dlatego zdecydowałem się właśnie na Nowy Jork. Myślałem o tym od wieków, ale kiedy się dowiedziałem o tym wydarzeniu, w końcu podjąłem decyzję.

– Co to jest? – pytam. Idziemy razem ulicą i nie widzę nic nadzwyczajnego, co mogłoby skłonić Quinna, żeby przebyć ponad pięć tysięcy kilometrów. Chociaż księgarnia po drugiej stronie wygląda interesująco. Zwalniam kroku i patrzę na nią, mając nadzieję, że Quinn zrozumie, o co mi chodzi.

– To powinno być tuż za rogiem. – Ścisną moją rękę podekscytowany i muszę przyspieszyć, jeśli nie chcę być przez niego dosłownie wleczone.

Za rogiem ulica wyglądem przypomina poprzednią, tyle że nie ma na niej księgarni. I wtedy dostrzegam napis.

ESTHER BLOOM: MIĘDZYNARODOWA RETROSPEKTYWA PRAC

Staję na chodniku. To jedna z tych długich płacht zawieszonych z boku galerii, na których litery umieszczone są wertykalnie. Na górze znajduje się reprodukcja jednego z portretów narysowanych przez mamę piórkiem i tuszem. Wydaje mi się, że jest na nim właściciel jednego z wynajmowanych przez nas mieszkań.

– Przywiozłeś mnie na wystawę mojej mamy.

– Tak! Czyż nie jest to szczęśliwy zbieg okoliczności? Nawet nie wiedziałbym o tej wystawie, gdybym nie przeglądał internetowego wydania „New York Timesa”. Wiedziałaś o niej?

– Tak.

– Naprawdę?

– Miałam nawet zaproszenie. Chcieli, żebym przyleciała jako gość honorowy.

– I... odmówiłaś? – Quinn aż zmienił się na twarzy. Zupełnie zniszczyłam tę wielką niespodziankę, którą dla mnie przygotował.

– Nie, wydaje mi się, że zgubiłam to zaproszenie – mówię szybko. – Dodatkowo myślałam, że to jednak za daleko, żeby lecieć taki kawał drogi na jedną imprezę.

Moja druga wymówka jest zupełnie niewiarygodna, ale pierwsza jest wystarczająco prawdopodobna. Quinn nadal wygląda na załamane.

– Nigdy nie chodzisz na jej wystawy, prawda? – pyta. – Nie, odkąd cię znam. Powinienem był o tym pomyśleć.

Ściskam jego dłoń.

– Poznałam cię niedługo po jej śmierci i wówczas to było trudne. Teraz już jest w porządku.

Kłamię.

– Naprawdę? Czy ty kiedykolwiek chodziłaś na jej wystawy?

– Tak, chodziłyśmy razem, ale nawet wtedy to było trochę dziwne. To było, jakbym dzieliła matkę z tymi wszystkimi obcymi ludźmi. Wymykałam się, jak tylko mogłam. Ale teraz już jest w porządku, Quinn. Naprawdę. – Wymuszam uśmiech z nadzieją, że on tego nie dostrzeże.

– Nie masz nic przeciwko, żeby dzielić to teraz ze mną?

– Oczywiście, że nie. Chcę tego.

Quinn się waha.

– Poszedłem... Poszedłem na wystawę niedługo po tym, jak się poznaliśmy. Chciałem lepiej zrozumieć.

– Ją czy mnie?

– Was obie. Przepraszam. Pewnie nie powinienem był, znaliśmy się dopiero od kilku tygodni. Czuję się, jakbym wtykał nos w nie swoje sprawy. Dlatego ci o tym nie powiedziałem.

Tak właśnie pomyślałam, ale było to nieracjonalne. Moja matka była artystką... chociaż należała do mnie, jej obrazy i rysunki były przeznaczone do tego, żeby je oglądać. A Quinn chciał lepiej mnie poznać.

– I dowiedziałeś się czegoś? – pytam.

– Obrazy były piękne. Czasem trochę przerażające, ale nadal piękne. Poczułem, że

mógłbym ją polubić.

– Polubiłbyś ją z pewnością – mówię szczerze ze ściśniętym gardłem.

– Nie musimy wchodzić do środka.

Patrzę na budynek galerii. Jest ogromny. Kto wie, ile wspomnień może pomieścić. Chcę zamknąć oczy i uciec. Chcę wziąć Quinna za rękę i pójść zobaczyć z nim coś nowego, gdzieś, gdzie nie ma śladu czegokolwiek, co znam.

– Oczywiście, że musimy wejść – mówię.

Mimo dzielnej miny wstrzymuję oddech, kiedy przekraczamy próg galerii. Wszystkie te kawałki mojej matki, wszystkie te wizje, które zobaczyła w swojej głowie i stworzyła własnymi rękoma. Wraz z fotografiami na naszym strychu i jej prochami w mojej pracowni to wszystko, co po niej zostało.

Jako artystka moja matka wybierała duże płótna. Malowała swoich modeli kilkakrotnie większych, niż byli w rzeczywistości, żeby lepiej dostrzec każdą wadę i piękno. Płótna wiszą na białych ścianach jak zatrzymane w czasie eksplozje koloru i uczuć.

Chciałabym, żeby wszystkie zniknęły, żeby zostały spalone z ciałem matki. To nie w porządku, że one istnieją nadal, a ona już nie. To nie w porządku, że ci ludzie, którzy przechadzają się po tych pomieszczeniach, którzy pewnie weszli prosto z ulicy pod wpływem impulsu, mogą patrzeć na to, co namalowała, i myśleć, że taka właśnie była. Wielbiciele, koneserzy sztuki i kolekcjonerzy, studenci i kuratorzy są jeszcze gorsi: myślą, że ją znają, myślą, że ona do nich należy. Przez chwilę czuję do nich nienawiść i chcę krzyczeć, żeby się wszyscy wynosili i zostawili nas w spokoju.

– Wszystko dobrze, kochanie? – pyta cicho Quinn. – Możemy sobie pójść, jeśli chcesz.

Quinn mnie tutaj przyprowadził, Quinn zaplanował to w nadziei, że sprawi mi przyjemność, i z jego powodu nie mogę teraz wyjść.

Wypuszczam powietrze z płuc, biorę kolejny oddech. Obawiałam się zapachu oleju lnianego, ale nie ma go tu. Zdążył już wyparować z tych obrazów. Może gdybym przysunęła nos do któregoś z nich, poczułabym zapach, który tak kojarzy mi się z mamą. Ale sama galeria pachnie pastą do podłóg, dzięki czemu jest mi łatwiej.

Nigdy nie widziałam obrazu, który znajduje się najbliżej drzwi. To portret starszego mężczyzny stojącego samotnie na plaży. W rękach trzyma czaszkę ptaka. Niewielki podpis pod obrazem informuje, że powstał w 1982 roku, czyli jeszcze przed moimi narodzinami. Powinno mi być łatwiej patrzeć na obraz, którego nie znam, ale przypomina mi on o tym, że moja matka istniała również wtedy, kiedy jej nie znałam. Wszystko, każda jej część, której nie mogłam zatrzymać, nawet gdybym chciała. Mama zazwyczaj pozbywała się obrazów, jak tylko były gotowe. Jeśli było trzeba, oddawała je za darmo.

Gdzieś tutaj może być obraz przedstawiający mojego ojca – nawet bym go nie rozpoznała.

– To ty, prawda? – mówi Quinn tuż obok mojego ramienia. Podążam za jego wzrokiem przez salę i oto jestem. Mam cztery lata i siedzę na grzbiecie słońątka.

Ten obraz jest łatwiejszy w odbiorze. Idę przez salę z Quinnem, aby lepiej się przyjrzeć dziełu. Na obrazie jestem spowita w zielone sari wyszywane srebrną nitką. Moja grzywka jest za długa i patrzę wprost na widza, tak jak patrzyłam na mamę, kiedy zrobiła zdjęcie, które posłużyło do obrazu.

– Pamiętasz tę scenę? – pyta Quinn, więc kiwam głową. – Byłyście w Indiach?

– Nie, to był cyrk. Chyba to było w Norwich.

Quinn się śmieje. Jego śmiech nigdy nie jest głośny, ale w tym cichym miejscu jest najgłośniejszym dźwiękiem. Patrzę na siebie jako dziecko. Bardzo dobrze pamiętam, jak siedziałam na słoniątku, ponieważ śmierdziało. Szczecina na jego grzbiecie drapała moje gołe nogi, a samo zwierzę było najbardziej pomarszczonym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałam. Było dla mnie zupełnie obce. Jego trąba sięgnęła do tyłu i dotknęła mojego kolana, jakby chciało sprawdzić, co siedzi mu na grzbiecie. Brzeg sari był obsyty małymi dzwoneczkami, które pobrzękiwały przy każdym ruchu słoniątka.

Aż do czasu, kiedy miałam czternaście lat, wierzyłam, że pół minuty po tym, jak to zdjęcie zostało zrobione, słoniątko zaczęło iść, a ja spadłam prosto w ramiona mamy. Ale kiedy miałam czternaście lat spadłam z roweru i złamałam rękę, a gdy doktor pokazał nam prześwietlenie, zwrócił uwagę na stare, zagojone złamanie piszczeli.

– Ach tak – powiedziała matka, z tym błyskiem w oku, który świadczył o tym, że uznała doktora za atrakcyjnego. – To było wtedy, kiedy spadła ze słonia.

Lekarz się roześmiał, tak jak powinien był, a ja powiedziałam:

– Ale przecież wtedy mnie złapałaś.

– Nie, skarbie, spadłaś i złamałaś rękę. Nie pamiętasz? Musiałaś chodzić w gipsie całymi tygodniami i nalegałaś, żeby rysować ci na nim flamingi.

Kiedy teraz patrzę na ten obraz, nie pamiętam złamanej ręki. Musiałam ją złamać – widziałam ślad na prześwietleniu, a nie pamiętam żadnej innej sytuacji, w której mogłoby dojść do urazu. Ale moje wspomnienie dotyczy tego, jak mama złapała mnie w ramiona. Otoczona przez jej objęcia, zostałam bezpiecznie odstawiona na ziemię.

– To śmieszne – mówię do Quinna – że pamięta się pewne rzeczy, a innych nie. Prawda?

Wydaje dźwięk świadczący o tym, że się zgadza, i czuję, że czeka, aż powiem więcej. Ale tutaj jest tak cicho. Ktoś mógłby mnie usłyszeć.

– To dość trudne – zwieram się. – Sprawia, że za nią tęsknię.

– Rozumiem. Możemy wyjść, jeśli chcesz.

Potrząsam głową.

– Nie, zaplanowałaś to. A skoro już tutaj jestem, czuję, że powinnam je obejrzeć. Ja po prostu... nie sędzę, że bym mogła o tym mówić. Tak wiele z tego ciężko wytłumaczyć.

– Nie musisz nic mówić. – Bierze mnie za rękę. – Rozumiem cię całkowicie.

Ale to nieprawda. Jak mógłby? Nie stracił matki. Zawsze znał swojego ojca. Zawsze był pewien swojego miejsca w świecie. Wiedział, że do niego pasuje i nic nie mogło go pozbawić tej pewności. Quinn nie nosi w sobie warstw żalu, poczucia straty i winy. Jest bezpośredni i szczery. Nigdy nie został niespodziewanie napadnięty przez swoją przeszłość.

– Obejrzyjmy obrazy – proponuję.

Tyle zostało z tu i teraz.

Mija czterdzieści pięć minut, po których moja głowa zaczyna pulsować od wszystkiego, co w niej jest. Pocieram skronie, co natychmiast wychwytuje mój mąż, który baczniej przygląda się mi niż obrazom.

– Chcesz zrobić sobie przerwę? – mówi od razu. – Na drugim piętrze jest kawiarnia.

– No, to dobry pomysł. Spotkamy się tam. Muszę jeszcze iść do łazienki.

– Może będą mieć dobrą herbatę.

– Nie liczyłabym na to. To Ameryka. Torebka na sznurku i kubek letniej wody.

– Postaram się znaleźć jakąś lepszą. – Ścisła moją dłoń i całuje mnie w policzek. – Do zobaczenia za chwilę, kochanie.

Kiedy tylko znika, dociera do mnie, że jestem wykończona. Nogi mi się trzęsą i choć tak naprawdę nie potrzebuję iść do łazienki, wchodzę do jednej z kabin, opuszczam deskę i siadam, chowając głowę w dłoniach. Jestem pewna, że Quinn przewidział, że spędzimy tu jeszcze przynajmniej godzinę, ale ja mam już dosyć. Potrzebuję przestać wspominać i uporządkować sobie wszystko w głowie.

Chłód panujący w toalecie sprawia, że z moją głową jest trochę lepiej. Siedzę, dopóki moje nogi nie są pewniejsze. Wychodzę z kabiny, opryskuję twarz wodą, maluję usta szminką. Wyglądem zaczynam przypominać terazniejszą siebie. Obejrzelismy trzy moje portrety oprócz tego ze słoniem i na żadnym z nich nie mam szminki. Ani obrączki.

Kiedy idę przez galerię w poszukiwaniu schodów, zastanawiam się, co moja matka pomyślałaby o tym wszystkim. Obrazy zostały wypożyczone z różnych kolekcji, w większości od bardzo bogatych ludzi, choć niektóre są własnością przyjaciół Esther. To te, które rozdała za darmo. Nigdy nie traktowała swoich prac, jakby były czymś wartościowym. Pisała informacje dla moich nauczycieli na tyłach starych szkiców, czasem użyła jakiegoś rysunku jako rozpałki.

Oczywiście ten stosunek do własnej twórczości sprawił, że teraz, po jej śmierci, obrazy są tak cenne i poszukiwane. Straciłam rachubę, jak wiele telefonów i e-maili już zignorowałam, jak wiele listów wyrzuciłam – w każdym z nich było pytanie, czy nie mam jakichś obrazów na sprzedaż.

Tak samo miały się u niej sprawy dotyczące wszystkich jej rzeczy. Powiedzmy, że jeśli ktoś komplementował jej kapelusz, ona natychmiast ściągała go z głowy i wręczała tej osobie. Podobnie przewijali się przez jej życie ludzie. Niektórzy kochankowie zostali przy niej jako przyjaciele, inni – jak mój ojciec – odchodzili w przeszłość. Ona nigdy nie rozpamiętywała tego, co było, i nie przywiązywała się do niczego i nikogo oprócz mnie.

– Idź lekko! – powtarzała mi często. – Nie bierz niczego, czego nie możesz zostawić.

Próbowałam, ale nie potrafię. Nie tak dokładnie, jak potrafiła to Esther. Przywiązuję się do rzeczy i znajduję im nowe zastosowanie. Mam ulubione książki, które zabierałam ze sobą z kraju do kraju, z domu do domu. Od przeszło piętnastu lat mam swoją ulubioną marynarkę. Mam plastikowe pudło pełne zdjęć. Zbieram ładne przedmioty, pocztówki, zasuszone kwiaty, kłamry do włosów z kryształem górskim, buty.

Mam męża. Mam chatkę i hipotekę. Zgromadziłam całe życie, większość już po jej śmierci.

Zatrzymuję się. Wygrzebuję z torebki całą garść ulotek i map Nowego Jorku. Jest też grzebień i zapasowa szminka, chusteczka, lusterko oraz żołądź, które znalazłam wczoraj w Central Parku. Kucam i kładę to wszystko na wypastowanej posadzce jako ofiarę dla mojej matki. Przez moment kusi mnie, żeby zabrać z powrotem szminkę, ponieważ lubię jej kolor, ale podnoszę się i odchodzę, trochę lżejsza.

Mimo przeciwności uśmiecham się, a kiedy skręcam, jestem zupełnie nieprzygotowana na to, co widzę.

Plumerie.

Otoczają go chmurą bieli, żółci, różu i pomarańcza, jaśniejsze, ponieważ on stoi w półcieniu. Jest nagi od pasa w górę, a kwiaty rzucają połysk na jego złocistą, idealną skórę.

Stoję z otwartymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, gapiąc się na niego. Ma trzy metry wysokości i powołały go do istnienia pociągnięcia pędzla mojej matki.

– Cześć, Ewan – szepczę.

Jego oczy są jasnoniebieskie. Wyglądają z obrazu jak żywe, jakby ramy i białe ściany obok nie istniały. Jakby zniknęły dzielące nas lata i on znów stał przede mną.

Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, tak właśnie wyglądał. Tyle tylko, że był wtedy zupełnie nagi.

Oczywiście byłam spóźniona. Był lipiec i zdążyłam już się porządnie spieć, ponieważ cały ranek czytałam w słońcu na jednej z rzeźbionych ławek Saint Pancras Garden. Pasek torebki wrzynał mi się w skórę, więc idąc, musiałam co chwilę zmieniać ramię. To była tylko moja wina, że się spóźniłam. Wyszłam z ogrodów za późno, dlatego że chciałam przeczytać dodatkowy rozdział. Jak zawsze zwlekałam. Nienawidziłam rysowania żywych modeli. Nie byłam w tym zbyt dobra, choć całe życie przyglądałam się, jak robiła to matka. Może właśnie dlatego wiedziałam, jaka byłam w tym słaba. Moje rysunki ludzi były niezręczne i na wpół zmyślane: nigdy nie potrafiłam do końca przenieść na papier tego, co widziałam w prawdziwym życiu, więc wyglądało to karykaturalnie. Dziwacznie. No i oczywiście na zajęciach zawsze ktoś zaglądał ci przez ramię i nie dało się schować rysunku, żeby go poprawić, zanim pokazało się innym.

Ale chciałam iść do szkoły plastycznej, ponieważ rysowanie było jedyną rzeczą, w której byłam choć trochę dobra. Głównie w rysowaniu sów. A żeby się tam dostać, trzeba było mieć portfolio. Jeśli jednak egzaminy zdało się przy minimalnym wkładzie pracy, a kolejne osiemnaście miesięcy spędziło się, podróżując po świecie i bawiąc się, trzeba było zapisać się na letnie zajęcia w Central Saint Martins, aby je stworzyć.

Kiedy dotarłam do właściwej sali, ociekałam potem i czułam, jakbym miała bąble po obu stronach szyi. Pchnęłam drzwi obiema rękami i weszłam do środka.

– Przepraszam – wysapałam. Tuzin głów odwróciło się od swoich prac, aby na mnie spojrzeć. Z tego miejsca nie mogłam jeszcze dostrzec modelu, ale widziałam początki rysunków węglem i ołówkiem. Był to mężczyzna, najwyraźniej młody.

– Tutaj jest miejsce – powiedziała do mnie cicho nauczycielka, więc całą uwagę poświęciłam, aby dotrzeć we wskazane miejsce, nie potraciwszy torbą niczyjej sztalugi.

Szczególnie nie lubiłam rysowania młodych ludzi. Starsi byli bardziej interesujący. Wolałam rysować zmarszczki. Jeśli modele byli piękni i mieli idealne ciała, tym bardziej było widać, jak byłam beznadziejna. Podczas pierwszego tygodnia pozowała nam zachwycająca, szczupła dziewczyna, która w innym życiu była pewnie modelką na wybiegach, a mi wyszła prawie jak Cruella de Mon.

Ustawiam blok na sztaludze, wybieram kawałek węgla i ocieram pot z czoła.

Przygotowując się na porażkę, spoglądałam na modela.

Patrzył wprost na mnie.

To było jak włożenie palców do kontaktu. Moja spieczona skóra zaczęła mrowić. Stały mi włosy na rękach i na karku. Zrobiłam krok do tyłu i pisnęłam na głos.

Jego oczy były niewiarygodnie niebieskie, niemożliwie niebieskie, jakby zostały pokolorowane kredką w odcieniu jaśniejszym niż reszta pomieszczenia. Oczy nie powinny być takie niebieskie. On nie powinien na mnie patrzeć. Powinien mieć wzrok wbity w dal, ponieważ jest modelem.

Na jego twarzy malował się półuśmiech. Usłyszał mój pisk. Przyglądał mi się, ponieważ zrobiłam z siebie przedstawienie, spóźniając się, i piszczałam, zamiast spokojnie rysować, jak światowa kobieta, która widziała wcześniej niezliczonych mężczyzn nago.

Naprawdę widziałam wcześniej niezliczonych mężczyzn nago. Zawsze jacyś nadzy mężczyźni czy kobiety wchodzili i wychodzili z pracowni mojej matki. Często przynosiłam im herbatę, a czasem pożyczczałam szlafrok. Poza tym miałam dwadzieścia lat i objechałam świat dookoła. Miałam chłopaków. Uprawiałam seks. Patrzyłam na tego modela, jakby był Adamem, a ja Ewą.

Był piękny, szczupły, ale umięśniony. Miał gładką klatkę piersiową i nieskazitelną skórę, pod którą rysowały się zebra. Mogłam dostrzec włosy na jego brzuchu. Siedział na drewnianym krześle i pewnie na szczęście dla mnie genitalia miał skryte za udem. Oczywiście patrzył w moją stronę, ponieważ taką pozę przybrał. Po prostu tak się zdarzyło, że głowę miał obróconą w tę stronę sali, gdzie mógł zobaczyć kobietę, która chwilowo postradała rozum.

– Wszystko w porządku? – szepnęła do mnie nauczycielka. Znała moją matkę, więc była dla mnie miła. Było to jednak dla mnie jeszcze gorsze, ponieważ nigdy nie mogłam dorównać temu, co miałam zapisane w genach.

– W porządku – powiedziałam ustami pozbawionymi czucia. – Po prostu... obserwuję. – Przyłożyłam węgiel do kartki. Moja dłoń była śliska od potu. Palce mi drżały. Postawiłam kreskę – niepewną, przypadkową.

– Ciekawe – mruknęła nauczycielka i odeszła.

Próbowałam rysować. Próbowałam patrzeć na kartkę. Postawiłam inne kreski, które mogły uchodzić za linie jego ramion i głowy. Były niewłaściwe, a poza tym on cały czas na mnie patrzył. Jego twarz przybrała poważny wyraz. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. Jakby myślał o mnie.

Zerwałam kartkę i zaczęłam od nowa. Ale tak trudno było mi skupić wzrok na papierze. Powinnam przyglądać się jego ciału, jednak on cały czas przechwytywał moje spojrzenie. Cały ten kontakt wzrokowy. W normalnej sytuacji nikt nigdy na nikogo tak się nie gapi, jeśli z nim nie rozmawia. W normalnej sytuacji człowiek nie czuje się uwięziony przez to smutne spojrzenie, które kradnie myśli i wymazuje obecność wszystkich zgromadzonych w sali.

– Możemy zrobić przerwę? – Głos nauczycielki rozbrzmiewa w ciszy i ludzie wokół mnie zaczynają się ruszać, przeciągać i rozmawiać ze sobą. Model odwrócił się, aby odpowiedzieć na jakieś zadane mu pytanie, w końcu więc byłam w stanie zobaczyć, czego dokonałam na kartce. Nieład. Przypadkowe linie i smugi – rysunek czterolatki. Skóra mnie parzyła. Pośpiesznie zerwałam kartkę i zgmiotłam ją w kulę.

– Cześć – powiedział ktoś i nie patrząc nawet, wiedziałam, że to on. Czasami, a właściwie dość często modele chodzili po sali, aby zobaczyć efekty pracy uczniów. Wrzuciłam zgnieciony papier do torby i usiłowałam uśmiechnąć się nonszalancko.

Wokół talii miał owiniętą chustę. Ale to jego oczy przykuły moją uwagę.

– Cześć – odpowiedziałam bez tchu. – Przykro mi, mój rysunek był do kitu.

– Masz ochotę pójść później na kawę?

Półuśmiech, który malował się na jego twarzy, kiedy weszłam, stał się szeroki od ucha do ucha. Och nie. Musiał zauważyć, że się na niego gapię. Pomyślał, że będę łatwym podbojem. Pomyślał, że jestem głupią dziewczyną o niezdarnych stopach i drżących dłoniach. Powinnam powiedzieć „nie”.

– Okej. – Słyszę swój własny głos.

– Spotkajmy się przed budynkiem – powiedział. – Jak tylko się ubiorę.

– Gotowi na kolejną pozę? – zawołała nauczycielka.

Stoję teraz przed portretem Ewana namalowanym przez moją matkę. W tym jednym dziele sztuki i pamięci zawarte są cienie dwóch osób, które opuściły moje życie. Patrzę na białą tabliczkę pod obrazem, na której widnieje informacja, że wypożyczono go z kolekcji pani T. Kilgore z Florydy. Od dziesięciu lat przebywał w jej domu, osłonięty przed promieniami tropikalnego słońca. Pani T. Kilgore patrzyła na niego codziennie, nie znając jego historii: co stało się wcześniej, co później, co wydarzyło się od tamtej pory. Znała tylko tytuł: *Portret zakochanego młodzieńca*.

I Ewan stoi tu niezmienny. Jest taki świeży. Taki delikatny. Niczym płatki kwiatów tuż przed opadnięciem.

Mam gęsią skórkę. Jeśli zrobię jeszcze kilka kroków, wejdę w obraz – cień mnie samej – i znów dotknę go po raz pierwszy, dłoń do dłoni, poprzez stół.

Przeżyć to jeszcze raz.

Stałam na chodniku, a pot spływał mi po plecach, w palcach przesuwając pasek torby. Kiedy byliśmy w środku, zrobiło się jeszcze cieplej, ponieważ asfalt i okoliczne budynki nagrzały się tak, że aż zaczęły oddawać ciepło. Wszyscy ludzie z lekcji rysunku przeszli już obok mnie, niektórzy rzucając mi zaciekawione spojrzenia. Ewan nie wychodził. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że wymknął się tylnymi drzwiami, jak tylko się ubrał. Kiedy stał w kolejnych pozach, jego spojrzenie było już zwrócone w innym kierunku, ale mimo to nadal nie udało mi się nic narysować. Zaznaczenie węglem linii jego pleców lub krzywizny pośladków było zbyt bliskie dotykania go. Tak bardzo chciałam go dotknąć, że nie zadowalały mnie żadne półśrodki.

Pewnie był z niego kutas i zarozumialec. Bo trzeba być zarozumiałym, żeby stanąć nago przed salą pełną ludzi, którzy mają cię malować, prawda?

Właściwie to wcale nie. Znałam kilku modeli i w większości byli miłymi, normalnymi ludźmi. Ale ten pewnie wyłapywał podczas zajęć kobiety, które były zakłopotane jego nagością, zauroczone nim. Pewnie zapraszał je wszystkie na randki i zapisywał swój wynik, a później w pubie śmiał się z kolegami z głupich artystek. Nawet jeśli taki nie był, nie wiedziałam o nim nic. Spędziłam jedynie półtorej godziny, usiłując go narysować, co mi się wybitnie nie udało. Możliwe, że kiedy zaczniemy rozmawiać, wcale nie przypadnie mi do gustu.

Już miałam wracać do domu. Obróciłam się na pięcie i zaczęłam iść na przystanek autobusowy, kiedy usłyszałam, jak krzyczy za mną:

– Hej!

Ponownie się obróciłam, a serce podskoczyło mi do gardła z niepowstrzymanej radości.

– Hej – odpowiedziałam, starając się, aby mój głos brzmiał spokojnie. Miał na sobie dzinsy i skórzaną kurtkę, zupełnie nie zważając na pogodę, ale nie zwróciłam właściwie na to uwagi, ponieważ patrzył mi prosto w oczy.

Poczułam się pijana.

– Czy... nadal masz ochotę na kawę? – zapytałam.

– Na Caledonian Road jest kawiarnia.

Był tak blisko, że było to niemal nie do zniesienia. Uśmiechał się do mnie z nieskrywanym tryumfem... Minęliśmy stację King's Cross i postanowiłam wybaczyć mu ten uśmiech, ponieważ tak bardzo mi się podobał.

To była włoska kafejka i było tam jeszcze goręcej niż na zewnątrz. Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła, więc mogłam dostrzec mokre plamy na jego podkoszulku. Czuł się równie swobodnie jak wtedy, kiedy był nago.

– Na co masz ochotę? – zapytał.

– Poproszę espresso.

Zamówił dwa i podał mi rękę nad stołem.

– Jestem Ewan.

– Felicity. – Zbyt się rwałam, aby go dotknąć, więc ujęłam jego rękę delikatnie, jakby mi nie zależało. Jego dłoń była gorąca i przytrzymała moją o sekundę za długo. Kiedy dotarło to do niego i mnie puścił, przyłożyłam palce do ust, a gdy to sobie uświadomiłam, oblałam się rumieńcem.

– Czyli, Flick, studiujesz malarstwo. – Oparł się o krzesło, kładąc rękę na stolik. Miał miękki szkocki akcent, wymawiał „r” z terkotem.

– Niezupełnie. Chcę się dostać, ale spędziłam ostatnie kilka lat, podróżując, więc dopiero muszę stworzyć swoje portfolio.

Espresso i podróże były obliczone na to, żeby zrobić na nim wrażenie. Uniósł nieznacznie brwi, przyjmując moje słowa do wiadomości, i wtedy przyszły nasze kawy, a on zaczął rozrywać saszetki z cukrem i wsypywać je do filiżanki. Spodziewałam się, że zacznie o mówić o sobie, ale zapytał:

– Gdzie byłaś?

Moje usta były niezdarne, skore do jąkania się – upiłam łyk parzącej kawy i mimo to opowiedziałam mu. Kiedy wymawiałam słowa, wyliczałam państwa, stało się to łatwiejsze, ponieważ widziałam, że słuchał. Naprawdę słuchał, a nie przytakiwał, czekając na swoją kolej. Zapytał mnie, gdzie podobało mi się najbardziej, co było najbardziej niezwykłą rzeczą, jaką widziałam.

– Też bym tak chciał – powiedział, kiedy skończyłam. – I będę pewnego dnia. Objadę świat dookoła.

– Dlaczego nie zrobisz tego teraz?

Roześmiał się ostrym śmiechem, który brzmiał niemal jak szczeknięcie.

– Nie mam kasy, co nie? Ale kiedy będę podróżował, będą mi za to płacić.

– Jako modelowi?

Potrząsnął głową. Jego przydługie włosy ocierały się o szyję.

– Śpiewam i gram na gitarze. Gram w jednym zespole w Glasgow. Nazywają mnie „Ewan Magiczne Palce”. – Podniósł dłonie i zamachał palcami.

– Naprawdę?

– Nie, naprawdę to nie. Ale jestem w zespole. Przyjechaliśmy do Londynu, żeby spróbować podpisać kontrakt. Już prawie się nam to udało. Pozuję dla artystów, żeby sobie dorobić.

– Dobrze płacą?

– Tak sobie, zwłaszcza że przez połowę czasu jest mi zimno w tyłek.

Wybucham śmiechem, który nie tyle odzwierciedla śmieszność tego żartu, co jest wyrazem mojej potrzeby rozładowania napięcia.

– A lubisz to?

– Nie mam nic przeciwko. – Wzruszył ramionami, a jego palce dotykały cukru rozsypanego na stoliku. Na ramieniu miał tatuaż: skomplikowany, pleciony celtycki symbol, którego nawet nie zauważyłam, kiedy był nagi. – Dzięki temu mam co ze sobą zrobić w ciągu dnia. Mój znajomy artysta załatwił mi tę fuchę. W przyszłym tygodniu mam pozować pewnej dość sławnej malarce – mogę więc zostać uwieczniony na zawsze – powiedział to z wystarczającą dawką kpiny w głosie, żeby mi to nie przeszkadzało. – A ty chcesz być znaną artystką?

– Nie.

– Ja chcę być sławny – powiedział. – Tak naprawdę. Nie dla pieniędzy. Chcę, żeby ludzie na całym świecie słuchali mojej muzyki.

– Ja po prostu chcę znaleźć coś, w czym byłabym dobra – odparłam. W duchu dziwiłam się: znaliśmy się od zaledwie kilku godzin, rozmawialiśmy od dwudziestu minut, a już dzieliliśmy się najskrytszymi ambicjami.

– Znajdziesz – stwierdził. – Założę się, że jesteś dobra w wielu rzeczach.

– Nawet jeśli nic nie znajdę, nie chcę być przeciętna. – Ręce mi się trzęsą. Nigdy wcześniej nikomu tego nie wyjawiałam. – Chcę być wyjątkowa.

– Jesteś piękną, naprawdę piękną.

Powiedział to z uczuciem. Wiedziałam, że nie byłam piękna. On z kolei był. Byłam przeciętną artystką, która nie potrafiła go namalować. Ale w tym momencie nie tylko go pragnęłam – pokochałam go za to, że uważał mnie za piękną. Za wyjątkową.

Ewan sięgnął przez stół i położył mi dłoń na nadgarstku.

– Musisz przyjść na nasz występ w Barfly w Camden dziś wieczorem – powiedział. – Będzie pysznie.

Powietrze w pomieszczeniu falowało i parowało, cuchnęło alkoholem i potem. Ścisnęłam w ręce małe piwo i cały czas ktoś mnie trącał. Podłoga pod stopami była lepka.

W zespole było ich czterech, ale dla mnie stanowili jedynie wariacje chudości i obdarcia. Byłam wpatrzona w Ewana.

Grał na gitarze wiodącej i śpiewał – wyglądał na scenie jak młody bóg. Zdziorny, pewny siebie, w obcisłych dżinsach i koszuli rozpiętej do połowy, jego gitara była tego samego koloru co połysk jego włosów.

Muzyka była głośna i choć później nauczyłam się wszystkich tekstów na pamięć, tamtego pierwszego wieczoru raczej ją czułam, niż słyszałam, jakby obietnica zawarta w jego chrypiącym głosie pulsowała w moim ciele.

Nie powinnam być taka łatwa, myślałam w gorącu i zgiełku. Powinnam być chłodna, grać w grę. Wyjść na zewnątrz i wycyganić od kogoś fajkę. Porozmawiać z kimś innym. Może poflirtować trochę z barmanem.

Nie mogłam. Nie zrobiłam tego. Jego dłonie poruszały się po gryfie gitary, na przemian pieszczące i wymagające. Za każdym razem, kiedy odwzajemniał moje spojrzenie, płonęłam.

Kiedy skończyli, podniósł butelkę piwa, która stała koło jego mikrofonu, i się napił. Patrzyłam na jego usta, na to, jak jego gardło się poruszało. Pił i pił, kiedy pozostali członkowie zespołu schodzili ze sceny, aż brawa ucichły, ustępując miejsca rozmowom. Odłożył butelkę, podał komuś swoją gitarę i lekko zeskoczył ze sceny obok mnie.

– Flick! Podobało ci się? – Brakowało mu tchu i miał mokre od potu włosy.

– Chyba nic nie słyszałam – odparłam, pławiąc się w radości, że wymyślił dla mnie przezwisko.

– Patrzyłaś na mnie przez cały czas – powiedział. Jego głos był ochryply, niemal zdarty.

– Nie sądziłem, że przyjdiesz.

– Ewan – zawołał chłopak z zespołu. Chyba perkusista. Miał silniejszy akcent. –

Potrzebujemy cię tutaj, stary.

– Jedną chwilę.

– To ważne!

– To też! – Obrócił się do mnie. – Cholera, nie wiem, jak to powiedzieć.

– Co?

– Chcesz się jeszcze napić?

Nadal miałam pół piwa. Przytaknęłam. Wziął mnie za rękę i zaprowadził do baru na końcu sali. Poczułam stwardnienia na jego dłoniach. Zamówił piwa i oparł się o bar. Kciukiem muskał wierzch mojej dłoni.

Żadne z nas nic nie mówiło, ale we mnie wszystko drżało. Było w nim coś innego. Coś żywiołowego i zmysłowego. Coś pilnego.

– Ewan! – Perkusista zjawił się nad jego lewym ramieniem. – Jesteś potrzebny.

Przyszedł gość z White Angel, stary. Chce z nami porozmawiać na dole.

– Będę za chwilę, obiecuję – odparł, nie spuszczać oczu z mojej twarzy. Ledwo usłyszałam dźwięk obrzydzenia wydany przez perkusistę, który odszedł niezadowolony.

– Muszę iść – stwierdził, ale nie odszedł.

– To będzie cztery i pół funta – powiedział barman, z którym nie miałam ochoty flirtować. Ewan potrząsnął głową, jakby się obudził, i sięgnął do kieszeni po pieniądze.

– Słuchaj – zaczął, kładąc na kontuarze garść monet. – Nie powinno mnie tu być.

– Musisz iść do swojego zespołu. Wiem. W porządku.

– Nie, chodzi o to... Ja nie jestem... Jest... – Przygryzł wargę. – Okej, powiem prawdę.

Prawda jest taka, że nie spodziewałem się, że cię spotkam. Nie kogoś takiego jak ty. Chciałem, żebyś dziś przyszła, ale lepiej by było, gdybyś tego nie zrobiła. Nie powinienem był cię zapraszać.

– Nie powinienes? – Zrobiłam krok do tyłu i pociągnęłam swoją rękę, ale trzymał ją mocno.

– Mam dziewczynę – powiedział szybko. – W Glasgow. Przykro mi, ale tak jest.

Czułam, jakby betonowy blok upadł mi na pierś i wyduszał z niej powietrze.

– Och. Ja... rozumiem.

– Ewan, do cholery jasnej! – Rozległo się na cały klub.

– Jak mówiłem ci po południu, przyjechaliśmy tutaj, żeby zauważyła nas jakaś wytwórnia. Tak jak dziś. Alana ma pracę, więc została.

– Jasne. W porządku. Dzięki, że mi powiedziałeś. – Tym razem udało mi się wyszarpnąć dłoń, żeby uciec przez klub.

Oczy piekły mnie od łez. Głupia, głupia, głupia. Już na drugim stopniu wpadłam na kogoś, kto powiedział: „Patrz, gdzie idziesz, kolego”.

Usłyszałam, jak Ewan przeklina tuż za mną, a potem położył ręce na moich ramionach, zatrzymując mnie.

– Poczekaj.

– W porządku. To po prostu niewłaściwy moment. I tak mam dużo pracy.

Obrócił mnie do siebie. Jedna z łez mi się wymknęła i spływała po policzku.

– Flick, chciałbym – zaczął, ale znów zjawił się perkusista i pociągnął go za ramię.

– W co ty, kurwa, grasz? – wołał. – Masz zejść na dół. Natychmiast.

– Przepraszam – powiedział Ewan, ale tym razem wyrwałam mu się na dobre i wybiegłam z klubu na rozgrzaną ulicę.

Dziesięć lat później zatrzymuję się w drzwiach kawiarni. Quinn siedzi przy stole pod oknem, przed nim stoją dwa czajniczki z herbatą, a on czyta „New York Timesa”, którego nosił od rana złożonego w kieszeni marynarki. Jego policzki pokrywa zarost, który ma dodać mu lat, a między brwiami maluje mu się zmarszczka świadcząca o skoncentrowaniu. Twierdzi, że niedługo będzie potrzebował okularów.

Quinn jest dorosły. Oboje jesteście dorośli. Dorosłe osoby nie porzucają wszystkiego i nie rezygnują ze swoich planów, ponieważ przypomniały sobie nagiego modela i są skłonne oddać wiele, aby znów go dotknąć. Dorosłym osobom nie trzęsą się ręce tylko dlatego, że właśnie wyznały komuś, że chcą być wyjątkowe.

Dorosłość jest tu i teraz, z moim mężem, oboje koło trzydziestki, a ja nadal nie potrafię mu powiedzieć, kiedy nie chcę tego samego, co on.

Nie wiem, jak do tego doszło. Pamiętam każdą decyzję i każdy krok, ale nie potrafię tego przełożyć na dorosłość i odpowiedzialność. Posiadanie domu i stałych dochodów, opłaty za ubezpieczenie i niedzielne obiady, plan, za którym trzeba podążać, i dziecko, które być może już we mnie rośnie.

Utrata lekkiego kroku. Niemożliwość odejścia.

Mój mąż spogląda znad gazety i kiedy mnie dostrzega, zmarszczka między jego brwiami staje się głębsza. Zrywa się i bierze mnie za łokieć.

– Źle się czujesz – stwierdza.

– Jest w porządku. – Ale kręci mi się w głowie, jakbym wylądowała w niewłaściwym czasie.

– Jesteś blada jak duch. – Sadza mnie na krześle i nalewa herbatę. – Ojej, wystygła. Poczekaj chwileczkę, przyniosę gorącą.

– Nie, nie trzeba, ta jest jeszcze dobra.

– Wrzucę trochę cukru. To powinno pomóc.

– Cukier w niczym nie pomoże.

W połowie przerywa rozrywanie torebki cukru.

– Co się dzieje? Jest ci niedobrze? To chyba dobry znak, prawda?

Tylko ktoś, kto ma kręcka na punkcie posiadania rodziny, potrafi optymistycznie podejść do złego samopoczucia swojej żony.

– Nie, nie jest mi niedobrze – ucinam. – Jestem wykończona, ponieważ ciągniesz mnie po Nowym Jorku, żeby wszystko było zgodnie z planem, a do tego jeszcze muszę wprowadzać cię po wystawie prac mojej zmarłej matki.

Odkłada cukier.

– Przepraszam.

Nie powinnam była stracić panowania nad sobą, ale przynosi mi to ulgę po całym dniu udawania, że dobrze się bawię.

– Nie chciałam tu być, Quinn. Podarłam zaproszenie.

– Powiedziałaś, że będzie w porządku.

– Musiałam tak powiedzieć! Przecież tak bardzo się starałam.

– Kilka razy podkreśliłem, że nie musimy wchodzić, jeśli nie chcesz.

– I jak to wyglądałoby, gdybym cię zawróciła, skoro ty tak skrupulatnie zaplanowałaś dla mnie tę niespodziankę?

– Lepiej niż klócenie się ze mną w kawiarni, kiedy jest już po wszystkim – mówi łagodnie.

Ma rację, a ja powinnam przestać i powiedzieć coś miłego. Ale po tak długim milczeniu nie mogę przestać mówić.

– Moja matka nie żyje, Quinn. Pamięć o niej sprawia mi ból, nawet jeśli mam zaspokajać twoją ciekawość.

– To nie ciekawość, a przynajmniej nie tylko. Chcę cię lepiej poznać.

– To teraz już znasz mnie lepiej. Jestem osobą, która denerwuje się, myśląc o przeszłości i o tym, czego już nie mam. Zadowolony?

Zraniłam go – jasno to wynika z wyrazu jego twarzy. Gryzę się w język, ale poniewczasie.

– Co się stało? – pyta. – Pięć minut temu wszystko było dobrze.

– Po prostu chodźmy – mówię wykończona i zniesmaczona sobą. – Wracajmy do hotelu.

Leżę w gorącej kąpieli, pozwalając, aby ciepła woda mnie opływała. Lustra są zaparowane, a w powietrzu unoszą się kropelki wilgoci. Drzwi są zamknięte.

Zostawiłam Quinna ponownie czytającego „New York Timesa” na łóżku. Nasza dzisiejsza kolacja nie była ani trochę tak radosna jak poprzednia. Bez niespodzianek, bez braw, bez pocałunków. Prawie nie rozmawialiśmy, mimo że go przeprosiłam, a później siedzieliśmy obok siebie na przedstawieniu, nie dotykając się ani razu.

To wszystko moja wina. Mój mąż zrobił absolutnie wszystko, żeby mnie uszczęśliwić.

Jutro polecimy do domu i ponownie go przeproszę. Powiem mu, że byłam zmęczona i wszystko to może być winą hormonów, choć kiedy Quinn zasugerował to przed kolacją, niemal odgryzłam mu głowę. Nie ma nic tak denerwującego jak mężczyzna odmawiający traktowania poważnie twoich uczuć i obarczający winą za nie tajemniczą kobiecą chemię, jakby kobiety były z natury nierozumne. Jakby umysł kobiety nie był niczym więcej niż luźno połączoną wiązką impulsów elektrycznych, które rozpraszają się przy najmniejszym fizycznym bodźcu.

Mimo wszystko nie zasługuję na niego ani jego dobroć.

Ten płyn do kąpieli, będący na wyposażeniu hotelowej łazienki, w zamierzeniu ma uspokajać i uśmierzać. Sięgam po kolejną saszetkę i wlewam go do wanny, odkręcając stopą kurek z ciepłą wodą. Z chmury bąbelków unosi się zapach bergamotki i jaśminu, i czegoś jeszcze... czegoś, co jest mocniejsze i staje się coraz bardziej rzeczywiste.

Zapach plumerii.

Wiem, że to w mojej głowie, a kiedy zamykam oczy, zapach staje się intensywniejszy. Chwytam się mocno brzegów wanny i oddaję temu, co przychodzi.

Minęło osiem dni, zanim zobaczyłam go ponownie. Nie poszłam na lekcje rysunku, a nawet skrupulatnie omijałam tę część miasta w ogóle. Siedziałam w moim pokoju z greckim kocem w oknie lub w parku, rysując drzewa.

Aż czwartkowego popołudnia weszłam do pracowni matki, gdzie stał półnagi Ewan w otoczeniu wazonów z białymi i żółtymi kwiatami o upojnym zapachu.

– Co to? – wymknęło mi się, zanim przypomniałam sobie, że przecież powiedział mi, iż

jest umówiony z jakąś dość sławną artystką, i zdałam sobie sprawę, że chodzi o moją matkę.

– Flick? – powiedział Ewan.

Równocześnie moja matka, niewidoczna za sztalugą, powiedziała:

– Dobrze, jeśli udałoby ci się nie ruszać, bo o to przecież chodzi.

– Nic. – Próbowałam się obrócić i wyjść znów z domu, ale Ewan był już za mną i dotykał mojego ramienia.

– Flick, co ty tu robisz?

– Mieszkam tu. – Zrzuciłam jego dłoń z ramienia.

– Skarbie, znasz mojego chłopaka od plumerii? Lissa podesłała mi go i sprawdzam, czy się nada do tej serii kwiatowej. – Mama odłożyła pędzel i wyjrzała zza płótna zaintrygowana.

– Był modelem na moich lekcjach rysunku – mówię jej. – Wychodzę. Do zobaczenia później, mamo.

– Esther jest twoją matką? – zapytał Ewan.

Mama zupełnie wyszła już zza sztalugi. Patrzyła to na mnie, to na niego.

– A więc tak się sprawy mają.

– Nie – zaprzeczyłam. – Wcale nie.

– Powinniśmy porozmawiać – powiedział Ewan. Pokręciłam głową.

– I tak musicie poczekać do popołudnia, aż skończę – oznajmiła mama. – Niektórzy z nas mają pracę do wykonania.

Zbiegłam ze schodów i dalej na ulicę. Wsiadłam do autobusu i gapiłam się przez okna. Kiedy wróciłam Ewana już nie było. Dom nadal pachniał plumerią.

Mama stała w kuchni, robiąc sobie herbatę.

– Tak mi przykro, kochanie – powiedziała, jak tylko weszłam. – Odeślę go.

– Nie, nie rób tego. To nic.

– To wcale nie jest nic. – Podeszła do mnie i pogładziła mnie po włosach. – To nie jest ani trochę nic. Nie skończę obrazu. To nie ma znaczenia.

– Nie chcę, żebyś go odsyłała. Jest w porządku. On ma dziewczynę, to wszystko. Jeśli go odeślesz, wyjdę na jeszcze większą idiotkę.

Pocałowała mnie w czubek głowy.

– Taka z ciebie zabawna, kochana dziewczyna. Wystarczy, że powiesz słowo, a wyrzucę go za drzwi.

Świeże kwiaty przychodziły każdego dnia. Chowałam się w kuchni albo w sypialni. Ewan zjawiał się zaraz po kwiatkach, więc kiedy pukał do drzwi, cały dom był przesycony ich zapachem. Nie mogłam się przed nim ukryć, tak jak nie mogłam uciec przed dźwiękiem jego kroków na schodach, kiedy szedł do pracowni matki. Nawet jeśli udało mi się wyjść z domu, po przejściu kilku kroków zawracałam i znów zanurzałam się w zapachu plumerii.

Każdego dnia budziłam się z myślą, aby odwiedzić Lauren w Paryżu. Ale później przychodziły kwiaty i nie mogłam wyjechać, chociaż to położyłoby temu kres.

– Skarbie, odpuść sobie – powiedziała mama wieczorem szóstego dnia. – Pozwól mu odejść. Widać, że jesteś nieszczęśliwa, a on nabrał umęczonego wyrazu twarzy, który pogarsza się z każdą godziną.

– To dobrze – stwierdziłam, nalewając nam obu po kolejnym kieliszku wina.

– To całkiem interesujące z perspektywy obrazu, ale nie jest dobre dla ciebie. Zadzwoń do niego i powiem, żeby jutro nie przychodził.

– Nie! – zaprotestowałam szybko. – Nie rób tego.

– Tak bardzo go chcesz, że wolisz nawet to, niż nie widzieć go w ogóle – zauważyła matka. Westchnęła. – Znam to uczucie. To bardzo romantyczne, ale czy warto tej męki?

– Nie odsyłaj Ewana, mamó. – Nawet wymawianie jego imienia stanowiło bolesną rozkosz.

– Wiesz, że to głupie. Jeśli chce z nią być, to z nią będzie, z tą swoją dziewczyną, czy kto to jest.

– Lubię go bardziej, dlatego że jest jej wierny.

Stuknęła swoim kieliszkiem o mój, a następnie pociągnęła spory łyk.

– To impulsywny młody człowiek. Przypomina mi twojego ojca.

Zazwyczaj kiedy matka o nim wspominała, aż nadstawiałam uszu w nadziei, że dowiem się czegoś więcej oprócz tego, że mieszkał we Francji, był artystą i mężem innej kobiety, że nie wiedział nawet o moim istnieniu i był miłością życia mojej mamy. Ale w tej chwili miałam bardziej naglące zmartwienia.

– Myślisz, że Ewan mnie lubi?

Prychnęła.

– Lubi cię? Jego postawa jest koszmarna, a twarz przypomina jesienną zawieruchę, ale jego spojrzenia można zabutelkować i sprzedawać znużonym kochankom.

– Mamó, myślę, że się w nim zakochałam. – Wydawało mi się, że to wiekopomne wyznanie.

– Oczywiście, że jesteś w nim zakochana. A on jest zakochany w tobie. – Przyciągnęła mnie do siebie. – Przykro mi, że to takie trudne.

Wsunęłam głowę pod podbródek matki. Ewan był we mnie zakochany. Cudowność i szczęście, które niosła ze sobą ta wiadomość, zalały mnie. Nawet jeśli nigdy więcej go nie dotknę, nawet jeśli nigdy więcej nie porozmawiamy, on był we mnie zakochany.

Siódmego dnia poszłam na długi spacer w słońcu. Płynęłam przez upał, nie odczuwając go. Widziałam promienie słońca odbijające się od budynków, ale myślałam tylko o jednym: on mnie kocha.

Płynęło to w moich żyłach niczym szampan. Łaskotało moją skórę i sprawiało, że zeskakiwałam z chodników.

Kocha mnie. Nawet jeśli nie może być mój, kocha mnie.

Śmiałam się do nieba.

Zamknęłam za sobą drzwi i zrzuciłam buty. Moje gołe stopy szemrały na drewnianych deskach, kiedy szłam po schodach wprost w zapach plumerii.

– Och – odezwał się nade mną Ewan. Zatrzymałam się.

On zrobił dwa kroki w dół, ja dwa kroki w górę. Nie miał na sobie koszuli, był w dżinsach i bosy, tak jak ja.

– Nie słyszałem, jak weszłaś – powiedział.

Pragnął mnie. Kochał mnie. Nie było wytłumaczenia i nie można było tego odpuścić. Widziałam to w każdej linii jego ciała, w jego rozczochranych włosach i zaciśniętych dłoniach. Spojrzenie jego oczu, które można by butelkować dla znużonych kochanków. Zrobiłam krok w górę.

– Byłam na spacerze – odpowiedziałam łamiącym się głosem. – Przyjemne popołudnie. –

Nasze spojrzenia spotkały się.

– Nie jestem dobrym człowiekiem.

– Nic mnie to nie obchodzi.

Któraś z nas ruszyło pierwsze, a może oboje w tym samym momencie. Ja biegłam do góry, a on na dół, każde z nas po dwa stopnie. Złapał moją twarz w swoje dłonie, ja chwyciłam jego ramiona i przez chwilę po prostu staliśmy twarzą w twarz. Serce mu waliło, jego skóra była gorąca.

Zachwialiśmy się, ale on oparł się ręką o ścianę.

Pocałowaliśmy się o krok od upadku, nie czując potrzeby, żeby oddychać.

Otwieram oczy. Woda wystygła, a uczucie zakochania ulotniło się w powietrzu, choć jego echa pobrzmiwają w moim sercu. Wychodzę z wanny i owijam się ręcznikiem, trzęsąc się. Moje palce u rąk i stóp wyglądają jak suszone śliwki, a włosy przedstawiają sobą mokry nieład.

Ostrożnie otwieram drzwi między łazienką a sypialnią. Quinn leży na łóżku w ubraniu, ale bez butów. Gazeta leży obok, jego oczy są zamknięte. Długie rzęsy tworzą półkola na jego policzkach.

Biedny Quinn. Przykro mi, że popsułam jego ostatnią noc w Nowym Jorku. Nakrywam go pościelą, a on wydaje ciche westchnienie, zanim przewraca się na bok.

Spoglądam na niego. Quinn jest przystojny. Jest dobry. Jest mądry i uprzejmy, ostrożny, kochający i porządny. Punktualny i uważny, miły i hojny. Jest dobry w łóżku, przytula w ciemności. Każdego ranka odsłania okna, nuci, kiedy zmywa, dokarmia kota sąsiadów.

To mój mąż. To mężczyzna, którego wybrałam. Kocha mnie bez reszty i bez zastrzeżeń. Kocham go.

Ale czy kiedykolwiek kochałam go tak jak niegdyś Ewana?

Kłękam przy nim na wielkim łóżku. Ponieważ nie budzi się, palcem w powietrzu obrysowuję jego rysy, znając kształt jego nosa, powiek, policzków i ust. Pamiętam jego uśmiech, ale i ból w jego oczach dzisiejszego popołudnia.

Kocham go. Ale czy kocham go całym moim sercem i ciałem, z pragnieniem oraz potrzebą, które nie zostawiają miejsca na nic innego?

Kropla wody spływa z moich włosów na policzek męża. Quinn otwiera oczy.

– Och, skończyłaś – mówi i siada, trąc oczy. Ziewa, po czym wstaje, wyciąga piżamę z szuflady i wchodzi do zaparowanej łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Rankiem jesteśmy dla siebie bardzo uprzejmi. On przynosi mi herbatę do łóżka. Ja kupuję mu w kiosku na lotnisku „New York Timesa”, „Wall Street Journal”, „Weekly World News” (nagłówek: CHŁOPIEC-NIETOPERZ W KOMINIE BIAŁEGO DOMU) oraz kulę śnieżną ze Statuą Wolności. Potrząsa nią i śnieżek wiruje wokół samotnej kobiety.

Podczas lotu obejmuje mnie ramieniem i razem oglądamy film, złożony podłokietnik, żebyśmy oboje mogli widzieć mały ekran na oparciu fotela. To łatwiejsze niż rozmowa. Specjalne obchody naszej rocznicy zorganizowane przez Quinna zostały zrujnowane i oboje wiemy, że to moja wina.

Z naszej dwójki tylko ja wiem, że odkryłam, iż nie kocham Quinna tak, jak powinnam. Tak jak na to zasługuje.

Ta wiedza sprawia, że jestem dla niego czulsza. Przytulam się do niego i gładzę miękką bawełnę jego koszuli. Nie chcę go zranić. Nienawidzę się za to, że mam taką władzę.

Oglądam film – coś o szpiegach w garniturach i okularach, czego sama nigdy bym nie wybrała, gdybym nie starała się przypodobać Quinnowi – i podejmuję decyzję: jeśli jestem w ciąży, zapomnę, o czym się dowiedziałam. Poświęcę się małżeństwu, dziecku, mężowi, zrobię, co będę mogła, będę się cieszyć z tego, co mam, i nie będę patrzeć wstecz.

Dopiero kiedy zapinamy pasy przed lądowaniem, orientuję się, że już kiedyś podjęłam bardzo podobną decyzję.

– Niespodzianka!

Kiedy wchodzimy do domu, czeka tam na nas rodzina Quinna. Derek i Suz trzymają w rękach butelki piwa, a stół w jadalni jest nakryty kwiecistym obrusem i zastawiony talerzami z jedzeniem. Molly podbiega do nas i ściska nas oboje.

– Witajcie w domu – woła. – Mam nadzieję, że nie jesteście bardzo zmęczeni. Nie mogliśmy się oprzeć, aby nie urządzić dla was małego przyjęcia z okazji rocznicy.

– Dobrze, że jesteście z powrotem – mówi Derek, poklepując Quinna po plecach i całując mnie w policzek, jakby nie było nas całe wieki.

Spoglądam na Quinna, żeby zobaczyć, czy i to zaplanował, ale wygląda na równie zaskoczonego, jak ja.

Suz wręcza Quinnowi i mi po butelce schłodzonego piwa. Już mam upić łyk, kiedy uświadamiam sobie, że prawdopodobnie nie powinnam.

– Jak było w Nowym Jorku? – pyta.

– Było świetnie – odpowiada Quinn. Wydaje mi się, że tylko ja wyłapuję nieznaczne napięcie w jego głosie.

– Bardzo mi się podobało – mówię. – Niczego się nie spodziewałam.

– A jak wystawa prac twojej matki? – pyta Molly. – Zanim wyjechaliście, mówiłam Quinnowi, że to doskonały pomysł.

– To było bardzo miłe z jego strony – odpowiadam.

– Myślę, że wolałbym się napić herbaty – stwierdza Quinn. – Też chcesz, Felicity?

– Czy przypadkiem nie macie nam nic do powiedzenia? – dopytuje się Molly. – Skoro nie pijesz, Felicity?

– Cóż... – zaczyna Quinn.

– Nie piliśmy przyzwoitej herbaty od ponad dwóch dni – wtrącam się. Ostatnią rzeczą, której potrzebuję, to żeby Wickhamowie znali przebieg mojego życia, zanim się upewnię, czy to w ogóle prawda. – Amerykanie po prostu wrzucają torebkę herbaty do kubka z letnią wodą i twierdzą, że to dobre.

Quinn rzuca mi spojrzenie, a ja unoszę brwi.

– Cóż – mówi Molly – musicie umierać z głodu, jeśli cały dzień nie mieliście w ustach nic oprócz tego okropnego jedzenia w samolocie. Chodźcie coś zjeść i opowiedzcie nam o wycieczce.

Molly nalega, żeby pozmywać naczynia przed pójściem do domu, chociaż Quinn jest wykończony weekendem pełnym zwiedzania i podróży. Siedzi na krześle w kuchni, trąc oczy i przeczesując włosy palcami, aż mu stoją, i odpowiada na pytania swojej matki o każdą jedną rzecz, którą robiliśmy. Powiedz swojej matce, żeby sobie poszła, myślę, ale on tego nie robi. Kocha ją za bardzo, aby ją odesłać, nawet jeśli wolałby być już w łóżku.

Wycieram naczynia i układam je w równe stosy. Zazwyczaj kiedy nie ma mojej teściowej, zostawiam je, żeby powietrze je osuszyło, ale teraz potrzebuję się czymś zająć. Jestem pełna energii. Czuję, że mam ochotę pójść na długi spacer lub przejechać się rowerem – potrzebuję wysiłku fizycznego, który zmęczyłby mnie tak, jak zmęczony jest

Quinn, żebyśmy mogli czuć się tak samo i żebym mogła przestać myśleć w kółko o tym, co postanowiłam w samolocie. O tym, jak to wszystko może się skończyć.

– Cieszę się, że przyjemnie spędziliście swoją rocznicę – mówi Molly przynajmniej po raz piąty, wycierając ręce o ścierkę i wieszając ją starannie na kołeczku. – Dobrze zrobiłeś, wybierając na żonę tę kobietę. Doskonale do siebie pasujecie.

– Tak – zgadza się Quinn.

– A ty – mówi, całując mnie w policzek – opiekuj się dobrze moim chłopcem, zgoda?

– Oczywiście – mówię.

– Mamo – odzywa się Suz, stojąc już w drzwiach – pozwólmy tym biednym ludziom trochę odpocząć.

Molly po drodze zabiera Dereka, który w salonie oglądał sport, i po kilku kolejnych pożegnaniach patrzą, jak idą po kamiennej ścieżce.

Quinn jest cichy.

– To było bardzo miłe z ich strony – oznajmiam i kieruję się ku schodom z myślą o prysznicu.

– Dlaczego nie chciałaś im powiedzieć, że być może jesteś w ciąży?

Zatrzymuję się.

– To jest jeszcze bardzo niepewne – mówię twarzą do balustrady. – Nie chciałam robić im nadziei.

– Byłaś wystarczająco szczęśliwa, aby opowiadać o tym nieznanym w restauracji w Nowym Jorku.

– Obcy ludzie nie będą zawiedzeni, jeśli się okaże, że to nieprawda.

– Skoczę od razu po test – mówi i sięga po buty leżące na wycieraczce.

– Nie.

Podnosi głowę, jego brwi są uniesione.

– Nie kupuj go w miasteczku.

– Dlaczego?

– Już teraz wszyscy rozmawiają o naszych sprawach, Quinn. Pojadę rano do apteki w Brickham. Wolałabym dowiedzieć się przed całym Tillingford.

– Dobrze. – Odkłada buty. – Jestem wykończony, kochanie. Chyba się położę na sofie i poczytam trochę.

– Powiem ci, jak prysznic będzie wolny.

Jestem w połowie schodów, kiedy Quinn mówi:

– Felicity?

Zatrzymuję się.

– Chcesz się dowiedzieć, prawda?

– Oczywiście.

Nie brzmi to, jakbym rzeczywiście mówiła to, co myślę. Ale Quinn przytakuje.

– Wiesz, że naprawdę cię kocham – wyznaje. Idzie do salonu po książkę.

– Wiem – szepczę.

Jadę do Brickham rano, kiedy Quinn jest w pracy, i kupuję test ciążowy w wielkiej anonimowej aptece w centrum handlowym. Wybieram również krem do rąk, płatki do twarzy i szampon, żeby nie było to takie oczywiste, ale kobieta przy kasie nawet nie mrugnęła okiem. Podejrzewam, że jeśli życie mija ci na skanowaniu cen wkładek na nietrzymanie moczu i lekarstw na biegunkę, jeden test ciążowy nie jest taki interesujący.

Wiem, że Quinn czeka, aż zadzwonię do niego z wynikami testu, więc kiedy snuję się po miasteczku, oglądając wystawy, wysyłam mu SMS-a, że zostanę tu na lunch. Ale nie jestem głodna, kręcę się jeszcze trochę, kupuję sobie buty sportowe Green Flash, które przypominają mi o szkolnych lekcjach WF. Zawahałam się przed sklepem Apple'a – całym błyszczącym i pełnym ludzi wypróbujących kuszące urządzenia.

Od lat nie słyszałam nic o Ewanie, ale teraz ludzie żyją bardziej otwarcie. Musi być gdzieś w Internecie. Pewnie ma swoją stronę lub profil na Facebooku ze zdjęciami swojego zespołu. Może nawet jest sławny. Nie jestem na bieżąco z popkulturą. Jeśli chciałabym się czegoś o nim dowiedzieć, to jest idealne miejsce. Obsługa sklepu może próbować sprzedać mi komputer, ale nikt nie będzie się mi przyglądał, nikogo nie będzie obchodziło, czego szukam, i nikt nie namierzy moich poszukiwań.

Potrząsam głową. Nie zamierzam szukać Ewana, choćby nie wiem, jak wszystko się sprzysięgło, żeby mi o nim przypominać. To byłoby zbyt blisko zdradzenia Quinna.

Jeśli test ciążowy będzie pozytywny, zignoruję te uczucia. Zapomnę o Ewanie i o wszystkim, co było między nami, a jeśli znów wyczuję plumerie i poczuję się zakochana, postaram się przyspieszyć moją wizytę u neurologa, ponieważ to nie znak, ale migrena. Postaram się wyleczyć z tej miłości, żebym mogła skupić się na dobrym związku, w którym jestem obecnie.

Jeśli test wyjdzie negatywny...

Opieram się o witrynę sklepu Apple'a, obserwując przechodniów. Wszyscy wyglądają, jakby mieli jakiś cel. Niosą siatki z zakupami, pchają wózki dziecięce, wyprowadzają psy. Mówią, czują i zajmują się swoimi sprawami. Przyglądam się skrzywionej młodej dziewczynie w obcisłych spodniach i okularach przeciwsłonecznych, mężczyźnie w średnim wieku, który śmieje się do telefonu. Małe dziecko straszy gołębie, które podrywają się niczym trzepocząca chmura.

Widziani z zewnątrz wydają się kompletni. Wiedzą, kim są, wiedzą, co robią. Każdy z nich ma cały świat we własnej głowie.

Czy ja też tak dla nich wyglądam? Zapewne. Nie wiedzą, że moja materiałowa, przyjazna środowisku torba jest wypełniona produktami, które kupiłam dla zmyły. Nie wiedzą, że w ciągu kilku następnych godzin moje życie zmieni się diametralnie w jedną lub w drugą stronę. Nękana przez wspomnienia, okoliczności i uczucia.

Miałam kiedyś przyjaciółkę, Ollie, która nigdy nie podejmowała żadnych decyzji bez konsultacji z chiromantką, która miała swoją budkę na placu niedaleko jej mieszkania. Przed randką, zmianą pracy czy przeprowadzką, czasem nawet przed zakupem ubrania, szła na seans odczytywania z dłoni, a czasem również stawiania tarota, aby dowiedzieć się, czy znaki są pomyślne. Jeśli randka okazywała się okropna, a strój nie leżał, twierdziła, że to dlatego, iż źle zinterpretowała znaki. W końcu wyszła za syna chiromantki, który był deweloperem, do tego mężczyzną niepozabawionym uroku osobistego – dodatkową przynętą był oczywiście rabat na usługi jego matki.

Wciągam mocno powietrze, próbując poczuć plumerie. Byłby to jakiś znak, że jestem na dobrej drodze.

Jeśli to ty, mammo, próbujesz mi coś powiedzieć, byłabym wdzięczna, gdybyś odezwała się teraz.

Nic.

Ale może to też znak?

Żywiłam pewną nadzieję, że test ciążowy będzie wymagał, aby zrobić go rano, zaraz po przebudzeniu – wtedy moment prawdy zostałby przesunięty na kolejny dzień, ale niestety w instrukcji wyraźnie napisano, że może być zrobiony kiedykolwiek po terminie miesiączki. Zmarnowałam w miasteczku tyle czasu, że jeśli chcę zrobić test przed powrotem Quinna, muszę się zabrać za to od razu. Mimo że nie jestem na to gotowa.

Kiedyś z taką łatwością zmieniałam swoje życie, przenosząc się z miasta do miasta, zastępując jedną tymczasową pracę następną. Powinnam być gotowa na wszystko. Ale nie jestem.

Trzeba poczekać parę minut między momentem, kiedy sika się na test i nakłada zatyczkę z powrotem a odczytaniem wyników. Kładę test na umywalce na kawałku papieru i wychodzę przed dom, zatrzymując się, żeby pogłaskać kota Hoffmannów. Staję na końcu ścieżki, w miejscu, gdzie dochodzi do drogi, i liczę do stu, zanim odwracam się ku domowi. Pani Taylor piele grządki w swoim ogródku i macha do mnie ręką w rękawiczce w ramach powitania. Podnosi się, skrzywiona z powodu bólu pleców, i podchodzi do bramy.

– Piękny dzień! – woła.

Jestem jej za to wdzięczna.

– Jak pani plecy, pani Taylor?

Przez dobre dziesięć minut rozmawiamy o jej rwie kulszowej, stojąc w słońcu – z chęcią porozmawiałabym jeszcze, ale ona spogląda na niebo i mówi:

– Cóż, te mleczki same się nie wyrwą.

Wracam więc do domu. Idę maleńkimi kroczkami do łazienki, waham się w drzwiach, myśląc, czy nie zadzwonić do Lauren lub Naomi – dochodzę jednak do wniosku, że nie jest to dobry moment, a poza tym byłoby to nielojalne rozmawiać o moim stanie z innymi osobami, zanim omówię to z Quinnem. Mimo to bardzo bym chciała, żeby Lauren nagle zadzwoniła. Telefon jednak milczy, więc podnoszę test.

Wynik jest negatywny.

Obracam go, patrząc, czy czegoś nie przegapiłam. Nie ma jednak wątpliwości – dużymi literami wyraźnie napisano: BRAK CIĄŻY.

Stoję z testem w dłoni. Nie czuję nic. Jakby mój mózg, ciało i serce zamarły naraz w szoku.

Byłam pewna, że jestem w ciąży – myślę po niewiarygodnie długim czasie, a następnie, ku własnemu zaskoczeniu, zaczynam płakać. Łzy spływają mi po policzkach, muszę odłożyć test i usiąść na toalecie z twarzą zakrytą rękoma, łkając.

Mimo to jakaś część mnie jest zupełnie spokojna i zastanawia się, czemu tak bardzo się denerwuję. Nie sądziłam, żebym chciała dziecko. Myślałam, że starałam się dla Quinna. Czyli płaczę, bo czuję ulgę?

Moje życie z nim byłoby dobre – myślę i zaczynam płakać jeszcze bardziej.

Dzwoni telefon. Ze wzrokiem zamglonym przez łzy toruję sobie drogę z łazienki na dół do kuchni, gdzie go zostawiłam. To Lauren, dziesięć minut za późno.

– Halo – odbieram, łkając.

– Felicity? Co się stało?

– Nie jestem w ciąży. – Zawodzę, mówiąc to na głos.

– Starasz się zająć w ciążę? Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo... bo nie byłam pewna, czy chcę tego dziecka.
- To dlaczego płaczesz, skoro nie jesteś w ciąży?
- Nie wiem. – Wycieram nos ręką. – Naprawdę nie wiem.
- Jesteś dziwna. Wiesz o tym?

Śmieję się roztrzęsiona.

– Czy mogę do ciebie przyjechać i zatrzymać się na trochę, gdybym potrzebowała? Tylko na trochę?

– Oczywiście. Dlaczego?

Znajduję papierowy ręcznik do wytarcia oczu.

– Wyjaśnię ci później. Mogę przyjechać dziś?

– Dziś wyjeżdżam do Brukseli i będę tam przez resztę miesiąca. Mogę ci zostawić klucze u sąsiadów, jeśli chcesz. Możesz mieć całe mieszkanie tylko dla siebie.

– Tak, proszę. Byłoby wspaniale.

– Wszystko gra, Fliss?

– Nie – mówię. – Nie, nie gra. Ale taki los. Będzie dobrze.

Jakby w ramach potwierdzenia moje ciało wybiera ten moment, żeby wygenerować skurcz w moim brzuchu i plecach – ostateczne potwierdzenie wyniku testu.

Do czasu kiedy Quinn wraca do domu, przestaję płakać. Zdążyłam też wziąć bardzo długi prysznic i przebrać się w wygodne dzinsy i wzorzystą bluzkę. Związałam włosy chustką i nałożyłam odrobinę szminki, żeby nie wyglądać tak blado i nieszczęśliwie. Zażyłam też dwie tabletki ibuprofenu.

Nie wiem, co zamierzam zrobić. Nie wybiegłam myślą dalej niż wynik testu, a teraz wiem, że w głębi byłam przekonana, iż będzie pozytywny. Nie wiem, jakie słowa wybrać, żeby wszystko odmienić ani czy mam odwagę spróbować, ani nawet czy powinnam. Czy płacz również jest znakiem? Jeśli tak, to czy jest ważniejszy od moich uczuć do Ewana?

Chociaż czekam na Quinna, kiedy otwiera drzwi i wchodzi do środka, podskakuję na siedzeniu w kuchni. W ręku trzyma dużą torbę, która, sądząc po zapachu, zawiera chińszczyznę na wynos.

– Cześć, kochanie – mówi ostrożnie i kiedy patrzę na zegar na kuchence, widzę, że wrócił pół godziny później niż zwykle. – Pomyślałem, że nie będziemy mieli dziś ochoty gotować. Obojętnie, co się wydarzyło. – Nie odsuwa krzesła, żeby usiąść, ani nie włącza czajnika, ani nie zdejmuje butów. Stoi w kuchni, patrząc na mnie.

On wie, myślę, ale to mnie myli, bo przecież on był jeszcze bardziej pewny niż ja. Był gotowy powiedzieć swojej rodzinie i sam chciał kupić test w sklepie, gdzie nie ulegałoby wątpliwości, dla kogo go kupuje.

– Co się stało, Felicity? – pyta w końcu.

– Zrobiłam test.

– I?

On wie, on wie, a mimo to zmusza mnie, żebym to powiedziała, ponieważ wie, że w ten sposób go zranię. Dlaczego nie może tego odpuścić i zachowywać się normalnie?

Żadne z nas nie może. Ja już zdecydowałam za nas.

– Nie jestem w ciąży – odpowiadam.

– Musiało ci ulżyć.

Cofam się zaskoczona.

– Co? – mówię bez tchu.

– Nie zadzwoniłaś do mnie. Gdybyś była zdenerwowana, zadzwoniłabyś. Czyli musiało ci ulżyć.

– Byłam zdenerwowana.

– Nie jestem głupi. Teraz rozumiem. Nie chcesz dziecka. Nigdy nie chciałaś. Dlaczego więc powiedziałaś, że chcesz?

Znów siadam.

– Ty chciałaś go tak bardzo.

– Czyli zgodziłaś się, żeby zrobić mi przyjemność? Tak nie można.

– To... wydawało się być powodem równie dobrym, jak inne.

– Tak nie jest. Tak nie jest. Felicity, to coś, czego trzeba chcieć we dwójkę.

– Nie czułam, żebym mogła powiedzieć „nie”.

– Dlaczego? Przecież nie naciskałem na ciebie w tej kwestii.

– Ależ oczywiście, że naciskałeś – mamrocze pod nosem.

– Co? Nic przecież nie mówiłem. Zapytałem, czy nie sądzisz, że już czas, żebyśmy zaczęli się starać, a później pozwoliłem ci...

Quinn przeczesuje palcami włosy.

– Zastanawiałem się, jak mogę cię zachęcić. To nie jest presja.

– Ależ jest, jest. To jest jasne, kiedy... kiedy czegoś chcesz. A później Suz...

– Nigdy nie rozmawiałem o tym z Suz.

– I twoi rodzice byli tacy zadowoleni, i doktor Johnson, i wszyscy. Wszyscy chcą dziecka, Quinn, a ty z nich wszystkich najbardziej. To wisi w powietrzu cały czas.

– Powinnaś była mi to powiedzieć. Co dobrego może wyniknąć z okłamywania mnie?

Skąd mam wiedzieć, że nie mówisz tego, co myślisz?

– Ależ ja byłam szczerą – mówię. – Zamierzałam spróbować.

Chodzi teraz po kuchni z rozczochranymi włosami. Quinn zazwyczaj jest taki spokojny i wesoły – denerwuje się tylko na polityków i Ruperta Murdocha. Dociera do mnie, że to nasza pierwsza kłótnia. Słyszę w uszach bicie swojego serca.

– Nie potrafię czytać ci w myślach, Felicity. Tak bardzo staram się, aby cię zadowolić. Staram się cały czas.

– Skoro tak bardzo się starasz przez cały czas, jak mam się z tobą nie zgadzać?

– Co? To nie w porządku. Ja chcę tylko tego, co ty.

– W tym tkwi problem – odpycham krzesło, ponieważ nie w porządku jest siedzieć, kiedy on chodzi. – Skąd mam wiedzieć, czego naprawdę chcę, jak ty cały czas tak bardzo się starasz? Nigdy nie mam nawet chwili, żeby się zastanowić.

– Przecież masz dużo czasu dla siebie. Wychodzę do pracy...

– Ale wszędzie, gdzie spojrzę, widzę ciebie! Gdzie nie pójdę w miasteczku, wszyscy cię znają i już dawno wiedzą, jak powinno wyglądać nasze życie, krok po kroku. Możesz nic nie mówić, może cię tu nawet nie być, ale i tak widzę, czego chcesz – a kim ja jestem, żeby odmówić ci posiadania dziecka, którego chcesz tylko dlatego, że mnie kochasz!

– Felicity – mówi Quinn. – To nawet nie ma sensu. Po prostu powiedz, czego chcesz. Powiedz.

– Nie mogę. To cię zrani.

– Już mnie ranisz, ale udajesz, że wszystko jest dobrze. Cały ten weekend w Nowym Jorku – to było okropne, nie powinno tak być.

Potrząsam głową. Nadszedł czas, aby wcielić w życie moją decyzję, ale nie mogę się na to zdobyć.

Quinn pada przede mną na kolana na kamiennej posadzce. Bierze moje zimne dłonie w swoje. Ostatni raz zrobił tak, kiedy zupełnie niespodziewanie oświadczył mi się podczas wietrznego dnia w Ridgeway, po czym wyciągnął pierścionek z kieszeni peleryny.

– Gdzie wędrujesz? – pyta, a jego szare oczy świdrują moje. – Gdzie wędrujesz w swoich myślach, kiedy mnie zostawiasz, Felicity?

O tym też wie?

– Myślę – mówię, ledwo łapiąc oddech i wiedząc, że muszę powiedzieć to teraz, zanim zacznę zadawać więcej pytań i zanim wyznam mu całą prawdę, raniąc go jeszcze głębiej.

– Potrzebuję trochę czasu.

– Czasu?

– Czasu, żeby pomyśleć. Samej. Muszę sobie poukładać w głowie, żebym mogła dowiedzieć się, czego tak naprawdę chcę.

– Możesz mieć tyle czasu, ile tylko zapragniesz.

– Sama – powtarzam.

Patrzy na mnie.

– Chcesz powiedzieć, że mnie zostawiasz?

I cała ta chińszczyzna się zmarnuje, podpowiada mój nieznośny umysł.

– Potrzebuję czasu – powtarzam po raz kolejny.

– Felicity – mówi, a na jego twarzy maluje się ból. Wcześniej był zły i zniecierpliwiony, ale to go uderzyło. To nie jest mała małżeńska sprzeczka. To jest poważne.

Chcę to cofnąć, ale nie umiem.

– Nie wiem, na jak długo – kontynuuję, starając się, żeby nie brzmiało to aż tak źle. – Może to nie potrwa długo. Potrzebuję poukładać sobie w głowie, Quinn.

– Gdzie pojedziesz?

Podobne pytanie zadał mi przed chwilą, ale tym razem mam odpowiedź.

– Lauren mówi, że mogę zatrzymać się u niej. To znaczy w jej mieszkaniu. Ona musi pojechać do Belgii.

– Zaplanowałaś to?

Nie odpowiadam.

Quinn puszcza moje dłonie i wstaje.

– Pewnie już jesteś spakowana?

– Nie.

– Jeśli faktycznie tego chcesz, zostawię cię, żebyś mogła spokojnie się spakować.

– To pewnie i tak dobry pomysł – dodaję znienacka. – Będę miała czas na rysowanie. Muszę popracować nad książką.

Wychodzi z kuchni i z domu. Zamyka za sobą drzwi, nie trzaska.

Dom staje się cichy, tak cichy, jak to tylko możliwe. Teraz oczywiście muszę się zebrać.

QUINN

Dwie godziny na końcu baru Seven Stars i dwa kufle piwa zdecydowanie wystarczyły. Nie poszedłby tam, gdyby nie wiedział, że tego wieczoru jego ojciec był w klubie golfowym. Ale i tak wszyscy obecni go znali. Każdy pytał: „Jak się ma Felicity?” i musiał

kłamać. Później Eric i Ed chcieli rozmawiać o piłce nożnej, a Rowan była zainteresowana sprawą Boscombe House, centrum dziennej opieki dla osób starszych, które rada miejska chciała zamknąć, barmanka Miranda chciała się go poradzić w poufnej sprawie zamieszczenia ogłoszenia randkowego – i wszystko to w czasie, kiedy Felicity się pakowała, wzywała taksówkę, wsiadała do pociągu i jechała do Londynu, żeby zatrzymać się u Lauren.

Jak do tego doszło? Przecież próbował chyba wszystkiego?

– To nieodwzajemnione – powiedział Mirandzie i szybko się poprawił. – Miałem na myśli nieprzewidywalne. Miłość można znaleźć wszędzie.

Nawet w zatłoczonym pociągu.

Można ją też wszędzie stracić.

Nie miał nawet przy sobie gazety, a Seven Stars przestało wyklądać dzienniki na drewnianych wieszakach jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. W końcu zaczął udawać, że jest zajęty swoim telefonem, żeby nie musieć z nikim rozmawiać. Uszanowali to – wydawca lokalnej gazety pogrążony w ważnych wiadomościach.

Felicity ani nie zadzwoniła, ani nie wysłała SMS-a.

Przed samym sobą nie mógł udawać, że się tego nie spodziewał. Jaki byłby inny powód ku temu, że biegł za nią zawsze, kiedy spóźniała się na kolację lub uciekała przez dziurę w płocie? Zdarzało się to niejednokrotnie: wymieniał bilety, zmieniał godziny spotkań, czytał tę samą stronę wiele razy, czekając, aż się zjawi.

Z kolei ona nigdy nie wychodziła mu naprzeciw. Nigdy za nim nie biegła ani nie proponowała, żeby poszedł gdzieś z nią. I chociaż zazwyczaj mu to nie przeszkadzało, tego wieczoru poczuł, że zasługiwał, aby od czasu do czasu poszła za nim. Że zasługiwał, żeby go nie okłamywała ani nie ukrywała przed nim pewnych spraw. Ponieważ kochał Felicity tak bardzo – znacznie bardziej, niż sądził, że jest to możliwe.

Łzy napłynęły mu do oczu, więc stłumił je, pozorując ziewnięcie. Niewiele to pomogło, więc poszedł do męskiej toalety, wszedł do jedynej zamkniętej kabiny i stał tam z opuszczoną głową, zagryzając zęby i pozwalając łzom spływać na chusteczkę. Kiedy wyszedł, ochlapał twarz zimną wodą i wytarł ją papierowym ręcznikiem. Jego niedopite piwo nadal stało na barze, a Miranda przyglądała mu się ze zmarszczonym czołem. Podniósł kufel, uśmiechając się na tyle, na ile było go stać, i poszedł do stolika z tyłu, gdzie miał więcej prywatności. Nikt do niego nie podszedł. Quinn chciałby mieć pewność, że to tylko dlatego, że wyglądał, jakby pracował.

Dopił piwo, po czym pożegnał się z Mirandą, Rowan, Edem, Erickiem i całym pubem. Kiedy szedł przez błonia, nie było jeszcze zupełnie ciemno. Koło jego głowy przeleciał nietoperz.

W Hope Cottage świeciły się światła, ale okna były zasłonięte. Nawet z zewnętrznej strony furtki dom wyglądał na pusty. Otworzył kuchenne drzwi.

Nie było jej. Wyczuwał jej brak tak wyraźnie jak jej obecność, mimo że kuchnia wyglądała tak samo. Przy drzwiach brakowało jej parasolki i ulubionej marynarki – tej wzorzystej, która była już przetarta na łokciach. Wszedł na górę. Po jej stronie zawartość szafy się zmniejszyła. Łóżko wyglądało na opuszczone. Na pościeli było wgniecenie w miejscu, gdzie położyła walizkę, żeby się spakować.

Wiedział, że nie tylko wyjechała – wiedział, że już nie wróci.

Quinn usiadł na łóżku. Z toaletki zniknęły przybory do makijażu i zapinki do włosów.

Spojrzał na swoje samotne odbicie w lustrze.

Serce było metaforą. To był mięsień, a nie siedlisko emocji.

Jego właśnie zostało złamane.

CZEŚĆ DRUGA

*Powiedz, gdzie się skłonność rodzi,
W głowie-li, czy w sercu młodzi (...)*

William Shakespeare
Kupiec Wenecki, akt III, scena 2
(tłum. Józef Paszkowski)

EWAN

Ewan McKillan siedział w mętnym świetle, które dostawało się przez okno mimo opuszczonych żaluzji, przy swoim stole w Shoreditch i przyglądał się znajdującym się przed nim przedmiotom.

Stół był szeroki i odrapany. Początkowo była to ława laboratoryjna, ale została odratowana i odnowiona, kiedy laboratorium przeszło modernizację. Ewan nie miał w tym swojego udziału, ława była już w mieszkaniu, kiedy się wprowadził. Mimo to lubił mówić ludziom, którzy jedli przy tym stole, że kiedyś mieszano na nim chemikalia.

Kiedyś lubił mówić do ludzi.

Stół stał na końcu otwartej przestrzeni, której ściany były otynkowane i pomalowane na modny, minimalistyczny odcień jasnej szarości. Reszta pomieszczenia była zajęta przez miękkie, wytarte, skórzane fotele (były wytarte, odkąd pamiętał, prawdopodobnie zostały zaprojektowane, aby tak wyglądać) i niski, szeroki szklany stolik kawowy. Najdalsza ściana została pozbawiona tynku i prezentowała surową cegłę. Zamocował na niej uchwyty w kształcie litery Y, które już od dwóch dni świeciły pustką. Dokładnie od momentu, kiedy wyrzucił ze swojego znajdującego się na trzecim piętrze okna trzy gitary, które na nich wisiały.

Wcześniej upewnił się, że nikt nie szedł chodnikiem pod oknami. Gitary elektryczne bywają naprawdę ciężkie, ale nawet akustyczny Martin mógł stanowić poważne zagrożenie, lecąc z prędkością kilku mil na godzinę, a Ewan nie chciał być odpowiedzialny za nikogo więcej.

Zgodnie z jego przewidywaniami gitara akustyczna rozleciała się na drzazgi i struny. Les Paul odbił się raz czy dwa, zanim upadł na chodnik mocno pęknięty. Gryf Stratocastera odłamał się gładko.

To za bardzo przypominało mu, co się zdarzyło na autostradzie w Teksasie. Ewan cofnął się w cień swojego mieszkania, trzęsąc się, i już miał zaciągnąć żaluzje, kiedy usłyszał głos:

– Hej!

Był to jakiś nastolatek. Podniósł Stratocaster – jedną ręką korpus, drugą gryf.

– To Stratocaster z lat sześćdziesiątych? – zawołał chłopak. – Czemu wyrzuciłeś go przez okno?

Jego skóra miała inny kolor niż skóra Ewana. Miał północnolondyński akcent, a włosy z boku jego głowy były wygolone we wzory, ale Ewan zobaczył samego siebie w jego twarzy, w jego ramionach, w jego rękach.

– Z 1964 roku dokładnie – powiedział. – Jest twój, jeśli chcesz.

Zamknął okno.

Była to ostatnia osoba, z którą rozmawiał. Nie wiedział, czy chłopak wziął gitarę w nadziei, że uda się ją naprawić, czy jako opał. Nie wiedział, co stało się z pozostałymi dwiema. Wczoraj dotarło do niego, że powinien był zatrzymać gitary, żeby ktoś mógł je później sprzedać. Może Petrze przydałyby się te pieniądze. Albo można było je przelać na konto bankowe Rebekki.

Myślał o tym, że roztrzaskał o chodnik najcenniejsze rzeczy, jakie udało mu się zgromadzić w jego trzydziestotrzyletnim życiu. Mieszkanie było wynajmowane, nie miał samochodu. Pozostałe gitary i wzmacniacze, których nigdy nie odebrał z przechowalni, były warte trochę pieniędzy i zastanawiał się teraz nad napisaniem jakiejś informacji, żeby było jasne, że wszystko, co posiadał, powinno zostać spieniężone i przekazane Rebecce i żonie Lee, Petrze: połowa dla osoby, którą powołał do życia, połowa dla osoby, która oplakiwała osobę, której życie zniszczył.

Ale to odwróciłoby jego uwagę. Jeśli wstałby od stołu, żeby napisać tę notkę, zaraz znalazłby coś jeszcze do zrobienia. Zauważyłby nieodebraną wiadomość na swoim telefonie lub podniósłby z podłogi nieotwarty list, lub pomyślałby jeszcze o czymś innym, czego nie zrobił, a co powinno zostać zrobione, bo inaczej już nigdy zrobione nie zostanie, i to zajęłoby mu kolejne pięć minut. Kolejne dziesięć minut. Może nawet kolejny dzień pełen wahania.

Podjął już decyzję. Istniało już tylko jedno remedium na wszystko, co zrobił i czego nie zrobił. Tylko jedna rzecz została mu do zrobienia – i to teraz. Więc Ewan usiadł przy swoim polaboratoryjnym stole i patrzył na przedmioty leżące przed nim.

Pierwszym z nich była butelka whisky z Tesco – ten gatunek, który sprawiał, że ciało produkowało kwaśne wyziewy. Dobra whisky byłaby nie na miejscu – nie szukał przecież przyjemności.

Obok leżały tabletki, które, w przeciwieństwie do alkoholu, były najwyższej jakości. Przepisał mu je lekarz, ponieważ Ewan nie spał, w obawie przed koszmarami.

Ewan do tej pory nie zażył ani jednej tabletki. Wolał leżeć, myśląc o snach, które nie chciał, żeby się mu przyśniły, a kiedy czuł, że przysypiał, zmuszał się, by wstać i pochodzić, zastanawiając się, czy tak właśnie wygląda śmierć – ostatni sen, z którego nie ma ucieczki.

Co do cholery? Odgarnął włosy z twarzy. To, że w każdym momencie mógł zażyć śmiertelną mieszankę tabletek i alkoholu, nie upoważniało go do tego całego hamletyzowania, gównianych rozmyślań o śmierci. Zresztą dowie się przecież już niedługo.

Ostatnia rzecz była najgorsza. Podniósł ją dwoma palcami, jakby parzyła. Na kartce nad rysunkiem Quentina Blake'a przedstawiającym dziewczynkę na rowerze widniał napis: NAJLEPSZE ŻYCZENIA URODZINOWE. Zaadresował już kopertę, ale nic nie napisał na kartce. Było już za późno, żeby ją wysłać. Urodziny miała dzisiaj, co było bez znaczenia, bo i tak nie zamierzał wysłać tej kartki. Nadal miała leżeć na stole jutro i jeszcze następnego dnia. Aż...

Wyprostował się na krześle. Aż do kiedy? Kto go znajdzie? Jego sprzątaczką, Julia, przychodziła w czwartki. Czy to ona miała go znaleźć? To wydawało się nie w porządku. Nie była najlepszą sprzątaczką – właściwie była beznadziejna – ale nie zasługiwała na to, żeby znaleźć trupa, zwłaszcza śmierdzącego najtańszą whisky z Tesco.

Ewan zaklął i przygryzł usta. Nie mógł do nikogo zadzwonić ani wysłać wiadomości, ponieważ była szansa, że mogli dotrzeć do niego, zanim umrze na dobre. Kiedyś można było zadzwonić do czyjegoś biura w sobotnie popołudnie, takie jak to, i nikt nie odebrał wiadomości przed poniedziałkiem. Teraz nie mógł mieć tej pewności.

Wywrócił oczami. Odpowiedź leżała przed nim oczywiście. Odłożył kartkę i wstał. Chwilę szukał, zanim znalazł kawałek papieru i kopertę. Była już raz użyta, ale wykreślił

swój adres i obok wpisał Ginge'a, menedżera swojej ostatniej trasy koncertowej. Ginge był najbardziej praktycznym i opanowanym człowiekiem, jakiego Ewan znał, a przekonał się o tym w naprawdę ciężkich warunkach.

Stary – napisał – przepraszam cię za to. Jak tylko dostaniesz ten list, w tej samej minucie zadzwoń na policję i powiedz, żeby przyjechali do mnie do mieszkania, żeby wyważyli drzwi. Nie przyjeżdżaj sam – dopisał. – Naprawdę, nie. Dzięki stary.

Ewan

Jak na ostatni list ten był dość byle jaki. Ale jeśli miałyby poświęcić czas na to, żeby płynął on prosto z serca i był podniosły, byłaby to kolejna zwłoka. A zwlekał już wystarczająco długo.

Złożył kartkę na pół, wygładzając jej brzegi.

Jeśli wynajdujesz wymówki, żeby się nie zabić, może tak naprawdę wcale nie chcesz tego zrobić.

– Gówno prawda – powiedział na głos. – Zawsze wynajdywałem wymówki, żeby nie robić tego, co powinienem był. Z tym jest tak samo. – Włożył list do koperty. W jednej z szuflad kuchennych była taśma, którą można by ją zakleić. Nie znalazł jednak żadnych znaczków, mimo że wyrzucił zawartość szuflady na podłogę: oferty jedzenia na wynos, korki, patyczki, saszetki cukru i kawy, stare laminaty i, nie wiedzieć czemu, skarpetka.

Dobra. Wskoczy na pocztę po znaczek i wyśle list do Ginge'a. Prosto z poczty wróci do domu, żeby wypić whisky i połknąć tabletki. Podejrzewał, że umieranie zajmie mu dobre kilka godzin, przez które będzie nieprzytomny. Dla pewności kupi znaczek na list ekonomiczny. Skoro już zadał sobie tyle trudu, żeby kupić tanią whisky i napisać coś, co mogło uchodzić za list samobójczy, nie mógł dopuścić do tego, żeby jego plany zostały pokrzyżowane przez nieoczekiwaną sprawność usług pocztowych.

Włożył kopertę do tylnej kieszeni spodni. W drodze z kuchni do drzwi przeszedł koło stołu i kartka urodzinowa ponownie przykuła jego uwagę.

Mógłby wysłać i ją. Nie byłoby w tym nic złego. Nie doszłaby na czas, ale to się już przecież nie będzie liczyło, prawda? Wyciągnął po nią rękę, aby podpisać się i dodać jeszcze kilka słów. Może po prostu „przepraszam”?

Może „kocham”?

Ewan odwrócił się z pustymi rękoma. „Przepraszam” i „kocham”, gdzie była różnica? Może nie byłoby nic złego w wysłaniu tej kartki, ale też nic dobrego. Zbyt długo już zwlekał. Przeszedł przez mieszkanie, złapał kurtkę i otworzył drzwi.

Ktoś przed nimi stał, dłoń właśnie miała zapukać. Kobieta otworzyła usta i chociaż była ostatnią osobą, o której by pomyślał, jej oczy były dokładnie tak zielone, jak zapamiętał.

– Co u diabła tutaj robisz? – zapytał Felicity Bloom.

– Ja... – zaczęła i nawet w tym jednym słowie jej głos brzmiał dokładnie tak samo, jakby dziesięć lat wcześniej przerwali rozmowę i teraz do niej wracali.

– Nie – powiedział, potrząsając głową. – Nie, nieważne. Nie mów mi, nie chcę wiedzieć. Po prostu idź sobie. Wynoś się stąd. – Wycofał się do domu. – Już – dodał, zatrzaskując drzwi tak mocno, że aż zadrżała podłoga.

Nawet za zamkniętymi drzwiami nadal czuł jej obecność. Nie zamierzała odejść. Od jak dawna tam stała, kiedy on rozmawiał z samym sobą, próbując zebrać się na odwagę, aby

ze sobą skończyć?

– Cholera – powiedział.

Felicity Bloom. Zjawiała się jak duch z przeszłości, żeby przypomnieć mu o innym życiu, które odrzucił.

Zapukała. Ewan odruchowo wyciągnął dłoń, ale szybko ją cofnął. Nie potrzebował niczego, co rozpraszałoby jego uwagę. Jeśli zacząłby zastanawiać się, czemu Felicity się zjawiała, zacznie też myśleć o innych sprawach. Zainteresowałby się i zboczył z obranej drogi, z powrotem uwikłałby się w życie i postępowałby równie źle, jak przedtem.

Ale nadal pozostawała kwestia listu bez znaczenia. Musiał go wysłać, jednak nie mógł wyjść, bo była tam Felicity.

Mógłby dać jej ten list do wysłania. Nie, to zły pomysł. Mogłaby próbować go zagadać. Wciągnęłaby go.

Co ona tu robiła?

Ewan oparł się o ścianę i zamknął oczy. Nie myślał o niej od lat, ale teraz przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy ją zobaczył na lekcji rysunku, na którą przyszła spóźniona i upuściła wszystko na podłogę.

Tamtego lata w Londynie nie brakowało dziewczyn. Obcisłe ciuchy, krótkie spódniczki, wysokie obcasy – częstowały go papierosami po występach, ich spojrzenia skupiały się na jego rękach i kroczu. Mnóstwo dziewczyn w typie, który wówczas się mu podobał: duży biust, długie nogi, kolczyk w języku, oczy obrysowane eyelinerem – tak wyglądała Alana, kiedy ją poznał. Było jedynie kwestią czasu, kiedy złamie obietnicę daną Alanie – oboje o tym wiedzieli, oboje znali go zbyt dobrze. Ale mimo to zobowiązał się być jej wiernym, a ona udawała, że mu wierzyła.

Miało się to zdarzyć z jedną z tych dziewczyn w garderobie po występie albo w sypialni mieszkania, które wynajmował z Gavinem i Dougie'em. Wytrzymał kilka tygodni, ale to musiało się zdarzyć, czekał jedynie na odpowiednią kombinację alkoholu i nowej dziewczyny, która umiała zrobić użytek ze swoich ust.

Nie miało się to zdarzyć z kimś takim jak Felicity.

Była nerwowa, nosiła źle dobrane ubrania i miała rozmarzony wyraz twarzy, a on chciał ją dotknąć. Z początku nie miało to nic wspólnego z seksem. Pragnął po prostu dotknąć jej policzka lub położyć dłoń na jej wąskim ramieniu. Był młody i głupi. Chciał związać się z nią, ponieważ wyglądała, jakby składała się z czystego uczucia.

Felicity przestała pukać.

– Dlaczego chcesz się ze mną spotkać? – wymamrotał sam do siebie. – W czym rzecz?

Cisza była donośna i bardzo długa.

Był młody i głupi, ale Felicity Bloom była jedyną dobrą decyzją w jego życiu, nawet jeśli trwało to tylko kilka tygodni.

Ewan znów zaklął i otworzył drzwi. Nie było jej.

Zbiegał po schodach po dwa stopnie, dźwięk jego kroków niósł się echem po klatce schodowej. Wszedł na słońce i musiał mrugnąć parę razy, zanim zaczął widzieć wyraźnie. Szła chodnikiem jakieś trzydzieści metrów przed nim. Miała na sobie niebieską sukienkę w kropki, czerwony kardigan i jakiś jedwabny kwiat we włosach. Podbiegł do niej i złapał za ramię.

Obróciła się.

– Co? – zapytał. Jego głos zabrzmiał szorstko nawet w jego uszach. – Czego chcesz?

Dlaczego mnie znalazłaś? Tylko szybko, mam coś do zrobienia.

Felicity uśmiechnęła się szeroko, zachwycona, jakby spotkali się przez przypadek na jakimś przyjęciu. To był bardzo, bardzo zły pomysł. Powinien odejść, zanim będzie jeszcze gorzej.

– Po prostu chciałam cię zobaczyć – powiedziała.

– No to mnie zobaczyłaś. Coś jeszcze?

Obejrzała go od stóp do głów: jego brudne ubranie, nieogolony podbródek, znoszoną kurtkę, brudne włosy. Był pewien, że jego wygląd odzwierciedla to, jak się czuł, a na jego samopoczucie składało się przede wszystkim to, że przez ostatnie kilka tygodni prawie nie opuszczał mieszkania, nie jadł, nie spał, planował swoją śmierć i wyrzucał gitary przez okno.

– Czy wydaje ci się, że wyglądam starzej? – zapytała.

Jasna cholera! Zapomniał już, że jej wypowiedzi są często bez związku.

– Odszukałaś mnie, żebym był twoim lustrem?

– Widziałam twój portret namalowany przez mamę – powiedziała. – Wyglądasz dokładnie tak samo.

– Oczywiście, że nie. To było dziesięć lat temu i nie byłem... – Przełknął, aby powstrzymać swój gniew na nią, na siebie, na upływ czasu.

– Zmieniłeś się, ale wyglądasz dokładnie tak samo. – Poklepała się nad sercem. – Tutaj.

Jej słowa były strasznie tandetne, gdyby usłyszał je w filmie lub telewizji, prychnąłby lub się roześmiał. Teraz jednak przeszły go na wylot.

– Klawo – powiedział. – Dobrze wiedzieć. Wieczna młodość na płótnie, jak również w twoim sercu. Jakie to słodkie! I dobrze wiedzieć, że ten obraz, gdziekolwiek jest, nie jest jak w Dorianie Grayu.

– Obraz jest w Nowym Jorku.

– Super. Niesamowite. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko...

– Teraz to ty pobiegłeś za mną. Sam musiałeś chcieć mi coś powiedzieć.

– Nie przybiegłem za tobą. Ja... – Westchnął, aby zatuszować kłamstwo. – Potrzebuję znaczka.

– Chodźmy razem na pocztę.

O co jej chodziło? Chciała go zdenerwować? Prześladować? Wskrzесиć ich starą znajomość? Każda możliwość wydawała mu się tak śmieszna, że nie wiedział, co z tym zrobić.

– Dobra – zgodził się. – Ale tylko dlatego, że i tak muszę tam iść. Nie potrzebuję niczego, co miałyby mnie rozpraszać, i nie chcę już wspominać. Mam coś do zrobienia.

Zaczął iść szybko, klnąc pod nosem. Felicity truchtała obok niego.

– Co masz takiego ważnego do zrobienia? – zapytała.

Jęknął i przyspieszył kroku.

– Co porabiałeś przez ostatnie dziesięć lat?

Nie odpowiedział.

– Dziesięć lat to szmat czasu – mówiła dalej. – Nie utrzymywaliśmy w ogóle kontaktu. Nie jesteś ciekaw, co u mnie?

Sądziłem, że jesteś szczęśliwsza beze mnie, więc przestałem o tobie myśleć.

– Nie – odparł.

– A ja jestem ciekawa, co u ciebie?

Zaklął wściekle i szarpnął drzwi do budynku poczty. Felicity została na zewnątrz.

Czuł, jak przygląda się mu przez okno.

Poczta była pusta. Podbiegł do okienka.

– Znaczek na ekonomiczny – warknął do kobiety. – Tylko szybko!

– Życzy pan sobie cały zestaw czy...

– Powiedziałem jeden znaczek, do cholery!

Podawała mu znaczek, wzięła pieniądze i wydała resztę bez ani jednego słowa więcej, czego dokładnie sobie życzył.

Kiedy wyszedł, Felicity stała z zaciśniętymi pięściami.

– Dobra – powiedziała. – Mogę zrozumieć, czemu nie chcesz mnie widzieć. Pewnie jesteś szczęśliwie żonaty i masz gromadkę dzieci, więc nie chcesz, żeby twoja była dziewczyna wtrącała się do twojego życia nawet na kilka minut. To zrozumiałe. Ale mógłbyś po prostu to powiedzieć, a nie być taki chamski.

Spojrzał na nią. Czy to żart?

Nie.

– No – powiedział. – Chamstwo to z pewnością mój największy problem. Dzięki, że mi to wyjaśniłaś. – Przykleił znaczek na kopertę, która była już dość zmięta. – Potrzebuję skrzynki pocztowej.

– Ewan, nie widzieliśmy się od dziesięciu lat. Z pewnością po takim czasie mógłbyś być wobec mnie przynajmniej uprzejmy. – Położyła zaciśnięte pięści na biodrach. – Tym bardziej, że to ty zламаłeś mi serce.

Szedł w kierunku skrzynki, ale słysząc to, aż przystanął.

– Ja zламаłem twoje serce? Czy ty masz jakieś problemy z pamięcią albo coś? To ty mnie odrzuciłaś.

– Bo spodziewałaś się dziecka ze swoją dziewczyną.

– A kto na całym świecie oprócz ciebie uważa, że jeśli kobieta ma urodzić mężczyźni dziecko, to muszą być ze sobą?

– Nie ożeniłaś się z nią?

Co to za emocje malowały się na jej twarzy? Kiedyś umiał je rozróżniać. Zamęt czy panika, czy rozczarowanie?

– Och, ożeniłem się z Alaną, jak trzeba.

– I urodziło się wam dziecko?

– Mamy córkę. – Ruszył do skrzynki. Ręce się mu trzęsły. List nie trafił w szparę i upadł na ziemię. – Cholera. – Kiedy schylił się, żeby go podnieść, wpadł na Felicity, która była tuż obok.

– A więc miałam rację – powiedziała. Zanim zdążył się otrząsnąć, ona schyliła się i podniosła list. – Miałam rację, ty miałeś być z nią, postąpiłam słusznie.

– Oddaj list.

– Oddam ci go, kiedy przyznasz, że nie podjęliśmy złej decyzji. Musisz też przeprosić tę panią na poczcie. Ona również nie zasłużyła, żebyś był dla niej taki niegrzeczny.

Próbował chwycić list, jednak Felicity uciekła z zasięgu jego ręki. Jego odruchy były spowolnione przez brak jedzenia i snu oraz przez wszystko, co wydarzyło się jeszcze wcześniej, a tak naprawdę wcale nie miał ochoty wyrywać listu z rąk Felicity na środku londyńskiej ulicy. Właściwie nie robiło to różnicy, ale wolał się już bardziej nie ośmieszać.

– Dobra – powiedział. Wbiegł ponownie na pocztę. Kobieta w okienku aż drgnęła na jego

widok. Jej ręce powędrowały pod blat, gdzie, jak przypuszczał, znajdował się przycisk alarmowy lub coś innego, co trzymano z myślą o agresywnych świrach takich jak on.

– Przepraszam, że byłem wobec pani taki niegrzeczny – powiedział. – Obsługa klienta w pani wykonaniu była doskonała, a ja zachowałem się jak kutas.

– Ech...

– Życzę miłego dnia.

Wrócił do Felicity.

– Zadowolona?

– A teraz powiedz mi, że nie podjęliśmy złej decyzji, kiedy ustaliliśmy, że się rozstaniemy.

– Każda jedna decyzja, którą podjąłem w swoim życiu, była zła, Flick.

Zaczęła mrugać, a on niemal obrócił się, żeby zobaczyć, co wywarło na niej takie wrażenie, aż w końcu dotarło do niego, o co chodzi. Powiedział do niej „Flick”. Bezwiednie wróciło do niego stare przezwisko, które dla niej wymyślił.

– Dobra – powiedziała.

Obróciła się i wrzuciła jego list do skrzynki – jego list samobójczy. W jednej chwili był w jej rękach, w drugiej przepadł w czeluściach skrzynki. Pierwszy krok na jego drodze do Ginge’a, który otworzy go we wtorek, a może dopiero w środę, i zadzwoni na policję, żeby odnaleźli martwego Ewana.

Ostania sprawa została załatwiona. Pozostała jedynie whisky i tabletki. Wypełnić tę pustkę po raz ostatni lekarstwem. „Taki koniec byłby czymś upragnionym”^[3].

Jakże nienawidził Hamleta, tego niezdecydowanego humorzastego sukinsyna.

– Dzięki – powiedział głucho i zaczął iść z powrotem do mieszkania.

Szła obok bez słowa. Nie patrzył na nią, żeby nie zachęcać jej do mówienia, żeby nie widzieć, że sprawił jej ból. Nie chciał i tego mieć na sumieniu, nawet przez ten krótki czas, który mu pozostał.

Zatrzymał się przed drzwiami, aby wyjąć klucze z kurtki.

– Zatem – powiedział, patrząc gdzieś w okolicę jej lewego ucha, byle nie na twarz. – Żegnam.

– Do widzenia – powiedziała. – Przykro mi, że to wszystko było na nic.

Brzmiała jak osoba pokonana. Spojrzał na jej twarz. To pewnie był błąd.

Ale odkąd zobaczył ją na swoim progu, poczuł tyle emocji – prawdziwych i surowych – jakich nie czuł od bardzo długiego czasu.

To na pewno był błąd.

– Chcesz pójść na drinka? – zapytał.

[3] W. Shakespeare, *Hamlet*, akt III, scena 1, tłum. S. Barańczak.

- Na drinka? – zapytałam. – Teraz?
- Tak – powiedział Ewan. – Dokładnie teraz.
- Nie miałeś przypadkiem czegoś pilnego do zrobienia?
- Dwadzieścia minut nie zrobi wielkiej różnicy. Chodź.

Po raz kolejny zaczyna mknąć po chodniku i muszę się nieźle wysilić, żeby za nim nadążyć. Idziemy w odwrotnym kierunku niż wcześniej.

Jest taki prawdziwy, znacznie bardziej trójwymiarowy niż w moich wspomnieniach. Jakby ten zapach i uczucie było ucieleśnione w tym mężczyźnie, który powinien być dla mnie obcy, ale nie jest. Wszystko w Ewanie, nawet to, co się zmieniło, jest mi znajome.

Bardzo dziwnie jest myśleć, że przez dziesięć lat każde z nas żyło swoim własnym, osobnym życiem. On nie zatrzymał się w czasie ani we wspomnieniach. Żył i stawał się coraz bardziej sobą.

Jego włosy są gęste i zmierzwione. Ma zmarszczki wokół oczu od śmiechu i mrużenia. Jego skórzana kurtka jest chyba ta sama, co wtedy, tylko jeszcze bardziej znoszona, miękka i powycierana na łokciach i kołnierzu. Wygląda, jakby spał w tych ubraniach. Jego akcent się zatarł. Ale ręce są dokładnie takie, jak kiedyś.

Kiedy otworzył drzwi, moje serce aż podskoczyło i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie nabrać głośno powietrza w oczekiwaniu zapachu plumerii. W tamtym momencie nie miałam poczucia winy. W ogóle nie myślałam o Quinnie. Myśli o moim mężu przyszły później, kiedy Ewan zatrzasnął mi drzwi przed nosem i kiedy szłam z powrotem na stację metra, sądząc, że może to i lepiej, że nie chciał mnie widzieć. Zastanawiałam się nad tym, jakie to dziwne, że myślałam o mojej pierwszej miłości, że go odnalazłam i że do niczego nie doszło. Miałam już zamiar zignorować to, co mój umysł lub wszechświat starał się mi przekazać, i miałam ruszyć do przodu. Mogłam swobodnie dojść do tego, czego chciałam od mojego małżeństwa, nie zaprzatając sobie głowy myślami o innym mężczyźnie.

A wtedy on przybiegł i byłam z tego tak bardzo zadowolona. Później byłam wściekła, a jeszcze później... zagubiona. Żadne uczucie już mnie nie prowadziło.

A teraz idziemy razem na drinka.

Chociaż on nie wygląda na zadowolonego. Jego twarz jest pochmurna, ręce wepchnął do kieszeni kurtki i wściekle stawia kroki.

– Gdzie idziemy? – pytam.

– Do pubu. – Nagle skręca w prawo w boczną ulicę, na końcu której znajduje się bar. Z zewnątrz wygląda dość obskurnie: kilku mężczyzn opiera się o ścianę i pali papierosy. Kiedy wchodzimy do środka, nie wygląda to ani trochę lepiej. Jest brudno, duszno i pełno tu ludzi, którzy wyglądają, jakby nie opuścili swoich miejsc od 1986 roku.

Ewan idzie prosto do kontuaru.

– Whisky – mówi do barmana. – Podwójną. Im tańsza, tym lepsza. Mogę równie dobrze zacząć upijać się od razu. – Obraca się do mnie. – Tobie?

Wszystko to jest tak nierealne, że mam wątpliwości, czy picie alkoholu to dobry pomysł. Nie zjadłam dzisiaj za dużo, bo byłam zbyt zdenerwowana.

– To samo – mówię mimo wszystko. Ewan kiwa na barmana, który nalewa alkohol do

niezbyt czystego szkła. Ewan zanosi nasze drinki do stolika w rogu.

Siadam na krześle z popękany plastikowym pokryciem. Klei się. Ewan siada naprzeciwko. Pociąga łyk whisky i przebiera palcami po stole, patrząc na maszyny do gry.

Upijam ze swojego kieliszka i aż się wzdrygam. Z drugiej strony podwójna tania whisky to drink jak najbardziej na miejscu w takim pubie i być może dzięki niej zyskam jakiś wgląd w stan umysłu Ewana, który całym swoim ciałem daje do zrozumienia, że nie chce tutaj ze mną być. A jednak to był jego pomysł. Mógł zatrzasać mi drzwi przed nosem, jak zrobił to na początku.

– A więc – zaczynam – nie powiedziałaś mi, co działo się z tobą przez te dziesięć lat.

– Grałem na gitarze.

– A co z twoją... córką? – Czekam, żeby wypowiedział imię dziecka, które ma z Alaną. Ale on pije whisky i nie odpowiada. Minuty się ciągną. Przestał bębnić palcami i zacisnął dłoń w pięść. Migające światła odbijają się w jego oczach.

– Wyszłam za męża w zeszłym roku – opowiadam. – Mieszkamy w Tillingford, małym miasteczku w Oxfordshire. Mamy małą chatkę, która jest jednak wystarczająco duża, bym mogła mieć tam swoją pracownię, jest nawet dodatkowy pokój. Rysuję. Tym właśnie się teraz zajmuję. Robię ilustracje, jakieś niewielkie rzeczy. Książki dla dzieci. Pracuję nad serią, która nazywa się *Igor Sowa*.

Czekam na jakąś reakcję na wiadomość o moim małżeństwie, a może nawet oczekuję, że słyszał o Igorze.

– Całkiem nieźle się sprzedaje – dodaję.

– Jak się ma Esther? – mówi, jakby niechętnie wymawiał te słowa.

– Nie żyje.

Podrywa głowę do góry. Jego uwaga skupia się na mnie po raz pierwszy, odkąd weszliśmy do pubu.

– Nie wiedziałem.

– Zmarła prawie dwa lata temu.

– Muszę się jeszcze napić. – Wstaje i podchodzi do kontuaru, nie pytając, czy ja też coś chcę.

Jeden z samotnych klientów pubu obserwuje mnie z drugiego końca sali. Unosi swoje zatłuszczone brwi, kiedy orientuje się, że zauważyłam jego spojrzenie, i unosi kufel w moim kierunku. Pochyliam głowę i przyglądam się blatowi, obawiając się, że Ewan może uraczyć mnie zwyczajowymi frazesami: jak bardzo mu przykro, jaką wspaniałą osobą była i jaka to strata.

Kiedy Ewan wraca, nie odzywa się ani słowem. Skupia się na picu whisky, jakby to było zadanie, które ma do wykonania. To denerwuje mnie jeszcze bardziej.

– Miała raka wątroby – mówię.

Chrząka.

Patrzę na niego i moja dłoń zaciska się na brudnej szklance. Nie chodzi o to, że Ewan nie wie, co powiedzieć. Ewan zawsze miał coś do powiedzenia. Połyka swój alkohol, jakby mnie w ogóle nie było. Jakby moja strata w ogóle się nie liczyła, jakby nigdy nie spędzał czasu z moją matką. Jakby ona nie uwieczniła go na swoim obrazie i to jako zakochanego.

Wstaję.

– Jeśli nie jesteś zainteresowany, to wychodzę.

– To ty chciałaś się spotkać

– Już nie – odpowiadam. Obracam się na pięcie i wychodzę z pubu.

Na zewnątrz powietrze pachnie o wiele lepiej. Jeden z palących mamrocze coś do kolegi i razem chichoczą. Nie zwracam na nich uwagi i szybko odchodzę, chociaż nie jestem pewna, w którą stronę powinnam iść do metra. Nie dbam o to. Serce mi łomocze, a moja twarz z pewnością jest czerwona ze złości.

– Flick!

Ewan krzyczy za mną. Nie zatrzymuję się. Słyszę, że mnie dogania, choć tym razem nie łapie mnie za ramię. Obracam się, żeby spojrzeć na niego.

– Nie interesuję cię ani trochę – mówię wściekle. – Ani moje uczucia. Zachowujesz się jak arogancki dupek, zabierasz mnie do najgorszego pubu na świecie, a kiedy mówię ci coś ważnego – ty chrząkasz. To, że nie dbasz o mnie, jest w porządku, ale mojej matce na tobie zależało. Zobaczyła coś w tobie i próbowała podzielić się tym ze światem, a ciebie to gównu obchodzi. Nie rozumiem, czemu ciągle za mną idziesz ani czemu zaprosiłeś mnie na drinka.

Wykrzywia twarz i trze oczy dłońmi.

– Nie wiem, nie wiem czemu. Byłem głupi.

– Co ty nie powiesz! – krzyczę i cofam się. Powinnam wrócić do Lauren, a potem do Tillingford i zabrać się za swoje życie od nowa.

Wszystko to na nic.

Odwracam się, żeby Ewan nie zobaczył moich łez.

– Przykro mi – mówi Ewan. – Nie wiem, na co liczyłem. Po prostu w ogóle się ciebie nie spodziewałem. Rozproszyłaś moją uwagę. Przypomniałaś mi o jeszcze innej możliwości. Mogła być jeszcze inna droga.

– Mi też przykro – odpowiadam i zaczynam iść w swoją stronę. Łapie mnie za ramię.

– Zrób coś dla mnie – mówi z zapałem. – Wiem, że na to nie zasługuję i że nie powinienem o to prosić. Ale zrób tę ostatnią rzecz dla mnie.

– Dlaczego?

– Bo miałaś rację, twoja matka dostrzegła coś we mnie. Bo ty to zobaczyłaś. – Czuję zapach whisky w jego oddechu, jego dłoń na moim ramieniu jest gorąca.

– Zgódź się spotkać ze mną w poniedziałek – mówi. – Nie, w poniedziałek będzie za wcześnie, nadal będę mógł to zrobić. Wtorek. Zgódź się spotkać ze mną we wtorek.

– W jakim celu?

– Nie mogę ci powiedzieć, nie teraz. Powiedz, że spotkasz się gdzieś ze mną, gdziekolwiek, byle daleko stąd. Spotkaj się ze mną w Greenwich, niedaleko zerowego południka. Tak będzie dobrze. W południe.

Jego słowa są naglące, a spojrzenie przeszywa mnie na wylot.

– Dlaczego? – Ponawiam pytanie. – Dałam ci wystarczająco dużo szans. Nie możesz mi powiedzieć tego teraz, cokolwiek to jest?

– Nie mogę. I być może nie będę mógł powiedzieć ci tego nawet wtedy. Ale jeśli nie będę mógł ci tego powiedzieć, nie przyjdę.

– Chcesz, żebym zgodziła się spotkać z tobą aż w Greenwich, choć nie ma pewności, czy w ogóle tam będziesz?

– Jeśli nie przyjdę, to nie z twojej winy. Nie czekaj za długo. Jeśli się nie zjawię, zapomnij o mnie. Zapomnij, że cię nawet prosiłem. Tak będzie najlepiej.

– Nic nie rozumiem.

– Nie musisz. Pewnie nie przyjdę. Po prostu powiedz, że tam będziesz. We wtorek w południe. Albo będzie za późno, albo i nie.

Z tak bliska dostrzegam w Ewanie więcej zmian. Nie poznaję jego zapachu. Jednakże rozpoznaję tę intensywność, jak również kolor jego oczu, choć są zmęczone.

– Zgoda – mówię. – Będę tam.

Zapach przychodzi do mnie dopiero, kiedy już rozeszliśmy się z Ewanem i idę na stację metra. Nagle powietrze wypełnia się zapachem plumerii, więc zatrzymuję się i rozglądam dookoła w przekonaniu, że Ewan znów za mną idzie, że jest tuż za mną i zaraz położy dłoń na moim ramieniu, a jak tylko się obrócę, powie mi wszystko to, co powinien. Jak bardzo za mną tęsknił i myślał o mnie przez te wszystkie lata. I jak wspomina nasze uczucie – miłość, miłość, miłość.

Nie ma go. Nic nie powiedział. Opieram się o metalową barierkę, której zadaniem jest powstrzymywanie ludzi od przechodzenia przez ulicę w niewłaściwym miejscu, i robię to, co jestem w stanie, czyli zamykam oczy, ignoruję otoczenie i oddaję się wszechogarniającej błogości.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

Wracam do rzeczywistości, na ile jest to tylko możliwe, i widzę przed sobą starszego pana. Ma ciemną skórę i szpakowate włosy, mimo lata ubrany jest w tweedowy garnitur. To cudowne. Uwielbiam ludzi, którzy ubierają się bez względu na pogodę.

– Czuję się fantastycznie – odpowiadam. – Lepiej być nie może.

– Miło mi to słyszeć. Czyli nie potrzebuje pani pomocy? Po prostu trzyma się pani tej barierki, jakby miała pani odlecieć.

Śmieję się.

– Nie potrzebuję pomocy. – To prawda, uczucie blaknie. Nie jest już tak wszechogarniające. Mogę się wyprostować (nawet nie wiem kiedy, ale osunęłam się prawie na kolana).

– Jestem zakochana – mówię.

– To bardzo dobrze. Miłość to błogosławieństwo.

– To najlepsza rzecz na świecie. Wiem, że tak jest. Tak musi być. Inaczej, co nam zostaje?

– Proszę uważać i patrzeć przed siebie.

Puszczam barierkę, rozprostowując zeszywniałe palce.

– Jest pani pewna, że dobrze się pani czuje? Wygląda pani, jakby kręciło się pani w głowie.

– Wszystko dobrze. – odpowiadam. – Idę na...

Nie znam tej ulicy. Myślałam, że jestem niedaleko metra, ale musiałam skręcić w niewłaściwym kierunku, kiedy poczułam plumerie.

– Gdzie? – pyta uprzejmy dżentelmen, ponownie zaniepokojony. Ale nie zwracam na niego uwagi. Czuję się świetnie i w końcu przecież trafię na stację. To nie może być trudne. Uśmiecham się do niego uśmiechem zakochanej kobiety, która wie, że wszystko będzie dobrze.

Mieszkanie Lauren znajduje się w Canary Wharf, jest nowe i pięknie urządzone, z regulacją temperatury i wilgotności i z wielkimi oknami, które wychodzą na Tamizę. Kiedy wracam, zapasowy laptop Lauren nadal leży na stole, otwarty, ale uśpiony. Jeśli nacisnę spację, natychmiast na ekranie wyświetli się profil Ewana na Facebooku, na którym zamieścił swój adres i numer telefonu obok informacji, że jest profesjonalnym

gitarzystą. Zdjęcie profilowe ukazuje go grającego na scenie i można go poznać jedynie po posturze i po włosach. Ma tysiąc czterystu pięćdziesięciu trzech znajomych, a w statusie związku ma wpisane „To skomplikowane”. Cały czas był dostępny w sieci, żebym mogła go znaleźć w każdej chwili. Ale ja zaczęłam go szukać dopiero tego ranka.

Dojrzewiałam do tego przez trzy dni. Tyle dokładnie czasu minęło, odkąd opuściłam męża i zaczęłam rozglądać się za innym mężczyzną. Oczywiście, ten drugi najwyraźniej spędził ostatnią dekadę, powoli zamieniając się w kompletnego dupka.

A mimo to nadal czułam, jakbym była w nim zakochana.

Potykałam się na drewnianej podłodze, padłam na podwójną sofę Lauren. Nie jest zbyt wygodna, ale ja jestem wykończona. Do szpiku kości. Mam dużo do przemyślenia: czy powinnam spotkać się ponownie z Ewanem? Czy powinnam powiedzieć o nim Quinnowi? Czy może powinnam zapomnieć o tym wszystkim i wrócić do Tillingford?

Oczy same mi się zamykają. Śni mi się Ewan jako kruk z długimi nogami i szeroko rozpostartymi skrzydłami, a w jego oczach odbijają się światła maszyn do gry. Otwiera dziób i słyszę dzwonienie.

Budzę się. Dzwonienie telefonu dobiega z mojej torebki. Sięgam po niego i widzę, że dzwoni Quinn.

– Cześć, kochanie – mówi.

– Przepraszam, dopiero się obudziłam – mówię, siadając na sofie i odgarniając włosy z twarzy.

– Wszystko w porządku? Chcesz wrócić do spania?

– Nie, nie. Tylko drzemałam. – Spoglądam na duży cyfrowy zegar świecący nad drzwiami do kuchni – jest wpół do szóstej, dokładnie o tej porze Quinn dzwoni do mnie codziennie, odkąd przyjechałam do Londynu. Zaraz po tym, jak wróci z pracy i zrobi sobie kubek herbaty. Czuję się, jakbym miała w głowie watę. – Jak ci minął dzień?

– Letnie przyjęcia, spacerzy charytatywne. Jesteśmy umówieni na przyszły tydzień na spotkanie z Tamsyn Ford, żeby porozmawiać o kampanii na rzecz utrzymania Boscombe House. Ona jest reprezentantką naszego okręgu w parlamencie – przypomina mi, nawet nie muszę się dopytywać. – Cameron Bishop znów ukradł mi rower.

– Odzyskałeś go?

– Zrobił to dopiero pięć minut temu. Widziałem przez okno. – Tłumi westchnięcie.

Wiem, gdzie siedzi: w fotelu obok telewizora, tym, na którym rzadko ktoś siada. Stamtąd jest najlepszy widok przez okno. Jeden z drewnianych podłokietników się rozchybotał i kiedy Quinn mówi, w tle słyszę trzeszczenie.

Wyobrażam go sobie w naszej chatce, jak siada na różnych krzesłach, żeby zapełnić pustkę.

– Wybierasz się później do pubu? – pytam.

– Nie dzisiaj. A co ty dziś porabiałaś? Znalazłaś jakąś inspirację?

Rozglądam się po salonie: jasnym, przestronnym i nowoczesnym, którego wielkie okna wychodzą na szaroburą rzekę.

– Nie, jeszcze nie.

– To przyjdzie.

Kiedy wyjeżdżałam, wspomniałam, że zamierzam pracować w ramach terapii. Dzięki temu moje odejście miało być mniej bolesne, a ja miałam świetną nieemocjonalną wymówkę, żeby jechać do Londynu. Oboje, nie uzgadniając tego ze sobą, uczepiliśmy się

jej. Oboje udajemy, że jestem tutaj tylko po to, by pracować. Tak jest łatwiej.

– Spotkałam się ze starym przyjacielem – mówię. – Możliwe, że zobaczę się z nim również w przyszłym tygodniu. Ale nie jestem pewna.

– To miło.

– Cóż, prawdę powiedziawszy, jest trochę dupkiem, ale czego się nie robi przez wzgląd na stare czasy.

Milczy. Nasze rozmowy telefoniczne są pełne milczenia obciążonego tym wszystkim, czego nie mówimy. To, że wspomniałam Quinnowi o Ewanie, nie poprawiło mi samopoczucia. Ale przecież tak właśnie było: spotkałam się ze starym przyjacielem, który okazał się nie tak miły, jak to zapamiętałam. I być może jeszcze się z nim zobaczę.

Szłam po Shoreditch High Street pijana miłością do niego.

– Co zamierzasz zrobić w sprawie Camerona i twojego roweru? – pytam. – To się ciągle powtarza.

– Możliwe, że kupię zapięcie. Ale obawiam się, że on wtedy znajdzie przecinak do metalu, a tym może sobie zrobić krzywdę.

– Może również wjechać na twoim rowerze pod samochód. Za to również nie będziesz ponosił odpowiedzialności.

– Nawet nie wiem, czemu tak bardzo lubi ten mój rower. Jego matka mówi, że ma w szopie BMX. Poza tym nie mogę kupić sobie zapięcia. Za każdym razem, kiedy Cameron kradnie mój rower, obiecuje, że to ostatni raz. Jeśli kupię zapięcie, odbiorę mu szansę poprawy.

Odbyliśmy już tę rozmowę wielokrotnie przy herbacie, podczas kolacji czy spaceru po ścieżce. Nagle rodzi się we mnie przekonanie, że gdybym była w ciąży, robilibyśmy dokładnie to samo: rozmawialibyśmy o dziecku, żeby zatuszować te momenty ciszy.

Quinn nie mówi, żebym wróciła, ale słyszę to w jego oddechu, w skrzypieniu jego krzesła.

– W każdym razie – mówię – jestem naprawdę zmęczona. Myślę, że położę się wcześniej. Jutro ma być jeszcze cieplej.

– Przez kilka następnych tygodni. W końcu prawdziwe lato. Mama martwi się o swoje kwiaty.

Ciekawe, co powiedział swoim rodzicom i Suz? Coś więcej poza fikcją, że tutaj mi się lepiej pracuje? Nie sądzę – Molly przysłała mi już dwie kartki. Jedna była z kotkiem, a druga z gospodynią wystylizowaną na lata pięćdziesiąte. Na obu radosnym piśmie Molly było napisane „Powodzenia z książką!”.

– Myślę, że powinnam rozejrzeć się za czymś na kolację. Lauren nie zostawiła w kuchni dużo więcej oprócz batonów proteinowych. Pewnie zostały jej po chłopaku trenerze.

– Masz jakieś plany na weekend? – Quinn pyta pospiesznie. – Może przyjadę do Londynu? Zjemy razem lunch.

Pierścionek na moim palcu podpowiada mi, żebym się zgodziła. Należał wcześniej do babci Quinna – różowe złoto i diamenty. Obracam go dookoła palca.

– Nie jestem pewna. W całej tej sprawie, że potrzebuję przestrzeni, chodzi właśnie o to, że jej potrzebuję.

– Nie muszę przyjeżdżać do Canary Wharf. Możemy się gdzieś spotkać.

– No nie wiem, muszę... muszę pomyśleć o różnych sprawach.

– Jestem twoim mężem, Felicity. Możesz chyba zjeść ze mną lunch.

Po raz pierwszy odkąd wyjechałam, słyszę w jego głosie zniecierpliwienie.

Okręcam pierścionek. Wtorek. Ewan poprosił o spotkanie we wtorek. Do tego czasu nie mogę być niczego pewna.

To byłoby takie łatwe, spotkać się z Quinnem na lunch, wrócić do naszego związku, naszego towarzystwa, naszej rutyny. Do naszego udawania. To byłoby proste – wrócić z nim do domu. Wrócić do Tillingford, nie wprowadziwszy żadnych zmian. Podobnie jak nasza rozmowa o rowerze, wrócilibyśmy na utartą trasę.

– Daj mi jeszcze jeden tydzień. Możemy się spotkać w przyszły weekend. Zgoda?

– Nie mam innego wyjścia.

– Dobranoc, Quinn.

– Dobranoc, kochanie.

W Greenwich jest gorąco. Światło odbija się od wielkich, białych budynków Old Royal Naval College i kradnie chłód z Tamizy. Przechodzę przez park ścieżką wśród traw w kierunku cebulastej kopuły z iglicą zakończoną czerwoną kulką na szczycie wzgórza.

Ewan powiedział, żebym poczekała na niego tylko chwilę, co znaczy, że sam też nie będzie tu zbyt długo. Nie chcę się z nim minąć, więc ten jeden jedyny raz przyszedłam wcześniej. Mimo że jest gorący wtorkowy dzień, wokół pełno turystów nawołujących się we własnych językach, pchających wózki, robiących zdjęcia, dyszących od wspinaczki. Kilka osób rozłożyło koce na trawie i szykuje sobie piknik.

Dochodzę na szczyt. Linia południka zerowego znajduje się na dziedzińcu za wielkimi czarnymi wrotami. Ludzie tłoczą się przed nimi, czekając, aby zrobić sobie zdjęcie z jedną stopą na zachodzie, a drugą na wschodzie. Czy miałam spotkać się z Ewanem dokładnie przy południku czy tylko w pobliżu? Waham się, ale decyduję się stanąć i poczekać na szczycie wzgórza. W ten sposób zobaczę go, jak będzie szedł, jeśli jeszcze go tu nie ma.

Staję nieopodal zegara w ścianie niedaleko bramy. Jestem pięć minut wcześniej – nie jest to dużo przed czasem, ale jak na mnie jest to wyczyn. Byłoby lepiej, gdybym miała gazetę lub książkę do czytania, żeby się czymś zająć, jak to ma w zwyczaju Quinn. Wyciągam szyję, wypatrując Ewana i starając się wyłowić go z tłumu turystów.

– To tu – mówi jeden z nich. – To tu zaczyna się czas.

Czy naprawdę? Muszę przyznać, że mam bardzo niewielką wiedzę na temat tego, co zerowy południk w ogóle oznacza. Poniżej zegara znajdują się oficjalne standardy miar przedstawione na metalowych sztabkach. Żeby wszędzie na świecie rzeczy miały taką samą miarę. To jest jard. A to stopa. To jest pewność.

Po prawej dostrzegam czarną skórzaną kurtkę wspinającą się po wzgórzu. Serce mi podskakuje, ale to tylko nastolatek z przebitą wargą, ani trochę niepodobny do Ewana.

Myślę o tym, co mi powiedział: „Nie czekaj za długo, a jeśli się nie zjawię, zapomnij o mnie w ogóle”.

Łatwo mu mówić. Nie wydaje mi się, żebym mogła o nim zapomnieć.

Ostatniej nocy wpisałam w Google słowo „plumeria”. Wikipedia poinformowała mnie, że jest to inna nazwa Kwiatu Lei z rodziny gatunków tropikalnych i subtropikalnych. Posiada słodki zapach mimo braku nektaru. W wielu miejscach w Azji kwiaty plumerii kojarzą się z pogrzebami, cmentarzami i śmiercią.

Szukałam, ale nie znalazłam żadnej choroby, która charakteryzowałaby się odczuwaniem zapachu plumerii.

Mogę spróbować umówić się na wcześniejszą wizytę z neurologiem, aby sprawdzić, czy coś fizycznie nie powoduje tych odczuć i wspomnień. Możliwe, że jest na to jakiś lek. A może to coś poważniejszego. Być może mam w swojej głowie coś oprócz wspomnień, coś, co rośnie i zmienia się, coś, co w końcu może pochłonać wszystkie moje wspomnienia.

Być może ta miłość jest chorobą.

Zostawiam zegar i miary. Przechodzę na drugą stronę ścieżki, opieram się o barierkę, żeby podziwiać widok. Białe, symetryczne budynki w dole, kolumny i wieże – architektura racjonalna i perfekcyjna. Dalej, za rzeką, znajdują się ostre szczyty Canary Wharf, gdzie

mieszkam, odkąd uciekłam od swojego życia.

Miłość zawsze jest chorobą, prawda? Czasem przychodzi z zewnątrz, jak wirus, lub z wewnątrz, jak rak. Zmienia w tobie wszystko. Jest chwilowa lub permanentna. Nie da się jej pozbyć, nie powodując większych szkód.

– Flick – odzywa się za moimi plecami Ewan, aż podskakuję. Nie ma na sobie skórzanej kurtki, tylko podkoszulek i dzinsy.

– Przyszedłeś – mówię bez tchu.

– Nie byłem pewien, czy będziesz.

– Jestem.

Patrzemy na siebie przez chwilę. Też brakuje mu tchu, jakby wbiegł na wzgórze.

– Przepraszam, że się trochę spóźniłem – mówi. – Musiałem poczekać na listonosza, a później wywiązała się mała sprzeczka.

– Byłeś niegrzeczny dla kolejnego pracownika Poczty Królewskiej?

– Okazuje się, że to niezgodne z prawem dać list osobie innej niż adresat, nawet jeśli ta osoba jest jego nadawcą.

– Próbowaleś odzyskać list, który wysłałeś? Dlaczego?

– To długa historia i do tego nudna. Chodźmy stąd, tu jest za dużo ludzi.

Przechodzimy przez dziurę na górze ogrodzenia, nosem wciągamy powietrze w poszukiwaniu plumerii, ale ich nie czuję, jedynie nikły zapach żelu pod prysznic. Odkąd go widziałam ostatnio, ogolił się i umył włosy. Nic nie mówi, kiedy przedzieramy się przez tłumy robiące zdjęcia.

Dziesięć lat może zmienić wiele. Od czasów, kiedy byliśmy kochankami, Ewan został ojcem. Był w różnych miejscach, mieszkał w różnych domach, spotykał ludzi, a nawet odniósł sukces. Zmiany widoczne na jego twarzy i w jego sposobie ubierania się mogą być jedynie powierzchniowymi oznakami wstrząsów sejsmicznych w środku. Znałam go w przeszłości, ale to nie znaczy, że znam go nadal. Nawet te dziesięć lat temu znaliśmy się jedynie przez kilka tygodni. Ten mężczyzna jest dla mnie kimś obcym.

Bezpieczniej jest tak myśleć.

Dochodzimy do drzewa i Ewan siada na trawie w jego cieniu. Robię to samo, opierając się o pień.

– Miłe popołudnie – stwierdzam. Coś takiego mówi się nieznanemu. Coś takiego mówię ostatnio do Quinna.

Ewan patrzy w dół wzgórza w kierunku historycznej zabudowy i kręcącym się wokół niej ludziom, przypominającym rój owadów. Potem spogląda w niebo i pociera dłońmi szorstką trawę.

Jego śmiech przypomina szczeknięcie.

– To piękny dzień – mówi. Kładzie się na ziemi i zaczyna machać rękami i nogami. Gdyby leżał na śniegu, zrobiłby aniołka. – Dziwny i piękny dzień, żeby żyć. Od kiedy mówisz, że dni są „miłe”?

Dziesięć lat temu rzuciłabym się na trawę obok niego i stoczyła się ze wzgórza ze śmiechem.

– Cóż – odpowiadam. – Ten dzień jest miły.

Siada i wytrzepuje sobie trawę z włosów.

– Przykro mi z powodu Esther – wyznaje. – Myślałem, że będzie żyła wiecznie.

– Och – mówię. – Tak, ja też tak myślałam.

– Widziałaś obraz, na którym mnie namalowała? Wśród tych kwiatów?

– Tak. W Nowym Jorku. – Nie spodziewałam się, że rozmowa przybierze taki obrót.

Spodziewałam się kłótni. Nie sądziłam nawet, że słyszał, co powiedziałam wtedy o matce.

– Czy dlatego mnie odszukałaś? – pyta. – Bo zobaczyłaś tamten obraz i chciałaś mi powiedzieć o swojej matce?

– Po części faktycznie znalazłam cię z powodu tego obrazu.

Patrzy na mnie przelotnie kątem oka.

– Jak umarła?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Nie. Myślę, że nie. Śmierć to śmierć.

– Tyle że to nieprawda – mówię gwałtowniej, niż się spodziewałam, ponieważ patrzy na mnie teraz uważnie. – Niektóre rodzaje śmierci są znacznie gorsze.

– Była bardzo chora?

– Miała raka. Bardzo ją bolało. Chciała umrzeć. – Wyrwam pełne garście suchej trawy i rzucam je na wiatr.

Ewan patrzy w dół. Nie oferuje pociechy, jak uczyniłby to Quinn. Nie pyta o więcej szczegółów.

– Czasem to najlepsze, co może być – mówi do trawy, do siebie samego, a może do mnie.

– Świat będzie istniał dalej, obojętnie, czy będziemy, czy nie. Nie sądzę, żeby to była duża różnica.

– Mnie to robi ogromną różnicę.

– Dlatego że ją kochałaś. Ale jeśli nikt cię nie kocha, twoja śmierć nie robi różnicy. –

Wstaje, by strzepać trawę i kurz ze spodni. – Dobrze. Cóż. Dzięki, że się ze mną spotkałaś.

– To wszystko? Idziesz sobie?

Wzrusza ramionami.

– Widok aż tak bardzo mnie nie interesuje. Chciałem ci powiedzieć, że przykro mi z powodu Esther. Powiedziałem to, więc mogę już iść.

Zrywam się na równe nogi.

– Nie rozumiem cię. Błagałeś, żebym tu przyszła, a teraz po prostu sobie idziesz. Nie powiedziałeś mi, dlaczego chciałeś się spotkać. Nie powiedziałeś mi o sobie zupełnie nic.

– Nie chcesz wiedzieć.

– Ależ chcę. Dlatego przyszłam.

– Co chciałabyś wiedzieć?

Wykonuję gest rękoma.

– Co robisz? Co robiłeś? Minęło dziesięć lat, Ewan.

– Jestem gitarzystą. Gram podczas sesji dla zespołów. Jeździmy w trasy. Gram na gitarze ich piosenki. To właściwie tyle.

– A co z twoim zespołem? Z Dougie'em i Gavinem, i jeszcze jednym gościem?

– To nie wyszło. Wróciłem do Glasgow, jak wiesz.

– I ożeniłeś się z Alaną.

– I ożeniłem się z Alaną – mówi śpiewnym głosem, jakby mnie przedrzeźniał.

– I macie dziecko.

– Rebecę. Tak. Czy nie przeszliśmy przez to poprzednim razem?

– I... – Jakiegokolwiek pytanie zadam, wydaje się nietrafione. Czuję motylki w brzuchu

i niepokój w gardle. – Jak one się miewają?

– Nie wiem.

Trzyma ręce na biodrach.

– Nie widziałem ich od dwóch lat – mówi. – Wysyłam im czek każdego miesiąca. Alana ponownie wyszła za mąż. Ma inne dzieci, brata i siostrę Rebekki. Podejrzewam, że są szczęśliwe.

– Nie widzisz ich? Wcale?

Znów wzrusza ramionami.

– Nie wyszło.

– Ale przecież jesteś jej ojcem.

– Mają nowe życie. Jest im lepiej beze mnie. Czy to chciałaś wiedzieć?

Wpatruję się w niego. Czy warto było dla niego cierpieć z powodu złamanego serca, włócząc się wokół paryskiego cmentarza? Żeby mógł mieć dziecko z Alaną, a później je zostawić? Jaki ojciec twierdzi, że jego córce lepiej bez niego?

– Lauren miała rację – mówię. – Jesteś dupkiem i nie powinnam była się z tobą spotykać. – Obracam się, żeby odejść, i wtedy wszystko się zmienia.

Powietrze, gorące letnie powietrze, suche i pełne pyłu, nagle wypełnia się zapachem plumerii. Przygnięta drzewa swoją słodyczą, osiada na trawie, rozjaśnia niebo.

Zarzucam Ewanowi ręce na szyję i całuję go w usta.

Och, cudownie jest znów go dotykać. Jego usta są ciepłe i pełne, tak jak pamiętałam, odrobinę szorstkie i spękane, jego ramiona są szerokie, a jego ciało przy moim jest idealnym wspomnieniem szczęścia. Wkładam palce w jego włosy, które są teraz krótsze, ale takie same w dotyku. Mimo rozkoszy, którą czuję, i pożądania oraz zapachu plumerii, wyczuwam, że jego mięśnie się napinają, a on stoi zupełnie bez ruchu. Jego ręce nie dotykają mnie, aby przyciągnąć mnie bliżej ani aby mnie odepchnąć, jego usta są delikatnie otwarte z zaskoczenia albo żeby zaczerpnąć oddech. Całowanie go jest jak całowanie zatrzymanej w czasie chwili.

Kocham go. Tam, gdzie mam serce, czuję kulę ciepła. Gdzieś w środku nigdy nie przestałam go kochać, a z gardła Ewana dobiega dźwięk i łapie mnie za biodra. Trzyma mnie. Odwzajemnia pocałunek, tak jak kiedyś, kiedy byliśmy spragnieni siebie nawzajem, kiedy byliśmy nienasyчени. Sekretne pocałunki, kradzione pocałunki, pocałunki pod kołdrą w mojej sypialni, kiedy gwiazdy ustępowały miejsca światłu dnia.

Szczęście wyciska łązy spod moich zamkniętych powiek. Jestem zagubiona, jestem zakochana, to uczucie, którego każdy szuka przez całe życie, a ja czuję je teraz. Nieważne, co się wydarzyło. Całuję Ewana, a on mnie kocha...

Wtedy on mnie puszcza i odsuwa się, nie na tyle, żeby wydostać się z moich objęć, ale żeby nasze usta się od siebie odkleiły.

– Co my robimy?

– Całujemy się – mówię, choć można by pomyśleć, że nie wymagało to wyjaśnienia, i całuję jego górną wargę w miejscu, gdzie odrobinę opada w środku, i jego dolną wargę, pełną i gorącą, i boki jego ust, a on znów wydaje ten jęczący dźwięk i całuje mnie w sam środek warg. Nasze języki się spotykają.

Łapie mnie za nadgarstki i zdejmuję moje ręce ze swojej szyi, cofa się bardziej, aż w końcu się nie dotykamy, oprócz tego, że nadal trzyma mnie za ręce. Czuję jego smak na języku.

– Dlaczego się całujemy? – pyta.

– Bo... – „Kocham cię, jestem zakochana w tobie, a w powietrzu unosi się zapach plumerii i tylko to się liczy”. – Bo bardzo dobrze całujesz.

– Felicity, to szaleństwo. My się nawet nie znamy.

– Kiedyś się znaliśmy. – Próbuję podejść bliżej, ale on mnie powstrzymuje.

– Uważasz, że jestem dupkiem.

– To bez znaczenia.

– I czy nie mówiłaś przypadkiem, że masz męża?

To jest jak cios. Jestem mężatką. Jakoś uciekło mi to z głowy w pośpiechu, żeby go pocałować, w porywie emocji. Zapomniałam o Quinnie.

– O mój Boże – mówię. Puszczam moje ręce, którymi zakrywam sobie usta. Odsuwam się od niego, nie spuszczaając z niego oczu. Jest rozczochrany i ciężko oddycha, tak jak ja. Nadal czuję do niego pociąg, całą miłość, którą czułam przed chwilą, więc opieram się o drzewo, pod którym niedawno siedzieliśmy, i przylegam do niego całym ciałem, żebym znów nie próbowała przyciągnąć Ewana.

– Co się dzieje? – pyta Ewan.

– Przepraszam – mówię. – Nie potrafię... – Tak bardzo pragnę znów go dotknąć.

– To nie jest dobry pomysł – stwierdza Ewan. – Nie żebym był najrozsądniejszą osobą pod słońcem ani żebym posiadał jakieś moralne skrupuły. Ale nawet ja wiem, że to byłoby głupie.

– My się nawet nie lubimy – przypominam sama sobie.

– To dlaczego tak na mnie patrzysz? – Ewan wyciera usta wierzchem dłoni. – Może powinienem już sobie pójść.

– Zdecydowanie powinieneś sobie pójść. – Mocno trzymam się drzewa.

– W porządku, Flick? Czy coś jest nie tak?

– Już nie chcę cię całować. Odejdź. – Zamykam oczy i opieram policzek o szorstką korę. Czuję każde uderzenie serca, każdą emocję, która mnie do niego ciągnie. Nie patrząc, czuję, jak Ewan schodzi w dół wzgórza po trawie, nie ma potrzeby wejścia na ścieżkę. Czuję to jako wibracje ziemi, która jest między nami. Trzymam oczy zamknięte, dopóki nie jestem pewna, że będzie już poza zasięgiem wzroku, choć nadal go czuję.

Siedziałam w pociągu do Kornwalii, trzymając przed nosem grubą książkę w miękkiej okładce, a u moich stóp w plastikowej torbie stała urna z prochami mojej matki.

Spędziłam całe popołudnie na plaży Porthmeor w Saint Ives, niedaleko od miejsca, gdzie moja matka spędziła cztery ostatnie lata swojego życia. Poprosiła mnie, żebym rozrzuciła tam jej prochy. Morze było przejrzyste, szare i połyskujące. Siedziałam na piasku i w myślach przechodziłam przez to, co powinnam była zrobić: otworzyć torbę, zdjąć przykrywkę z urny, włożyć do niej dłoń, rozrzucić to, co pozostało z ciała mojej matki, proch i pył, na wiatr. Nie żyła od czterech miesięcy.

Opowiedziała mi o pogrzebach, na które chodziła jako dziecko, gdzie żałobnicy intonowali kadysz, mówiła o czarnych ubraniach i pochylonych głowach, o przygniatającej atmosferze. Zaufała mi, że zamiast tego pozwolę jej podróżować z lekkością, nawet po tym, jak udała się w podróż ostateczną.

Jej prochy były zbyt lekkie, jak na znaczenie, które miały dla mnie, i nie mogłam się ich pozbyć. Nie mogłam sięgnąć do urny i pozwolić się im rozwiać. Była to kolejna zdrada, ale mamy już nie było, więc nic mnie nie krępowało.

Plastikowa torba szeleściła na wietrze, owinęłam nią mocniej urnę i ruszyłam z plaży na stację.

– Uwielbiam tę książkę – usłyszałam. Spojrzałam do góry. Po drugiej stronie stolika siedział mężczyzna, choć wcześniej go nie zauważyłam. Wyglądał młodo, jego skóra była blada, a włosy ciemne. Miał na sobie schludną szarą bluzę z kapturem i uśmiechał się uprzejmie. Trzymał gazetę i papierowy kubek z kawą na wynos.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Nawet nie wiem co to – powiedziałam i obróciłam książkę, żeby zobaczyć okładkę. – Och, *Miasteczko Middlemarch*. Tak, uwielbiam tę książkę, choć czytałam ją całe wieki temu.

Jego uprzejmy uśmiech zamienił się w najszczerzy.

– Wygrałaś.

– Co wygrałam?

– Udowodniłaś mi, że się myliłem. Zauważyłem, że odkąd wsiadłaś na Saint Erth, ani razu nie przewróciłaś strony, ale nie podejrzewałem, że nie wiesz, co trzymasz przed nosem.

– Graliśmy w jakąś grę?

Wzruszył ramionami z głupawym wyrazem twarzy.

– Ja grałem. Przepraszam. Próbuję zgadnąć, o czym myślą inni pasażerowie. To sprawia, że podróż mija przyjemniej. Czasem nie mogę się oprzeć, żeby się upewnić.

– Jesteś jakimś detektywem?

– Dziennikarzem.

Wyprostowałam się, zastanawiając, czy on wie, kim była moja matka, i czy nie szuka historii. Po jej śmierci dużo osób dzwoniło do mnie i pisało e-maile. Nie odpowiedziałam ani na telefony, ani na pocztę.

– Nie martw się – dodał szybko. – Nie śledzę ludzi z teleobiektywem. Pracuję

w regionalnej gazecie w Oxfordshire. A gra została mi z czasów, kiedy byłem chłopcem i marzyłem, żeby być szpiegiem. Głupie, wiem. Nie chciałem sprawić, żebyś poczuła się skrępowana. – Wyglądał na naprawdę zakłopotanego, miał szczupłe dłonie i głos odrobinę zbyt głęboki jak na ciało, z którego się dobywał.

– W porządku – mówię. – To moja wina.

– Nie, nie, ależ skąd.

– Tak naprawdę skrywam mroczny sekret. Ukradłam tę książkę z pensjonatu, w którym się zatrzymałam. Była tam biblioteczka. Nie popatrzyłam nawet na tytuł: po prostu chciałam coś fajnego i grubego.

– Rozumiem. Nie chciałaś z nikim rozmawiać, a ja naruszyłem wszystkie angielskie standardy zachowania. Udawajmy, że nigdy się nawet nie odezwałem. Twój sekret jest u mnie bezpieczny. – Przesunął palce wzdłuż ust, jakby zasuwiał je na zamek, rozłożył gazetę i na powrót skierował ku niej swoją uwagę.

Wróciłam do ukradzionej książki. Chociaż nie przeczytałam z niej ani słowa, była otwarta na stronie dwieście dwudziestej i zauważyłam, że gapiłam się na akapit, w którym przyjaciel Willa Ladislawa pokazuje mu Dorotheę, jakby była eksponatem w galerii. Przekartkowałam do początku tego rozdziału i starałam się oddać lekturze, ale minęły lata, odkąd czytałam tę książkę, i nie pamiętałam już większości imion. Wybrałam ją nie dlatego, że chciałam czytać, ale dlatego, że jej grubość miała mnie osłaniać jak tarcza. Za oknem migał krajobraz. Gdybym zrobiła to, czego życzyła sobie mama, jej prochy zostałyby za mną. Byłyby na drodze do zmieszania się z wodą: w słońcu wyparowywałyby z morza, żeby spaść ponownie pod postacią kropli deszczu. Może taki był cel w rozrzucaniu prochów nad morzem. Żeby poczuć, że ukochana osoba jest w każdej jego kropli.

Spojrzałam na mężczyznę naprzeciwko, który zgodnie ze swoim zapewnieniem nie podnosił oczu znad gazety. Nie był aż tak młody, jak na początku założyłam, raczej w moim wieku. Nagle, choć nie było ku temu żadnych powodów, chciałam go zapytać, kiedy to piekące uczucie pustki minie. Kiedy przestanę dostrzegać ją w kobietach na ulicy, kiedy odbierając telefon, przestanę się spodziewać, że usłyszę jej głos.

– Herbata, kawa, kanapki, chrupki? – zapytała kobieta pchająca wózek z przekąskami. Poprosiłam o herbatę, więc sięgnęła po kubek.

– Od razu proszę zrobić dwie – odezwał się mężczyzna. – Proszę, pozwól mi kupić sobie herbatę. W ramach przeprosin.

– Nie masz za co przepraszać – powiedziałam. – To dzień z życia superszpiega.

– Ja naprawdę lubię George Eliot. Nie powiedziałem tego, żeby wyciągać na światło dzienne twoje sprawy. Choć muszę przyznać, że i ja czytałem tę książkę dawno temu.

Kobieta postawiła dwa kubki herbaty na stoliku między nami. Mężczyzna wyciągnął pieniądze z kieszeni.

– Słodzisz? – zapytał i wtedy zauważyłam, że jego oczy są jasnoszare, dokładnie w odcieniu morza w Saint Ives.

Budzę się od razu, bez uczucia zamętu. Wiem, że śniłam o tym, jak pierwszy raz spotkałam Quinna. Wiem, że jestem w mieszkaniu w Londynie, a przez opuszczone żaluzje wpada światło, którego w mieście zawsze jest pełno, nawet nocą. Wiem, że poprzedniego popołudnia pocałowałam innego mężczyznę w parku w Greenwich. Wiem, że

śnię o Quinnie, bo mam ogromne poczucie winy i złego postępu, bo myślę o tym, jak miły jest mój mąż, i wiem, że odpłaciłam się mu, przywierając do niego, jakby stanowił lekarstwo na smutek, a równocześnie izolowałam go od siebie.

Zamykam oczy i staram się przywołać zapach Quinna. Chemiczny zapach proszku do prania zmieszany z kremem do golenia, herbatą, gazetą, jego ulubionym swetrem, potem pod pachami w gorący dzień, zapachem jego nagiej skóry po prysznicu.

Nie uda mi się to. To jak patrzeć na słowa bez umiejętności odczytania ich. Nie ma go tu.

Mój telefon leży koło łóżka. Wciskam numer, a dopiero później orientuję się, która jest godzina. Jest środek nocy i już zamierzam przerwać połączenie, kiedy Quinn odbiera. Też musi trzymać telefon przy łóżku.

– Cześć, kochanie – mamrocze. Jego głos jest ochrypy od snu. – Wszystko w porządku?

– Po prostu chciałam cię usłyszeć – mówię.

Chcę mu opowiedzieć o całym zamęcie, który czuję. O poczuciu winy z powodu całowania się z Ewanem i o tym, jak mimo wszystko bardzo chcę się dowiedzieć, czemu Ewan się tak zmienił. O tym, że ciekawi mnie to, czemu chciał się ze mną spotkać w Greenwich, jak również czemu mam te napady dziwnych uczuć do niego. Chcę spytać Quinna, co powinnam zrobić, bo Quinn stał się moim najlepszym przyjacielem. Stał się osobą, która zawsze jest przy mnie.

Jest też jedyną osobą, której nie mogę o to spytać.

Słyszę, jak porusza się w łóżku, szelest prześcieradeł i poduszek.

– Tęsknię za tobą – mówi.

– Udawajmy, że tam jestem. Chodźmy po prostu spać.

Leżę więc w łóżku, z telefonem przyciśniętym do ucha, słuchając oddechu Quinna, wiedząc, że on słucha mojego. Te dźwięki są znajome i uspokajające. Nadstawiam uszu, starając się usłyszeć bicie jego serca.

Pamiętam, jak po tym, kiedy kupił mi herbatę w pociągu, poprosiłam go, żeby przypomnieli mi, co się wydarzyło w *Miasteczku Middlemarch*, a on przyznał, że również nie pamiętał. Zamiast tego opowiedział mi, że wracał do domu wcześniej, niż planował, ponieważ jego wyjazdowy weekend z kolegami do Penzance skończył się już pierwszej nocy, kiedy jeden z nich złamał sobie kostkę, wychodząc z baru. Rozśmieszyło mnie to bardzo, a gdy dojechaliliśmy na Paddington, ściągnął moją walizkę z półki na bagaże i rumieniąc się, zapytał, czy miałabym ochotę pójść z nim na drinka. Kiedy ja zapytałam, czy nie musi złapać przesiadkowego połączenia, przyznał, że powinien był wysiąść w Reading.

– Niezły ze mnie szpieg – zażartował, a gdy się zaśmiałam, zorientowałam się, że po raz pierwszy zapomniałam o pustce. Nie zniknęła, ale na chwilę o niej zapomniałam.

Jeśli odłożę rękę, zorientuję się, że Quinna przy mnie nie ma. Jeżeli jedną rękę mam pod policzkiem, a drugą trzymam telefon, mogę udawać, że czuję ciepło jego ciała, bezpieczeństwo, jakie daje jego obecność. Słucham, jak jego oddech staje się głębszy, a kiedy przyjdzie do mnie zapach plumerii, będę udawać, że dotyczy właśnie jego.

Przez cały ranek robiłam, co mogłam, żeby nie wyjść z mieszkania i nie zacząć szukać Ewana. Próbowałam wymyślać pomysły na nową książkę.

Igor Sowa i orla zagadka

Igor Sowa i tajemnica śrutu

Igor Sowa całuje swojego byłego

Dlaczego Ewan jest taki smutny?

Kiedy go znałam, był pełen energii i życia. Radosny i pewny siebie. A teraz zmienił się pod każdym względem – oprócz tego, jak całował.

O jedenastej – w Brukseli w tym czasie było południe – zadzwoniła Lauren:

– Spaliłaś już mieszkanie?

– Nie, mieszkanie ma się dobrze. Spotykasz się ze swoim chłopakiem-trenerem na lunch?

– Hans to historia. Mam już innego trenera, Gordona, który nie gustuje w kobietach. Spotykam się dziś wieczorem z członkiem Parlamentu Europejskiego, który nazywa się Jan. Nie mam zbyt wielkich nadziei.

– Lauren, czy twoje życie jest takie, jak się spodziewałaś?

Pomyślała przez chwilę.

– Pod pewnymi względami tak, pod innymi nie.

– Pod jakimi nie?

– Spodziewałam się, że w tym wieku będę już zamężna i będę miała jacht.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby się na to nie roześmiać.

– Co stanowi dla ciebie większy zawód?

– Oczywiście, że jacht. Dlaczego pytasz?

– Och. Bez powodu. Myślałam o tym, jak to jest, że spodziewasz się, iż życie potoczy się w jednym kierunku – wydaje się linią prostą, ale później okazuje się, że jest kręta.

– Rozmawiałaś z Quinnem? Czy pogodziliście się i zdecydowaliście na dzieci?

Nie myślałam o Quinnie. Myślałam o Ewanie. Miał grać ze swoim zespołem. Miał być sławny, miał być ojcem. Co poszło nie tak?

– Rozmawiam z Quinnem codziennie – mówię.

– Bo kłamałam. Małżeństwo jest ważniejsze niż jacht. Chyba że chodzi o mnie. A ja chcę mieć wielką łódź, skarbie. Chcesz, żebym wróciła? Mogę wieczorem wsiąść w Eurostar.

– Nie, nie, nie ma potrzeby. Radzę sobie.

– Zostawiłaś Quinna? Powiedz prawdę. Czuję, że coś knujesz.

– Nie odeszłam od Quinna. Zrobiliśmy sobie małą przerwę, żebym mogła popracować i ułożyć sobie w głowie.

– Powiedz prawdę, Felicity.

– Ja...

– Proszę, powiedz, że nie spotkałaś kogoś innego.

Opadam na sofę Lauren i wzdygam.

– Nie poznałam nikogo nowego. To ktoś, kogo znam od dawna. Ja... wpadłam na niego. Nie mogę przestać o nim myśleć.

– To ten debil Ewan, prawda?

– Skąd ty wiesz takie rzeczy, Lauren?

– Pracuję w finansach. Umiem dodawać. Chyba nie masz romansu z mężczyzną, który już raz złamał ci serce?

– Nie! Nie mam romansu. Nic się nie wydarzyło. – Krzyżuję palce. – Ale on się zmienił.

Wygląda na... przegranego. Wściekłego. Chcę wiedzieć, czemu taki jest. Jestem ciekawa.

– Quinn jest dobry dla ciebie, Fliss.

– Ale, Lauren, nie jestem pewna, czy ja jestem wystarczająco dobra dla niego.

Milczy, jednak w końcu się odzywa:

– Nie zostawiaj go dla kogoś, kto jest duchem w twojej głowie. Po prostu... nie rób tego, dobrze?

– Nie mam zamiaru – mówię.

Odkładam telefon i natychmiast wychodzę z mieszkania z sercem łomoczącym w piersi, które nie uspokaja się podczas całej podróży metrem. Ewan wygląda na zaskoczonego, kiedy widzi mnie przed drzwiami, ale już nie tak, jak za pierwszym razem.

– O co chodzi, Flick?

– Nie będę o tym rozmawiać w proggu.

Waha się, ale w końcu się cofa, żeby wpuścić mnie do mieszkania. Wchodzę do lokum z otwartym planem i rozglądam się: jedna ściana z gołych cegieł, skórzane meble, błyszczący system stereo i prawdziwy gramofon.

– Ładne mieszkanie.

– Wynajęte. – Stoi z założonymi rękoma. – Czy możesz mi powiedzieć, czego chcesz?

– Nie martw się, nie zamierzam znów cię zaatakować i pocałować. – Chociaż, jeśli najdzie mnie ochota, czy będę potrafiła się jej przeciwstawić? Zastanawiałam się nad tym podczas całej drogi, ale doszłam do wniosku, że to bez znaczenia. Nie zamierzam zostać na tyle długo, żeby się o tym przekonać. Jeśli poczuję choćby cień zapachu plumerii, od razu wezmę nogi za pas.

– Chcę wiedzieć, dlaczego jesteś smutny – mówię.

– Czy ty coś bierzesz?

– Biorę coś? Masz na myśli narkotyki? Nie pocałowałam cię z powodu narkotyków.

– Nie myślałem tak.

– Zapomniałam, jak zdrowe jest twoje ego. Oczywiście, że nikt nie potrzebowałby narkotyków, żeby chcieć cię pocałować. Wszyscy tego chcą. Zupełnie trzeźwi ludzie padają ci do stóp.

Zazwyczaj nie jestem kłótliwa, ale teraz to dlatego, że Ewan traktuje mnie, jakbym była dziwna albo groźna.

– Obmacywanie i całowanie niemal obcego człowieka nie jest w twoim przypadku niesłychane – stwierdza. – Chodzi mi o to, jak później wyglądałaś – to było dziwne. Jakbyś była nawalona.

– Nie jestem na narkotykach. – Siadam na skórzanym fotelu. Jest chłodny pod moimi gołymi nogami. – W dobrym tonie jest zaproponować swojemu gościowi herbatę.

– Przyszłaś tutaj, żeby zapytać, dlaczego jestem smutny, a teraz domagasz się herbaty?

– Nie. Przyszłam tutaj również po to, aby cię przeprosić. Przepraszam, że zmusiłam cię wczoraj, żebyś się ze mną całował. To było nie na miejscu i nie powinnam była tego robić.

Kącik jego ust drga.

– Nie powiedziałem, że mi się nie podobało.

Pożądanie wzbiera tak szybko, że z trudem łapię oddech i niemal zrywam się z fotela.

Ale nie czuję zapachu. Mogę się kontrolować.

– Nie możemy robić tego więcej – oznajmiam.

– Zgoda.

Patrzemy na siebie. Przypomina mi się, jak otrząsnąwszy się z zaskoczenia, przygarnął mnie do siebie i odwzajemnił pocałunek. Myślę o tym, że to było zupełnie takie jak dziesięć lat temu, a jednocześnie zupełnie inne, ponieważ jego ciało zmężniało i oboje jesteśmy starsi.

– Bo mam męża – dodaję. – A ty jesteś ojcem.

– Lepiej zrobię tę cholerną herbatę. – Obraca się i idzie, jak sędzę, do kuchni.

Nie chcę herbaty. Tak naprawdę to nie jest chyba dobry pomysł, bym siedziała tu na tyle długo, żeby ją wypić. Przyszłam w celu zaspokojenia swojej ciekawości – i tyle. Rozglądam się po salonie Ewana, próbując stworzyć sobie obraz jego obecnego życia. Pokój jest schludny, ale opustoszały. Nie ma książek, pustych kubków, żadnych kłopotów. Długi, wysoki stół jest pusty, nie ma na nim żadnych ozdób. Na ścianach nie ma żadnych zdjęć, nie ma żadnych przedmiotów o osobistym znaczeniu. Mógłby to być pokój hotelowy. Mieszkanie Lauren jest urządzone surowo, ale jest kilka wazonów, zdjęć, nawet trochę bibelotów. W mieszkaniu Ewana nie ma nic. Mogłoby należeć do kogokolwiek. Mógłby być kimkolwiek.

Nie ma również żadnych gitar.

– Herbata – mówi, wracając i wręczając mi czarny kubek. Sobie nie przyniósł. Siada w fotelu i obserwuje mnie.

– Nie masz za dużo rzeczy – zauważam.

– Dziś była tu moja sprzątaczką, a jej życie jest trudne i bez tego. Posprzątałem bajzel przed jej przyjściem.

– Nawet gitary?

– Ja... pozbyłem się ich. – Odwraca wzrok.

– Myślałam, że utrzymujesz się z grania.

– Tak było. Skończyłem z tym. – Zakłada rękę. – Czy to niegrzeczne poprosić cię, żebyś wypila swoją herbatę i wyszła? Pytam, żeby wiedzieć, mam coś do zrobienia.

– Jeśli jesteś taki niegościnnie, to nie możesz mieć zbyt wielu przyjaciół.

– Nie mam. Już nie.

– Nie poprosiłeś mnie, żebyśmy się spotkali w Greenwich, bo potrzebowałeś przyjaciela. Gdyby tak było, byłbyś o wiele miłszy.

– Może też pozwoliłbym ci się całować do woli. Czy to byłoby bardziej przyjacielskie?

Ułożył swoje usta w sposób, w jaki robił to zawsze, kiedy chciał być prowokujący. Pewnie chce się mnie pozbyć, ale równie dobrze może ze mną flirtować.

Jeśli się do tego przyłoży, będę zgubiona. Jest taki piękny, nawet kiedy siedzi rozwalony na tym fotelu, nawet w tych dzinsach z dziurami na kolanach, bez butów i z wyrazem twarzy, który mówi, że chce sprawiać kłopoty. Powinnam iść. Ale nadal jestem ciekawa. Chcę wiedzieć, dlaczego nawiedzają mnie te uczucia, oprócz tego, że on mi się po prostu podoba. Chcę wiedzieć, dlaczego on mnie cały czas odpycha, żeby następnie przyciągnąć. Chcę się upewnić, że kiedy rozstawałam się z nim dziesięć lat temu – sądząc, że to na zawsze – podjęłam słuszną decyzję.

– Dlaczego jesteś smutny? – pytam ponownie. – Dlatego że nie widzisz córki?

– To nie twoja sprawa.

Upijam łyk herbaty i marszczę nos.

– Zapomniałeś o cukrze. – Wydaje zniecierpliwiony dźwięk i zaczyna się podnosić, ale ja jestem szybsza. – Przyniosę sobie – mówię. – Znajdę kuchnię. Nie wysilaj się z mojego powodu.

Kuchnia jest równie nowoczesna i nieskazitelna, jak salon. Na metalowej obudowie lodówki nie ma dziecięcych rysunków, nie ma misy z owocami, żadnych śladów gotowania ani jedzenia. Jest metalowy pojemnik z napisem „CUKIER” obok metalowego czajnika, ale nie zwracam na niego uwagi i sprawdzam kosz na śmieci pod zlewem. Znajduje się w nim kilka opakowań po jedzeniu na wynos wraz z torebką po mojej herbacie, więc wiem, że Ewan je coś od czasu do czasu. Po cichu zaczynam otwierać szafki. One pewnie też nie dadzą mi żadnych odpowiedzi, których szukam, ale z zawartości szafek kuchennych można dowiedzieć się naprawdę wiele. Na przykład w naszej chatce jest szafka w połowie wypełniona jedzeniem dla kota, którego nie mamy. Psychoanalityk mógłby coś na ten temat powiedzieć.

W jednej szafce są szklanki i czarne kubki, jak ten, w którym dostałam herbatę. W drugiej są talerze. Jedna jest pusta. W innej znajduje się pojedyncza puszka fasoli, a w szafce koło metalowego zlewu stoją dwie butelki whisky, trzy opakowania środków uspokajających na receptę i pusta szklanka.

Gapię się na to. Zauważam, że butelki nie są otwarte. Szybko sprawdzam lekarstwa. Wszystkie są na nazwisko Ewana i ubyła z nich tylko jedna tabletką.

Zamykam szafkę na sekundę przed tym, jak słyszę kroki Ewana zbliżającego się do kuchni. Kiedy wchodzi, mieszam swoją herbatę.

– Już myślałem, że się zgubiłaś – mówi.

– Lubię dobrze zamieszać. Dlaczego nie masz swojego zespołu?

– Zamierzasz to wypić?

Nalewam do kubka trochę zimnej wody z kranu.

– Dlaczego nie masz swojego zespołu? – ponawiam pytanie, wpatrując się w kran.

– Nie wyszło.

– Co się stało z gitarami?

– Wyrzuciłem je za okno.

To sprawia, że spoglądam na niego. Jest poważny.

– Co? – nie dowierzam.

– Wyrzuciłem je za okno. Chciałaś wiedzieć, to ci powiedziałem. Już ich nie chciałem mieć.

– Dlaczego?

Stoi w drzwiach, milcząc. Ostatnio kiedy staliśmy tak blisko siebie, pocałowałam go. Jestem podekscytowana, czuję zdenerwowanie w żołądku, zauważyłam, że często zaraz po tym nachodzi mnie zapach plumerii. Zaczynam móc przewidywać, kiedy poczuję się zakochana. To musi być dość niezwykle – nie jak na mnie, ale jak na ludzkość w ogóle.

– Gdzie jest twój mąż? – pyta. – Czy wie, że spędzasz ze mną tyle czasu?

Wypijam herbatę przy zlewie i mówię:

– Dobra, no to do widzenia. – I kieruję się do drzwi, ale oczywiście Ewan stoi mi na drodze.

– Flick – zaczyna. – Nie kłamiesz w sprawie narkotyków, prawda?

– Nie okłamuję cię w żadnej sprawie – odpowiadam szybko, bo już za chwilę mogę stracić nad sobą kontrolę. – Ale myślę, że ty ukrywasz jedną czy dwie. Nie chciałeś przypadkiem, żebym sobie poszła?

Odsuwa się, a ja wychodzę.

QUINN

– A tu? Mam wpisać, gdzie pracuję. Co by tu dać? Jak myślisz – może przewodnicząca Women’s Institute?

– To zależy od ciebie, mamo. To twój profil.

Molly pochyliła się nad nim, trzymając jedną dłoń na jego ramieniu i zerkając na ekran komputera. Quinn obrócił się nieznacznie, aby sięgnąć po swoją herbatę. Było zdecydowanie za ciepło, żeby ją pić, ale Molly zawsze nalegała.

– A może lepiej to, że prowadzę księgowość dla Turner and Wickham. Tak, wpisz to. – Quinn zaczyna wystukiwać na klawiaturze. – Ale co, jeśli panie z Women’s Institute poczują się urażone? Mogą pomyśleć, że nie uważam bycia przewodniczącą za prawdziwą pracę. A przecież wiesz, że to wymaga dużego wysiłku.

– Myślę, że powinnaś wpisać to, na co masz ochotę.

– Ale to nie takie proste, prawda? Nie chcę nikogo urazić.

Quinn przeciera oczy. Po czasie zorientował się, że nie był to najlepszy dzień, by pomagać mamie w zaznajamianiu się z mediami społecznościowymi. Ten telefon w środku nocy od Felicity – powiedziała mu, że chce udawać, że są razem w łóżku. Musiał uruchomić całą swoją wolę, żeby nie zawołać: „Wróć do domu! Wsiądę w samochód i natychmiast po ciebie przyjadę!”. Potrzebowała czasu, musiał jej go dać. Jeśli będzie na nią naciskał, nic z tego nie wyjdzie. Po prostu wróciliby do tego, co było wcześniej – do jej sekretów i braku zaangażowania.

Nie spał. Kontrolował swój oddech, spowolnił go i pogłębił, żeby móc słuchać jej. Przypomniało mu się, jak był dzieckiem i słyszał kłótnie rodziców na dole, a on leżał w łóżku i próbował równocześnie słuchać i nie słuchać. Mama zawsze później do niego przychodziła. Wchodziła na górę, jej oddech był przyspieszony, a ruchy szybkie, kiedy poprawiała jego pościel. Udawał, że mocno spał. Matka odgarniała mu grzywkę, żeby położyć dłoń na jego czole, jakby to z nim było coś nie w porządku, a wtedy miał ochotę otworzyć oczy i zapytać: „Mamo? Co się dzieje z tobą i z tatą?”.

Ale gdyby to powiedział, to stałoby się rzeczywiste. Całe to udawanie, że wszystko jest dobrze, poszłoby na marne. Domek z kart zawaliłby się i to z jego winy.

Nigdy nic nie powiedział. Oddychał miarowo z zamkniętymi oczami i czuł na sobie spojrzenie matki, które było jak potwierdzenie, że to on trzyma to wszystko razem dzięki swojemu milczeniu. Całowała go delikatnie w czoło, a rano przy śniadaniu wszystko znów było normalnie. Papierowe ściany, które z każdym dniem stawały się grubsze i mocniejsze.

Minęły wieki, odkąd myślał o tym po raz ostatni.

– Może powinniśmy zobaczyć, co tata ma na swojej stronie? – zaproponowała Molly.

– Tata ma profil na Facebooku?

– Oczywiście, że tak, przecież wszyscy mają. Jak się to znajduje?

Poprzedniej nocy przez telefon udawał, że spał, a ona śniła o czymś. Chciałby ją zapytać, o czym, ale wiedział, że nigdy się na to nie zdobędzie. Słuchał długo, nic nie mówiąc, ani nie śpiąc. Później musiała się obrócić i telefon spadł, bo połączenie zostało przerwane, a on leżał samotnie w łóżku, aż nadszedł czas, żeby wstać.

– Tutaj! Zobacz! Czyż on nie ma wielu przyjaciół?

Derek Wickham miał na Facebooku sześćdziesięciu siedmiu znajomych. Na pierwszy rzut oka byli to ludzie, których znał z miasteczka, klubu golfowego lub rady. Jego matka wskazała na listę i Quinn kliknął, aby ją rozwinąć. Była tam Suz i ich kuzyni, Catherine i Frederick, i kilka osób, które Quinn znał przelotnie.

– Dlaczego nie ma ciebie? Masz to przecież, prawda?

– Od jakiegoś czasu nie zaglądałem na mój prywatny profil. – Po co tacie potrzebny Facebook? Czy było tak, jak mówiła mama, po prostu dlatego, że wszyscy tego używali?

– Zobacz, tata lubi Felicity! Och, ja też chcę ją lubić. A czy ty ją masz polubioną na swojej stronie?

– To jest fanpage nie tyle jej samej, ile jej książki. Wydawca nalegał, żeby go założyła. Nie wydaje mi się, żeby często z tego korzystała.

– To cały nowy świat, prawda? Lubienie i znajdowanie znajomych i w ogóle? Wydaje mi się, że Marian powiedziała, że Women's Institute też jest na Facebooku. Sprawdzimy?

Quinn odsuwa fotel biurowy i wstaje.

– Może lepiej, żebyś sama spróbowała? Nauczysz się.

– Nie, nie, Quinn, znasz mnie, jestem beznadziejna w kwestii komputerów. Proszę, usiądź z powrotem, kochanie. Mógłbyś mi później pomóc z moim zamówieniem do M&S? A wracając do Felicity – jak ona się miewa? Długo będzie jeszcze w Londynie?

Quinn zamyka oczy na krótką chwilę.

– Nie jestem pewien, mam. Termin się zbliża, a ona ma dużo do zrobienia.

– Musi być wam ciężko osobno, szczególnie że staracie się o dziecko. Mam nadzieję, że uda się jej szybko skończyć. Postanowiliście już, co będzie z jej pracą, kiedy pojawi się maluch?

– Nie.

– Cóż, myślałam, że wpadnę do ciebie jutro i pomogę ci trochę w pracach domowych. Te stare domy tak szybko się kurzą. Mam nadzieję, że Felicity wróci niebawem. Nie ma sensu marnować czasu, skoro staracie się o dziecko, zwłaszcza że jesteście po trzydziestce. Niedawno czytałam artykuł o parach, które odkładają to na później i potem natykają się na mnóstwo problemów. Ale jestem pewna, że wam się to nie przydarzy. A praca w dzisiejszych czasach jest przecież ważna.

„Nie będzie dziecka. Ona nie śni o mnie. To koniec. Po prostu jeszcze się do tego nie przyznaliśmy”.

– Czy chcesz napisać coś jeszcze o sobie na profilu, mam?

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że powinnam spróbować zaprzyjaźnić się ze wszystkimi ludźmi, których ojciec ma w znajomych, nie sądzisz? Popatrz na zdjęcie Suz – śliczne, prawda? Ciekawe, ilu ona ma znajomych? Zawsze była taka lubiana. Och, poczekaj, a co tata ma napisane, jeśli chodzi o zatrudnienie? Emeryt? Myślisz, że też powinnam to sobie wpisać?

Umówiłam się z moimi znajomymi, którzy też zajmują się ilustracją, w Clerkenwell na kolację i drinki. Kilku z nich nie widziałam już od jakiegoś czasu – wszyscy oprócz mnie mieszkają w Londynie i nie zawsze udawało mi się dojechać na spotkania. Parę miesięcy temu byliśmy z Quinnem na ślubie Toma i Andrew – wtedy po raz ostatni widziałam się z nimi wszystkimi. Jak zawsze nasza rozmowa zeszła na znajome tematy o wydawcach i agentach, terminach i zmniejszającej się sprzedaży książek, o projektach, nad którymi pracujemy, i o tych, które mamy w planach, oraz o tych, nad którymi chcielibyśmy pracować, ale nie możemy, bo usłyszeliśmy, że to się nie sprzeda.

To zupełnie inna rozmowa niż te, które mama prowadziła ze swoimi znajomymi artystami. Esther nie była zainteresowana komercyjnym wymiarem sztuki. Nawet kiedy jej obrazy zaczęły sprzedawać się za wysokie sumy, od razu ucinała temat lub wychodziła z pomieszczenia, w którym dyskutowano o pieniądzach lub pracy na zlecenie. Dla niej sztuka była życiem, a nie sposobem na życie.

Poznałam Toma i Andrew, Naomi i Yvonne oraz Bindu i Yanna na lunchu zorganizowanym przez stowarzyszenie ilustratorów książek dla dzieci. Na początku byłam wstrząśnięta tym, jak otwarcie rozmawiali o finansowym aspekcie swojej pracy, jednak szybko zorientowałam się, że jest to bardzo odświeżające podejście. Ci ludzie mieli pasję, ale byli też praktyczni – znacznie bardziej niż ja kiedykolwiek w swoim życiu.

Powiedziałam im, że jestem sama w Londynie i pracuję nad najnowszą książką o Igorze. Bindu, która ma troje dzieci, wszystkie poniżej szóstego roku życia, przeżyła mały napad zazdrości:

– Pewnie możesz robić strasznie dużo, bo nikt ci nie przeszkadza.

– To prawda. – Całe mieszkanie jest usłane szkicami, kartkami, strzępami papieru. Po tym, jak pospiesznie opuściłam mieszkanie Ewana, przez całe popołudnie rysowałam, choć nic mi nie wyszło. – Chciałabym móc powiedzieć, że cokolwiek z tego jest dobre. Ale jakoś nie mogę się skoncentrować.

– U ciebie jest zbyt cicho. Możesz wypożyczyć moje dzieci, kiedy tylko chcesz.

– To przyjdzie – mówi Naomi, popijając swoje bezalkoholowe mojito. – Trzeba przejść przez wszystko, co beznadziejne, zanim w końcu narysujesz coś dobrego.

– Niestety, tak jak ze wszystkim w życiu – wzdycha Yvonne, która zajmuje się również projektowaniem dla teatrów i z nas wszystkich najbardziej kreuje się na artystkę. Zawsze chodzi ubrana na czarno i przestała prostować włosy, które teraz sterczą na całej jej głowie w cudownych lokach.

– Fifi, jak się miewa ten twój przepyszny mąż? – Tom woła przez stół.

– Tom się zauroczył – wyjaśnia Andrew, choć nie jest to konieczne, bo Tom zawsze jest kimś zauroczony.

– Zostawiłbym cię dla niego w sekundę – mówi Tom.

– Och, marzenia.

– U Quinna wszystko dobrze. – Obracam się do Yvonne. – Masz jakieś problemy?

– Oprócz tych włosów – wtrąca się Tom.

– Hydraulicy – odpowiada Yvonne i rozpoczyna opowieść o swoich domowych

nieszczęściach.

Jestem już po trzeciej margaricie, kiedy w końcu zbieram się na odwagę, żeby zadać pytanie, które nurtuje mnie od rana.

– Wyobraźcie sobie, że jesteście u kogoś w domu i przeglądacie szafki kuchenne. W większości są puste, ale w jednej znajduje się butelka whisky. Wielka, dwulitrowa. I kilka opakowań tabletek nasennych. I pustą szklankę. Co byście sobie pomyśleli?

Moi przyjaciele są twórczy. Uwielbiają takie zagwozдки.

– Leczy się na własną rękę – mówi od razu Andrew. – Ta osoba ma problemy ze spaniem.

– Ale butelka nie jest otwarta i nie brakuje żadnej tabletki.

– Nowe zapasy?

– Ta osoba jest alkoholikiem – mówi Naomi, która nie pije i nigdy nie wyjaśniła nam czemu.

– Możliwe – zgadzam się. – Ale nie znalazłam żadnych pustych butelek. A ta była nietknięta. I nie był pijany, kiedy z nim rozmawiałam.

– Może dobrze się ukrywa. Ludzie tacy są.

– Ma dzieci? – pyta Bindu. – Może chował swój arsenał imprezowy.

– Nikt nie bierze środków nasennych na imprezę – zauważa Tom. – Jesteś pewna, że to nie było E?

– Były na receptę na jego nazwisko.

– Ja chowam swoje leki na receptę w szafkach kuchennych – mówi Bindu. – Poza zasięgiem dzieci. Alkohol też.

– Tylko to w nich trzymasz? – pytam.

– Nie, są tam też inne rzeczy, które chowam przed dziećmi. Zapałki, klej, dobra czekolada.

– Czy to była dobra whisky? – pyta Tom. Potrząsam głową. – Czyli to pijak. Pijak, który ostatnio posprzątał.

– Z kim mieszka? – pyta Bindu.

– Z nikim, tak sędzę. Chociaż wspominał o sprzątacze. Może chował to przed nią.

– Albo to ona schowała ten alkohol i tabletki.

– Powiedział mi, że posprzątał przed jej przyjściem. Więc to on włożył to wszystko razem. Ale czemu była tam też szklanka? Pozostałe szklanki były w innej szafce.

– Pewnie chce mieć szklankę pod ręką, jeśli w środku nocy zdecyduje, że jednak potrzebuje czegoś na sen.

– I popija to whisky?

Tom wzrusza ramionami.

– Żeby szybciej działało?

– Ja chowałam swoje noże – mówi Yvonne, która do tej pory milczała. – Nie wszystkie. Tylko ten, którym się cięłam. Lubiałam wiedzieć, że tam był, gotowy, jeśli tylko miałam potrzebę go użyć.

Wszyscy wiemy o nieszczęśliwej przeszłości Yvonne. Przysięgła nam, że to już za nią, ale i tak milczymy przez chwilę w wyrazie współczucia. Naomi kładzie dłoń na jej ramieniu.

– To mnie właśnie martwi – wyznaję. Obawiam się, że to jest jego zestaw samobójczy.

– Zapytaj go – radzi Naomi. – Jeśli tak właśnie się czuje, będzie potrzebował wsparcia

przyjaciół.

– Jeśli naprawdę chce to zrobić, zrobi to i tak – stwierdza Andrew.

– Nie mam odwagi go zapytać – mówię. – Unika odpowiedzi na każde z moich pytań. Ale wiem, że stracił pracę. I że pozbył się części swojego dobytku. I wygląda na smutnego.

– Może trzeba powiedzieć o tym jego rodzinie albo innym jego przyjaciołom?

– Nie znam nikogo z nich.

Naomi wpatruje się we mnie.

– Martwisz się o niego teraz?

– No tak. – Teraz nawet bardziej, odkąd wypowiedziałam swoje obawy na głos.

– Chcesz do niego zadzwonić?

– Nie sądzę, żeby powiedział mi coś przez telefon.

– Mogę cię do niego zawieźć, jeśli chcesz. Jestem samochodem.

Czuję przyływ wdzięczności wobec moich kochanych przyjaciół, choć czuję się też nie w porządku, że ukryłam przed nimi moje własne problemy.

– Mieszka niedaleko – mówię. – Byłoby świetnie.

W samochodzie jednak zaczynam się czuć głupio. Jest prawie jedenasta, a ja zamierzam najść Ewana bez zaproszenia po raz drugi tego samego dnia, wszystko dlatego, że trzyma alkohol w tej samej szafce, co środki nasenne. Ale przypominam sobie też, jaki był zły i jak nieobliczalnie się zachowywał. Jak bardzo chciał się mnie pozbyć. I przecież powiedział w Greenwich coś fatalistycznego. Coś o tym, że świat się toczy, obojętnie, czy jesteś, czy cię nie ma, i że to wszystko jest bez znaczenia.

– Quinn i ja rozstaliśmy się na jakiś czas – mówię Naomi podczas jazdy.

– Och. Przykro mi. Mogę jakoś pomóc?

Cała Naomi – oferuje pomoc, nie zadając żadnych pytań.

– To się dopiero dzieje. Nie jestem jeszcze gotowa, żeby o tym rozmawiać.

– Łatwiej jest pomagać innym – mówi i zaczynam rozważać, czy to jest to, co właśnie robię: skupiam się na Ewanie, bo nie chcę myśleć o Quinnie ani o dziwnych rzeczach, które dzieją się w mojej głowie.

Zastanawiam się, czy Naomi pomaga innym, bo są sprawy, o których sama nie chce myśleć.

Nawigacja w samochodzie doprowadza nas na ulicę Ewana, a ja wskazuję budynek. Naomi parkuje naprzeciwko jego okien, w których nie świeci się światło.

– Pewnie śpi – zgaduję.

– Miejmy nadzieję.

– Co zrobię, jeśli nie otworzy drzwi?

– Zadzwonisz na 112. Chcesz, żebym poszła z tobą?

– Nie, zostań w samochodzie. Wrócę, jeśli będę musiała zadzwonić na policję. – Wzdycham. – Będę się czuła jak idiotka, jeśli okaże się, że zadzwoniłam po pomoc, a on siedzi w pubie.

– Czasem przyjaźń wymaga od nas robienia z siebie idioty – mówi Naomi, rozsiada się wygodniej w fotelu i włącza radio na programie czwartym. Wchodzę do budynku Ewana i pukam do drzwi. Nie otwiera od razu, więc pukam raz jeszcze.

Wreszcie otwiera w samych bokserkach. Stawiam krok w tył i łapię się ściany, aby odzyskać równowagę, chociaż nie wypłam do końca trzeciej margarity i nie czułam się

pijana – aż do teraz.

– Flick – mówi – piłaś tequilę? Śmierdzi od ciebie.

– Muszę wejść do środka – odpowiadam.

– Jesteś najdziwniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkałem – oznajmia, ale wpuszcza mnie do środka. Jego oczy są zmęczone, choć skupione. Nie wygląda jak ktoś, kto wlał w siebie butelkę whisky i zażył garść tabletek. Nie czuję od niego zapachu alkoholu, właściwie to nigdy nie czułam od niego whisky, oprócz tej okropnej wizyty w pubie, gdzie faktycznie pił whisky. Nie czuję również zapachu plumerii.

Idę prosto przez jego ciemny salon do kuchni i otwieram szafkę. Butelka i tabletki nadal tam są. Ewan idzie za mną, obracam się, żeby stanąć z nim twarzą w twarz.

– Czy to twój zestaw samobójczy?

– Tak – odpowiada.

Muszę złapać się blatu, żeby nie upaść. A on wygląda dokładnie tak samo, jak mężczyzna, który otworzył mi drzwi, oprócz tego, że właśnie przyznał, że chce umrzeć.

– Dlaczego... dlaczego tego nie użyłeś?

– Przez ciebie.

Nie spuszcza wzroku z mojej twarzy. Telefon dzwoni mi w kieszeni. Nie przerywając kontaktu wzrokowego, odbieram.

– Co z nim? – pyta Naomi.

– Rozmawiamy – mówię. – Nic mu nie jest. Bardzo dziękuję, że mnie podwiozłaś. Wrócę do domu taksówką.

– Daj mi znać, jak się to rozwiąże.

Wsuwam telefon z powrotem do kieszeni i znów jesteśmy tylko ja i Ewan.

– Przeze mnie? – pytam, a on przytakuje.

Już to kiedyś czułam. To było wtedy, kiedy byliśmy w kawiarni i trzęsłam się, ponieważ byłam z nim szczerą, a on był szczery ze mną. To było tak, jakbyśmy zdjęli nasze skóry, pozwalając tej drugiej osobie dojrzeć surowe, delikatne wnętrze.

– Pojawiłaś się na moim progu, kiedy właśnie miałem to zrobić. Musiałem kupić znaczek, żeby wysłać list pożegnalny, i natknąłem się na ciebie.

– Wysłałeś list samobójczy pocztą? Czy to nie było trochę głupie? A co, jeśliby się zgubił?

– zadaję nieistotne pytania, ponieważ się trzęsę.

– Ty go wysłałaś – mówi. – I musiałem go przechwycić, zanim został doręczony. Spędziłem całe dwa poranki przed domem menedżera trasy, a listonosz prawie wezwał policję.

– I... poprosiłeś mnie, żebyśmy się spotkali, bo...

– Bo dzięki temu miałem wymówkę, żeby ze sobą nie skończyć.

– Nie mogłeś przecież naprawdę chcieć umrzeć, skoro chciałeś się ze mną spotkać przy zerowym południku.

– Och, chciałem – wyznaje. – Ale chciałem też jeszcze cię zobaczyć.

Wpatruję się w niego, w osobę, która chciała się zabić, ale nie zrobiła tego z mojego powodu. Kolejna taka osoba.

– Jeśli chciałeś mnie zobaczyć, to dlaczego nie byłeś miłszy?

– Jeśli mam być szczery, to przecież cię pocałowałem.

– Uzgodniliśmy już, że to był zły pomysł i że nie będziemy więcej o tym rozmawiać. – Nadal się trzęsę.

Kącik jego ust drga i po raz pierwszy Ewan się porusza. Przeczesuje włosy dłonią, mierzwiąc je jeszcze bardziej.

– Nie wiem, czy naprawdę chciałem umrzeć – mówi. – Dużo o tym myślałem. Może nie chciałem się zabić. Bóg jeden wie, że wszystko mnie tego dnia rozpraszało. Może szukałem wymówki, żeby żyć, i ty mi ją dałaś. Może nie straciłem jeszcze nawyku życia, mimo że nie mam po co żyć.

– Ależ masz. – Jak tylko wypowiadam te słowa, zdaję sobie sprawę, że nie wiem nawet, czy to prawda. Nie znam go przecież.

– Gdybym naprawdę chciał umrzeć, znalazłbym jakiś pistolet. Albo rzuciłbym się pod pociąg. Albo skoczył z budynku. Alkohol i tabletki nie są takie pewne.

– Jeśli o mnie chodzi, są wystarczająco pewne – mówię. – Właściwie... – Wyciągam opakowania tabletek z szafki i zaczynam wydlubować je z blistrów i wrzucać do zlewu. – Skąd masz tyle tabletek nasennych?

– Nie śpiam.

Nie śpi. Ma depresję. Dlatego tak dziwnie się zachowywał. Był agresywny i nieobliczalny. Potrzebuje profesjonalnej pomocy, ale teraz ma mnie w swojej kuchni.

Tabletki są białe, niektóre wpadają do odpływu, inne lądują na metalowej powierzchni zlewu, stukając cicho.

Skończywszy jedno opakowanie, zabieram się za kolejne.

– Mogłaś po prostu wyrzucić je do kosza. – Odzywa się za mną Ewan.

– Nie zamierzam ryzykować. – Chciał umrzeć, ale tak naprawdę nie chciał. Nadal jest wśród żywych, może nawet dzięki mnie.

Czy mama też przygotowała sobie taki zestaw, kiedy dowiedziała się, co jej jest? Gdzieś, gdzie nigdy nie zaglądałam? Czy spuściła go do kanału z mojego powodu?

Kiedy skończyłam z tabletkami, sporo ich zebrało się w odpływie, więc otworzyłam butelkę whisky i zmyłam nią pigułki. Owionął nas zapach taniego pubu.

– Mogę kupić więcej – odzywa się Ewan.

– Możesz. Ale najpierw powiesz mi, co takiego się stało, że w ogóle się w to wszystko zaangażowałeś. – Odkładam pustą butelkę koło zlewu i obracam się twarzą do Ewana. Jest całkiem blisko, nadal jedynie w bokserkach.

– Będziemy potrzebować kawy – mówi. – Zaproponowałbym coś mocniejszego, ale właśnie wylałaś wszystko do zlewu.

– Ja zrobię. Powinieneś się ubrać.

Nie mogę się oprzeć, żeby nie patrzeć na jego nagie plecy, kiedy wychodzi z kuchni.

Puszczam zimną wodę w zlewie, żeby spłukać zapach taniej whisky. Przygotowuję dwa kubki kawy, czarnej, bo nie ma mleka, do obydwu wsypuję cukier. Kiedy wchodzę do salonu, Ewan siedzi na skórzanym fotelu w spodniach od dresu i w podkoszulku. Wybieram sofę. Meble w tym mieszkaniu są okazałe, zaprojektowane dla mężczyzn.

– Zaczęło się od tego – opowiada Ewan – że umarł mój najlepszy przyjaciel. Miał na imię Lee. To było w moje urodziny, a on umarł przeze mnie.

– Byliśmy w trasie, jechaliśmy autobusem – mówi. – Dużą część życia spędzałem w tych autobusach.

Urwał i zaczął wpatrywać się w pustą, ceglana ścianę – nie wygląda, jakby chciał kontynuować. Ale powiedział już tyle, że muszę poznać resztę.

Ewan, którego kochałam, był intensywny, ale w jakiś sposób też niewinny. Moja matka dobrze to uchwyciła, malując jego portret wśród białych i różowych kwiatów. Ten mężczyzna jest równie intensywny i być może tak samo podniecający, ale jego niewinność zniknęła. Jest w nim ciemność i smutek. Spotkały go w życiu różne rzeczy od tego krótkiego okresu, kiedy się znaliśmy. To były zaledwie dwa miesiące. Mrugnięcie okiem. Byłby to jedynie nic nieznaczący moment w czasie, gdyby nie został uwieczniony na płótnie i w zapachu kwiatów.

– Kiedyś chciałeś podróżować – wspominam. Śmieje się, ale niewesoło.

– Udało mi się. Objechałem cały świat, byłem na każdym kontynencie. Po części jest to ekscytujące. Choć większość tego czasu spędziłem w autobusie. Wsiadasz do autobusu i jedziesz do hotelu, który jest dokładnie taki sam jak wszystkie. Lub na koncert, który też jest taki sam jak wszystkie inne. Podróżujesz, ale stoisz w miejscu. Jedziesz w to samo miejsce w kółko i w kółko. Czujesz, jakbyś się w ogóle nie ruszał. – Krzywi się. Przez chwilę myślę, że się rozplacze, nie wiem, co wtedy zrobię. Nie mogę go dotknąć, żeby go pocieszyć. Ale nie sędzę, że bym mogła po prostu siedzieć i patrzeć, jak płacze.

Ewan bierze głęboki oddech.

– Też mi się to zdarzyło – mówi. – Budzisz się, a w autobusie jest głośno. Myślisz, że jesteś w drodze, gdzieś między Nowym Jorkiem a Ohio. Albo Paryżem a Genewą. Albo Sydney a Melbourne. Autobus zawsze w środku jest taki sam, więc możesz być gdziekolwiek. Okna są przyciemnione, a silnik pracuje. Wstajesz, myśląc, że jedziesz, ale w środku nikogo nie ma i okazuje się, że jesteś na parkingu, a wszyscy poszli wziąć prysznic.

Wiem, co Ewan robi. Opowiada o czymkolwiek, żeby nie musieć mówić o bolesnych sprawach. Pociera oparcie fotela opuszkami palców, jakby go swędziały. I znów zamilkł. Ale myślę, że on potrzebuje wyrzucić to z siebie. To go przygniata.

– Opowiedz mi o Lee – proszę go.

– Był inżynierem dźwięku, cholernie dobrym. Poznaliśmy się lata temu i od tamtej pory polecaliśmy się nawzajem, żeby móc pracować razem. Ale on miał już dość życia w rozjazdach. Chciał z tym skończyć i usatkwować się, spędzać więcej czasu z żoną. To była ostatnia rzecz, o której rozmawialiśmy. Powiedział, że powinien wrócić do żony, a ja powinienem odwiedzić córkę. – Trze mocniej palcami, tak mocno, że zostawiają ślady na tapicerce. – Nie chciałem, żeby przestał jeździć w trasy. Chociaż zdawałem sobie sprawę, że miał rację, ponieważ to zrujnowałoby jego małżeństwo, tak jak zrujnowało moje bycie ojcem. Wiedziałem jednak, że jeśli Lee zrezygnuje, jeśli zostanie z Petrą, ja będę sam. Jakie to żałosne.

– Co się stało?

– Byliśmy w Teksasie. Naprawdę nie cierpię tego cholernego stanu. Ciągnie się

w nieskończoność. – Zamyka oczy i mówi dalej. – Były moje urodziny, więc piliśmy rum. Była jakaś czwarta nad ranem, więc to już chyba nie były moje urodziny, ale byliśmy schlani, a wszyscy inni w autobusie spali. Zamierzaliśmy zatrzymać się w Amarillo. Mieliliśmy zarezerwowane pokoje w hotelu. Lee dał mi parę kubańskich cygar w prezencie, więc chcieliśmy wyjść, żeby je zapalić.

Myślę, jak bardzo jego życie różni się od mojego. Podróże, picie, cygara. Życie w drodze, bez związku z żadnym z mijanych miejsc: czy tak właśnie chodzi się lekko?

– Tyle że autobus nie stał – mówi Ewan. – Nadal jechał ponad sto kilometrów na godzinę, kiedy Lee z niego wyszedł.

Wyciąga przed siebie prawą rękę, którą wcześniej tarł fotel.

– Próbowałem go złapać. Prawie mi się udało. Czułem materiał jego koszuli w palcach, a sekundę później już nie. Nadal to czuję. To nie chce odejść. Ciągłe to czuję.

Rozkłada palce w powietrzu. Każdy nosi w sobie wspomnienie.

EWAN

– Ale to nie twoja wina – powiedziała Felicity. – Czy drzwi autobusu nie powinny być zablokowane?

– On był w tym autobusie przeze mnie. Pił przeze mnie. To ja chciałem wyjść na zewnątrz, żeby zapalić. To ja powinienem był otworzyć te drzwi, a nie on.

Nikomu nie opowiedział o Lee, nie rozmawiał o tym z ludźmi, którzy o tym wiedzieli, czyli wszystkimi jadącymi tym autobusem. Nigdy głośno nie przyznał się do winy, choć wiedział, że miał ją wypisaną na twarzy niczym bliznę. Powiedział lekarzowi o tym, że ma złe sny, ale nie o tym, co w nich widział. Ani o wietrze, ani o dźwięku. Ani o tym, że budził się, czując w palcach koszulę przyjaciela. To samo uczucie pojawiała się za każdym razem, kiedy sięgał po gitarę.

Dlaczego teraz opowiadał to Felicity Bloom? Przypadkowej kobiecie ze swojej przeszłości, komuś, kogo już nigdy nie miał spotkać?

Ponieważ uratowała mu życie. Złapała go za koszulę i uchroniła przed upadkiem.

– Mogę zrozumieć, czemu czujesz się winny – powiedziała Felicity. – Ale to nie to samo, co bycie winnym. Czy Lee miałby do ciebie pretensje?

– Miałby, gdyby znał moje myśli. Jak bardzo nie chciałem, żeby zrezygnował i wiódł szczęśliwe życie z Petrą.

– Nie liczą się myśli, ale uczynki – wypowiadając te słowa, pochyliła głowę i zaczęła się bawić brzegiem spódnicy. – Co mówi Petra? Czy ona cię obwinia?

– Nie rozmawiałem z nią. Nie byłem na pogrzebie. To było dla mnie za dużo.

– Musisz z nią porozmawiać. Jak masz zacząć sobie wybaczać, jeśli nie usłyszałeś od niej, że cię za to nie wini?

– Nie sądzę, żebym chciał to sobie wybaczyć.

Spojrzała wtedy w górę, aby znaleźć jego spojrzenie. Patrzyła na niego przez, jak się wydawało, bardzo długi czas. Było tak późno, że zza okna ledwo dobiegał jakikolwiek dźwięk. Ewan przypomniał sobie, jak to było trzymać ją w ramionach, nie parę dni wcześniej, ale dekadę wcześniej. Kiedy byli kochankami i wydawało się, że wszystko jest możliwe.

– Dobrze – mówi łagodnie. – Dobrze. To też rozumiem. Ale może mógłbyś zrobić coś, co

pomoże komuś innemu. Może to sprawi, że poczujesz się lepiej.

– Jak mogę komuś pomóc?

– Zrób to, co powiedział ci Lee. Jego ostatnia prośba, to, o czym rozmawialiście przed jego śmiercią. Pojedź zobaczyć się z córką.

– To nikomu nie pomoże.

– Może pomóc tobie.

Oparł głowę o krzesło i spojrzał na sufit.

– Sądziłem, że już zupełnie zapomniałem o tym obrazie. Ale myślę o nim, odkąd się pojawiłaś. Było na nim pełno kwiatów, prawda?

– Plumerii. – Jej głos jest jeszcze cichszy.

– To takie dziwne pomyśleć, że on nadal jest gdzieś na świecie, taki sam, niezmienny. Nadal jestem na nim młody, kwiaty nadal są w pełnym rozkwicie. Ty nadal jesteś w tym pokoju i jesteśmy kochankami. Kiedy w rzeczywistości wszystko, co złożyło się na ten portret, już nie żyje.

W salonie panuje niemal totalna cisza. W oddali słychać jedynie szmer przejeżdżającego samochodu.

– To nieprawda, nie wszystko jest martwe – powiedziała Felicity.

Nadal na niego patrzyła i kiedy ponownie napotkał jej spojrzenie, głęboko w brzuchu poczuł wzbierające pragnienie. Nic łączącą go z nią, nic, o której już niemal zapomniał, ale teraz czuł ją tak mocno jak wtedy, kiedy spotkał ją pierwszy raz w jasne letnie popołudnie.

Felicity nie ruszyła się z sofy. Przypomniał sobie, jak zarzuciła mu ramiona na szyję w Greenwich, jakby nie dzieliło ich te dziesięć lat.

– Czy twój mąż wie, że tu jesteś? – zapytał.

– Nie.

Czyli to nie z nim rozmawiała przez telefon. Ten jej mąż często zdawał się być nieobecny. Ale fakt jego istnienia był przeszkodą między nimi.

– Nie sądzisz, że powinien wiedzieć?

– Jest wiele rzeczy, których nie mogę mu powiedzieć. W każdym razie, jeszcze nie teraz.

– Jest późno – mówi. – Zamówię ci taksówkę. – Nie wstał jednak, żeby pójść po swój telefon.

– Będziesz spał?

– Wątpię.

– Wydaje mi się, że nie powinieneś być dziś w nocy sam. Nie po tej rozmowie.

– Co miałbym zrobić? Wylałaś mój zestaw samobójczy do kanału.

– Od tego czasu wymieniłeś przynajmniej kilka innych sposobów, w jakie mógłbyś się zabić.

– Flick, moje poczucie winy jest dostatecznie duże. Wracaj do męża.

Spuściła wzrok.

– Chyba nie mogę – powiedziała do swoich kolan.

Oboje mogli upaść lub wycofać się bezpiecznie do środka. W przeciwieństwie do tej sytuacji w autobusie teraz mógł myśleć – mógł wybrać.

Z doświadczenia wiedział, że najbardziej atrakcyjny wybór był tym najgorszym.

Wstał, ale nie podszedł do niej. Nie usiadł obok, nie wziął jej za rękę i nie pocałował.

– Przyniosę ci poduszkę i koc z mojego łóżka – powiedział. – Sofa jest całkiem wygodna.

Rano kupię ci kanapkę z bekonem. Dziękuję, że uratowałaś mi życie.

– To było na tym rogu – mówię – jestem tego pewna. Zobacz, to ten pub, tu był kiosk, dalej pralnia, a za nią kawiarnia. Tu. – Wskazuję na miejsce, gdzie powinien znajdować się znajomy lokal. Blok mieszkalny z lat sześćdziesiątych. Jego architektura uparcie wskazuje na to, że musiał stać przynajmniej od czterdziestu lat, kiedy Ewan i ja pierwszy raz poszliśmy na kawę w tej okolicy. – Czy nie?

– To było po drugiej stronie – twierdzi Ewan.

– Jestem przekonana, że to było po prawej.

– Popatrz na te okna. – Przyglądam się im: szklane tafle, szerokie i wysokie, w czarnych ramach. Tak, to w nich wisiały zasłony z kraciastej bawełny. Ale teraz jest tu apteka, a w jej witrynie stoją kremy z filtrem słonecznym i leki na alergię.

– No to nici z kanapki z bekonem – mówię.

Prawdę powiedziawszy, nie jestem wcale głodna. Mam niewielkiego kaca: mąci się mi w głowie, która w dodatku pobolewa. Nie wyspałam się na sofie Ewana: kiedy już udawało mi się zasnąć, męczyły mnie niespokojne sny. Skórzane poduszki trzeszczały przy każdym moim ruchu i słyszałam Ewana w pokoju obok. Przez większość czasu leżałam, nie śpiąc, obawiając się zapachu plumerii, czegoś, co sprawiłoby, że zeszląbym z sofy i wtargnęła do sypialni, gdzie zrobiłabym z siebie idiotkę lub coś jeszcze gorszego, jeśli Ewan powitałby mnie z otwartymi ramionami.

Zapach się nie zjawił. Obudził mnie SMS od Quinna: „Udany wypad?”.

„Za dużo tequili”, odpisałam. „Porozmawiamy później”.

Po raz pierwszy okłamałam Quinna wprost. Kiedy Ewan wszedł do salonu, wycierając sobie włosy ręcznikiem, powiedziałam, że potrzebuję się przejść, żeby rozjaśniło mi się w głowie, zanim zjemy obiecane przez niego śniadanie.

Niestety, spacer wcale nie uporządkował moich myśli. Choć jest dopiero dziesiąta, jest już naprawdę gorąco. Nadal mam na sobie wyjściowe ciuchy, a włosy związałam gumką. Zrobiłam, co mogłam, żeby zetrzeć mokrą flanelą ślady tuszu do rzęs spod moich oczu, ale czuję, jakbym była na tym, co kiedyś nazywaliśmy „ścieżką wstydu” – wszyscy widzą, że zarwałam noc. Przewrotnie, wcale nie czuję się z tym źle – czuję się seksownie.

Cholera.

Nie powinnam sobie na to pozwalać. Jestem z Ewanem, bo potrzebuje mojej pomocy. Zeszłej nocy, kiedy leżałam i rozmyślałam, dotarło do mnie, że być może te wspomnienia są innego rodzaju znakiem, niż myślałam. Być może zaprowadziły mnie do niego, bo potrzebował mojej pomocy w tym właśnie momencie swojego życia. Być może nie mają nic wspólnego z przyciąganiem czy uczuciem zakochania.

A mimo to okłamałam Quinna.

– Jest mnóstwo innych kawiarni – mówi Ewan.

– Chyba nie mam jednak ochoty na kanapkę z bekonem – stwierdzam. – Za gorąco mi. – Powinnam zbierać się z powrotem do Canary Wharf, żeby wziąć prysznic i wrócić do normalnego życia, ale nie chcę zostawiać Ewana. Chociaż nie wydaje mi się, żeby jego życie było w bezpośrednim zagrożeniu, przynajmniej nie dziś, ponieważ jest zdecydowanie pogodniejszy, jakby rozmowa o Lee mu pomogła. Pewnie znów poczuje się gorzej, ale dziś

ma dobry dzień. I zdecydowanie bardziej przypomina tego mężczyznę z mojej przeszłości.

– Mam lepszy pomysł. – Ewan zaczyna iść w dół ulicy. Za rogiem znajduje się park, w którym w słońcu bawi się kilkoro dzieci, podczas gdy ich mamy siedzą w cieniu z wózkami. Na rogu stoi furgonetka sprzedawcy lodów, który w tej chwili zajmuje się czytaniem „Sun”. Ewan idzie prosto do niego i kilka minut później wraca z dwiema ogromnymi porcjami lodów.

– Lody na śniadanie? – pytam, biorąc swoje.

– Czemu nie? – odpowiada, zabierając się za lizanie. – Jesteśmy dorośli. Siadamy?

Znajdujemy ławkę, jemy lody i przyglądamy się toczącemu się wokół nas życiu wschodniego Londynu. Puszyste lody są idealne, żeby zacząć od nich dzień taki jak ten. I to jest dokładnie coś takiego, co Ewan i ja robilibyśmy dziesięć lat temu, kiedy nie mieliśmy pracy ani żadnych zobowiązań. Tyle że wtedy nie byliśmy w stanie przestać się dotykać.

– Spędźmy ten dzień, robiąc tylko to, na co mamy ochotę – mówię, orientując się, że może to mieć wydźwięk seksualny. Z płonącymi policzkami dookreślam, o co mi chodziło.

– Urządźmy sobie wólcę po Londynie, zatrzymując się przy tym, co nas interesuje. Zjedzmy coś fajnego, napijmy się tego, na co przyjdzie nam ochota. Przeżyjmy ten dzień tak naprawdę!

– Próbujesz przekonać mnie, że życie jest dobre, prawda? Że nie warto go sobie odbierać?

– Nie sędzę, że da się to udowodnić, spacerując jeden dzień po Londynie. To nie bożonarodzeniowy film. Myślę, że powinieneś zasięgnąć profesjonalnej pomocy, Ewan. Nie należy lekceważyć myśli samobójczych. Musisz to przepracować. Obiecuj, że się tym zajmiesz. – Obracam się, żeby spojrzeć mu w oczy. Jest zajęty lodem, ale szybko przetyka i zamyka usta.

– Obiecuj – nalegam. – Słownie.

– Dobra. Pójdę do lekarza.

Wpatruję się w niego intensywnie.

– Nie jestem pewna, czy ci wierzę.

– Naplułbym sobie na dłoń i uściśnąłbym twoją, jeśli chcesz, ale obawiam się, że byłyby w tym lody.

– Zadzwoń od razu do lekarza pierwszego kontaktu i umów się. Wtedy będę zadowolona.

Przyglądam mu się, jak dzwoni i umawia się na wizytę na ten tydzień. Zdaję sobie sprawę, że jestem w pewien sposób hipokrytką.

– Dobrze, wpisz sobie też numer telefonu zaufania. A właściwie, to ja ci go wpiszę, daj komórkę.

Podaje mi telefon, nadal ciepły. Wyszukuję numer. Kiedy otwieram listę kontaktów, widzę, że nadal na samej górze ma numer Alany. Tworzę nowy kontakt.

– Zapisałam ci też mój numer.

Kiedy go wprowadzam, myślę, że to może być niebezpieczne. Ale nie wyobrażam sobie, żeby Quinn kiedykolwiek sprawdzał mój lub czyjkolwiek telefon. To niezgodne z jego zasadami i zaufaniem do świata. Nie przypina przecież nawet swojego roweru, mimo że w pobliżu czai się dziewięciolatek zawsze gotowy, aby go ukraść.

Oczywiście to sprawia, że znacznie łatwiej mi go zdradzić. Przetykam ślinę i na chwilę zamykam oczy, rozedrgana myślą o tym, co robię.

Wysyłam numer Ewana na mój telefon, a gdy nie patrzy, przesyłam sobie również numer Alany. Na wypadek, gdyby coś się stało i musiałabym powiadomić jego rodzinę.

– Proszę – mówię, słysząc jak mój własny telefon dzwoni dwa razy, kiedy odbiera wysłane przeze mnie numery. – Zrobione. – Oddaję mu aparat i wracam do swoich lodów.

– Czyli dzień w Londynie – stwierdza. – Nie masz nic lepszego do roboty? Żadnej pracy? Męża?

– To najważniejsze, co mam dziś do zrobienia.

Wyrzucam ubrudzoną lodami serwetkę i wstaję.

– Gotowy?

Dzień jest gorący, więc nie przeszliśmy tyle, ile moglibyśmy w innych okolicznościach. Byliśmy w sklepie ze starymi winylami, gdzie Ewan udzielił mi informacji na temat zespołów, o których nigdy wcześniej nie słyszałam. Wskoczyliśmy do autobusu i przez chwilę jechaliśmy na górnym piętrze, dopóki upał nas nie przegonił. Na lunch kupiliśmy sobie w azjatyckim warzywniaku zimne samosy i kawałki arbuza, znaleźliśmy kolejny park i opluwaliśmy się nawzajem pestkami. Sok płynął mi po rękach, brudząc rękawy sukienki. Wczesnym popołudniem moje stopy przestały dawać sobie radę w wyjściowych butach, więc kupiłam najtańsze klapki. Nagrzany asfalt parzył przez nie z każdym krokiem.

Byliśmy w księgarniach i delikatesach, sklepach ze słodyczami i muzeach. Spędziliśmy dłuższą chwilę w kościele w Hawksmoor zachęteni chłodem marmurów i cienia. Instynktownie unikaliśmy tych miejsc w mieście, gdzie moglibyśmy spotkać jakichś znajomych. A przynajmniej ja tak robiłam, choć myślę, że Ewan też, bo nie wpadliśmy na nikogo, kogo znał. Są letnie wakacje, więc ulice roją się od nastolatków jeżdżących na skuterach i deskorolkach, śmiejących się do swoich telefonów. Ewan opowiada mi o wycieczce łodzią w Tajlandii, a ja odwiedzam mu się historią o tym, jak raz przez dwa tygodnie pracowałam w Paryżu jako kelnerka, dopóki mnie nie zwolnili. Nie rozmawialiśmy o żadnych istotnych sprawach. Kiedy mój telefon wibrował, ignorowałam go.

Jeden dzień. Chyba mogę spędzić jeden dzień z Ewanem, zanim zacznę myśleć o moim prawdziwym życiu i związanej z nim odpowiedzialności. Zanim zdecyduję, kogo skrzywdzić.

Nie dotykam go.

Zatrzymujemy się, żeby usiąść przed pubem, przy stoliku, który zwykle zajmują palacze. Piję piwo z limonką, coś, czego nie piłam, odkąd byłam nastolatką.

– Widziałem Petrę parę razy. – Niespodziewanie mówi Ewan. – Żonę Lee. Była na paru koncertach. Lee nigdy nie mógł powstrzymać się przed dotykaniem jej, kiedy byli razem. Trzymał rękę na jej kolanie albo na ramieniu, albo głaskał jej włosy. Jakby wiedział, że nie będzie mu dane spędzić z nią dużo czasu. – Patrzy na mnie swoimi jasnoniebieskimi oczami w odcieniu letniego nieba. – Myślisz, że to właśnie miłość?

To dokładnie ten rodzaj pytania, którego tak desperacko starałam się uniknąć. Rozglądam się za czymś, żeby zmienić temat, i dostrzegam sklep z zabawkami po drugiej stronie ulicy.

– Poczekaj chwilę – mówię.

W środku jestem trochę oszołomiona ilością zabawek. Tyle plastiku, tyle pudełek z nazwami napisanymi krzykliwą czcionką, tyle brzęczenia, migających świateł i pisku,

posegregowanego według płci. Po prawej samochody i pistolety dla chłopców, po lewej królestwo różu dla dziewczynek. Staję na środku zdziwiona tą wersją dzieciństwa, tak różną od mojego lub tego, jakie wyobraziłam sobie dla dziecka, które miałam mieć z Quinnem.

Ciężko jest znaleźć coś, co nie podlegałoby segregacji płciowej, ale w końcu udaje mi się znaleźć to, czego szukam: niemal na samym końcu, w sekcji „edukacyjne”. Przy kasie proszę, żeby zapakowano mi to na prezent, ale mają tylko plastikowe siatki. Niosę swoje znalezisko do Ewana, który kupił nam po kolejnym piwie.

– Zabawka – mówi. Wyjmuje z reklamówki. – Ukulele.

– Pomyślałam, że to straszna szkoda, że nie masz już żadnej gitary. To na początek nowej kolekcji. Skromny początek, ale zawsze coś.

– Zostały mi jakieś gitary w schowku. Jeszcze nie wyrzuciłem ich przez okno. Brzdąka, kręci regulującymi struny pokrętłami i znów uderza w struny. – Chyba nigdy wcześniej nie grałem na ukulele.

Uśmiecha się. Instrument jest za mały względem jego rąk, ale i tak udaje mu się wydobyć z niego melodię. Coś wesołego, pewnie na plastikowych strunach można grać tylko takie melodie. Ukulele jest zbyt małe i śmieszne, żeby grać na nim bluesa – dlatego też je wybrałam. Przechodnie słyszą muzykę i uśmiechają się do Ewana. Podobnie jak lody na śniadanie, głupia melodia grana na ukulele idealnie pasuje do letniego dnia. Mężczyźni przy sąsiednim stoliku śmieją się i pokazują Ewanowi swoje uniesione kciuki.

– Zapomniałam już, jaki jesteś dobry – chwale go.

– Miałem dużo praktyki. – Zaczyna grać coś innego.

– Myślisz, że twoja córka też jest muzykalna?

Przerywa grę.

– Och, wiedziałem, że to było za dobre, żeby mogło trwać.

– Opowiedz mi o niej.

– Przeprowadziły się do Manchesteru z jej ojczymem. Rebecca ma przyrodnią siostrę i przyrodniego brata. Pewnie ma już taki akcent, jakby się tam urodziła.

– Jakiego koloru są jej włosy?

– Rude. Takie jak Alany. Nie jest do mnie zbyt podobna i nie wiem, czy jest muzykalna.

– Rozmawiasz z nią chociaż przez telefon?

Potrząsa głową.

– To nie ma sensu. Rebecca nie potrzebuje, żebym mieszał jej w głowie. Ma tatę. Alana ma męża. Są szczęśliwe. Ja cieszę się ich szczęściem. Tyle.

– Nigdy nie poznałam swojego ojca – mówię, dotykając palcem mokrego kółka zostawionego na blacie przez mój kufel. – Był już żonaty, kiedy spotkał moją matkę w Paryżu. Rozstali się przed moimi narodzinami. Nie zachowała żadnych zdjęć ani szkiców. Nigdy nic mi o nim nie powiedziała, oprócz tego, że był Francuzem, a ona go kochała. Miałam szczęśliwe dzieciństwo. Kochałam Esther i nigdy nie czułam, żebym potrzebowała kogoś oprócz niej. A mimo to za każdym razem, kiedy byłam w Paryżu, szukałam go. Przyglądałam się każdemu mężczyźnie w wieku mojej matki lub trochę starszemu, o ciemnych włosach lub zielonych oczach, przyglądałam się w nadziei, że dojrzę coś, cokolwiek, co sprawi, że będę wiedziała, że jest moim ojcem. Mimo że byłam szczęśliwa i wiedziałam, że on nie może mi dać nic ponad to, co już miałam, bardzo chciałam go poznać.

– Cóż – mówi Ewan, podnosząc swój kufel. – To są twoje uczucia.

– Jeśli Rebecca choćby odrobinę podziela moje uczucia, nie wydaje ci się, że jesteś jej winien jakiś kontakt?

Odstawia piwo, nie napiwszy się.

– Flick, słuchaj. Wiem, że myślisz, że to mogłoby mi pomóc. Ale to bardziej skomplikowane, jasne? Nie mogę tak po prostu złapać za telefon.

– Jeśli masz jej numer, to możesz. Co takiego może się stać? Alana odłoży słuchawkę? Przynajmniej spróbujesz.

– Myślałem, że chcesz, żebym czuł się lepiej.

– Staram się...

– Wiem, co starasz się zrobić, ale to nie skutkuje. Chcesz się jeszcze napić czy idziemy?

Ewan już wstał.

– Chodźmy – odpowiadam i Ewan odchodzi szybko w przypadkowo wybranym kierunku. Popełniłam błąd, ale zdążyłam się już dowiedzieć wystarczająco dużo o nowym Ewanie, żeby wiedzieć, że tak się zachowuje, kiedy jest smutny, więc idę w milczeniu obok niego.

Pamiętam, jak zerwaliśmy dziesięć lat temu. Kiedy powiedział mi, że zadzwoniła do niego Alana, żeby oznajmić, że jest w trzecim miesiącu ciąży. Wyglądał wtedy na wściekłego. Był zgryźliwy i nieprzystępny. Byłam na niego strasznie zła, mimo że nie znałam Alany, mimo że zdradził ją ze mną i przeze mnie z nią zerwał. Jak mógł gniewać się na nią? To przecież nie była jej wina. Oboje się do tego przyczynili. Zrobili to razem, zanim poznałam Ewana, i ten uczynek odebrał mi go na zawsze.

– Jeśli ona zamierza mieć to dziecko, musisz do niej wrócić – powiedziałam mu, z trudem łapiąc powietrze, wyobrażając już sobie, jak będzie wyglądał nasz związek, jeśli tego nie zrobi: obciążony winą i skomplikowany. Obrócił się do mnie z pałającymi oczami. Nigdy nie widziałam go wcześniej w porywie złości i aż się odsunęłam.

– Jeśli tylko tyle ci na mnie zależy, to tak zrobię – powiedział. I wyszedł.

I tyle. Oboje podjęliśmy nasze decyzje, jak się nam wydawało na zawsze. Jeśli dobrze pamiętam, nie trwało to nawet dziesięciu minut.

To wspomnienie i szybkie tempo sprawiają, że piwo z limonką przelewa mi się w żołądku. Byliśmy tacy młodzi i gwałtowni. Teraz wspinamy się na wzgórze i wchodzimy do kolejnego parku. Dziś Londyn tętni życiem, jest pełen zieleni, chodzimy od jednego parku do drugiego i w każdym jest tyle ludzi. Psy szczekają, dzieci krzyczą. Mężczyzna na rolkach mija nas o włos. Wszystkie zacienione miejsca zostały zajęte przez rodziny z kocami piknikowymi. Ewan rozkłada się w słońcu na trawie i przypominam sobie, co powiedział tamtego dnia w Greenwich: „Dziwny i piękny dzień, żeby żyć”. Teraz wiem, że była to ironia. Siadam koło niego i przyglądam się dzieciakom grającym w piłkę. Te w koszulkach są złane potem, a te bez są spieczone od słońca. Ich ruchy spowalnia upał. Mój telefon dzwoni i dzwoni, ale w końcu przestaje.

Wokół nas zaczyna unosić się zapach plumerii.

– Dureń ze mnie – mówi cicho Ewan. – Próbowalaś tylko pomóc.

– Czujesz to? – pytam. Bo może on też to wyczuwa. Może to coś przeznaczone dla nas obojga. Zapach słodki i pikantny, ciężki i egzotyczny.

– Co?

– Potrzebuję, żebyś mi pomógł – mówię. Sięgam po jego dłoń, która zaciska się wokół mojej. Jego skóra jest jeszcze cieplejsza niż powietrze. – Siedź tu ze mną i nie pozwól mi

się ruszać. Tylko przez kilka minut. Nic nie mów, nie patrz na mnie. Nie dotykaj mnie, tylko trzymaj za rękę.

– Dlaczego?

– To... tak jak nasze spotkanie w Greenwich – odpowiadam. – Musisz to zrobić, nie wiedząc, o co chodzi. Za dziesięć minut wszystko znów będzie dobrze.

– Jasne – mówi, a mi ledwo wystarcza czasu, żeby podciągnąć kolana i skryć głowę między nimi. Nakazuję sobie zostać bez ruchu, jakbym wrosła w ziemię, nakazuję sobie nie zwariować.

Trzymam Ewana za rękę i kocham go. Moje serce bije tak mocno, że czuję, jak moje ciało porusza się z każdym uderzeniem. Napinam mięśnie i pozwalam, żeby jego ręka utrzymywała mnie w miejscu. Zaciskam usta, żeby nie roześmiać się na głos.

Nie wiem, czy mija dziesięć, piętnaście minut, czy pół godziny. W końcu czuję, że uczucie słabnie. Moje serce zwalnia. Zaczynają docierać do mnie dźwięki parku. Bolą mnie plecy. Prostuję najpierw jedną nogę, później drugą i patrzę w górę. Zgodnie z obietnicą, Ewan patrzy przed siebie, a nie na mnie.

– Dzięki – mówię. Wiem, że mam na twarzy głupkowaty uśmiech, ale nie mogę się go pozbyć. Tak jak nadal nie mogę puścić jego ręki.

Obraca się do mnie.

– Nic ci nie jest?

– Nie. Czuję się wspaniale. – Przeszłam przez to, nie robiąc niczego głupiego. To dowodzi czegoś, choć nie wiem czego... że jestem silniejsza od losu? Że mogę wybierać, co robię?

Tak, to to. Mam zdolność podejmowania wyborów. I mimo całej tej euforii, która rozlewa się po moim ciele, jestem świadoma, co należy zrobić. Puszczam dłoń Ewana i wstaję, otrzepując moją sukienkę.

– Muszę już iść do domu – mówię. – Dziękuję za wspaniały dzień.

Zrywa się na równe nogi.

– Jesteś pewna? Wyglądasz trochę... dziwnie.

– Nic mi nie jest.

– To przez piwo? W gorący dzień może uderzyć do głowy.

– Tak, pewnie tak – śmieję się. – Pójdę już. Nie zapomnij pójść do lekarza, dobrze?

– Ale kiedy się zobaczymy?

Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem, jaka jest właściwa odpowiedź. Jeśli mogę mu się oprzeć, to mogę się przecież z nim widywać. Jeśli miałam spotkać się z nim, żeby uratować mu życie, to może już to zrobiłam.

– Wpadniemy jakoś na siebie – odpowiadam i idę przez park, choć nie jestem pewna, czy to właściwy kierunek, żeby dotrzeć do domu.

Kiedy docieram do mieszkania Lauren, idę prosto do łóżka, nadal mrowią mnie ręce i nogi. Śpię, dopóki nie budzi mnie dźwięk domofonu. Ewan, myślę, ale przypominam sobie, że on nie wie, gdzie mieszkam. Quinn?

Naciągam na siebie szlafrok Lauren i idę do przedpokoju, żeby podnieść słuchawkę. Sen rozjaśnił mi trochę w głowie, choć nadal jestem zmęczona. Jeśli to jakiś sprzedawca, to się zdenerwuję.

– To ja, Suz – mówi moja szwagierka. – Dzwoniłam, ale bez skutku, więc pomyślałam, że może po prostu wpadnę.

Wpuszczam ją do budynku i przeżywam chwilę paniki, czekając aż wjedzie windą na moje piętro. Czy domyśli się, co robiłam cały dzień? Z kim byłam? Biegnę do łazienki, żeby przemyć sobie twarz i przeczesać włosy palcami, starając się jakoś je ułożyć. Kiedy puka do drzwi mieszkania, brzegiem ręcznika usiłuję zetrzeć z twarzy smugi tuszu do rzęs.

Suz wygląda dobrze. Ponieważ nie widziałam jej od ponad trzech tygodni, patrzę teraz na nią jak na osobę, a nie część rodziny Wickhamów: wysoką, atrakcyjną i profesjonalną.

Ma na sobie eleganckie, obcisłe dzinsy, sandały na wysokim obcasie i letnią bluzkę. Włosy ma wysuszone suszarką tak, aby tworzyły pewien nieład, i pomalowała się trochę bardziej niż zwykła to robić w Tillingford. To podkreśla jej szare oczy, które mają ten sam odcień co oczy Quinna.

Całuje mnie w policzek, jakby łączyły nas jakieś interesy.

– Ślicznie tu i przyjemnie chłodno. Obudziłam cię?

– Tylko drzemałam. Chodź do kuchni, zrobię nam herbatę.

– Quinn mówił, że zabawiłaś wczoraj do późna na mieście. – Idzie za mną, patrząc z uznaniem na nowoczesne i przestronne mieszkanie. – Widziałaś się z przyjaciółmi?

– Tak, ze starymi przyjaciółmi. Miło, że przyszłaś. Co cię sprowadza do Londynu?

– Również spotkanie towarzyskie. Pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, jak się masz, zanim będę musiała iść na pociąg.

Napełniam czajnik, ale waham się.

– A może wolałabyś coś zimnego?

– Kieliszek wina, jeśli masz. Chyba pora jest już odpowiednia. – Na stole leżą rozrzucone papiery. Suz podnosi kartkę. – Widzę, że udało ci się popracować. To jest świetne.

– Och, to tylko... tylko szkice. Nie sądzę, że wejdą do książki. W drodze do lodówki dostrzegam, na co patrzy. To rudzik z łebkiem przechylnym w zaciekawieniu, patrzący wprost na odbiorcę.

– To jest świetne – mówi. – To Quinn, prawda? Quinn jako rudzik.

Zatrzymuję się, sięgając po butelkę białego wina, które Lauren tu trzyma.

– Skąd wiesz?

– Ma dokładnie taki wyraz twarzy, kiedy coś go zainteresuje. Oczy, usta – to znaczy dziób. Fantastyczne. Masz jeszcze jakieś?

Mam.

– Ech... raczej nie.

– Jakiś ze mną? Albo z mamą? Ona byłaby sroką, nie sądzisz?

– Stale terkoczącą.

– I zbierającą błyszczące przedmioty. – Przegląda rysunki, które w większości nie są nawet skończone, płataniny linii, studia skrzydeł. – Czy Igor to w takim razie ty?

– Nie wiem. Nie całkiem. Może. Wydaje mi się, że lubię go rysować jako członka dużej sowej rodziny, ponieważ sama nigdy takiej nie miałam. To znaczy, nie miałam, zanim nie wyszłam za Quinna. – Odkorkowuję butelkę i przynoszę dwa pojemne i eleganckie kieliszki. – No i jest dziwny, w tym mnie przypomina.

– Nie jesteś aż tak dziwna, Felicity. Och, jaki ładny rysunek. Cóż za przystojny kruk.

Kruk to Ewan. Dumny, niegdyś błyszczący, teraz z długimi nogami i trochę sponiewierany. Ponieważ jest to rysunek ołówkiem, nie widać, że ma niebieskie oczy.

– Proszę bardzo – mówię szybko, podając Suz wino. – Pewnie jest dobre. Moja przyjaciółka Lauren ma dobry gust.

– Zdrówko! – Suz trąca się ze mną kieliszkiem i unosi brwi po pierwszym łyku. – Bardzo dobre. Jak myślisz, Felicity, ile zostaniesz jeszcze w mieście?

No i dotarliśmy do celu jej wizyty. Suz jest w końcu prawniczką. Podobnie jak Quinn gustuje w faktach. Biorę trochę większy łyk wina niż zazwyczaj, próbując zdecydować się na taktykę.

– Nie wiem – odpowiadam w końcu. – Jak widzisz, nie zrobiłam jeszcze nic użytecznego. Wszystko jest na etapie szkiców. Nawet nie mam jeszcze przyzwoitego pomysłu na książkę.

– Pewnie nie możesz wywnioskować tego z rozmów telefonicznych, ale Quinn jest bardzo nieszczęśliwy.

Odkładam kieliszek na blat.

– Wiem o tym.

– W przeciwieństwie do mamy nie interesują mnie wasze prywatne sprawy. Nie muszę znać szczegółów. Po prostu chcę wiedzieć, jako siostra Quinna, na co powinniśmy być przygotowani. Czy to dla ciebie jedynie wyjazd twórczy?

Nie jest zła ani oskarżycielska. Wygląda na zatroskaną i, podobnie jak rudzik na moim rysunku, jest zaciekawiona. Nie dlatego, że chce ekscytujących plotek, ale dlatego, że chce poznać prawdę.

Suz podnosi butelkę wina, którą postawiłam obok zlewu. Napełnia mój kieliszek po sam brzeg. Następnie nalewa sobie. Kieliszki są takie wielkie, że butelka jest niemal pusta.

– Napij się – mówi. – A potem mi powiedz.

Ponieważ ufam jej, robię tak, jak powiedziała. Wypijam wino duszkiem, jakby to była woda. Pewnie ma cudowny bukiet i subtelne nuty bzu czy limonki, ale nie czuję ich. Suz też pije, choć wolniej. Przygląda mi się swoimi spokojnymi, szarymi oczami.

Po wypiciu połowy, brakuje mi tchu. Już teraz czuję, jak alkohol przenika do mojego organizmu, powodując drżenie nóg, co wcale nie jest nieprzyjemne. To przypomina mi, jak czułam się z Ewanem w parku.

– Moja przyjaciółka Lauren, do której należy to mieszkanie – zaczynam – pamiętasz ją? Była na naszym ślubie.

– Pamiętam.

– Ona od zawsze ma taką teorię, żeby nigdy nie umawiać się z mężczyzną, który nie jest jej równy. Chce kogoś tak samo skupionego na karierze jak ona sama, z podobną pensją.

Tak samo inteligentnego, równie atrakcyjnego i towarzyskiego. Uważa, że to niezbalansowanie związku sprawia, że się psuje. Na szczęście jednym z jej talentów jest umiejętność oszacowywania zasobów finansowych człowieka po jego wyglądzie. Później jest już prosty system poznawania i eliminowania.

– Uważasz, że Quinn ci nie dorównuje?

– Nie, nie, raczej to ja się z nim nie równam. – Wino naprawdę pomaga. Biorę kolejny łyk dla kurażu. – W naszym przypadku chodzi o emocje. On... pewnie wiesz, że zakochał się we mnie od pierwszego spotkania. To on chciał wziąć ślub. To on chce mieć dziecko.

– Myślałam, że ty też jesteś w nim zakochana. – Ton Suz jest neutralny, nieoceniający.

– Bo jestem! Ale nigdy... To znaczy, kocham go. Nie ma możliwości nie kochać Quinna. Jest cudowny. I kocha mnie tak bardzo, że byłoby nie na miejscu tego nie odwzajemniać. Zasługuje na to, żebym go również kochała.

– Ale ty tego nie czujesz. Nie w tym momencie.

– Poznałam go niedługo po śmierci mojej matki. To znaczy, ona zmarła kilka miesięcy wcześniej, ale dla mnie to było jak okamgnienie. A Quinn... on sprawił, że zaczęłam się śmiać. Sprawił, że poczułam, że znów żyję. Pomógł mi.

– To nie miłość?

– To... nie wiem. – Przygnębiona siadam na krześle. – Chciałabym, żeby to było takie proste. Naprawdę.

– Nie sędzę, aby cokolwiek w miłości było proste.

Suz przysiadła się do mnie. Nalewa mi resztę wina i siedzimy razem, pijąc.

Lubię moją szwagierkę. Lubię ją od pierwszej chwili, kiedy Quinn nas sobie przedstawił. Jest rozsądna, ciepła, wesoła, można na niej polegać. Nie rzuca słów na wiatr. Nigdy nie było między nami żadnych różnic, które musiałybyśmy ukrywać. Nawet gdybym nigdy nie poznała Quinna, chciałabym mieć ją za przyjaciółkę.

Ale jeśli go stracę, stracę również jego siostrę.

Patrzę na jej dłoń na kieliszku. Paznokcie ma pomalowane bezbarwnym lakierem, co jest u niej niespotykane. Podobnie jak makijaż i ta śliczna nowa bluzka.

Pamiętam, jak powiedziała, że przyjechała się z kimś spotkać.

– Na twoim miejscu też umawiałabym się na randki w Londynie – mówię. – Tillingford jest przynajmniej o połowę za małe, żeby mieć jakiś związek, o którym wszyscy by nie plotkowali.

– A do tego najgorszą plotkarą jest mama. – Coś w jej rzucanym bokiem spojrzeniu sprawia, że nagle się prostuję.

– Nie spotykasz się z mężczyzną, prawda? Tylko z kobietą?

Suz kiwa głową.

– A ja naprawdę myślałam, że po prostu nikt, z kim Molly próbowała cię wyswatać, nie przypadł ci do gustu – mówię, ale równocześnie dociera do mnie, że to nieprawda. Wcale nie jestem zaskoczona tym, że Suz umawia się z kobietami. – Quinn wie?

– Zawsze przypuszczałam, że tak.

– Nic nigdy nie powiedział.

– W naszej rodzinie jest wiele rzeczy, o których się wie, ale się nie mówi. – Pije wino ze spokojem. – Na przykład już od jakiegoś czasu wiedziałam, że nie jesteś pewna swojego życia w Tillingford. Ale dopiero od niedawna zaczęłam myśleć, że nie jesteś pewna uczuć wobec mojego brata.

– A ty... ty jesteś zakochana w swojej dziewczynie?

– Czas pokaże. Co zamierzasz zrobić w sprawie Quinna?

– Nie wiem. – Pseudowyznanie Suz odwróciło na chwilę uwagę od mojego nieszczęścia, ale teraz jest już z powrotem. – Wszystko się poplątało.

– Nie możesz tu siedzieć z nadzieją, że on o tobie zapomni. Tak się nie stanie.

Po raz pierwszy wyczuwam w jej głosie gniewną nutę. Nigdy nie widziałam wściekłej Suz. To dopiero mogłoby być przerażające.

– Wiem, że on o mnie nie zapomni. – Zwłaszcza dopóki mieszka w domu, który wybraliśmy razem i urządziliśmy wspólnie znalezionymi rzeczami.

Nagle czuję pustkę. Tęsknię za naszą chatką, za mieszkaniem w niej, dzieleniem jej, za kubkiem Quinna na ociekaczu, za wiadomościami, które zostawia przy telefonie, za dzikim ogrodem, nierównymi podłogami, za przytulaniem się na sofie, za ciepłem i wygodą, których nie ma w tym mieszkaniu.

– Może nie powinnam była za niego wychodzić – mówię. – Ale chciałam tego, Suz. Naprawdę chciałam.

Suz patrzy na mnie dziwnie. Spogląda na swój zegarek i wstaje.

– Muszę iść na pociąg. Nie wiem, ile to warte, ale nie chciałabym, żebyś odeszła od mojego brata. Chcę, żeby był szczęśliwy, i myślę, że ty potrafisz mu to dać, jeśli się postarasz. Sądzę, że oboje możecie być szczęśliwi. Jeśli się na to zdecydujecie.

– Próbowałam. Naprawdę. Nie wiem, czy można postanowić coś takiego.

– Wydaje mi się, że tak. Myślę, że wiele osób tak robi. Ale ponieważ teraz się zastanawiasz, weź pod uwagę, że jeśli zamierzasz go skrzywdzić bardziej niż do tej pory, lepiej zrób to szybko.

EWAN

Ewan był zakochany mnóstwo razy, ale nigdy naprawdę. Odkąd skończył trzynaście lat, co parę miesięcy miał nową dziewczynę. W szkole był z tego znany – przezywali go Romeo. Później też dziewczyn mu nie brakowało. Kobiety lubią muzyków, choć próbował unikać zdeklarowanych groupies. Nie chciał sypiać z kimś tylko dlatego, że ta osoba była akurat pod ręką. Lubił pierwsze spotkania, pogoń, grę, uwodzenie. Rozmowy z kobietami sprawiały mu przyjemność. Uwielbiał wymianę spojrzeń, płomień pożądania. Traktował kobiety jak wyzwanie, ponieważ wiedział, że może rozgryźć ich mechanizm.

Koledzy zawsze się z niego naśmiewali. Nazywali go podrywaczem. Mówili, że wykorzystywał swój wygląd. „Och, kolejna kreska na ramie łóżka”. Ale to nie było tak. Ewan nie zapisywał swoich podbojów, a kiedy myślał o tym było to dla niego raczej przygnębiające, a na pewno nie napawało go dumą. Nie zaczynał przecież spotykać się z kobietą, znając datę końca, ale dlatego, że się zakochiwał. Ponieważ był kimś zauroczony.

– W zasadzie jestem romantykiem – mówił przyjaciołom, a kiedy się śmiali, wyjaśniał: – Uwielbiam się zakochiwać. To najcudowniejsze uczucie na świecie. Problem polega na tym, że jest nietrwałe.

Zazwyczaj jego związki kończyły się w przyjaznej atmosferze. Ale zdarzały się też nieprzewidziane ofiary, ludzie, których źle osądził, gniewne zerwania, kobiety, które bardzo zranił, ponieważ zazwyczaj to Ewan wyznaczał koniec. Pod tym względem jego

praca była bardzo wygodna. Co bardziej spostrzegawczy z jego przyjaciół zauważali, że Ewan nigdy nie zakochał się w kobietach, które miały dzieci lub pracowały w przemyśle muzycznym. Jego romantyczne zapędy były skierowane jedynie ku wolnym, nieskomplikowanym kobietom, od których mógł z łatwością uciec, jak tylko zaczynała się kolejna trasa koncertowa.

Po latach podróży z tym czy innym zespołem, po latach przelotnych znajomości, w momentach osobistej szczerości Ewan zaczął podejrzewać, że bycie zakochanym aż tyle razy jest jak niebycie zakochanym nigdy.

A może wręcz przeciwnie, ponieważ za każdym razem był tak szczęśliwy, tak podekscytowany, tak pewny, że trafił na tę jedną jedyną. Ale też rozczarowywał się za każdym razem. Za każdym razem miał w pewien sposób złamane serce.

Felicity Bloom była inna, choćby dlatego, że to ona z nim zerwała, zanim on był gotowy zakończyć ich związek. Co więcej, ona zerwała z nim, aby odesłać go do innej kobiety. Odszedł od niej wściekły, pełen pretensji i nadal zakochany, ciągle pod wpływem wewnętrznego poczucia szczęścia, czując dotyk jej palców na swoim karku, pamiętając, jak marszczyła nos i jak gwizdała, kiedy myślała, że nikt nie słyszy. Wrócił do Alany, choć Felicity nadal rządziła jego sercem i ciałem. Nic dziwnego, że losy jego małżeństwa były przesądzone.

Może gdyby jego związek z Felicity zakreślił pełne koło, nie pamiętałby jej teraz tak dobrze. Odkochałby się w niej w równie naturalny sposób, w jaki odkochał się we wszystkich innych kobietach w swoim życiu: zauważyłby wcześniej niedostrzeżone braki, chociażby irytujący nawyk kopania w nocy lub przerażające poglądy polityczne, skłonność do narzekania czy wymuszania albo totalną nieznajomość dokonań zespołu „The Smiths”. Zainicjowałby powolny bądź nagły proces odczarowania i rozczarowania.

A może z nią byłoby inaczej. Może nigdy nie odkochałby się w Felicity. Ewan nie był taki głupi, żeby nie wiedzieć, iż nad miłością trzeba pracować: należy ignorować denerwujące nawyki i wyłączać się podczas dyskusji o polityce. Trzeba było zstąpić z wysublimowanych wyzyn poezji i seksu, żeby uzgodnić, kto wyrzuca śmieci, i pamiętać, aby opuszczać deskę sedesową. Znał małżeństwa, którym udało się wyjść obronną ręką z tych zagrożeń i pozostać szczęśliwymi. Na przykład Lee i Petra.

Lee nigdy nie nazywał Ewana Romeo. Nie opowiadał też o znaczkach na ramie łóżka, choć był jedną z tych osób, które wskazały na zadziwiającą zdolność Ewana do zakochiwania się we właściwych kobietach, czyli takich, które były na tyle silne, żeby za wiele od niego nie wymagać, i które nie nachodziły go więcej po zerwaniu.

– Może to dlatego, że wybierasz kobiety na tyle inteligentne, że wreszcie potrafią przejrzeć cię na wylot – powiedział kiedyś Lee. – Kiedy z nimi zrywasz, nie jest to dla nich zaskoczeniem.

– A czy Petra nie widzi cię na wskroś? – zapytał Ewan.

– Na wylot – odparł Lee. – Moje szczęście polega na tym, że jej podoba się większość tego, co we mnie widzi.

Ewan starał się, żeby jemu i Alanie się udało. Kiedyś był w niej zakochany, no i przecież zaszła z nim w ciążę. Postąpił właściwie, tak, jak powiedziała mu Felicity, choć tak bardzo się na nią o to zdenerwował. Wrócił do Alany i ożenił się z nią na oczach rodziny i przyjaciół. Znalazł pracę w sklepie z używanymi płytami i przeznaczał każdy grosz na opłatę czynszu za wynajem szeregowego domku z drugą sypialnią, przeznaczoną na pokój

dziecinny. Wyrzucał śmieci i starał się pamiętać o desce w toalecie. Grał na gitarze nocami i w weekendy w pubach i klubach, w których występował przed wyjazdem do Londynu, i próbował nie myśleć o tym, co robili Dougie, Gavin i Brian, ani o Felicity Bloom. Starał się przywołać wszystkie powody, dla których niegdyś kochał Alaną.

Ciąża sprawiła, że Alana stała się bardziej miękka, niemal jaśniejąca. Łatwo było ją kochać w takim stanie. A później trzymała go już Rebecca. Musiał przyznać, że Alana była dobrą matką. Była praktyczna i rozsądna, czuła i troskliwa. Była taką matką, jaką matka Ewana nigdy nie miała czasu być, ponieważ pracowała na dwóch etatach, żeby utrzymać ich bez pomocy ojca Ewana. To powinno było sprawić, żeby Ewan pokochał Alaną mocniej. Jednakże od momentu narodzin Rebekki Alana przeniosła całą uwagę na dziecko. Jako matka i dziecko stanowiły nierozdzielalną całość – doskonałą samą w sobie. Kiedy Alana karmiła ją, siedząc na sofie, obie wpatrywały się w siebie nawzajem z najczystsza miłością, jaką Ewan w życiu widział. Przyglądał się temu, stojąc w drzwiach.

Potrzebowali więcej pieniędzy, a kolega Ewana, Joel, znał zespół, który w ostatniej chwili szukał gitarzysty sesyjnego na trasę. Pieniądze były z tego dobre. Rebecca miała dwa miesiące, a Alana tak dobrze sobie radziła. Nie było powodu, żeby nie jechać.

I tak za każdym razem, kiedy ktoś coś dla niego miał. Wysyłał pieniądze do domu, a Alana oszczędzała na depozyt, złożyła podanie o kredyt hipoteczny i podała mu papiery do podpisania, kiedy wrócił. Za każdym razem, gdy wracał z trasy, Rebecca była coraz większa i umiała coraz więcej rzeczy, których uczyła się pod jego nieobecność. Matka Ewana była nieobecna w jego życiu, ale Rebecca miała to szczęście, że była ze swoją kochającą matką, a nie z opiekunkami do dzieci jak on. Jaki inny miał wybór, niż jeździć w kolejne trasy?

Taka była miłość, miłość w prawdziwym świecie: odpowiedzialność i zobowiązania, pieniądze posyłane do domu, telefony z różnych stref czasowych, przegapione osiągnięcia, prawdziwe życie w drodze.

Kiedy Rebecca skończyła cztery lata, przyjechał na jej urodziny. Przywiózł jej wielkiego pluszowego kangura, którego kupił w sklepie zabawkowym w Sydney. Była to największa zabawka, jaką mieli, a która została stworzona specjalnie z myślą o ojcach potrzebujących zrobić wrażenie, aby nadrobić braki. Dom był pełen dzieci, których nigdy wcześniej nie widział, biegających i wrzeszczących w swoich wyjściowych sukienkach. Alana ścięła włosy, więc kiedy mu otworzyła, w pierwszej chwili nie poznał swojej żony. Córkę z kolei wypatrzył z łatwością dzięki czuprynie rudych loków. Kiedy dał jej kangura, uścisnęła go szybko i pobiegła się bawić, zanim dobrze dotarło do niego uczucie jej drobnych rączek na szyi.

Tego wieczoru, kiedy małe dziewczynki wróciły do swoich domów, a Rebecca przytuliła się we śnie do kangura, Alana powiedziała Ewanowi, że poznała kogoś innego, kogoś, kto chce być na stałe w jej życiu, kogoś, kto będzie dobrym ojczymem i chce mieć z nią więcej dzieci. Ewan pamiętał ulgę, jaką wtedy poczuł.

Następnego ranka się pożegnał. Jeszcze nie na dobre: przyjeżdżał, kiedy mógł, przez kilka kolejnych lat. Aż w końcu nie mógł robić tego więcej.

Rebecca zawsze chciała wracać do swoich zabawek, ale on przytrzymywał ją o moment dłużej, niż sobie tego życzyła. Zamykał oczy i wdychał zapach jej włosów, czuł ich jedwabistość na swoim policzku. Małe ciało wyrywało się, żeby się uwolnić, a Ewan czuł

się jak wtedy, kiedy się urodziła. Położna podała mu ją ciepłą i śliską, a ona spojrzała mu prosto w oczy, jakby już go знаła. Tulił ją, a ona zawinęła swoją małą piąstkę wokół jego palca i wiedział, że należał do niej bez reszty. Ten uścisk sprawiał, że chciał śmiać się i płakać równocześnie, pokonać dla niej smoka, zmienić świat, żeby mogła być szczęśliwa i bezpieczna.

Ewan spotkał się z Ginge'em na piwo w Camden.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział wielki, rudy menedżer trasy, jak tylko Ewan wszedł do pubu. – Już myślałem, że gdzieś wyjechałeś.

Ewana nagle naszło upokarzające wspomnienie listu, który napisał, wysłanego przez Felicity. Dzięki Bogu, że nigdy nie dotarł do Ginge'a ten jakże żenujący list pożegnalny. I ta tania whisky, kolejna wstydliva sprawa. Jeśli miał odejść, powinien był wybrać dwudziestopięcioletnią Laphroaig. Do cholery, przecież niektóre rzeczy naprawdę robi się tylko raz, więc należy zrobić je porządnie.

Pewnie to dobry znak, że myślał o swoim niedoszłym samobójstwie jako czymś żenującym.

Zastanawiał się, co by powiedziała Flick.

– Już jestem – odparł Ewan. – Guinnessa?

Przy stoliku Ginge uniósł kufel.

– Za Lee.

– Za Lee. – Łatwiej, niż myślał, przyszło mu wymawianie imienia przyjaciela w obecności Ginge'a. Ale niewiele.

– Brakowało nam ciebie na pogrzebie – powiedział Ginge.

– Nie mogłem. Nie dałem rady, stary.

– To nie była twoja wina.

– Może któregoś dnia w to uwierzę. – W pubie było głośno. Zwykle tego nie zauważał, ale ostatnio było cicho wszędzie, tylko nie w jego głowie.

– Rozmawiałem z Petrą. Chciałaby z tobą pogadać.

– Domyślam się.

– Ona też cię nie wini. Ale byłeś ostatnią osobą, która widziała go żywego. Myślę, że ona chce się dowiedzieć, jak to wyglądało z twojej perspektywy.

Felicity też mówiła, że powinien to zrobić. Ewan napił się piwa.

– Pomyślę o tym. A co słyhać u ciebie?

Ginge zaczął opowiadać zwykłe historie: zrzedliwi artyści, okropne miejsca, problemy ze sprzętem. Przy drugim kuflu zapytał Ewana:

– A ty gdzie byłeś? Nie odpisywałeś na maile, nie odbierałeś telefonów. Czy po prostu mnie unikałeś?

– Nie chodzi o ciebie. Próbowałem... poukładać sobie w głowie.

– Udało się?

– Dam ci znać, jak sam się dowiem.

Ginge pociągnął za kołnierzyk koszulki.

– Trudna sprawa. To ty mogłeś być na tej autostradzie w Teksasie.

– Żałuję, że to nie ja.

– Powinieneś z kimś porozmawiać, wiesz? Nie możesz tego w sobie tłamsić. To cię wykończy.

– Myślę... myślę, że kogoś znalazłem.

– Ach. Rozumiem. To kobiety mają ci poukładać w głowie. – Ginge wtopił wzrok w kufel, ale wcześniej Ewan dojrzał jego pogardę.

– Nie w ten sposób. To ktoś, kogo znałem wcześniej. Spadła mi z nieba, kiedy najbardziej jej potrzebowałem.

– I pomaga ci? Nie rozprasza, tylko pomaga? Bo ja wiem, jak to u ciebie wygląda, pamiętaj. Byłem twoim menedżerem trasy.

– Jest niewiarygodna. Już zapomniałem jak bardzo. Sprawia, że chcę być lepszy.

– Dobrze. To naprawdę dobrze.

– Zmusiła mnie też, żebym poszedł do psychologa. Mam wizytę w przyszłym tygodniu. – To brzmiało słabo, ale Ewan wiedział z doświadczenia, że jeśli nikomu by o tym nie powiedział, najpewniej by nie poszedł. A sądził, że jednak potrzebował tam pójść, choćby dlatego, że obiecał Felicity.

– Jeszcze lepiej. To świetny pomysł. Ale słuchaj, ja też zawsze dla ciebie jestem, jasne? Zawsze możesz do mnie zadzwonić albo wyskoczyć ze mną na piwo. Jadę do Tajlandii, ale dopiero w październiku. I mogę też powiedzieć, komu trzeba, że szukasz roboty studyjnej, jak już będziesz gotowy.

– Dzięki. Jeszcze nie teraz, ale może kiedyś.

Ginge usiadł na ławie ze skórzanym obiciem, która zatrzeszczała pod jego wagą. Objął swoją wielką ręką kufel. Wyglądało na to, że był gotowy na posiadówkę.

– To opowiadaj o tej dziewczynie. Zgrabna? Zabawna? Szalona? Niezameżna, mam nadzieję.

To ja wybrałam restaurację. Nie zawsze jest to dobry pomysł, zazwyczaj pozwalałam wybrać Quinnowi, ponieważ są duże szanse, że będzie się kierował dobrymi recenzjami i atrakcyjnym menu. Ja wybieram restauracje o dziwnych nazwach lub takie, które mają w środku wodospad. Ta restauracja co prawda go nie ma, ale na środku stoi mała fontanna z unoszącymi się na powierzchni kwiatami lotosu. I miała pozytywną opinię z „Time Out” przyklejoną taśmą do witryny, więc zarezerwowałam w niej stolik, kiedy Quinn zgodził się spotkać ze mną na kolację. Miałam nadzieję, że spodoba się nam obojemu.

Teraz żałuję, że to nie Quinn wybierał, ponieważ to dla mnie zbyt duża odpowiedzialność. Wygląda na to, że za dużo zależy od tej kolacji – pierwszej, którą jemy wspólnie, odkąd opuściłam Tillingford. Umówiliśmy się tego samego dnia, kiedy wpadła do mnie Suz, aby porozmawiać o ranieniu jej brata – szybkim lub powolnym. Tego samego dnia, którego większą część spędziłam z Ewanem. Quinn zadzwonił, żeby dowiedzieć się, jak tam mój kac, a ja zaproponowałam mu, by przyjechał na kolację za dwa dni.

Kiedy otworzyłam mu drzwi mieszkania Lauren, oboje stanęliśmy w miejscu, nie wiedząc, co robić. Uścisk, całus, podanie dłoni? Uśmiechnął się do mnie.

– Cześć, kochanie, cieszę się, że cię widzę. – Widziałam, że zostawia mi tę decyzję, więc pocałowałam go w usta, przelotnie, w obawie, że wyczuje, iż kilka dni wcześniej całowałam Ewana. Żeby mu to wynagrodzić, pocałowałam go również w policzek.

Nadal miał tę samą fryzurę, ten sam wypiełgnowany zarost i tę niebieską koszulę, którą lubię najbardziej. Była wyprana już tyle razy, że materiał był miękki jak masło, oraz jedwabny krawat, który mu kupiłam, ponieważ był tego samego purpurowego koloru, co naparstnice przed naszym domem, i tak dobrze pasował do jego włosów oraz oczu. Powiedział, że przyjedzie pociągiem prosto z pracy, ale wiem, że najpierw poszedł do domu się przebrać, umył twarz i ręce, uczesał włosy i starannie wybrał swój strój – jak mężczyzna zdenerwowany przed pierwszą randką.

Ucieszyłam się na jego widok, ale później przypomniałam sobie, co mam do powiedzenia, i dłonie zaczęły mi się pocić mimo klimatyzacji.

Rozłąka sprawiła, że lepiej dostrzegłam jego cechy. Był przystojny. Nie w ten sposób, żeby oglądać się za nim na ulicy, ale w taki, który stawał się z czasem coraz atrakcyjniejszy. Na jego twarzy zauważyłam ślad spowodowany przez moje odejście – jest szczuplejsza. Pewnie dostrzegłam to lepiej niż Suz, która widywała go codziennie. Dał mi bukiet białych róż, ich zapach jest czysty i delikatny, a lodygi opakowane w papier i folię, żeby nie pokłuć się kolcami.

– Zapomniałem już, jakie ładne jest to mieszkanie – powiedział. – Urocze i do tego chłodne.

– No cóż – odparłam. – Znasz Lauren. Poszukam wazonu. Kwiaty są śliczne.

Posprzątałam przed przyjściem Quinna. Nawet w tak przestronnym miejscu z tak małą ilością rzeczy, jaką przywiozłam, zaczął się już robić bałagan. Pochowałam wszystkie ubrania, które założyłam tylko po to, aby od razu je zdjąć, jakbym również szykowała się na pierwszą randkę. Ułożyłam pocztówki od Molly na bocznym stoliku. Materiały do rysowania zostawiłam na wierzchu jako dowód na to, że pracuję, ale rysunki z Quinnem

jako rudzikiem i Ewanem jako krukiem schowałam do szuflady w sypialni.

Obeszłam mieszkanie w poszukiwaniu śladów tego, co wiedziałam, że było niewykrywalne: wszystkich tych momentów, kiedy leżałam w łóżku lub na sofie albo po prostu zatrzymywałam się w miejscu urzeczona zapachem plumerii i wszechogarniającym uczuciem zakochania.

Wczoraj zdarzyło się to trzy razy. Nie wyszłam z mieszkania w ogóle, po części dlatego, że obawiałam się publicznego ośmieszenia. Chciałam być sama, aby tego doświadczać i oddać się temu całkowicie. Zupełnie upojona. W pewnym momencie doszło do mnie, że tak muszą się czuć narkomani – cały świat jest bez znaczenia w porównaniu z tym, czego doświadczają we własnych głowach. Narkotyk nie jest ucieczką od prawdziwego życia, on jest prawdziwym życiem – zdecydowanie bardziej realnym niż wszystko inne. Ewan przysłał mi SMS-a, coś głupiego o ćwiczeniu na ukulele, i odpowiedziałam mu nie do końca przytomnie. Na szczęście nie wysłałam swojej odpowiedzi. Kiedy odczytałam to później, było to dość bezsensowne: autokorekta zmieniła każde słowo, które napisałam niewłaściwie, i efekt końcowy był niezrozumiały.

Widok SMS-a zaniepokoił mnie. Wydawało mi się, że jeśli bardzo się postaram, uda mi się kontrolować podczas napadów tego uczucia, ale ta niewysłana wiadomość temu przeczyła. Jakby jakaś część mnie chciała działać pod wpływem tej miłości. Długo wpatrywałam się w niezrozumiałą treść, a następnie zadzwoniłam do gabinetu doktora Johnsona. Telefon dzwonił w odległym Tillingford, a ja wyobrażałam sobie łańcuch zdarzeń, które uruchamiałam: konsultacje u lekarza pierwszego kontaktu, pilna wizyta u neurologa, konieczność wyjaśnienia Quinnowi, co czułam wobec innego mężczyzny. Może doktor Johnson znów wpadnie na Molly i wyjaśni jej całą moją sytuację w alejce z pieczywem w Waitrose.

Rozłączyłam się, zanim recepcjonistka zdążyła odebrać.

Dzisiaj przytrafiło mi się to tylko raz, kiedy robiłam pranie, dobre siedem godzin przed przyjściem Quinna. Usiadłam, opierając się o pralkę, i czekałam z zamkniętymi oczami, aż minie. Nie wiem, co zrobię, jeśli przydarzy mi się to przy Quinnie. Nie mogę uciec od niego bez wyjaśnienia, ale też nie mogę przy nim odpłynąć.

Kiedy nalewałam wody do ciężkiego szklanego wazonu, Quinn rozglądał się po mieszkaniu, tak jak zwykle to robił. Widziałam, jak zwraca uwagę na ułożone na kanapie poduszki, brak brudnych kubków po herbacie, dywany położone wzdłuż ścian, stertę szkieł, ołówki i wyłączony laptop. Spojrzał na to, a później na mnie, krzywiąc się odrobinę.

– Trochę posprzątałam – powiedziałam.

– Wygląda na to, że udało ci się nieco popracować. To dobrze. Czy cisza ci pomaga?

– Tak, tak myślę.

– Jak się miewa mój mały przyjaciel Igor? Czy udało mu się rozwikłać zagadkę?

– Dobrze. Idzie mu powoli, bo jestem trochę przyblokowana.

– Mogę jakoś pomóc?

Potrząsnęłam głową.

– Która jest godzina? Zarezerwowałam stolik na siódmą.

I teraz siedzimy, rozdzieleni przez stół nakryty białym obrusem, wsłuchując się w szmer restauracyjnej fontanny, który jest jedynym dochodzącym dźwiękiem, ponieważ nie grają tu muzyki, nie ma też innych klientów, a my milczymy.

Choć raczej nie sprawia to, że jest nam ze sobą łatwiej.

– Białe czy czerwone? – pyta Quinn, patrząc na listę win.

– Nie mam preferencji, cokolwiek wybierzesz.

– Wolałbym białe. Sauvignon czy Chablis?

– I tak nie będę piła dużo. – Wykonuję gest, który ma przekazać, że zamierzam jutro rysować, ale tak naprawdę chcę mieć wpływ na swoje wypowiedzi. I uczucia.

Quinn zamawia butelkę Sauvignon Blanc, a kelnerka przynosi krakersy krewetkowe.

– Jak się mają twoi rodzice? – pytam.

– W porządku, pozdrawiają cię.

– Również pozdrów ich ode mnie.

– Słyszałem, że Suz wpadła do ciebie, kiedy w środę była w mieście.

Gwałtownie podnoszę głowę na te słowa, ale równie szybko wracam do mojego menu.

– Tak, to było bardzo miłe z jej strony.

– Ona jest ciągle zajęta.

Ile z mojej rozmowy z Suz dotarło do Quinna? Czy może cały mój wywód o nierówności został mu powtórzony?

Nie. Suz by tego nie zrobiła.

– Jestem pewna, że była bardzo zajęta – mówię. – Ona tyle pracuje.

Kelnerka przynosi wino, pyta Quinna, czy chciałby spróbować. Nalewa nam po kieliszku i odchodzi z naszym zamówieniem na jedzenie.

– Chcesz przystawkę? – pyta Quinn.

Odpowiadam, że tylko jeśli on też chce, nie zamawiamy więc żadnej.

– Może deser? – proponuje Quinn. – Co porabiałaś? – pyta, tak jak pytał przez telefon.

Powinam teraz mu powiedzieć. Gdybym miała odwagę, gdybym była na tyle silna, żeby być wobec niego w porządku, powiedziałabym mu: „Spotkałam się z moim dawnym kochankiem. Odszukałam go, pocałowałam i spędziłam noc na sofie w jego mieszkaniu. Mówi, że uratowałam mu życie. Od jakiegoś czasu znów czułam, że jestem w nim zakochana. Nawet kiedy byłam przy tobie”. Powiedziałabym mu: „Przykro mi, Quinn, tak mi bardzo przykro”.

– Pracowałam – odpowiadam. Mam sucho w gardle. – Głównie pracowałam.

– Widziałaś się w ogóle z Lauren?

– Nie, ona jest w Brukseli. Ma wrócić we wrześniu.

– Nie mogę uwierzyć, że jest tak ciepło. Jakbyśmy byli w Hiszpanii, a nie w Anglii.

– Tak, niesamowite.

– Ma tak być przez co najmniej kolejny tydzień, może dwa. Cały sierpień.

Quinn jest taki sam jak zwykle. To mężczyzna, który rozśmieszał mnie, kiedy powinam była płakać, i który poprosił o pozwolenie, zanim pocałował mnie po raz pierwszy. Mężczyzna, który wziął mnie na piknik w deszczu, a następnie rozebrał w naszej chatce, jakbym była skarbem, rzucając każdy element ubrania na ziemię, zalaną spływającą z nas wodą. Mężczyzna, który pod baldachimem z parasoli przysiągł, że będzie mnie kochał wiecznie, i który spał z telefonem przy policzku, żebym mogła słyszeć jego oddech. Zna nazwy kwiatów w naszym ogrodzie i miejsc na księżycu. Te dłonie, które trzymają teraz pałeczki, obracają kieliszek i dolewają wina, trzymały moje dłonie, trzymały mnie i wyświadczyły mi tysiące drobnych uprzejmości.

W dniu naszego ślubu spóźniłam się do kościoła, mój bukiet z frezji i róż ślizgał mi się

w dłoni, a Quinn czekał na mnie przed ołtarzem, szczupły i wysoki. Od tyłu wyglądał niemal jak ktoś obcy. W samochodzie martwiłam się, kręciłam niespokojnie, bawiłam sukienką, wyglądając na chmury deszczowe za oknem. Ale w kościele zagrała muzyka, Quinn się obrócił i poczułam się szczęśliwa. Idealnie szczęśliwa w tym jednym momencie.

Dlaczego ten moment nie mógłby się rozciągnąć i trwać? Dlaczego nie czuję zapachu róż i frezji?

Nie zamawiamy deseru. Kelnerka oddaje Quinnowi kartę, a on uważnie wkłada rachunek do portfela. Dopija wino ze swojego kieliszka. Mój jest nadal do połowy pełny. Kładzie ręce na białym obrusie.

– Czy mam zostać na noc?

– Ja... nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Quinn.

Kiwa głową. Napotyka mój wzrok, spuszcza głowę, a po chwili znów patrzy mi w oczy.

– Dobrze się czujesz?

– Mam trochę... mam zawroty głowy. Nic wielkiego. Doktor Johnson powiedział, że to migreny.

– Może powinnaś pójść do niego jeszcze raz?

– Jeśli mi się pogorszy, to pójdę. Obiecuję.

– Kiedy... kiedy zamierzasz wrócić do domu?

– Nie wiem.

Bierze mnie za nadgarstek, jakbyśmy byli rozdzielani siłą i spadali w dół.

– Chodźmy – mówię.

Puszcza mnie.

– Tak. Oczywiście.

Otwiera przede mną drzwi restauracji, tak jak zrobił to, kiedy wchodziliśmy. Podaje mi ramię, które przyjmuję. Na zewnątrz zapanowała ciemność, to znaczy na tyle, na ile jest to możliwe w Londynie. Tamiza jest płaska i czarna, nie widzę księżyca. Albo jeszcze nie wzeszedł, albo jest nów, albo chowa się za budynkami. W Londynie straciłam rachubę jego faz.

Ludzie w koszulkach i sukienkach na ramiączkach tłoczą się przed pubami, paląc, śmiejąc się i przekrzykując się nawzajem. Między mną i Quinnem jest tylko milczenie.

„Zapytaj mnie” – proszę go bardzo mocno w myślach. „Zapytaj, czy kogoś mam. Zapytaj, czy cię zdradziłam. Nie zadowolaj się ciszą, proszę”.

Jeśli mnie zapyta, powiem prawdę. Zasługuje, żeby wiedzieć, nawet jeśli nie mam odwagi poinformować go o tym nienagabywana.

Ale Quinn nie pyta.

– Och, dzień dobry. Jestem umówiona na wizytę, ale zgubiłam gdzieś list z datą, więc dzwonię, żeby upewnić się, kiedy mam przyjść.

– Nazwisko?

– Felicity Bloom. To znaczy Felicity Wickham. Mam teraz nazwisko po mężu.

Dźwięki naciskanej myszki i klawiatury.

– Była pani umówiona na czternastego.

– W przyszłym miesiącu?

– W tym miesiącu. To było w zeszły piątek.

– Czyli... przegapiłam?

– Tak.

– O rety! Widzi pani, bo tak jakby wyprowadziłam się z domu i nie miałam przy sobie tego listu, żeby sobie przypomnieć. Mogę umówić się na inny termin?

– Chwileczkę. – Znów kliknięcia. – Pierwsze wolne miejsce mam szóstego listopada.

– Ale to za kilka miesięcy.

Brak odpowiedzi.

– Chodzi o to, że moje objawy stały się... bardziej skomplikowane. I częstsze. Na początku nie niepokoiły mnie, ale teraz zaczynam się martwić.

– Być może powinna pani zgłosić się do lekarza pierwszego kontaktu i dostać kolejne skierowanie?

– Och. Może. Chodzi o to... Ja nie jestem, tak naprawdę nie chcę... nie ma żadnej możliwości umówić się na pilną wizytę bez konieczności zdobywania skierowania?

– Obawiam się, że my przyjmujemy tylko ze skierowaniem.

Marszczę się, patrząc na poduszkę sofy. Co mam zrobić? Iść na ostry dyżur tu, we wschodnim Londynie? I co powiem? Że mam takie dziwne uczucie, że jestem zakochana?

– Czy mam panią zapisać na szóstego listopada czy woli pani pójść najpierw do lekarza pierwszego kontaktu?

– Ja... ja nie wiem. Może to może poczekać. To znaczy... czy sądzi pani, że powinnam się martwić, bo to mi się dzieje coraz częściej?

– Musi zapytać pani o to lekarza.

– Ale przecież widuje pani tylu pacjentów...

– Nie mogę nic pani powiedzieć. Mogę jedynie panią zapisać, jeśli sobie pani tego życzy.

– Och... ja... Tak. Dobrze. Dziękuję. Szóstego listopada. Tym razem zapiszę to sobie.

Cudownie jest być zakochanym późnym latem.

Późnym latem w Londynie, gdzie ruch uliczny jest niczym symfonia. Późnym latem, kiedy zostawia się otwarte okna, a deszcz moczy drewniane podłogi i pachnie jak w lesie. Wśród krzyków, wrzasków i śpiewów odważnych ptaków, gdzie migocze cień platana, a dźwięk radiodbiorników samochodowych zbliża się i oddala serią basowych uderzeń serca. Kiedy jest się zakochanym, ludzie uśmiechają się do ciebie, idą dalej wciąż uśmiechnięci i załapują się na to kolejne osoby i w ten sposób miłość rozprzestrzenia się z twojego tętniącego wnętrza na następną ulicę i jeszcze następną, i dalej na całą

dzielnicę, przez Tamizę, przez okna w domach innych ludzi, którzy piją herbatę, oglądają telewizję, myją naczynia. Twoja miłość ich dotknie, sprawi, że wstaną z kanap i wezmą się za ręce, zatańczą, wyrzucą buty na ulicę, zaczną dmuchać bańki mydlane i będą śpiewać na głos, bo poczują, że są zakochani.

Zakochani.

Zakochani.

„Cześć, kochanie, nie odbierasz. Mam nadzieję, że to dlatego, że śpisz. Mimo wszystko zadzwoń do mnie, dobrze? I nie zapomnij pić dużo płynów. Pa”.

„Czy ty w ogóle odpisujesz na maile? Słuchaj, w przyszłym tygodniu będę z przelotną wizytą w Londynie, bo mam spotkanie. Wracam do Brukseli następnego dnia. Wydaje mi się, że musimy pogadać. Upewnij się, żeby w lodówce było mleko. Dobra, *ciao*, zadzwoń do mnie. I odpowiadaj na maile, do cholery!”.

„Och, cześć, Felicity? To Molly. Widziałam się właśnie z Quinnem i mówił, że nie czujesz się najlepiej. Zastanawiałam się, czy może chcesz, bym dała mu trochę zupy, żeby ci przywiózł? Myślę, że to nie będzie dla niego żaden kłopot wpaść w ten weekend do miasta. W międzyczasie wyślę ci kartkę, żeby cię trochę rozweselić! Dbaj o siebie i wypoczywaj. Może byłoby lepiej, gdybyś była u siebie w domu, w swoim własnym łóżku, nie sądzisz?”.

„Flick. Nie mogę przestać myśleć o tobie. Zadzwoń do mnie”.

„Felicity? Tu Madelyne, dzwonię, żeby dowiedzieć się, jak ci idzie z książką. Proszę, oddzwoń do mnie jak najszybciej”.

„Cześć, kochanie. Zastanawiam się, czy nie zgubiłaś telefonu? Naprawdę bezsensowne pytanie. Zadzwoń do mnie, jak znajdziesz chwilę. Mam nadzieję, że czujesz się lepiej. Pa”.

„Flick, naprawdę. Zadzwoń do mnie. Zjawiałaś się nie wiadomo skąd, a później zniknęłaś. Martwię się. Zadzwoń. Jak tylko dostaniesz tę wiadomość. Słyszysz?”.

EWAN

Z całą pewnością coś było nie tak. Sprawdził ponownie adres w swoim telefonie, a następnie numer budynku. Ten sam. Wcisnął dzwonek do mieszkania, którego numer mu przysłała, i poczekał na zgłoszenie przez interkom. Ale jedyne, co usłyszał, to brzęk otwieranej bramy.

W korytarzu było dziesięć stopni chłodniej niż na zewnątrz, podłogi były wyłożone granitem, ściany lustrami, wszędzie stały rośliny doniczkowe. Bywał w pięciogwiazdkowych hotelach, które wyglądały gorzej. To nie pasowało do tego, co wiedział o Felicity. Dziewczyna, którą znał, nie mieszkałaby w takim miejscu. W takich miejscach mieszkali ludzie z City, choć większość mieszkań stała pusta, ponieważ stanowiły bazę wypadową dla bogatych ludzi za granicą.

Jadąc windą w górę, myślał o tym, jak niewiele wie o Felicity Bloom. Nie znał nawet jej aktualnego nazwiska. Nie znał nikogo z jej przyjaciół. Nie wiedział nic o jej życiu, oprócz tego, że jej matka zmarła kilka lat temu, a ona wyszła za mąż za mężczyznę, o którym nie chce rozmawiać, i że rysuje książki dla dzieci. Parę dni temu w sklepie trafił na jedną: *Igor Sowa i tajemnica szczypawki*. Była urocza, ciepła, zabawna i bardzo w stylu Felicity – w przeciwieństwie do tego budynku.

Pewnie to mieszkanie jej męża. Zanim drzwi windy się otworzyły, oddawał się fantazji, że Felicity wyszła za jakiegoś bogatego dupka, który zaciągnął ją do sterylnej świata Canary Wharf, a kiedy przyszła do niego, to tak naprawdę było wołanie o pomoc. Ewan miał ją uratować, tak samo jak ona jego. To marzenie trwało mniej więcej tyle, ile zajęło Ewanowi wyjście z windy na korytarz wyłożony grubym dywanem, z dyskretnymi numerami na drzwiach, ponieważ zdał sobie sprawę, że jeśli Felicity jest teraz do tego przyzwyczajona, nie ma jej za dużo do zaoferowania. Teraz był przecież bezrobotnym na skraju depresji.

Tak w ogóle to chciał zobaczyć, czy wszystko z nią dobrze. Odkąd spotkała się z nim w Greenwich, niemal codziennie przez tydzień przychodziła do niego. Pukała do jego drzwi, zjawiała się na jego progu o dziwnych godzinach, spała na jego sofie. A w następnym tygodniu nic, poza jednym lub dwoma SMS-ami. Nie było innej możliwości, żeby upewnić się, czy wszystko gra, niż przyjść do niej.

Poza tym tęsknił za nią.

Dopiero kiedy zapukał do drzwi, zaświtało mu w głowie, że być może nie kontaktowała się z nim, bo jest ze swoim mężem, więc była spora szansa, że drzwi otworzy nie kto inny, ale właśnie jej małżonek. To normalne, że Ewan nie przygotował się na tę możliwość. Przywołał na twarz beztroski uśmiech, gotowy zachowywać się jak stary kumpel, którym przecież był. Nikim więcej.

Przez kilka minut nic się nie działo. Już podniósł rękę, żeby znów zapukać, kiedy drzwi jednak się otworzyły. Felicity miała rozpuszczone włosy i szybko mrugała. Potarła ręką czoło i wyglądała, jakby nie poznała go od razu.

– Flick – powiedział. – Wszystko dobrze?

– Hmm. Śpię. – Popatrzyła na niego. – Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Wysłałaś mi swój adres.

– Naprawdę? – Była bosa, w koszulce na ramiączkach i spódnicy do kolan. – Nie pamiętam. Kiedy to było?

– Przedwczoraj. Flick, co się dzieje? Wyglądasz... dziwnie.

– Mówiłam ci już, śpię.

– Mogę wejść?

Weszła do mieszkania, a on za nią. Klimatyzacja nie działała tu tak dobrze jak na korytarzu. Choć może było to spowodowane tym, że okna były otwarte i wpuszczały powietrze z zewnątrz. Mieszkanie wyglądało, jakby szalała w nim wichura. Na podłodze koło jednej z dwóch białych sof stała szklanka z wodą, a obok leżała zmięta, robiona na drutach narzutka. Lampa leżała na boku. Wszędzie były rozrzucone papiery, na podłodze zauważył kilka przesłodzonych kartek z pozdrowieniami. Rysunki sowy w okularach narysowane wściekłymi pociągnięciami.

Pamiętał o swoich wcześniejszych podejrzeniach spowodowanych jej dziwnym zachowaniem i o tym, jak potrafiła nagle odlecieć. Teraz wyglądała na półprzytomną i zdezorientowaną. Ale nic bezpośrednio nie wskazywało na narkotyki – żadnego proszku na stoliku kawowym, żadnego zapachu, żadnych skrętów ani niczego w tym stylu.

– Czy jest twój mąż? – zapytał.

– Quinn? Chodzi ci o to, czy jest tu? Nie, nie ma go.

– Ładne mieszkanie.

– Tak.

– Jest w zwyczaju – powiedział łagodnie, głównie po to, aby sprawdzić, czy ją to rozśmieszy – zaproponować gościowi herbatę.

– Nie sądzę, że powinieneś tu być – odparła. – Nie wiem, czy to bezpieczne.

Ponownie rozejrzał się dookoła. Na krześle nie wisi męska marynarka, nigdzie nie widać aktówki, nic, co wskazywałoby na męża, oprócz tego, że nad wszystkim unosił się zapach pieniędzy.

– Czym on się zajmuje?

– Jest redaktorem w gazecie.

Ach. Mógł sobie wyobrazić pana Felicity, redaktora naczelnego: dobry garnitur, świetne buty, łysiejący, z brzuszkiem zaczynającym rysować się pod koszulą z powodu zbyt wielu służbowych lunchów. Teraz mieszkanie stawało się bardziej zrozumiałe. Nie wyjaśniło to jednak, dlaczego Felicity za niego wyszła.

– Spodziewasz się, że wróci?

– Nie, nie spodziewam się go. Dlaczego tu jesteś, Ewan?

– Nie dostałaś moich wiadomości?

– Nie wiem, gdzie jest mój telefon. Może w sypialni? Nie wiem. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy?

– W zeszły czwartek.

Widzi, że Felicity robi w głowie obliczenia.

– Wtedy, kiedy jedliśmy lody na śniadanie? Później już nie?

– Tylko wymieniliśmy wiadomości. Nie pamiętasz?

– Jestem trochę... – Znów pociera ręką czoło. – Jaki jest dziś dzień?

– Piątek.

– Następnego tygodnia? Och! Och, nie.

Nie wyglądała na zaniepokojoną, ale na rozczarowaną.

– Jadłaś coś dziś?

– Tosta. Nic mi nie jest.

– Nie umiesz kłamać. – Poszedł do kuchni, która faktycznie okazała się być cała w okruskach po tostach. Na blacie leżał też niezjedzony, spalony tost. Zimny. Jedyna pusta butelka była po napoju energetycznym.

– Myślę, że powinieneś sobie pójść – powiedziała, idąc za nim.

– Dlaczego? – zapytał, napełniając i nastawiając czajnik. Otworzył lodówkę w poszukiwaniu jedzenia. Szampan i dżem. Mleko stało na blacie obok czajnika i nie było wątpliwości, że jest zepsute.

– Myślę, że próbuję... – Potrząsnęła głową. – Ewan, próbuję zrobić to, co trzeba. Tylko nie jestem pewna jak.

– Jesteś chora.

– Nie, nie, nic mi nie jest. – Zmarszczyła brwi. – Tak, jestem przekonana, że wszystko ze mną dobrze. Właściwie czuję się teraz zupełnie normalnie. Czyli to dobrze.

– Nie zrozum mnie źle, ale czy ty bierzesz jakieś narkotyki albo leki?

– Nie.

– Nie musisz mnie okłamywać. Widziałem w życiu już prawie wszystko.

– Nie biorę narkotyków, Ewan, ale naprawdę myślę, że to niedobrze, że tu jesteś.

– Po prostu robię dla ciebie to, co ty zrobiłaś dla mnie. Martwię się o ciebie i chcę się upewnić, że wszystko jest jak trzeba. Gdzie trzymasz herbatę? Będziemy musieli wypić

czarną.

– Nie trudź się, proszę.

– Jak chcesz, wszyscy mówią mi, że robię okropną herbatę. Porozmawiajmy. – Wskazał na salon, ona westchnęła i poszła usiąść na jednej z sof. Wyglądała na taką małą w tym wielkim mieszkaniu, jakby tu nie pasowała. Usiadł obok niej.

– Nie zmieniłaś się ani trochę, odkąd cię poznałem – powiedział.

– Pod pewnymi względami się zmieniłam.

– Kochasz go? – zapytał. Wzrok miała skierowany w dół, naciągała narzutkę na swoje gołe stopy, ale na to pytanie podniosła głowę.

– Ja...

– Nie wierzę, że go kochasz – odparł, zaskoczony przyływem emocji i zazdrości. – Gdybyś go kochała, nie szukałabyś mnie.

– Ewan, to skomplikowane. Nie sądzę, żeby udało mi się to wytłumaczyć. Ja sama sobie nie umiem tego wytłumaczyć. Ale tak, Kocham go. Czemu inaczej bym za niego wyszła?

Brzmi jednak niepewnie.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że chciałaś być wyjątkowa. Czy przy nim czujesz się tak właśnie? Czy on ci w tym pomaga?

– To było dawno temu.

– Jeśli go kochasz, dlaczego ciągnie cię do mnie?

– To... to nieprawda.

– Tak, to prawda. To dlatego nie chcesz, żebym tu był. Bo nie ufasz sobie. Czy to dlatego unikasz mnie od tygodnia?

Dłonie miała zaciśnięte na kolanach.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Nie możesz temu zaprzeczyć, Flick. Wiesz to tak dobrze, jak ja. Nadal jest coś między nami. I pocałowałaś mnie.

– Nie chciałam.

– Ale pocałowałaś. Nadal coś między nami jest. To, co czuliśmy dziesięć lat temu.

Dotknął jej twarzy, pogłaskał po policzku. Uniósł jej podbródek, żeby popatrzyła na niego. Jej oczy były takie, jakie zapamiętał: łagodne i zielone.

– Nie powinniśmy byli się rozstawać – powiedział. – Nigdzie nas to nie zaprowadziło. Nie jesteśmy szczęśliwi bez siebie, prawda? Bądź szczerą.

– Nie wiem. Już sama nie wiem, czym jest szczęście.

– A ja wiem. Ponieważ ostatnio jestem szczęśliwy tylko z tobą.

Felicity walczy z myślami. Ewan czuje to przez swoje palce, całym swoim ciałem. Zawsze emocje malowały się na jej twarzy. W tej chwili Ewan dostrzega na niej pragnienie. Bez wątpienia.

– Prawie się nie znaliśmy – mówi Felicity. – A teraz nie znamy się w ogóle. Spędziliśmy razem zaledwie kilka godzin.

– Więc jak to się stało, że odnalazłaś mnie dokładnie we właściwym momencie. Czy nie po to właśnie? – Dotknął kciukiem jej dolnej wargi.

– Nie jestem nawet pewna, jak bardzo cię lubię – powiedziała, ale brakowało jej tchu. Słyszał to. Wiedział, co to oznaczało.

– Zakochuję się w tobie – wyznał. Przez chwilę zobaczył na jej twarzy prawdziwą odpowiedź. Potrząsnęła głową.

– Nie. To nieprawda. Tak nie może być.

– O nic nie dbałem. Wyrzuciłem wszystko. Ale ty zwróciłaś mi moje życie. Nadałaś mu znaczenie.

– To nieprawda. Nadal masz córkę. Nadal masz pracę, jeśli tylko chcesz. Nie musisz polegać jedynie na mnie. Nie jestem dla ciebie taka ważna. Po prostu... po prostu zdarzyło się, że byłam we właściwym miejscu i o właściwym czasie.

– Brzmi to, jakbyś starała się przekonać samą siebie.

Odsunęła się od niego, ale nie zeszła z sofy.

– Jeśli chcesz nadać swojemu życiu sens, powinieneś odnowić kontakt z córką. To ona cię potrzebuje.

– Dla mnie i Rebekki jest za późno. Dla mnie i dla ciebie – nie. Dostaliśmy drugą szansę.

– Ewan, nie mogę. To nie tak miało być.

– Myślę, że dokładnie tak miało być – powiedział, ponownie biorąc jej twarz w swoje dłonie i całując ją.

Nie czuję nic oprócz rąk Ewana na moim ciele, jego ust na moich ustach. Ani mój umysł, ani serce nie robią mi tym razem żadnych sztuczek. Czuję, że jestem dokładnie tu, gdzie jestem: na sofie Lauren w piątkowy wieczór, choć myślałam, że to dopiero środa. Jestem jak najbardziej poczytalna. Nie mam żadnych wymówek.

Odwzajemniam jego pocałunek, czuję tę drugą szansę, o której mówił: teraźniejszość, przeszłość, nasze ciała. Myślimy jedynie o sobie nawzajem. Jest mi całkowicie znajomy, choć z drugiej strony nie – czy to jego znajomość czy obcość sprawiają, że zarzucam mu ręce na szyję? Co sprawia, że reaguję na dźwięki, które wydobywają się z jego gardła, kiedy zmienia pozycję na sofie, aby móc przywrzeć całym ciałem do mnie?

Tak zawsze było z Ewanem: pożądanie, którego nie mogliśmy kontrolować. Jego dłonie wędrują po moim ciele, jakby nagle chciał poczuć mnie całą. Szarpie moją bluzkę, żeby całować moją szyję, moje piersi. Nie mogę oddychać, a raczej oddycham tak szybko, że nie czuję tlenu. Wbijam palce w jego ramię i wyginam się do niego, owijając jego biodra jedną nogą. Czuję się pełna życia. Czuję każdy centymetr mojego ciała, świadomy i budzący się z bardzo długiego snu.

Ewan pachnie potem i dymem papierosowym, mydłem i kawą. Nie pachnie natomiast plumeriami. Mimo to moje ciało płonie, ociera się o niego i mówi mi: „tak”. Jego język w moich ustach, oddech w moim uchu, gorące dreszcze, kiedy jego ręka gładzi moją gołą nogę pod spódnicą. Pragnę go tak jak wtedy, kiedy miałam dwadzieścia lat. Ale nie powinnam.

A może wszystko to miało prowadzić do tego momentu? Ten zapach i pragnienia? Z powrotem do dźwięku rozrywanej koszulki, kiedy pomagam się mu jej pozbyć. Moje ciało z własnej woli dotyka jego nagiej klatki piersiowej.

Zamykam oczy i za zamkniętymi powiekami widzę go w ciemności, patrzącego na mnie z obrazu mojej matki. Z portretu zakochanego młodzieńca.

Odpycham go i próbuję usiąść.

– Ewan – mówię, ale moje usta i język są niezdarne. – Ewan.

To imię jest jak pocałunek. Czuję, jakby wypowiedział je ktoś inny, i nie wiem, czy to protest, czy zachęta. Jego oczy są rozbiegane, sięga po mnie ponownie.

– Ewan, my... – zaczynam, ale zanim mogę powiedzieć więcej, słyszę, że drzwi do mieszkania się otwierają.

Nie mam nawet czasu, żeby zejść z sofy, żeby odsunąć się od Ewana. Mam czas, żeby pomyśleć: „Proszę, nich to będzie Lauren”. I wtedy słyszę głos Quinna:

– Cześć, kochanie? Drzwi były otw...

Zjawia się, niosąc dwie płócienne siatki z zakupami. Upuszcza je na podłogę. Coś się tłucze.

Zeskakuję z sofy i przytrzymuję bluzkę jedną ręką.

– Quinn – mówię, z trudem łapiąc powietrze. – Ja nie...

Quinn się gapi. To na mnie, to na Ewana, który nadal leży na sofie bez koszulki. Jego włosy są rozczochrane przez mnie. Jego usta czerwone od pocałunków.

– Kto to jest? – pyta Quinn.

Jego głos nie jest cierpliwy i miły. Jest niski i cichy.

Ewan nie schodzi z sofy.

– Ty jesteś mężem? – wygląda na równie zaskoczonego co ja.

Quinn z kolei nie jest ani trochę zdziwiony. Jest blady i pozostaje w bezruchu.

– Ewan – odzywam się. – Musisz wyjść, teraz.

– Drzwi były otwarte – mówi Quinn. Obok niego spod jednej z toreb wypływa przezroczysty płyn.

– Mogę wyjaśnić – mówię, choć to nieprawda.

– Chyba nie musisz – odpowiada Quinn.

– Nie chciałam, żebyś...

– To może powinnaś była zamknąć drzwi. – Brzmi groźnie. Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe. Ewan nadal się gapi, a jego zmięta koszulka leży na podłodze. Podnoszę ją i podaję mu, ale on nie bierze jej z moich rąk.

– Myślałam, że będzie inny – odzywa się Ewan.

– Ewan, proszę odejść. Wszystko pogarszasz.

– Nie może być dużo gorzej – mówi Quinn. – Chyba że ty też chcesz się rozebrać, Felicity.

Nigdy go takiego nie widziałam.

– To pierwszy czy piętnasty raz? – pyta. – Czy tym właśnie zajmowałaś się przez cały czas, kiedy tu byłaś? Czy to ten „stary przyjaciel”, o którym mi powiedziałaś, że się widujecie?

– To nie to, na co wygląda. My nie zamierzaliśmy... – Milknę pod naporem jego gniewu. Nie wiem, czy uprawialibyśmy seks. Zamierzałam powstrzymać Ewana.

Czy rzeczywiście? Odpychałam go. Wymawiałam jego imię. Miałam mu powiedzieć, żeby sobie poszedł. Miałam przyciągnąć go bliżej. Byłam zupełnie poczytalna.

Nadal czuję jego dotyk na swojej skórze. Kiedy Quinn patrzy tak na mnie, mam wrażenie, jakby wszystkie miejsca, których Ewan dotknął i pocałował, świeciły na czerwono.

– Kocham ją – mówi Ewan. – Uratowała mi życie.

– Kochasz się w mojej żonie – odpowiada Quinn w swoim nowym, cichym, groźnym gniewie.

– To nieprawda – wtrącam się. – Tak mu się tylko wydaje. Ewan, odejdz. Zostaw nas samych, proszę.

– Prawda – oznajmia Ewan. – Kocham ją.

To kropla przepełniająca czarę goryczy. Kopię Ewana w goleń. Jestem bosy, więc krzywię się z bólu.

– Flick! Co do...

– Chcę, żebyś sobie poszedł. Teraz.

Patrzy na Quinna i na mnie. Oczy Quinna przeistoczyły się w ciemne szparki.

– On cię nie skrzywdzi, prawda? – pyta mnie Ewan.

– Na miłość boską. Po prostu wyjdź.

Dwaj mężczyźni mierzą się wzrokiem przez długą chwilę i mój szalony umysł, który goni w piętę, podsuwa mi myśl, że mogą zacząć się bić, że mogą urządzić bójkę na środku eleganckiego mieszkania Lauren w Canary Wharf, przewracając meble i rozrzucając papiery. Ale takie rzeczy nie dzieją się w prawdziwym życiu.

Pięści Quinna są zaciśnięte.

– Muszę porozmawiać ze swoją żoną – mówi w końcu, nadal tym samym tonem. Ewan stoi przez kolejną minutę, a później wzrusza ramionami. Wkłada koszulkę przez głowę.

– Zadzwoń – zwraca się do mnie. – Kocham cię.

Pod spojrzeniem Quinna krzywię się.

Ewan przechodzi obok mojego męża, nie patrząc na niego. Trzaska za sobą drzwiami. Dźwięk niesie się echem, a później następuje cisza.

– Quinn – zaczynam. – Nie spaliśmy ze sobą. Pocałowaliśmy się i tyle. To był błąd, bardzo poważny błąd. Właśnie mówiłam mu, żeby sobie poszedł.

– Nie wierzę ci.

Nadal trzymam bluzkę rękoma. Zapinam guziki trzęsącymi się palcami.

– To się zaczęło, kiedy wyjechałaś. A może wcześniej?

– Nic między nami nie ma. Tak się po prostu zdarzyło.

– Jestem głupi, Felicity, ale nie aż tak. Już nie. Wiesz, co myślałem? Pomyślałem sobie, że możesz być chora. Pomyślałem, że może nie dbasz o siebie należycie. Teraz wiem już lepiej.

Nadal stoi prosto, wykorzystując swój wzrost. Nie uśmiecha się, w jego oczach nie ma czułości. Jest obcy bardziej niż kiedykolwiek, nawet zanim go poznałam. Brakuje mi guzika przy bluzce.

– Ufałem ci – mówi.

– Nic się nie stało.

– On mówi, że cię kocha.

– Jest szalony.

– Zostawiłaś mnie przez niego?

– Musiałam pracować i musiałam pomyśleć.

– Czy zostawiłaś mnie przez niego?

– Po części – szepczę.

– Kto to jest?

– Znałam go dziesięć lat temu.

– Byliście kochankami?

– Tak.

– A teraz?

– Nie. Nie jesteśmy, Quinn.

– Jesteście. Nawet jeśli nie uprawialiście jeszcze seksu, to tylko kwestia techniczna.

– Właśnie mówiłam mu, żeby przestał.

Wydaje dźwięk pełen pogardy. Nie mogę się z tym klócić.

– Kochasz go?

– Nie. Nie wiem. – Quinn czeka. – Czasem myślę, że tak.

– Kochałem cię wszystkim, co mam w sobie – mówi Quinn. – Dałem ci wszystko, co się liczy. Ale dla ciebie to zawsze było za mało. Nie wiem, co by cię zadowoliło.

– Nie chodzi o to, że to mi nie wystarczało. Tego było dla mnie za dużo.

– Jak miałbym kochać cię mniej? – woła. – Powinienem być coś przed tobą ukrywać? Miałem cię okłamywać? Zdradzać cię? Znaleźć sobie „dawną przyjaciółkę”? Czego ty chcesz, Felicity? Chcesz, żebym zrobił ci to, co ty zrobiłaś mi?

– Nie. Ja...

– Odkąd cię poznałem, nie robię nic innego, tylko próbuję ci się przypodobać. Myślałem, że jeśli cię uszczęśliwię, będziesz mnie za to kochać. Czy to jest to, czego chciałaś? Kogoś innego? – Krzyczy, wskazując na drzwi, którymi wyszedł Ewan. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby krzyczał.

– Ja nie...

– Wszyscy tak mówili. Nie w twarz, ale wiem, co sobie myśleli. „Ona nie zostanie z tobą długo, koleś. Jest zbyt inna. Nie pasuje. Znajdzie sobie kogoś innego, kogoś, kto będzie lepiej do niej pasował, kogoś, kto nie uwiąże jej w jakiejś wiosce”. – Jego twarz wykrzywia się, gdy to mówi. – Kiedy wyjechałaś, powiedziałem, że pracujesz. Wszyscy wiedzieli, ale myślałem, że się mylili. Mówiłem... – Głos mu się łamie.

– Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić, Quinn. Nie chcę cię skrzywdzić. Przykro mi.

– Cholernie za późno.

Wyciągam do niego rękę, w nadziei, że pozwoli się dotknąć.

– Wiem, co myślisz o mnie, o mojej pracy, o mojej rodzinie. Myślisz, że nasze życie jest za małe. Myślałaś, że byłem twoim... szczeniakiem. – Wypluwa to słowo. – Ale myliłaś się. To więcej, niż kiedykolwiek dostaniesz. Więcej, niż zasługujesz. A ja...

Tym razem podnosi rękę do oczu, a ja podchodzę do niego, każda część mnie pragnie go pocieszyć, nawet pomimo mojego wstydu, ale kiedy opuszcza dłoń, jego oczy są suche.

– Zasługuję na coś więcej niż ty – mówi zimno. Lodowato. – Do widzenia, Felicity.

Patrzę, jak wychodzi za drzwi. Nie trzaska nimi, zamyka je, i to wystarczy.

Pobiegłabym za nim, spróbowała wytłumaczyć. Ale wszystko, co powiedział, było prawdą. Myślałam czasem, że moje życie z nim jest za małe. Pragnęłam Ewana. A Quinn zasługuje na kogoś lepszego.

Kałuża pod torbą powiększyła się i zaczęła płynąć strużką po podłodze. Przynoszę ścierkę z kuchni, żeby to wytrzeć. Pachnie bzem. A stłuczona butelka syropu w torbie potwierdza to. Przywiózł mi herbatę i syrop, zupę, ciastka, dojrzałe mango i bukiet słoneczników. W torbie z syropem jest też książka Mervyna Peake’a w miękkiej oprawie i kieszonkowy notatnik – dokładnie taki, jakie lubię. Teraz są mokre i lepkie od syropu.

Wypakowuję każdą rzecz i układam na podłodze w rzędzie. Wyjmuję szkło z torby i owijam je w serwetkę. Odłamek szkła kaleczy mi palec – kiedy wkładam go do ust, smakuje syropem z kwiatów bzu.

Nie wiem, czy zamierzałam powstrzymać Ewana. Chciałabym tak myśleć, ale nie jestem pewna. Obojętnie, jakiego wyboru miałam dokonać, został już za mnie podjęty. Zniszczyłam moje małżeństwo z Quinnem.

Ktoś dzwoni domofonem. Z palcem w ustach podnoszę słuchawkę.

– Flick. – To Ewan. – Wpuść mnie.

– To zły pomysł.

– Wiem, że już sobie poszedł.

Nie ma Quinna. Wycieram mokry policzek o gołe ramię. Poznaję mdlące uczucie w żołądku i narastające oczekiwanie.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby pomyśleć – mówię.

– Ale porozmawiasz ze mną? Zobaczysz się ze mną? Naprawdę myślę to, co powiedziałem.

– Będziemy w kontakcie – odpowiadam.

– Kiedy się odezwiesz?

– Nie wiem. Muszę... muszę to przemyśleć. Kilka tygodni? Może miesiąc? Proszę, nie dzwoń do mnie, Ewan. Pozwól mi to sobie uporządkować. Odezwę się do ciebie.

– Na pewno tego chcesz?

– Tak.

– Nadal mamy szansę – mówi Ewan. Odkładam słuchawkę.

I wtedy mdłości w moim żołądku i sercu przeradzają się w zapach plumerii, kładę się na lepkiej podłodze, z oczu ciekną mi łzy i czekam, aż znów poczuję się zakochana – przynajmniej przez te kilka chwil nie mam wyboru.

CZEŚĆ TRZECIA

Wy wszyscy zdrowi ludzie nawet nie podejrzewacie, co to jest szczęście, którego doświadczamy my, epileptycy, na sekundę przed atakiem. (...) Nie wiem, czy ta rozkosz trwa sekundy, czy godziny, ale wiercie, iż nie wziąłbym za nią wszystkich radości, jakie może dać życie.

Fiodor Dostojewski

W Tillingford jest chłodniej niż w Londynie, powietrze nie jest takie ciężkie, a powiew wiatru kołysze liście. Trawa na błoniach jest spalona słońcem na brązowo. Jest sobotnie popołudnie, więc odbywa się tam mecz krykieta. Derek z pewnością ogląda go na swoim składanym krzeselku, popijając z termosu herbatę, którą przygotowała dla niego Molly. Może Quinn jest z nim, czasem przyłącza się do ojca. Jak znam Quinna, to pewnie będzie starał się żyć normalnym życiem, nawet mimo tego, co odkrył niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Ale nie jestem pewna, czy faktycznie go znam.

Mam jednak nadzieję, że nadal jest zły. Wolę, żeby był zły niż smutny.

Jeśli powiedział komuś, że przyłapał mnie z Ewanem, wie już o tym całe Tillingford. „Felicity Wickham zostawiła męża dla innego mężczyzny po zaledwie roku małżeństwa”. Uwielbiają takie pikantne plotki. Widzę Irene Miller, miasteczkową plotkarę, jak opuszcza mecz i idzie w moją stronę, więc szybko wchodzę do ogrodu Hope Cottage.

Nasz ogród jest pełen jaskrawopomarańczowych, czerwonych i purpurowych plam koloru. Mimo upału i suszy tutaj nadal czuć wilgoć. Rower Quinna stoi oparty o ścianę domu. Nie zadzwoniłam, żeby uprzedzić go o mojej wizycie, ponieważ nie byłam pewna, czy będzie chciał ze mną rozmawiać. Teraz, kiedy jest za późno, muszę wyznać mu prawdę, zaznajomić go z faktami, których tak się obawiałam.

Wydawało mi się, że jeśli uda mi się odpowiedzieć sobie na pytanie, kogo tak naprawdę kocham i co oznacza zapach plumerii, cała reszta ułoży się sama. Mogłam zdecydować, że to nieistotne, odnowić swój związek z Quinnem i wszystko mogło być dobrze. Albo miałam oddać się uczuciu błogości z Ewanem. Nie miało być miejsca na żadne wątpliwości.

Ale tak się nie stało. Miłość nie jest jednym doskonałym momentem, powiewem zapachu, spojrzeniem. Życie toczy się dalej. Ludzie się ranią, wspomnienia są szargane. Istnieją związki i żale, przyjaciele i rodziny. Może każdy szczęśliwy związek jest równocześnie czymś złamanym sercem, i tyle.

Muszę wyznać prawdę i powiedzieć, że mi przykro. Nie wiem, co będzie później. Nie żywię raczej nadziei, że Quinn mi wybaczy. Może odszukam Ewana i dowiem się, czy miał rację, co do naszej drugiej szansy. Ale nadal mam na palcu pierścioneł od Quinna i jestem mu winna przeprosiny, zanim zrobię cokolwiek innego.

Po zaledwie kilku tygodniach nieobecności czuję się tutaj obco, ale nie aż tak, aby wchodzić frontowymi drzwiami. Uwielbiam ten ogród. Kocham tego mężczyznę. Biorę głęboki oddech i idę wzdłuż ściany chatki na jej tył.

Stół kuchenny został wyniesiony przed dom i stoi na wyrosniętej trawie. Cała rodzina Wickhamów siedzi przy nim: Derek, Molly, Suz i Quinn. Na stole leży jasny obrus, na którym stoją miski z sałatkami, butelka wina i dzbanek wody z cytryną. Ktoś wstawił wysokie malwy do wazonu. Słońce pada na trawę i odbija się od szkła. Nie ma piątego krzesła. Molly, podając miskę pomidorów, dostrzega mnie i wydaje cichy okrzyk, dzięki któremu wiem, że Quinn wszystko im powiedział.

– Przepraszam – mówię.

Quinn wstaje. Obok niego staje Derek, kładąc dłoń na ramieniu syna.

– Masz tupet, żeby tutaj przyjeżdżać – mówi mój teść.

– Niezupełnie – odpowiadam. – Jestem przerażona na śmierć.

– I dobrze! – piszczy Molly i obracam się do niej, zaskoczona. Również zerwała się na nogi, choć nadal trzyma miskę pomidorów. – Jak mogłaś zrobić to Quinnowi? Jeden rok, jeden rok! I już ci się znudził?

– To nie tak. Wcale mi się nie znudził.

– Mamo – mówi cicho Suz. – Usiądź.

– Nie chciałam zranić Quinna. Ani żadnego z was. Po prostu miałam takie uczucia i musiałam za nimi podążać. Byłam tchórzem. Powinnam była wyznać prawdę na początku. To byłoby mniej skomplikowane.

– Powinnaś była trzymać się z daleka od mojego chłopca!

Molly ma zacięty wyraz twarzy. Ta łagodna kobieta, która zazwyczaj szczebiocze o niczym i wysyła przesłodzone kartki, wygląda, jakby chciała wydrapać mi oczy. Lada chwila miska pomidorów wyląduje na mojej głowie. Nie miałam pojęcia, że może być tak waleczna w obronie swojego dziecka.

Dobrze, myślę. Nachodzi mnie irracjonalna ochota, żeby uśmiechnąć się do niej i bić jej brawo.

Pochylam głowę.

– Masz rację. Nie powinnam była wychodzić za Quinna. Myślałam... myślałam, że mogę być z nim szczęśliwa.

Quinn stoi w milczeniu.

– Masz zabrać swoje rzeczy i się wynosić – mówi Molly. – Spakuję cię swoimi własnymi rękami i w drogę.

Derek odbiera jej miskę i kładzie na stół, mówiąc:

– Molly, proszę cię.

– Traktowałam cię jak część rodziny – kontynuuje Molly.

– Wiem. Zawsze byłaś dla mnie miła. Ale ja nigdy tu nie pasowałam.

– Wiedziałam, że miałaś wåtpliwości – odzywa się Suz. – Ale nie sądziłam, że zrobisz coś takiego.

Zaczęłam się trząść. Zniosę wszystko, co mają mi do powiedzenia, każde słowo, którym chcą we mnie cisnąć, a później odejdę i nigdy już nie wrócę. Quinn nawet na mnie nie patrzy. Zawód Suz jest dla mnie ciężkim ciosem. Zapach dzikich kwiatów w ogrodzie staje się coraz silniejszy, dusząco słodki.

– Nie jestem jedną z was – udaje się mi powiedzieć. – Wina nie leży ani po waszej, ani Quinna stronie.

– Myślałam, że jakoś to przegadacie – mówi Suz.

– Nie biegnie się od razu do innego mężczyzny! – woła Molly. – Tak się nie robi! Może w świecie twojej matki, w tym artystycznym światku, który jest o tyle lepszy od naszego. Ale nie tu. Nie w naszej rodzinie, nie mojemu synowi.

Przewraca mi się w żołądku – kwas i ogień. Ziemia zaczyna się chwiać pod moimi stopami. Kwiaty rosną i bieleją, aż zamieniają się w plumerie o złotych środkach, a ja staję się lżejsza, choć płonę poczuciem winy i żalu.

– Pójdę sobie.

Jestem coraz lżejsza, tak lekka, że unoszę się w powietrzu.

Z góry Wickhamowie wyglądają niczym armia, skróceni przez perspektywę do swoich

ciemnych głów i opalonych ramion. Derek stoi blisko żony, Suz krzyżuje ręce. Quinn stoi wyprostowany obok stołu, na którym połyskuje jedzenie, jaskrawe kolory, lato. Są wspaniali – wspaniali Wickhamowie – i widzę siebie, jak stoję przed nimi, drżąc, a moje włosy w słońcu mają nijaki kolor.

– Przepraszam – mówię, choć przychodzi to z dołu, stamtąd, gdzie stoję. Jak się tu znalazłam? Moje usta są sparaliżowane. Każdy oddech nasycony jest zapachem. – Przyjechałam, żeby powiedzieć tylko tyle.

– Felicity? – woła Suz. Widzę, jak robi krok do przodu, trącając stół. Jej szklanka z lemoniadą się przewraca. Widzę, jak Quinn odpycha na bok swoje krzesło. Moje ramiona wystrzeliwiają w powietrze, a nogi się poddają. Widzę, jak oczy wywracają mi się, tak że patrzą w górę, tam gdzie jestem, i przez chwilę patrzę sobie samej w twarz. A później znów zostają ściągnięta na dół, do mojego ciała, które leży na trawie. Słyszę głosy. Ale jak tylko się odzywają, coś je ode mnie zabiera, znikają w nicości, w ciemności, we wspomnieniach, których nie ma, znikające muśnięcie palca.

QUINN

Rozmawiali o pogodzie, o zakazie podlewania ogródków z powodu suszy, o tym, co się stanie z pocztą. O wszystkim, tylko nie o Felicity i jego zrujnowanym małżeństwie, choć wszyscy o niej myśleli. Kiedy więc zjawiała się w ogrodzie, wyglądało to, jakby ich myśli się zmaterializowały.

Ręce się jej trzęsły, więc splotła je razem, a Quinn nie chciał myśleć o tym, jak samotnie wyglądała. Głos jego matki łamał się i wznosił w gniewie. Przypomniawszy sobie pewien piknik z dzieciństwa, na którym jego rodzice się pokłócili, a on, siedząc na kocu, zajmował się wyrywaniem źdźbeł trawy, jakby to miało ustrzec go przed strachem, że to wszystko jego wina, i że wszystko się skończy. Kłótnia szybko została zażegnana, ale strach pozostał, zasklepił się w nim i nawiedzał go nocą, czekając, aż będzie mógł wyjść na słońce.

Stał przy stole, słuchając matki. Był zbyt dorosły, żeby pozwalać jej się bronić, ale wydawało się, że nie był w stanie przemówić. Całą noc był wściekły. Cały czas widział ich w myślach: mężczyzna leżący na jego żonie i sięgający pod jej spódnicę. Ręce Felicity na jego szyi. Rumieniec na jej policzkach, jej ręce na jego klatce piersiowej. Widział ich, gdy tylko zamykał oczy. Jeszcze gorszy był widok Felicity, tuż po tym jak go zobaczyła, zeskoczyła z sofy, przytrzymując bluzkę dłonią, spanikowana i winna, jednak nadal podniecona przez dotyk tamtego. Tamtego mężczyzny. Tego, za którym przyjechała do Londynu. Tego, którego pragnęła bardziej niż Quinna kiedykolwiek.

Gniew go palił, zjadał go. Bardziej niż za to, co zrobiła, nienawidził jej za to, że tak się przez nią czuł.

A później stała, trzęsąc się w ich ogrodzie. Nie do końca potrafił uwierzyć, że to ta sama Felicity, co wczoraj w Londynie. Podejrzewał, że to wyparcie. Nawyk. Powiedziała „przepraszam”, a on, mimo gniewu, mimo zdrady, chciał do niej podejść. Chciał zapomnieć o tym wszystkim i wrócić do ich normalnego życia. Jeśliby na nią spojrzął, tak by postąpił.

Więc nie patrzył na nią.

Ale kątem oka zobaczył, jak upada.

Krzyknęła bez słów, szorstki dźwięk, który wydała, a który zarazem nie był jej. Quinn

podbiegł. Nie zdążył jej złapać, zanim uderzyła o ziemię, ale złapał ją później, kiedy już leżała. Wykręcała się i drgała, niczym szmaciana lalka pociągana za niewidzialne sznurki. Jej oczy cały czas mrugały, a usta pracowały, jakby chciały powiedzieć coś istotnego.

– Co się dzieje? – zawołała jego matka.

– Ma atak – powiedziała Suz, która klęczała obok niego. Quinn tulił Felicity w ramionach, osłaniając jej głowę.

– Zadzwoń na 112 – powiedział do siostry. Twarz Felicity wykrzywiła się, ciało wyprężyło, a jej pięty zaczęły uderzać o trawę, którą podlał ojciec Quinna. Jedną jej dłoń, lewą, ta, na której miała jego pierścionek, wymknęła się z uścisku i uderzyła go w ramię. To nie były sznurki marionetki, ale jego gniew, który nią zawładnął i sprawiał, że bezwolnie drgała.

Nie, nie jego gniew. To była choroba. Coś było nie tak.

– Co to? – pytała jego matka. – Nie powinniśmy wsadzić jej czegoś do ust, żeby nie połknęła języka?

Potrząsnął głową. Felicity była chudsza niż kiedyś. Napierała na niego swoją niewielką siłą w drgawkach, skurczach, próbując się uwolnić. Starał się unieruchomić jej głowę, która jednak cały czas się wykręcała, tak że czuł jej dyszenie przez swoją koszulę. Przypomniawszy mu się maleńki króliczek, którego przed laty znalazł przy drodze. Miał złamaną nogę i był śmiertelnie przerażony przez chłopca, który przecież próbował mu pomóc. Wywracał oczyma, drapał go pazurkami jak igielki, próbował uciekać.

Czas płynął powoli. Quinn wiedział o tym, że to tylko sekundy, ale odczuwał je jak godziny. Czasu było tyle, żeby uświadomić sobie, że nie jest zaskoczony tym napadem. Zawsze czuł, że w Felicity było coś dziwnego, co pociągało za niewidzialne sznurki. Teraz jej oczy zamykały się i otwierały na przemian, wydawała dźwięki krztuszenia się, choć się nie krztusiła, oddychała – czuł jej każdy oddech. Z ust zwisała jej srebrna nitka śliny, którą starł dłonią. Spódnica jej się zadarła, więc ją poprawił.

– Jada – zawołała Suz za nimi i choć nie sądził, żeby Felicity to usłyszała, jej ciało rozluźniło się i stało się ciężkie.

– Felicity? – powiedział. Patrzyła na niego, nie poznając go. – Felicity, słyszysz mnie?

Wytarła sobie usta, potarła czoło. Między jej oczami pojawiła się zmarszczka, która zazwyczaj świadczyła o tym, że intensywnie się nad czymś zastanawiała. Jej usta poruszyły się, nie wydając dźwięku, patrzyła na niego, jakby był obcy, jakby był drzewem. Bez paniki, bez strachu, zupełna pustka. Każda jej część składała się na Felicity, ale prawdziwej Felicity tam nie było.

Lata temu jeden z jego kolegów miał epilepsję i na wszelki wypadek poinstruował pozostałych, co powinni zrobić, gdyby dostał ataku: oczyścić przestrzeń, zapewnić mu bezpieczeństwo, nic nie wkładać mu do ust, mówić do niego, a jeśli było to możliwe, obrócić go na bok. Poczekać, aż napad się skończy. Nie dawać mu nic do picia, dopóki nie będzie w stanie mówić. Zachować spokój. Nie martwić się. Wyzbyć się gniewu i strachu.

– Felicity – powiedział do niej łagodnie. – To ja. Słyszysz mnie?

Westchnęła i zamknęła oczy. Quinn trzymał ją, czekał, aż to się skończy.

Jestem w szpitalu. Widzę niebieską zasłonę wokół mojego łóżka i słyszę rozmowę w innym języku, może w pendzabskim, toczącą się po drugiej stronie zasłony. Pachnie środkiem dezynfekującym, pościel jest sztywna, gdzieś coś pika, a od mojego lewego ramienia odchodzi rurka, więc z całą pewnością jestem w szpitalu.

Nie wiem, jak się tu dostałam. Nie mam butów. Leżę na boku, a obok mnie siedzi Quinn i patrzy na mnie. Moja pierwsza myśl: „W porządku”. Zamykam oczy i zasypiam.

Następnie on lekko potrząsa mnie za ramię.

– Nie śpisz? – pyta. Jestem lekko zdziwiona, że mówi po angielsku, a nie pendzabsku. – Wiesz, kim jestem?

– Jesteś Quinn Wickham. Kiedyś chciałeś być szpiegiem. – Mój głos jest ochryply.

– Jak się czujesz?

– Zmęczona i spragniona. – Bolać mnie też mięśnie. Ponownie zasypiam. Nie mam żadnych snów.

– Pani Wickham? Czy jest pani z nami? – Pielęgniarka stoi obok mnie.

Wolałabym spać, ale jej głos jest natarczywy, więc odpowiadam:

– Tak.

– Możesz się do mnie uśmiechnąć, skarbie? Dobrze. Ściśnij moją rękę. Teraz drugą. Ile widzisz palców? A teraz? Jaki dziś mamy dzień? Kim jest ten uroczy młody człowiek koło mnie? Patrz za światłem, dobrze? Teraz popatrz do przodu. Dobrze.

Zdałam? Co to był za test? Zwykle oblewam testy. Nie potrafię się koncentrować, a moja pisownia jest okropna.

– Co się stało? – pytam. – Upadłam?

– Miałaś napad – mówi Quinn. – Jesteś w szpitalu.

– Jak się pani czuje? – pyta pielęgniarka.

– Chce mi się spać.

– Zaraz będzie mogła pani zasnąć. Czy pamięta pani, co się stało?

– Pamiętam, że unosiłam się w powietrzu i patrzyłam na nas z góry. Ale to pewnie się nie wydarzyło.

Pamiętam też, że byłam w ogrodzie, a moja teściowa mi wymyślała. Pamiętam, jak na to zasłużyłam. Najchętniej schowałabym głowę pod poduszkę i poszłabym spać, więc zamykam oczy i sobie na to pozwalam.

Kiedy budzę się ponownie, Quinn nadal jest przy mnie i mi się przygląda. Spodziewam się, że powie „Dzień dobry, kochanie”, ale nie robi tego. Wtedy słyszę pikanie. Szpital.

Chcę usiąść, ale wszystko mnie boli.

– Czy zrobiłam coś głupiego?

– Upadłaś i dostałaś drgawek. Zupełnie nagle.

– Mam nadzieję, że nie przeraziłam twojej mamy.

– Ona sobie nieźle radzi w kryzysowych sytuacjach. – Czyli przeraziłam ją.

– Biedna Molly.

Molly o pałającym spojrzeniu mówiąca mi, że bym trzymała się z daleka od jej syna.

– Czy wszyscy tu są? Twoja mama? – Rozglądam się, jesteśmy na oddziale, zasłony

wokół łóżek są zaciągnięte.

– Jestem tylko ja. Reszta została w domu. Czekają na wiadomości.

– Długo byłam nieprzytomna?

– Przez chwilę. Miałaś napad, a później straciłaś przytomność. Czasem wyglądałaś, jakbyś się obudziła, ale nie była świadoma. Śpisz, odkąd przyjechałaś do szpitala. Wyglądałaś na zmęczoną.

– Tak. – Bardzo zmęczoną. Wszystkim. Gotowa, żeby odpoczywać i nie myśleć przez chwilę. Zamykam oczy i ponownie je otwieram. – Jak długo byłam nieprzytomna?

– Zabrali cię na tomografię, którą przespałaś. Tak sędzę. Pamiętasz badanie?

– Nie. Ile to trwało? Czy przed chwilą o to pytałam?

– W porządku. Minęło kilka godzin.

– Jak się tu dostałam?

– Suz wezwała pogotowie.

– Czy coś mówiłam? – Przyglądam mu się uważnie, ale z jego twarzy nie wyczytuję nic oprócz troski.

– Nie. Wszystko dobrze. Martwimy się teraz tylko o twoje zdrowie.

– Co to za rurka w moim ramieniu? – Mama miała rurki. Miała je wszędzie, wpompowywały w nią truciznę, która miała ją uratować. Sięgam po nią, ale Quinn zatrzymuje mnie swoją dłonią.

– Dają ci lekarstwa przeciwwstrząsowe. I płyny, jesteś odwodniona.

– Jestem zmęczona.

– Śpij.

– Nie lubię szpitali, Quinn.

– Jestem przy tobie.

Tym razem śnię. Jestem w ogrodzie Hope Cottage, tyle że zbudowałam wokół niego mur z niepasujących kamieni. Wokół mnie rośliny wzrastają w przyspieszonym tempie. Wypuszczają wąsy, żeby się podciągać, oplatają się wokół siebie nawzajem. Chwasty mnożą się z cichym, mokrym szuraniem liści. Jestem otoczona zielenią. Kwiaty rozkwitają, przekwitają, opadają. Widzę białe i żółte, pomarańczowe i różowe plumerie bez zapachu. Ocierają się o moją twarz, głaszczą moje policzki, przeczesują moje włosy. Płatek miękkim niczym ciało, chłodny jak wosk. Łodygi i korzenie, pyłki i soki, wszystko zaczyna rywalizować ze sobą o słońce. Otwieram usta, żeby wziąć oddech i liście wdzierają się do nich. To mury zatrzymują rośliny w środku, kiedy one chcą się wydostać, wyciągnąć, zaznać powietrza, być wolne.

Otwieram oczy. Zasłony są rozchylone. Quinn siedzi obok mnie i czyta gazetę.

Opuszcza ją.

– Obudziłaś się. Czujesz się trochę lepiej?

– Chce mi się pić. – Obok łóżka stoi plastikowy dzbanek z wodą, sięgam po niego, ale rurka w mojej ręce mi na to nie pozwala.

– Proszę – Quinn nalewa mi szklanek wody i naciska przycisk, który sprawia, że łóżko układa się tak, abym mogła wygodnie siedzieć. Kiedy moja matka umarła, zrobiłam coś odwrotnego: położyłam ją, żeby mogła w końcu zaznać wytchnienia. Biorę od niego wodę i piję.

– Nadal chce ci się spać?

– Już nie tak bardzo. – Zasłony są inne. Wcześniej nie było też stolika koło łóżka. –

Przenieśli mnie?

– Zostałaś przyjęta na oddział neurologii. Przewieźli cię, kiedy spałaś.

– A ty przyszedłeś. Zostałeś ze mną. Dlaczego? – Pamiętam teraz moją wyprawę do chatki, spotkanie z Quinnem i jego rodziną. Przyjechałam, żeby przeprosić za to, co zrobiłam. Po tym wszystkim on przyjechał ze mną karetką i został tu. Nie wiem nawet, ile to już trwa.

Co to znaczy, że on tu jest? Wybaczył mi? Czy po prostu zrobił to, co zrobiłby dla każdego, kto dostałby drgawek w jego ogrodzie? Pewnie raczej to drugie. Zrobiłby to pewnie dla Camerona Bishopa, gdyby podczas kolejnej kradzieży chłopca powalił atak. W dodatku on jeszcze przynajmniej przez jakiś czas jest moją najbliższą rodziną, więc czuje się zobowiązany. Jest moją jedyną rodziną.

– Martwię się o ciebie, Felicity. Jestem twoim mężem.

Jest mi niedobrze, czuję lęk i wstyd.

– Mogę prosić jeszcze jedną szklanek wody? – Nalewa mi ją i patrzy, jak piję.

– Przyjechałam do Tillingford, żeby przeprosić, nie chciałam, żeby wyszło aż tak dramatycznie.

– Połowa drużyny krykieta patrzyła, jak wnosili cię do karetki.

– Super. – Wizja mnie samej, drgającej i wijącej się na ziemi obok czystych butów Molly.

– Toczyłam pianę z ust? Połknęłam język?

– To tylko mit. Nie można połknąć języka. Jest to niemożliwe z anatomicznego punktu widzenia.

– Śliniłam się, prawda?

– Ty...

Podchodzi duży mężczyzna, najwyraźniej lekarz, z dwiema mniejszymi osobami za jego plecami – studentami lub podwładnymi.

– Pani Wickham. Jestem doktor Chin, specjalista neurolog. Jak się pani czuje?

– W porządku. Staram się dowiedzieć od Quinna, czy się śliniłam.

– To dobry znak. Nie ślinienie, ale to, że się tym pani przejmuje. Czy może się pani do mnie uśmiechnąć? – Uśmiech, ściskanie dłoni, podążanie wzrokiem za światłem, przedstawianie się, liczenie palców. To samo, co robiłam z pielęgniarką. – Czy czuje się pani na tyle dobrze, żeby odpowiedzieć na kilka pytań?

– Postaram się.

– Czy pamięta pani to zdarzenie, które przyprowadziło panią do szpitala?

– Niezupełnie. Byłam... w ogrodzie z mężem i teściami, zaczęłam się źle czuć. Tak nierzeczywiście. Widziałam nas z góry, jakbym leciała. A później obudziłam się w szpitalu.

– Czy miała pani gorączkę albo była chora?

Potrząsam głową.

– To była bardzo stresująca sytuacja – mówi Quinn.

– Czy, o ile pani wiadomo, miała pani podobne napady w przeszłości?

– Nie. Przynajmniej nie takie.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „nie takie”?

– Nigdy nie zemdlałam, nie miałam drgawek. Nic mi o tym nie wiadomo. Ale wydaje mi się, że miałam pewne epizody. Myślę, to tak można to nazwać. Ale nie jestem pewna.

– Miewasz ataki? – pyta Quinn. – Od kiedy?

– Czasami napady nie są oczywiste dla obserwatora – mówi lekarz. – Czasem nie są oczywiste nawet dla osoby, która ich doświadcza. Miała więc pani napady ogniskowe? Epizody?

– Myślałam, że to migreny. Później, że to wspomnienia.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Quinn domaga się odpowiedzi.

– To było... osobiste.

– Osobiste?

– Umysł jest ostatnią tajemnicą człowieka – mówi lekarz.

Może oprócz mojego serca.

– Nie powiedziałam nikomu, ponieważ usiłowałam dojść do tego, co to oznacza – tłumaczę.

– Czyli to pani pierwszy napad toniczno-kloniczny, jak to kiedyś nazywaliśmy *grand mal* – mówi lekarz, a jego poplecznicy zawzięcie notują. – Ale możliwe, że wcześniej miała pani napady ogniskowe. Czy w pani rodzinie były przypadki epilepsji?

– Nie. To znaczy, nie wiem. Nigdy nie poznałam ojca. Ale matka nie miała padaczki.

– Dalsza rodzina?

– Nie znam ich.

Wydaje dźwięk najwyraźniej obliczony na to, żebym zawstydziała się, że znam tylko jedną swoją krewną, która w dodatku nie żyje.

– Proszę opowiedzieć mi o tych zdarzeniach, które pani zdaniem mogły być napadami.

Opowiadam mu o zapachu plumerii pojawiającym się znikąd, jak na początku myślałam, że to perfumy lub woda po goleniu, a nawet duch, dopóki nie zorientowałam się, że czuję go tylko ja. Opowiedziałam, jak doszłam do tego, że poprzedzało je uczucie podenerwowania w żołądku – znaki ostrzegawcze, które czasem pozwalały mi wymigać się z czegoś i spędzić napad w samotności. Następnie opowiedziałam mu o uczuciach. O błogości, o uczuciu zakochania. Jak pochłaniało mnie to i przeistaczało w istotę zrobioną z czystego światła. A później euforia, kiedy mija, echo, które trwa na tyle długo, że zostawia mnie niepokieszoną, kiedy się kończy.

Zdaję sobie sprawę, że opowiadam to również Quinnowi. Nie patrzę na niego, ale czuję, jak to wszystko chłonie. Jego ból jest surowy i piekący.

– Czy to doświadczenie zawsze jest takie samo?

– Tak. To znaczy, robię różne rzeczy w tym czasie, w zależności od tego z kim jestem, gdzie jestem. – Moje policzki są gorące. – Zazwyczaj po prostu tego doświadczam. Powiedziano mi, że później wyglądam, jakbym była nawalona.

– Kiedy to się zaczęło?

– Wiosną. Chyba... w maju? To było wtedy, kiedy poszliśmy na kolację do Cerise – mówię Quinnowi i natychmiast muszę odwrócić od niego wzrok.

– Czyli w trzecim tygodniu maja.

– I jak często się to zdarza? – pyta dalej doktor.

– Na początku, tylko od czasu do czasu. Raz w tygodniu, może dwa. Ale teraz dzieje się to coraz częściej. Ostatnio nawet bardzo często.

– A bardzo często znaczy...?

– Kilka razy dziennie. Czasem jeszcze więcej. To... ciężko jest rozróżnić między tym, a moimi prawdziwymi uczuciami.

– Niepokój w żołądku to typowy objaw – mówi doktor Chin. – Podobnie jak uczucie

odurzenia po napadzie i to, że są identyczne. To może być dobry wyznacznik, że są to raczej ataki, a nie spontaniczne emocje. Badania pomogą nam dookreślić z czym mamy do czynienia.

Następuje przerwa i czuję, jak Quinn zbiera się w sobie.

– Co może powodować takie symptomy? – pyta głosem dziennikarza zainteresowanego faktami. Gdybym go nie znała, może bym uwierzyła.

Studenci stają na baczność.

– Nie musi pan doktor mówić nam tego od razu – mówię szybko.

– Wiele różnych rzeczy może wywoływać napady, najczęściej w większym lub mniejszym stopniu można je leczyć.

– Guz mózgu? – wypytuje Quinn. – Rak?

– Quinn, ja chyba nie chcę wiedzieć.

– Musimy wiedzieć, Felicity.

– Tak, podobne objawy mogą wskazywać na guz. Ale nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków. Wyniki tomografii nie były rozstrzygające. Wykazały coś, ale jeszcze nie możemy być pewni co, więc jutro rano zrobimy kolejne badanie.

– Myślę, że raczej pójdę do domu. – Gdziekolwiek on jest.

– Musisz zostać – mówi mi Quinn. – Nie widziałaś, co się z tobą działo, ale to było przerażające. Co by się stało, gdyby ci się to przydarzyło w jakimś niebezpiecznym miejscu? Musimy się dowiedzieć, co ci jest, żeby ci pomóc.

– Jeśli mam wybór między tym, żeby od czasu do czasu myśleć, że jestem zakochana a poznaniem jakiejś złej diagnozy, to wybieram zakochanie – odpowiadam.

– Naprawdę? – mówi cicho Quinn.

– Diagnoza jest potrzebna – odzywa się lekarz. – Jeśli doświadczasz pani nasilających się ataków, to jest duże prawdopodobieństwo, że musimy zrobić coś z tym już teraz, czy to poprzez leki czy operację. Jeśli wszystko się powiedzie, już jutro będziemy mieli jakieś odpowiedzi. – Poklepuje koc obok mojej nogi w taki sposób, że nie ma wątpliwości, iż ma mnie to pocieszyć. – Niech Pani spróbuje odpocząć i nie martwi się za dużo. Proszę leżeć spokojnie, na ile to możliwe. Leki zapobiegające napadom będziemy podawać doustnie, a nie dożylnie, skoro jest pani przytomna, ale proszę natychmiast powiadomić pielęgniarkę, jeśli poczuje pani, że coś się zbliża. Jest pani w najlepszym możliwym miejscu, jeśli napad miałby się powtórzyć.

Wychodzi wraz z poplecznikami.

Quinn zostaje. Nie mogę spojrzeć mu w twarz, więc patrzę na jego koszulę. Jest pomięta, a na łokciu ma plamy z trawy. Pewnie ubrudził się, kiedy mnie ratował. Podniósł mnie, czy czekał na karetkę?

– Przepraszam – mówię raz jeszcze.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi, że takie rzeczy się działy? – pyta.

– Bo... bo nie wiedziałam, co to było. Doktor Johnson powiedział, że to mogą być migreny. Później myślałam, że to może duch mamy, a potem, że to mój własny umysł. Doktor Johnson skierował mnie do neurologa, ale przegapiłam wizytę.

– Dlaczego nie umówiłaś się na następną?

– Umówiłam się, w listopadzie.

– Nie starałaś się zbyt. – Usiłuje być spokojny, ale jest zły.

– Nie chciałam tak naprawdę usłyszeć, że coś jest ze mną nie tak. Poza tym, za każdym

razem, kiedy się to działo, czułam się szczęśliwa.

– Czułaś, że jesteś w nim zakochana.

– Czułam... nie wiem, co to znaczyło. Ale to nie było coś, co mogłam ci powiedzieć.

– Felicity, a co właściwie czujesz, o czym możesz mi powiedzieć? Czy jest coś takiego w ogóle?

Przygryzam usta. Przez chwilę wsłuchujemy się w odgłosy oddziału. Przypomina mi to kolację, kiedy fontanna w restauracji nie była w stanie zagłuszyć ciszy między nami.

– Czy to prawda? – pyta. – Naprawdę nie masz wpływu na te uczucia?

– Sądzisz, że okłamuję lekarza?

– Mnie okłamałaś.

– Ja... to jest prawda. Miałam te uczucia i nie wiedziałam, jak sobie z nimi poradzić.

Wygląda, jakby zjadł coś niedobrego.

– A co z nim? Twierdzi, że cię kocha. Czy on też ma napady?

– Nie. Ja... poszłam się z nim zobaczyć. Chciałam przekonać się, czy to, co czułam, było prawdziwe. I spędziłam z nim trochę czasu. Był... nie był zbyt szczęśliwy.

– Więc próbowałaś go uszczęśliwić, wdając się z nim w romans.

Przełykam ślinę.

– Przykro mi.

– To brzmi bardzo wygodnie, biorąc pod uwagę, co się dzieje.

– Wiem, że jesteś na mnie zły, Quinn, zasłużyłam na to.

– Jestem na ciebie bardzo zły. Również z tego powodu, iż zaniedbałaś swoje zdrowie do tego stopnia, że miałaś poważny napad przede mną, żebym to ja się tym zajął. A nawet jeśli to wszystko wywołane było chorobą, jeśli nie mogłaś temu zaradzić, to nadal nie musiałaś tego robić.

Krzywię się.

– Nie wierzę w to – mówi. To po prostu nie ma sensu.

Pochyla się do przodu z głową w rękach.

– Nie musisz tu siedzieć. Poradzę sobie.

– Nie – mówi do podłogi. – Nie poradzisz sobie. Pewnie jesteś... pewnie jesteś bardzo przestraszona.

Łzy napływają mi do oczu, ponieważ ma rację. Jestem przerażona, że mogłam zrujnować wszystko, dlatego że coś jest nie w porządku z moim mózgiem. Przeraża mnie myśl, że być może rośnie we mnie coś, co może mnie pozbawić samej siebie. Zabić mnie centymetr po centymetrze, tak jak rak zabił moją matkę.

Nie mogę powiedzieć tego Quinnowi. Nie mogę prosić go o współczucie, bo go skrzywdziłam. Wycieram oczy wierzchem dłoni, zanim on zorientuje się, że płaczę.

– Jestem po prostu bardzo zmęczona – szepczę.

Podnosi głowę, ale nie patrzy na mnie.

– Doktor twierdzi, że musisz odpoczywać – mówi. – Prześpij się. – Wyciąga gazetę z kieszeni. To „Express”, a nie żadna z jego ulubionych gazet. Musiał kupić ją tu, w szpitalu. Nagłówki mówią coś o Syrii i o emerytach niewytrzymujących upałów.

Napotykam jego spojrzenie i widzę w nim wszystko: ból, zmartwienie, gniew i rezygnację. To wszystko moja wina.

– Powinieneś iść do domu – mówię.

– Jesteś moją żoną. Nadal nią jesteś. Nie powinnaś być sama. – Ponownie otwiera

gazetę, wyznaczając koniec dyskusji. Zamykam oczy. Wśród dźwięków oddziału słyszę każde jego delikatne poruszenie.

Nocą na oddziale nie jest cicho. Pikanie, szuranie stóp, rozmowy, jęki, w sąsiedniej sali ktoś nawet śpiewa. Ale kiedy się budzę, powietrze jest pełne zapachu plumerii. Niemal widzę kwiaty w tym słabym świetle.

Sięgam po guzik alarmowy, ale zatrzymuję się, nie nacisnąwszy go. To jest piękne. Moja matka, mój kochanek, to moja młodość i moja przeszłość.

Oddział przemienia się w raj. Oni myślą, że to choroba i chcą mi to zabrać. Wstaję z łóżka. Nie ma śladu po Quinnie. Pewnie poszedł się przespać do domu. Ktoś ubrał mnie w szpitalną koszulę. Podłoga jest zimna pod moimi gołymi stopami. Zatrzymuję się, starając się wymyślić jakiś plan. Nie mam samochodu. Potrzebuję wezwać taksówkę. Ale najpierw muszę się ubrać. Odłączyć się od kroplówki. W szafce obok łóżka znajduję plastikową torbę, w której jest moja sukienka, buty i torebka. Czy wystarczy mi pieniędzy, żeby dojechać do Londynu? Czy pozwolą mi odejść? Co się stanie, kiedy odłączę tę kroplówkę? Czy uruchomi się wtedy jakiś alarm? Nie można trzymać kogoś w szpitalu wbrew jego woli, prawda?

Rozglądam się. Nikt mnie nie zauważył, jeszcze nie. Potrzebuję pomocy. Moje serce skacze i wiem już, kogo chcę zobaczyć, kto mi pomoże.

Znajduję komórkę w torebce, upycham wszystko z powrotem do plastikowej torby, którą wkładam do szafki, a następnie wracam do łóżka. Naciągam prześcieradło na głowę, żeby nikt nie widział, co robię. Nie można używać telefonów komórkowych na oddziale, prawda?

Od razu włącza się poczta głosowa Ewana.

– Ewan, skąd wiesz, że naprawdę mnie kochasz? – pytam. – To szaleństwo, prawda? To nie ma sensu.

Poczta głosowa nie odpowiada na moje pytania. Powinnam wezwać pielęgniarkę. Powinnam powiedzieć jej, żeby zmieniła mi dawkę lekarstw.

– Wszystko się jeszcze bardziej skomplikowało – mówię, nagrywając wiadomość dla Ewana. – Teraz nie mogę ci o tym powiedzieć. Może kiedyś. Nie dzwoń do mnie, to nie jest bezpieczne.

Odkładam telefon i orientuję się, co właśnie zrobiłam. Robiłam to już wcześniej? Czy tak właśnie wysłałam Ewanowi mój adres, kiedy byłam chwilowo niepoczytalna? Co jeszcze mówiłam, będąc w tym stanie? Co jeszcze zrobiłam? Moje serce bije tak szybko, czuję się taka szczęśliwa i to wszystko jest złe.

Sięgam po guzik, żeby przywołać pielęgniarkę, która zjawia się w ciągu pół minuty.

– Chyba potrzebuję pomocy – mówię jej.

QUINN

Stojąc po drugiej stronie zasłony z plastikowym kubkiem herbaty w ręce, Quinn usłyszał, jak Felicity pyta Ewana, czy naprawdę ją kocha.

Kiedy wstał, poszedł do automatu, kupić sobie coś do picia, a ona spała. Sen niwelował cienie pod jej oczami i niezdrowy, blady odcień skóry, niemal taki sam jak kolor poduszki.

Wyglądała, jakby śniła o miłości. Pamiętał słowo, którego użyła w rozmowie z lekarzem: błogość.

– To szaleństwo, prawda? – powiedziała po drugiej stronie zasłony do telefonu. – To nie ma sensu.

Quinn obrócił się na pięcie. Wyrzucił kubek do kosza przy stanowisku siostry dyżurnej. Zadzwoił do Suz, kiedy szedł korytarzem do wyjścia.

– Podwiozłabyś mnie do domu? – poprosił. – Nie mam przy sobie dość pieniędzy, żeby zamówić taksówkę.

– Będę za dziesięć minut – powiedziała Suz, chociaż słyszał po jej głosie, że ją obudził. Tak się robiło w jego rodzinie. Jeśli ktoś, kogo kochasz, potrzebuje pomocy, udzielasz mu jej. Nie zastanawiając się, nie zadając zbędnych pytań, nie zważając na koszty.

Jednak jeśli twoja żona dzwoni ze szpitalnego łóżka do kochanka, to pewna granica zostaje przekroczona. Dla każdego.

Na zewnątrz było ciepło, choć chłodniej niż na oddziale. Na ostry dyżur przyjechał w pełnym popołudniowym słońcu, ale minęły całe godziny i zapanowała ciemność. Nawet o pierwszej nad ranem znalazła się pacjentka, która w szpitalnej piżamie stała przed wejściem i przechylając się przez barierkę, paliła papierosa. Nie wyglądała, jakby sprawiało jej to przyjemność.

Suz przyjechała jakieś piętnaście minut po tym, jak pacjentka wdeptała niedopałek w chodnik i weszła z powrotem do szpitala. Otworzył drzwi od strony pasażera i wszedł do auta. Nie odjechała od razu, ale zlustrowała go wzrokiem.

– Wyglądasz okropnie.

– Nie czuję się tak źle.

– Kłamiesz. – Suz miała na sobie spodnie od piżamy i podkoszulek. – Jak ona się ma? Jest już diagnoza?

– Nadal nie powiedzieli nam, co jest nie tak, ale miejmy nadzieję, że dowiemy się już jutro, kiedy zrobią kolejne badania. Prawie cały czas śpi. Tylko na to ma ochotę. – Oprócz dzwonięcia do swojego kochanka.

– Podejrzewają guz mózgu?

– Mówią, że to może być wiele różnych rzeczy. Okazuje się, że miała ataki już od jakiegoś czasu. Tyle że lekkie. Zapachy, uczucia. Nikomu nie powiedziała. – Oparł głowę o zagłówek siedzenia. – Powiniennem był się domyślić.

– Jak, skoro nic ci nie powiedziała?

– Zapytała mnie kiedyś, czy jakieś szczególne zapachy wywołują moje wspomnienia. Takie, które są na tyle silne, że czujesz, jakbyś ponownie przeżywał te wspomnienia. Miała wszystkie te rzeczy: perfumy, butelkę oleju, pomarańczę nabitą goździkami... i wahała je po kolei. Myślałem, że to tylko... Felicity.

Suz nadal stała na jałowym biegu. Taksówka zatrzymała się przed nią, zabrała pasażera i odjechała.

– Miałeś okropny czas – powiedziała. – Ale myślę, że ona musiała być przerażona. Czy myślisz, że to dlatego...

– Te ataki sprawiają, że czuje się, jakby była zakochana. W tamtym mężczyźnie.

– Och. – Suz pozwalała, żeby to do niej dotarło. – To dziwne.

– Wygląda na to, że dlatego go odnalazła. Tak mówi.

– Wierzysz jej?

– Nie wiem.

„Jadę do domu, wezmę prysznic i będę kontynuował naukę spania samemu w łóżku”.

Zamiast tego mówi:

– Czy tata miał wtedy romans?

Suz nie musiała pytać, co miał na myśli. Nigdy nie rozmawiali o tym czasie, kiedy z za zamkniętych drzwi dobiegały krzyki ich rodziców, kiedy ich ojciec wracał do domu bardzo późno, a na kolację były tylko kanapki. Podczas jazdy Quinn i Suz siedzieli cicho z tyłu samochodu, starając się nie słuchać złowrogich szeptów rodziców z przodu. Każde z nich miało wzrok wbity w swoją książkę.

Suz wyłączyła silnik.

– Tak sędzę – powiedziała.

– Myślałem, że to z mojej winy.

– A ja myślałam, że z mojej. Sądziłam, że to dlatego, iż byłam inna. Ale to przecież niemożliwe. Po prostu dzieci tak myślą.

– Poprawiło się, prawda?

– Teraz jest lepiej – odpowiedziała Suz. – Raz, parę lat temu, próbowałam zapytać o to mamę, ale zmieniła temat. Zaczęła mówić o lisach wyjadających ze śmietników.

– Nie wygląda na to, żeby byli nieszczęśliwi. Ale skąd można to wiedzieć, skoro oni zawsze zachowują się tak samo?

– Nie sędzę, żeby mama kiedykolwiek przyznała się do bycia nieszczęśliwą. Wyobrazasz sobie coś takiego? Ale nie. Nie wydaje mi się, żeby byli nieszczęśliwi. Myślę, że jest im razem dobrze.

– Wydaje mi się, że to była ta kobieta, z którą pracował. Ta, co miała krótkie włosy. Nie była jakaś szczególna.

– Może nie musiała być nikim takim. A... on? Ten mężczyzna... jest jakiś szczególny?

– Nie przyjrzałem mu się zbyt uważnie. Nie sędzę, żebym rozpoznał go na ulicy. Byłem skupiony na Felicity.

– Tak mi przykro, Quinn. – Suz założyła włosy za ucho. – Pamiętasz mamę wczoraj? Myślałam, że rzuci się Felicity do gardła. Nie widziałam jej takiej wściekłej od lat. Nie od czasu... tego, o którym mówiłeś.

– Co sprawiło, że mama została, skoro tata miał romans? Czy chodziło o ślub, czy nie chciała być sama? Pewnie samej byłoby jej trudno. Myślałem o tym, kiedy tata miał zawał. Nie poradziłaby sobie.

– Miała nas. Myślę, że została, bo go kochała.

– A czemu on nie odszedł? Musiał przecież czuć coś do tamtej kobiety. Co sprawiło, że wybrał nas?

– Może chodzi o przyzwyczajenie.

– Czy tym jest właśnie miłość? Nawykiem?

Suz położyła dłoń na kluczyku, gotowa, żeby go przekręcić.

– Powinienem był się domyślić – powiedział Quinn. – Powinienem był ją zapytać. Ale za bardzo bałem się odpowiedzi.

Jego siostra westchnęła.

– To nie twoja wina, Quinn. Tacy jesteśmy. Taka jest nasza rodzina. Mówimy i mówimy, ale nie zadajemy pytań.

– Nie, to jest moja wina. Uważam się za dziennikarza, ale nie pytam o ważne sprawy.

Nawet ciebie. Nie rozmawiamy o niczym, co się liczy.

– Teraz rozmawiamy – powiedziała Suz i dotknęła jego ramienia. – Zawsze wiedziałam, że możemy, jeśli będziemy tego potrzebować.

– To nawyk – powiedział, wyglądając za okno. – Wszystko to cholerny nawyk. Tak jest łatwiej, niż spojrzeć prawdzie w oczy.

Ścisnęła jego ramię i położyła dłoń z powrotem na kierownicy.

– Jedziemy?

Głęboki oddech.

– Nie, zostanę.

– Na pewno? Mógłbyś się trochę przespać.

– Proszę, przywieź kilka rzeczy dla niej. Szczoteczkę do zębów i pizamę. Szczotkę do włosów, flanelową myjkę i mydło. Jej szlafrok. Pewnie chciałaby też książkę i szkicownik. Mogłabyś przywieźć to jutro rano?

Suz kiwnęła głową. Quinn otworzył drzwi i wyszedł na chodnik, a kobieta przysłała na kolejnego papierosa.

Dzisiaj z doktorem przyszło już czterech studentów. Wszyscy mają notesy, w których piszą zaciekle, nawet zanim lekarz zacznie do mnie mówić.

– Felicity, wygląda na to, że wiemy już, co powoduje twoje napady.

Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, byłam dla niego „panią Wickham”. Pewnie jeśli mężczyzna zobaczy kilka map twojego wnętrza, uważa, że to daje mu prawo, żeby zwracać się do ciebie po imieniu. Zajrzał do mojej głowy na wszystkie możliwe sposoby, które nie wymagały otwierania czaszki. Wstrzyknięto mi kontrast i włożono do maszyn, które niepokoiły mnie swoimi dźwiękami przypominającymi wystrzał z broni. Lekarze przyczepili mi elektrody i polecili rysować. Zadawali pytania, kazali podążać wzrokiem za światłem. Neurolog powiedział, że umysł był ostatnią tajemnicą człowieka, ale myślę, że próbował mnie pocieszyć, że zostało mi jeszcze kilka myśli, których nie widać na skanach.

Quinn czytał „Guardian”, „Independent”, „Telegraph”, „The Times” jak również „Oxford Times” i „Maidenhead Advertiser”. We wszystkich wypełnił krzyżówki, czasem pytał mnie o pomoc przy jakimś haśle, ale poza tym prawie nie rozmawialiśmy. Kiedy robili mi badania, poszedł na chwilę do domu, żeby wziąć prysznic i zdrzemnąć się trochę, ale sądząc po jego wyglądzie, nie spał za dużo ani tej, ani poprzedniej nocy.

Zmienił mi leki i od tej pory nie czułam nawet najłżejszego powiewu plumerii. Niejasno pamiętam, że zadzwoniłam do Ewana i zostawiłam mu wiadomość. Nie pamiętam, co mu powiedziałam, ale wiem, że to zrobiłam, podobnie jak po przebudzeniu pamięta się wydarzenia lub symbole ze snu: zapytałam, czy naprawdę mnie kocha i powiedziałam, żeby do mnie nie dzwonił. Kiedy Quinn był w domu, włączyłam komórkę. Ewan dzwonił już pięć razy, więc wyłączyłam telefon ponownie.

Mam koszmarne bałagan w głowie. Czuję, jakbym była dwiema osobami, i nie wiem, która jest prawdziwa.

Lekarz przysuwa sobie krzesło, jego poplecznicy w wyrazie szacunku stoją kilka kroków za nim.

– Najpierw proszę pozwolić mi wyjaśnić, jak zaczęliśmy nasze poszukiwania. Ustaliliśmy wczoraj razem, że doświadczałaś ataków, na które składały się halucynacje węchowe w połączeniu z intensywnymi, samorzutnymi emocjami. Twój lekarz pierwszego kontaktu zdiagnozował to jako migrenową aurę, ponieważ w przeszłości miewałaś migreny. A tak przy okazji, z czystej ciekawości zapytam, czy powiedziałaabyś, że te emocje były powiązane z jakimś konkretnym wydarzeniem z twojej przeszłości, czy było to jakieś odrębne uczucie?

– To wiązało się z konkretnym momentem i osobą z mojej przeszłości – mówię. – Również z zapachem. I dotyczy to zdarzenia sprzed dziesięciu lat.

– Interesujące. – Poplecznicy notują zacięcie. – To tylko potwierdza nasze podejrzenia, że doświadczałaś ataków padaczki skroniowej. Takie ataki często mają emocjonalny lub wspomnieniowy aspekt, choć oczywiście nie zawsze. To ogromne uproszczenie, ale uważamy, że płat skroniowy to miejsce, dzięki któremu pamiętamy i odczuwamy. Wracając do tematu, po tego rodzaju napadach często następuje uczucie euforii i można funkcjonować niemal normalnie jeszcze tuż przed i od razu po ataku. Jednakże niedawno

napady te stały się u ciebie częstsze, a wczoraj doświadczyłaś ataku toniczno-klonicznego, z powodu którego zostałaś nieprzytomna przywieziona do szpitala.

Nie wiem, czy robi to podsumowanie dla mnie czy dla studentów.

– Tomografia wykazała uszkodzenie lewego płata skroniowego. Widać to tutaj. – Podaje mi zdjęcie zarysu grubego, jasnego, jajowatego kształtu, wydrukowane na błyszczącym czarnym papierze. Jajo jest wypełnione różnymi odcieniami szarości. To przekrój przez moją czaszkę widzianą z góry. Wszystko jest symetryczne, oprócz jasnej plamki niedaleko środka, jakby ktoś zostawił duże ziarno fasoli w moim mózgu.

To przerażające. To ja.

– Powiedział pan lewy płat skroniowy – odzywam się. – Ale to jest po prawej.

– Skan z tomografii jest odwrócony.

– Czy to guz? – pyta Quinn, pochylając się, żeby lepiej zobaczyć zdjęcie. – Ona miała tomografię wczoraj, dlaczego wtedy nam tego nie pokazano?

– Chcieliśmy mieć pewność, żeby nie niepokoić państwa niepotrzebnie.

– Teraz jestem zaniepokojona.

– Nie jest to niespotykany problem – mówi lekarz. – Choć jest to dość duże i w niezwykłym miejscu. Tutaj mamy strzałkowy przekrój z rezonansu magnetycznego z dzisiejszego badania. To widok boczny. Tutaj widać to wyraźnie.

Ten wydruk bardziej przypomina halloweenowy horror niż poprzedni. Jest na nim moja czaszka z boku: wygląda bardziej krucho, moje gałki oczne to jedynie cienie, zaciśnięte zęby, miękkie zwoje mojego mózgu. W ich środku, kilka centymetrów za okiem znajduje się jaśniejsza sfera. Podają mi kolejny wydruk, tym razem z górnej perspektywy. Masa nie jest na nim tak jasna i przypomina bardziej fasolę. Nadal nie wygląda to jak coś, co powinno znajdować się w mojej głowie.

– Nie czuję tego – mówię. – Przecież z pewnością poczułabym coś tak dużego?

– Czujesz to jako zapach i emocje. To naciska na twój płat skroniowy i powoduje napady. Najprawdopodobniej ostatnio się powiększyło i dlatego napady stały się częstsze, aż w końcu doszło do ataku toniczno-klonicznego. To naciska na cały twój mózg, nie tylko na ten obszar.

– Ale co to jest? – wtrąca się Quinn. – I co można z tym zrobić?

– Ach, ten wydruk dokładnie pokazuje nam, z czym mamy do czynienia. – Doktor Chin zamasyście wręcza nam kolejny wydruk. Jakby powolne wyjawianie diagnozy sprawiało mu przyjemność, jakby był tancerzem burleskowym. Rzucam spojrzenie na studentów, którzy są zachwyceni, co potwierdza moje przypuszczenia, że to wszystko dla nich. Mam nadzieję, że dobrze się bawią.

Na ostatnim wydruku nie jest jasne, że jest to głowa – ani moja, ani jakakolwiek inna. Wygląda to jak okrągły worek napełniony wodą, do którego ktoś wpuścił strumyk niebieskiego barwnika. Albo jak jesienne drzewo namalowane przez akwarelistę.

Jedna z gałęzi ma czarną narośl, pełny pęcherz.

– To angiogram. Zdjęcie naczyń krwionośnych w twoim mózgu. Jak widzisz, jedno z nich wypełniło się i przerodziło się w tętniak.

Ręka Quinna opada na moje ramię. Ponieważ unikał dotykania mnie – oprócz tego momentu, kiedy podniósł mnie z trawy – czuję, że nie jest to dobra wiadomość.

– Coś jak zakrzep?

– To osłabienie ścian naczynia krwionośnego. Wydyma się i napełnia krwią, dlatego

rośnie. Uciska na płat skroniowy, co powoduje te aury – śmieszne łaskotanie w żołądku, które opisałaś, jest typowym objawem ataku skroniowego, wraz z somatosensorycznymi halucynacjami węchowymi i psychiczną aurą emocji. Miłość – dodaje, delektując się tym. – To jedno z największych filozoficznych zagadnień we wszechświecie: czym jest miłość? W twoim przypadku, odpowiedź jest przed tobą na angiogramie. Miłość jest spowodowana zniekształceniem naczynia krwionośnego w twoim mózgu.

– Studenci piszą jak szaleni.

– Zgaduję, że miłość wywołana przez tętniak jest dość rzadka – mówię.

– Nigdy wcześniej o takiej nie słyszałem – odpowiada lekarz, niemal radośnie. Powstrzymuję się, żeby go nie uderzyć. – Na temat halucynacji spowodowanych przez uszkodzenia płata skroniowego napisano bardzo wiele, ale osobiście na natrafiłem nigdy na tę konkretną i jej etiologia jest nie do końca wyjaśniona. Dziewięćdziesiąt procent tętniaków mózgu ulokowanych jest w przedniej, a nie tam, gdzie twój, czyli w tylnej tętnicy mózgu. Więc masz nie tylko wyjątkowe objawy, ale również wyjątkową chorobę. Pewnie dobrze się złożyło, że zostałaś przywieziona do szpitala z powodu tego napadu toniczno-klonicznego, a nie z powodu halucynacji, bo mogłoby to zostać niesłusznie zdiagnozowane jako choroba psychiczna.

– Miłość to szaleństwo – mówię cicho.

– Wprost przeciwnie. Twój przypadek udowadnia, że miłość jest nie tylko najzupełniej normalnym, ale nieskończenie powtarzalnym ludzkim doświadczeniem. I że każdy romans, każda jedna emocja może być przechowywana w mózgu na zawsze, w oczekiwaniu na odpowiednie warunki do jej powrotu.

Wyobrażam sobie wszystkie moje emocje ułożone w rzędzie, jak obrazy w galerii. Zwoje neuronów, każdy skrzętnie opisany za pomocą wydarzenia i uczucia. „Pierwszy pocałunek w wieku trzynastu lat: zażenowanie. Ramiona matki: bezpieczeństwo. Wyśmianie przez całą klasę w podstawówce: upokorzenie. Poznanie najlepszej przyjaciółki w hotelu w Bombaju: odkrycie. Motyl lądujący na dłoni w letni dzień: pogoda ducha”.

– Twierdzi pan, że wszystko, co czułam, jest tylko chemiczne? Elektryczne? To tylko impulsy w moim mózgu?

– Mówisz „tylko” impulsy w mózgu, ale bez nich nie ma żadnych emocji. Zatem z tego punktu widzenia, napady tworzą prawdziwe emocje.

Dłoń Quinna zacisnęła się na moim ramieniu, więc spojrzałam na niego. Wygląda na tak samo zirytowanego przez doktora, jak ja.

– Zostawiając na chwilę zagadnienia filozoficzne, czy tętniak mózgu nie jest niebezpieczny? – pyta.

– Jeśli pęknie, to tak, nawet bardzo. Krwotok podpajęczynówkowy może spowodować poważne uszkodzenie mózgu, a nawet śmierć, jeśli leczenie nie zacznie się odpowiednio wcześnie.

– Więc musicie go usunąć?

– Oczywiście.

– Czyli operacja mózgu?

– Myślę, że Felicity jest odpowiednią kandydatką do zabiegu wewnątrznaczyniowego, który jest zdecydowanie mniej inwazyjny. Ale musi zostać najpierw zbadana przez neuroradiologa zabiegowego, zanim będziemy mogli podjąć jakiegokolwiek decyzje.

– Chwila – wtrącam się. – To moja głowa. Mam jeszcze kilka pytań. Jeśli to ze mnie

wyciągniecie, to wszystko, co czułam, zniknie?

– Pożądanym wynikiem operacji jest to, że nie będziesz już miała więcej napadów, choć oczywiście przez jakiś czas będziesz nadal przyjmowała leki przeciwpadaczkowe, które ci w tym pomogą. I będziesz pod obserwacją, żeby mieć pewność, że nie zrobi ci się kolejny tętniak.

– Nie rozumie pan. Pytam o uczucia, nie o napady.

– Chciałabyś zachować te uczucia? – pyta Quinn.

– Chcę wiedzieć.

Doktor spogląda na studentów, żeby upewnić się, że to zapisują.

– Ta emocja, którą przeżywasz w atakach, nadal będzie w twoim płacie skroniowym. Ale najprawdopodobniej nigdy już nie doświadczysz jej w ten sam sposób. Będzie to tylko wspomnienie, choć pewnie dość silne.

– Stracę to.

– Zachowasz jako wspomnienie. Chyba że ucisk lub operacja spowoduje uszkodzenie mózgu, co nie jest niemożliwe. Mimo niewiarygodnego postępu w naszej wiedzy i technice mózg nadal jest nieprzewidywalny.

– Czy ten tętniak mógł wywołać jakieś inne symptomy oprócz napadów? – pyta Quinn. – Na przykład zmiany zachowania?

– Zauważyliście coś takiego?

Quinn odpowiada „tak”, a ja równocześnie mówię „nie”.

Neurolog się śmieje.

– Małżeństwo, co? Uszkodzenie płata skroniowego może zmienić zachowanie. Utrata pamięci, impulsywność, brak zahamowań.

– Ale przecież ja taka jestem – tłumaczę Quinnowi. – Zawsze miałam fatalną pamięć i zawsze byłam impulsywna.

– Od jak dawna ma ten tętniak? – pyta dalej Quinn.

– Trudno powiedzieć. Dopóki tętniaki nie powodują takich właśnie objawów lub nie pękają, mogą pozostawać niewykryte przez całe życie. Niektóre badania wykazują, że nawet dziesięć procent ogółu ludzkości je ma, ale nigdy nie będzie mieć z tego powodu żadnych dolegliwości.

– Więc nie trzeba ich koniecznie usuwać? – pytam.

– Trzeba – odpowiada Quinn.

– Mąż ma rację, trzeba. Mogłaś mieć to uszkodzenie arterii od lat i mogło się ono powiększać od jakiegoś czasu, nie wywołując problemów, ale teraz już jest takiej wielkości, że wywołuje napady, co oznacza, że operacja jest konieczna. I to jak najszybciej.

– I mogło to pęknąć kiedykolwiek podczas tych wszystkich minionych lat?

– Z tętniakiem tej wielkości wiąże się ponad sześcioprocentowe prawdopodobieństwo, że pęknie w ciągu roku. Jak już powiedziałem, pęknięcie może spowodować nieodwracalne uszkodzenie mózgu. A twój rośnie z każdym dniem.

Ponownie przeglądam wydruki. Jaśniejąca fasolka. Czarny pęcherz pełen krwi. Stąd bierze się miłość. To mój pasażer od nie wiadomo ilu lat, schowany w zakamarkach mojego mózgu, napełniający się krwią, rosnący, rozciągający się. Możliwe, że był tam jeszcze wtedy, kiedy żyła moja matka. Kiedy rak trawił jej ciało, ta fasolka rozprzestrzeniała się, napierając na ścianki arterii. Przez cały ten czas mogłam być równie blisko śmierci co ona.

Czy postąpiłabym inaczej, gdybym o tym wiedziała?

Nie pozwoliłabym na to, żeby leżała w szpitalu. Wyniosłabym ją – jej ciało było lekkie jak piórko. Usiadłabym z nią na plaży, przesypywałabym piasek przez jej palce, wetknęłabym mewie pióro za jej ucho. Czulałabym sól na ustach, trzymałabym ją i przeżywałybyśmy te chwile niczym nasze ostatnie.

Dotykam jajowatego kształtu na skanie z tomografii. To mogło być jakiegokolwiek wspomnienie, jakiegokolwiek uczucie. Mój pierwszy dzień w szkole lub to, jak nauczyłam się wiązać sznurowadła. Mogłam ponownie bać się tego, co było pod moim łóżkiem. Przeżywać upojne popołudnie w Paryżu lub tę chwilę w pociągu z Kornwalii do Paddington.

Ale nie. To były plumerie i miłość do Ewana. Czy to przypadek, czy może jakiś niezrozumiały plan? Czy to znaczy, że to rosło już w mojej głowie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam Ewana na tamtej lekcji rysunku? Czy już wtedy było to częścią mnie?

Ile z moich radości i smutków, porywów emocji, podjętych decyzji i działań, ile z tego, co stanowiło mnie, zawdzięczałam tej wygiętej żyłce wypełnionej krwią, która mości się w moim mózgu jak embrion na zdjęciu USG?

QUINN

Quinn był zakochany trzy razy w całym swoim życiu. Nie wliczając w to chwilowych zauroczeń ani dziewczyn, z którymi spotkał się raz czy dwa. Nie mógł nawet tak naprawdę uwzględnić w swoim rozrachunku Andi, z którą zaraz po studiach dzielił mieszkanie, a od czasu do czasu łóżko. Przez prawie dwa lata była jego najlepszą przyjaciółką, a co pewien czas kimś więcej, choć w międzyczasie spotykała się też z innymi, aż odkryła chrześcijaństwo i wyemigrowała do Australii. Zależało mu na Andi, ale nie był w niej zakochany, ona w nim też nie – choć jego rodzice niezbyt subtelnie wyrażali swoje nadzieje, że ich luźny związek przerodzi się w coś poważniejszego.

Kiedy zakochał się pierwszy raz, była to zmarnowana szansa. Miał siedemnaście lat i wszyscy w jego klasie wiedzieli, że Kathy Lewis była w nim zakochana na zabój. Była ładna, ale nieśmiała, a Quinn o nieśmiałości wiedział sporo. To uczucie towarzyszyło mu przez prawie całą ostatnią klasę, ponieważ był niższy i drobniejszy od większości swoich kolegów. Chociaż nadrabiał to, będąc przyjacielskim i uprzejmym dla wszystkich, jak poradził mu tata, nigdy jednak nie zyskał pewności siebie, którą mieli inni uczniowie, i którą Suz miała od zawsze. Był nieśmiały, więc nie zauważał innych nieśmiałych osób, ponieważ był zbyt zajęty podziwianiem ludzi, którzy nie mieli z tym problemu, którzy głośno żartowali na korytarzach i rozśmieszali innych: szkolni aktorzy i atleci, o jakich pisał w gazetce, którą samodzielnie założył, redagował, składał, drukował i rozprowadzał od dziewiątej klasy. Wiadomości mówiły same za siebie, on nie musiał. Mógł być nieśmiały.

Kiedy nadszedł pierwszy rok egzaminów śródlicealnych, Quinn zaczął szybko rosnąć i zauważył, że łatwiej było rozmawiać z ludźmi, jeśli można było spojrzeć im w oczy lub nawet patrzeć na nich z góry. Zaczął się zastanawiać, czy Anastasia Jenkins dostrzeże go teraz, po tym jak ignorowała go przez poprzednie trzy lata. Dlatego nigdy nie zwracał uwagi na Kathy Lewis, która zawsze zajmowała miejsce koło niego i rzucała mu ukradkowe spojrzenia podczas lunchu. Później niektóre dziewczyny zaczęły się z tego

naśmiewać, a chłopcy podpuszczają go. Wtedy oczywiście nie mógł zwrócić na nią uwagi, ponieważ zawstydziliby ich oboje.

Anastasia Jenkins zaczęła umawiać się z Damienem Boyntonem i jeszcze w tym samym tygodniu Quinn zauważył, jak lśniące były włosy Kathy – niczym czarny jedwab. Któregoś dnia dostrzegł też, że miała podwójnie przekłute uszy i paznokcie pomalowane brokatem. Później zwrócił uwagę na jej pismo, które robiło zdecydowanie większe wrażenie, niż można by się spodziewać po kimś tak nieśmiałym: pełne zawijasów niczym u siedemnastowiecznego urzędnika. Zaczęli wymieniać spojrzenia i uśmiechy. Pracowali razem nad referatem o strefie euro. Zaprosiła go do siebie, żeby mogli pouczyć się razem.

Przez pół semestru, od lutego do kwietnia, czuł ciepłe zadowolenie, siedząc koło niej. Myślał o tym, żeby ją pocałować, i już sama ta myśl sprawiała, że chciał skakać z radości. Wiedział, że nie musiał nic mówić, bo ona też była w nim zakochana. Wszyscy to wiedzieli. Każdemu wymienionemu przez nich zdaniu towarzyszyły podteksty. Po raz pierwszy był zakochany, tak naprawdę, i było to cudowne.

Podczas przerwy wielkanocnej pojechał odwiedzić Suz w jej mieszkaniu w Leeds i kiedy po raz pierwszy zadzwonił do Kathy w przeddzień ich powrotu do szkoły, odebrała jej młodsza siostra:

– Wyszła z Markiem – powiedziała mu radośnie. – Stwierdziła, że nigdy nie dzwonisz i ma już tego dość.

Kathy spotykała się z Markiem do końca szkoły. Quinn umawiał się z każdą dziewczyną, która chciała. Pocałował nawet Anastasię Jenkins, a jej usta były lepkie od szminki, która smakowała przejrzałymi czereśniami.

Następnym razem, gdy się zakochał, poszło mu znacznie lepiej. Poznał Mayę, kiedy byli na drugim roku, i zaiskrzyło między nimi. Oboje studiowali dziennikarstwo. Mieli pewne doświadczenia za sobą, pochodzili z tradycyjnych rodzin, choć były to inne tradycje. Śmiali się z tych samych filmów, żartów i ludzi. Maya i Quinn poznali się, poszli na randkę i szybko stali się nierozłączni. Razem pili w studenckich barach, popołudniami wspólnie odkrywali seks i zamieszkali ze sobą na trzecim roku. Rodzice Quinna myśleli, że się pobiorą. Jej rodzice początkowo mieli zastrzeżenia, ale kiedy poznali Quinna, poddali się, a nawet byli zadowoleni.

I nagle się skończyło. Nie wiedział czemu, Maya również nie miała pojęcia. Coraz rzadziej uprawiali seks, choć kiedy się kochali, było im dobrze. Zaczęli spędzać więcej czasu z innymi ludźmi. Czasem nie rozmawiali przez dzień lub dwa, może nawet przez tydzień – jedynie wymieniali wiadomości lub zostawiali sobie karteczki na lodówce. Nie było żadnego nieporozumienia, żadnej awantury, nic. Nie byli już jednak w sobie zakochani. To się skończyło niemal bez ich udziału. Nie rozmawiali ze sobą o tym, ani nie próbowali tego ożywić.

Kiedy Maya po egzaminach dostała stypendium w Hongkongu, oboje zgodzili się co do tego, że powinni pozostać w kontakcie, ale też spotykać się z innymi. Oczywiście, że to bolało, ale raczej z powodu utraty tego, co kiedyś między nimi było, a nie zakończenia tego, co było między nimi obecnie. Quinn nadal od czasu do czasu rozmawia z nią przez Facebooka: są wobec siebie przyjacielscy, ale obcy.

Za trzecim razem była to Felicity. Kiedy spotkał ją w pociągu z Kornwalii, umawiał się z inną kobietą. Nie było to nic poważnego, znajoma znajomych, ale mieli pójść razem do kina w następny piątek. Odwołał to, przeprosił przez telefon, mówiąc, że poznał kobietę,

z którą się ożeni. Pomyślała, że to żart. Quinn i Felicity pobrali się trzy miesiące później.

Jego miłosny życiorys nie różnił się znacznie od doświadczenia jego znajomych: zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Każdy miał kogoś, kto go zostawił. Każdy był kiedyś w związku, który powinien był się udać, ale tak się nie stało. I każdy z nich spotkał w końcu kogoś, w kim zakochał się od pierwszego wejrzenia. Było to połączenie czynników, oklepanych historii i stereotypów, które były odgrywane w tej lub innej kombinacji miliony i miliardy razy. Można było to zredukować do szkiców, faktów, wyliczeń wypróbowanych pozycji seksualnych i unikanych kłótni, zdradzonych uczuć lub niewierności, gierki umysłowych lub złamanym sercem. „Och tak, też byłem kiedyś z podobną osobą”. „Och tak, też mi ktoś złamał serce w podobny sposób”. „Och tak, znam ten typ”.

Kiedy myślał teraz o Mai, Kathy, Andii lub jakiegokolwiek innej kobiecie, która w jakiś sposób go dotknęła, psychicznie czy mentalnie – nie było ich wiele, ale tyle, ile uznawał za przeciętne – czasem czuł ciepło, uśmiechał się lub czuł odrobinę żalu albo pożądania. Pamiętał fakty: kiedyś byłem w niej zakochany. Miałem ochotę śpiewać na sam widok jej włosów lub oczu.

Ale nie czuł już tego, nie mógł przeżyć tego ponownie, wspominając je. Zostały zredukowane do wspomnień, do śladów o pewnej sile, niezbyt dużej.

Zdecydowanie niewystarczającej, aby przyćmić to, co czuł teraz na korytarzu neurologii, nie śpiąc z powodu kawy i nerwów, czekając, aż jego żona przejdzie operację, która prawdopodobnie uratuje jej życie i zwróci mu ją. Ale miał też świadomość, że może ją zabić.

Zawsze uwielbiał w Felicity to, jak żyła w teraźniejszości. Uwielbiał jej impulsywność, jej umiejętność dostrzegania tego, co miała w zasięgu ręki, a czego inni nie widzieli. A jednak w znacznie większym stopniu niż ktokolwiek, kogo znał, była uwikłana w przeszłość, która w dodatku zapętleła się, a jej mózg przekonywał ją, że są to świeże, aktualne emocje.

To było takie dziwne. Coś, o czym czytało się w gazetach w sekcji poświęconej zdrowiu. Stojąc na korytarzu przed automatem, który oferował różne rodzaje podłych napojów zawierających kofeinę, zamknął oczy i próbował sobie przypomnieć, jak to było być zakochanym w Mai. Czym różniło się to od bycia zakochanym w Felicity?

Gdyby teraz Maya minęła go na szpitalnym korytarzu, bez problemu rozróżniłby swoje aktualne uczucia wobec niej od tego, co czuł do swojej żony. Nie można było tego porównać. Ale co, jeśli mógłby skonfrontować się z uczuciem, które niegdyś żywił do Mai, na przykład po ich pierwszej wspólnej nocy? Czy to byłoby to samo surowe uczucie, które czuł po pierwszej nocy z Felicity, ta sama upojna bezsenność spowodowana radością ciała? Czy gdzieś w jego mózgu była specjalna przegródka na konkretne uczucie „pierwszą noc z Mayą” i czy różniło się ono znacząco od „pierwszej nocy z Felicity”? A może istniało ogólne odczucie „Quinn jest bardzo szczęśliwy, bo właśnie kochał się z kimś, na kim mu bardzo zależy”, które było aplikowane do konkretnych sytuacji?

– Przepraszam pana, czy pan czeka?

Przestraszony, wrócił do rzeczywistości. Stojąca obok niego kobieta patrzyła to na niego, to na automat kawowy. Szpitalne kawiarnie były teraz pozamykane, zastanawiał się, czy wziąć coś dla Felicity, ale przypomniał sobie, że przed operacją nie miała już niczego jeść ani pić.

Zabieg wewnątrznaczyniowy. Neuroradiolog wprowadzi rurkę przez jej tętnicę udową

na wysokości pachwiny i dotrze nią aż do mózgu. Kiedy rurka będzie już na miejscu, lekarka wprowadzi przez nią rodzaj specjalnej platynowej spirali, aby odciąć napływ krwi i uniemożliwić tętniakowi dalsze rośnięcie. Jest to zdecydowanie mniej inwazyjna metoda niż otwieranie jej czaszki i wycinanie tętniaka. Krótszy jest też czas, w jakim pacjenci dochodzą do siebie. Niemniej jednak nadal istnieje ryzyko wylewu, uszkodzenia mózgu i zawału serca, nie wspominając o niebezpieczeństwie pęknięcia tętniaka.

Spoglądał na Felicity, kiedy neuroradiolog wyjaśniała jej zabieg i związane z nim ryzyko. Patrzyła przez cały czas na wydruki, wodząc palcami po zdjęciach swojego mózgu. Nie był pewien, ile do niej trafiło. Oczywiście, skoro dla niego myśl o tym, że ktoś będzie manipulował przy jej mózgu, była przerażająca, co dopiero dla niej. Raz lub dwa jej twarz przybrała uparty wyraz: zaciśnięte usta, wysunięty podbródek – tak reagowała zazwyczaj, kiedy mówił jej, że powinni wyjść wcześniej, żeby gdzieś zdążyć lub kiedy jego matka organizowała im weekend.

Myślał więc, że sprzeciwi się operacji, że powie lekarce, żeby przestała się wygłupiać, że nic jej nie dolega i że chce wrócić do domu.

Nie zrobiła tego. Sam pomysł byłby szaleństwem. Ten tętniak nie tylko powodował ataki. Nie była to jedynie choroba, która ich rozdzieliła i zamieniła ją w kogoś obcego. To było coś, co mogło ją zabić w każdej chwili.

Przygotowywał swoje argumenty na rzecz operacji, ale kiedy lekarka wyszła, Felicity nic nie powiedziała. Od czasu wczorajszej kłótni prawie się do niego nie odzywała. Odkąd zadzwoniła do tego mężczyzny. Westchnęła i ułożyła się do snu, zostawiając mu zbyt wiele czasu na przemyślenia.

Nie rozmawiali o tym, co będzie po operacji, kiedy nadejdzie czas, żeby wrócić do domu i do normalnego życia. Suz zapytała o to w pierwszej kolejności, kiedy zadzwonił, żeby przekazać jej wieści o diagnozie i zabiegu.

– Jeszcze tego nie omówiliśmy – powiedział. Czyli nie chciał rozmawiać o tym ze swoją rodziną.

Odpakował ciastko i spojrzął na zegarek. W szpitalu czas na zmianę dłużył się i leciał za szybko. Była już prawie dziewiąta. Poza powrotem do domu z Suz, żeby wziąć prysznic i przyjechać swoim samochodem, nie robił prawie nic oprócz krążenia między łóżkiem Felicity a kawiarnią lub sklepikiem. Były ustalone godziny odwiedzin, ale znał siostrę oddziałową, która mieszkała na farmie za Tillingford, i powiedziała mu, że może zostać, ile chce.

Pozostali pacjenci byli podpięci do różnych urządzeń, niektórzy byli w śpiączce. Starsza pani, leżąca przy drzwiach, miała wylew, który zostawił ją sparaliżowaną w połowie, ale machała do niego swoją zdrową ręką za każdym razem, kiedy obok niej przechodził, a on machał do niej. „Piękny mamy wieczór, pani Chowdery”, powiedział, choć wcale nie był tego pewny, ponieważ nie wyglądał przez okno od kilku godzin.

Kiedy podszedł do miejsca, gdzie leżała Felicity, zasłony były szczelnie zamknięte. Wsunął się między nimi bezszelestnie, aby jej nie zbudzić. Nie było jej.

Prześcieradło było bardzo starannie złożone, zupełnie nie w stylu Felicity. Wyrzwał przez zasłony. Obie toalety dla pacjentów były wolne, a ich drzwi otwarte. Szafka Felicity była otwarta – brakowało jej butów i torebki.

Quinn ruszył szybkim krokiem. Sprawdził sąsiednie oddziały, recepcję, poczekalnię. Personel był zajęty przy wezwaniu z jednego z sąsiednich oddziałów. Jeśli słyszała alarm

wywołany wciśnięciem guzika, mogła zorientować się, że to dobry moment, by się wymknąć.

Ale gdzie? Na spacer, czy żeby uciec? Na spotkanie z mężczyzną, po którego zadzwoniła, żeby ją uratował?

Korytarze są ciche. Quinn natrafia na dwóch sanitariuszy, którzy pchają łóżko ze śpiącym mężczyzną.

– Mijała was może kobieta w szpitalnej koszuli? – pyta. – Trzydzieści lat, ciemne włosy z grzywką. Moja żona wyszła z łóżka i nie wiem, gdzie poszła.

– Czasami chodzą w nocy – powiedział jeden z sanitariuszy. – Dzisiaj pełnia. Nic jej nie będzie. Sprowadzę pomoc – powiedział, podnosząc swoją krótkofalówkę.

Quinn zachował dla siebie odpowiedź, że jego żona nie jest pacjentką z demencją.

– Będę szukał dalej.

Był niedaleko schodów, zszedł na dół w kierunku wyjścia ze szpitala. Na recepcji nikogo nie było, a hol był pusty. Na zewnątrz paliło dwoje pacjentów – nieznanomych, połączonych przez nałóg.

– Czy widzieliście, żeby wychodziła tędy pacjentka? Ciemne włosy z grzywką, szczupła, w szpitalnej koszuli, ale z torebką. Mogła wsiąść do samochodu lub odejść z mężczyzną.

Palacze potrząsnęli głowami, ich papierosy nadal były długie, dopiero co je zapalili, mogła wyjść wcześniej albo mogli jej nie zauważyć zajęci paleniem.

Wejście było dobrze oświetlone przez lampy uliczne, jak i przez światła szpitala, ale nigdzie nie widział Felicity. Na krawężniku stało kilka taksówek, ale żaden z kierowców nic nie zauważył.

Nie mogła wyjść dawno. Pójście po kawę zajęło mu co najwyżej dwadzieścia minut, wystarczająco, ale z pewnością, gdyby nie było jej od dawna, ktoś z personelu by to zauważył. Załował, że nie dotknął jej pościeli, żeby sprawdzić, czy nadal była ciepła.

Jeśli samochód zaparkował za taksówkami, tam gdzie zeszłej nocy stanęła Suz, Felicity mogła wsiąść do niego przez nikogo niezauważona.

Mimo to pobiegł na koniec ulicy, rozglądając się za nią. Jego kroki odbijały się echem od budynku szpitala.

Mogła być wszędzie. Mogła zniknąć.

Quinn uderzył się w czoło obiema pięściami. Podejrzewał, że nie chciała operacji, ale odrzucił tę myśl jako śmieszna. Dlaczego miałyby nie chcieć czegoś, co miało uratować jej życie?

Zaryzykowała je dla miłości.

Oddychając z trudem, obrócił się ku wejściu do szpitala. Może ktoś w środku ją znalazł. Idąc, próbował dodzwonić się do niej, ale nie zdziwiło go, że od razu połączył się z pocztą głosową.

Jeśli odeszła z tamtym mężczyzną, jaką mógłby zostawić jej wiadomość, żeby skłonić ją do powrotu?

Poszedł schodami, a nie windą, i już miał pchnąć drzwi do oddziału na drugim piętrze, gdzie leżała, kiedy zaświtała mu pewna myśl.

Sanitariusz powiedział, że była pełnia. A schody prowadziły dalej, aż na dach.

Kiedy wspinał się na górę, jego telefon ustawiony w szpitalu na cichy profil, zawibrował w kieszeni. Zacisnął na nim palce, ale nie zatrzymał się, żeby odczytać wiadomość. Na najwyższym piętrze były szklane drzwi prowadzące do ogrodu na dachu. „Otwarte 10.00–

18.00 ZAKAZ PALENIA” informował znajdujący się na nich napis, ale kiedy Quinn je pchnął, okazało się, że są otwarte.

Na dachu było chłodniej. Ogród był otoczony ścianami i padało do niego światło z wyższych budynków, ale nadal było dość ciemno i cicho. Siedziała na ławce niedaleko wejścia. Światło księżycy oświetlało jej twarz i biel jej koszuli nocnej. Quinn usiadł obok. Patrzyła na księżyc, więc się przyłączył.

– Właśnie zostawiłam ci wiadomość – powiedziała. – Pomyślałam, że możesz się martwić. Twój telefon był zajęty.

– Martwiłem się.

– Chciałam zobaczyć niebo. To może być moja ostatnia okazja. – Wzięła głęboki oddech. On zrobił to samo, aby poczuć powietrze, pachnące wiciokrzewem i asfaltem.

– Nie chcesz tej operacji, prawda? – Ciemności sprawiały, że łatwiej mu się z nią rozmawiało.

Potrząsnęła głową.

– Boję się.

– Myślałem, że uciekłaś z nim.

Westchnęła, ale nic nie powiedziała.

– Czy uratowałby cię, gdybyś go poprosiła? Zabrałby cię, żebyś uniknęła operacji?

– Będę miała operację. I nie, nie sądzę, żeby to zrobił. Myślę, że byłby równie nieugięty co ty w tej kwestii. Ponieważ tu chodzi o moje życie.

– Kim on jest? Jak długo się spotykacie?

– Znałam go, kiedy miałam dwadzieścia lat. Moja matka namalowała jego portret. Był na tej nowojorskiej wystawie. – Jej głos był zmęczony i smutny.

– Wtedy się to zaczęło? Kiedy zobaczyłaś ten obraz?

– Trochę wcześniej. Miałam pierwszy napad jeszcze w maju.

– Myślałaś o nim wcześniej? Przez cały czas trwania naszego małżeństwa?

– Nie, nie myślałam o nim. Pojawił się nagle wraz z tym zapachem. A później to uczucie i ten portret.

Quinn zacisnął dłonie na kolanach.

– Ile razy?

– Ile razy miałam to uczucie? Nie jestem pewna. Dużo.

– Nie. Pytam, ile razy z nim spałaś.

– Ani razu.

Quinn wyraża swoje wątpliwości poprzez milczenie.

– Nie spałam z nim, Quinn. Przynajmniej przez ostatnie dziesięć lat. Kiedy wszedłeś, zamierzałam... zamierzałam powiedzieć mu, żeby przestał, że nie możemy.

Usłyszał jej wahanie. Skłamała, żeby go oszczędzić. A nawet jeśli nie, to co to zmieniało?

– Myślisz, że naprawdę cię kocha? – zapytał. Znał odpowiedź, ale chciał usłyszeć, co ona mu powie.

– Tak mówi. Chociaż... – Urywa. – Tak, wierzę, że on tak myśli.

Uważny dobór słów. Wahanie. To prawie tak bolesne jak przyłapanie ich na gorącym uczynku.

– Ale twoje uczucia do niego nie są prawdziwe – powiedział. – Kiedyś może były, ale teraz są jedynie wynikiem tych napadów. Powiedziałaś, że w ogóle o nim nie myślałaś, zanim nie poczułaś tego zapachu.

– Raczej nie. Chyba że jako o czymś z minionej przeszłości.

– Czyli on może cię kochać, ale to, co ty do niego czujesz, to symptom. To nie jest prawdziwe. Jutro to minie lub pozostanie jedynie wspomnieniem. Wrócisz do normalności. Kilka dni w szpitalu i będziesz jak nowa.

Nawet w jego uszach nie brzmiało to przekonywająco.

Patrzyła na księżyc. Zobaczył błysk w jej oczach i pomyślał, że to łzy.

– Nie rozumiesz, Quinn. Dla mnie to uczucie jest najprawdziwsze. To prawda, że przychodzi do mnie falami. Ale kiedy się pojawia, jest najpotężniejsze w całym moim życiu.

– Odeszłaś ode mnie przez to.

– I również dlatego musi być prawdziwe. Nie widzisz? Jeśli nie jest prawdziwe i to tylko objaw, to odeszłam od ciebie bez powodu. Ewan znów się we mnie zakochał bez powodu. Zraniłam cię, twoją rodzinę, twoja matka mnie nienawidzi, a Suz nie może znieść mojego widoku, ponieważ jedno z moich naczyń krwionośnych źle funkcjonuje.

– Ale to dobrze – mówi dziko Quinn. – To cudownie. To znaczy, że zostaniesz wyleczona, że wszystko da się naprawić. Wrócisz do domu i zaczniemy od nowa.

– Nie wierzysz w to, prawda?

Mare Tranquillitatis, Mare Serenitatis. Nic nie porusza księżycowego pyłu, odcisnięte ślady zostają na zawsze. Niektóre urazy są zbyt bolesne, żeby je wspominać.

W każdym razie powiedział to. Kiedyś musiało do tego dojść.

– Nawet jeśli to choroba, nadal czujesz do niego więcej niż do mnie kiedykolwiek.

Słowa wiszą między nimi.

– Wiedziałem – przyznał. – Nigdy nie kochałaś mnie tak, jak ja kochałem ciebie.

Wiedziałem to od początku.

– Miałam wątpliwości. Próbowалаm je przed tobą ukryć.

– Oboje ukrywaliśmy przed sobą nawzajem za dużo spraw. – Przełknął. – Dlaczego wyszłaś za mnie?

– Byłam bardzo smutna, a ty sprawiałeś, że czułam się lepiej. Myślałam, że będziemy szczęśliwi. Jesteś dobrym człowiekiem, Quinn. Najlepszym.

Zaśmiał się szyderczo, pusty gest do księżycyca.

„Oto jestem. Zobacz, dokąd mnie to zaprowadziło”.

– Jesteś ostatnią osobą na świecie, którą powinnam skrzywdzić – powiedziała. – A mimo to mogłam poczuć tak wiele do mężczyzny, który nie jest tobą. Nie odchodząc, każdego dnia raniłam cię mocniej.

– Nigdy nie otworzyłaś się przede mną, Felicity. Zawsze była jakaś część ciebie, do której mnie nie dopuszczałaś. Jesteśmy małżeństwem od roku i kocham cię, ale czuję, jakbyś była obcą osobą. Pytałem, ale przestałem, bo nigdy nie powiedziałaś mi, jak się czułaś.

– Chciałam odpocząć. Tyle rzeczy działo się w mojej głowie, a kiedy byłam z tobą, nie musiałam się nimi zajmować. Dałeś mi poczucie bezpieczeństwa. Zanim cię poznałam, chciałam cały czas wrzeszczeć. Tak bardzo tęskniłam za matką. Miałam ochotę wybiec na ulicę, rozdrzeć moje ubrania i nigdy nie przestać płakać. Dzięki tobie byłam spokojniejsza. Dzięki tobie zaczęłam z powrotem się uśmiechać. Nie sądzę, żeby ktoś inny mógł to dla mnie zrobić. Więc jestem ci wdzięczna.

– Ale to nie wystarczy.

– Myślałam, że tak. Chciałam, żeby tak było. Tak bardzo tego pragnęłam, Quinn.

– Co mogę zrobić? Co mam zmienić, żebyśmy mogli być razem szczęśliwi?

Potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Nie jestem pewna, czy mogę sobie ufać.

– Inni ludzie jakoś się docierają – powiedział. – Zostają ze sobą, nawet jeśli nie jest idealnie. Mogą przewyciężyć swoje problemy. Dlaczego nam miałyby się nie udać?

– Może dlatego, że chcemy wszystkiego.

„Miałbym wszystko, gdybyś tylko odwzajemniła moją miłość”.

Drzwi się cicho otworzyły i ktoś wetknął głowę do środka.

– Czy wszystko w porządku?

Był to sanitariusz, z którym Quinn wcześniej rozmawiał.

– Znalazłem ją – odpowiedział. – Zaczerpniemy świeżego powietrza i wrócimy na oddział. Możesz ich powiadomić?

– Gorąca noc – zgodził się sanitariusz i zamknął za sobą drzwi.

Dźwięki niesły się echem. Siedząc obok siebie, patrzyli w niebo. Przyszła tutaj, bo to może być jej ostatni raz.

Cokolwiek miało się wydarzyć na sali operacyjnej, to mógł być ich ostatni raz razem.

– Powiedz mi, czego się obawiasz? – zapytał. – Boisz się, że umrzesz?

Neuroradiolog opisała wszystko niezwykle szczegółowo: wylew, zawał serca, problemy ze znieczuleniem. Ten rodzaj zabiegu był znacznie bezpieczniejszy niż otwarcie czaszki, ale jak każdy zabieg był obarczony ryzykiem.

– Boję się, że się obudzę i już nie będę sobą – wyznała. – Kim jestem, poza tym, co czuję i co robię? Jeśli wszystko to było spowodowane przez bąbel z krwią w moim mózgu, kto zostanie po jego usunięciu?

„Nadal będę cię kochał, kimkolwiek będziesz”. Ale czy to prawda? Czy kochał ją, kiedy zobaczył ją w ramionach innego mężczyzny? Ta furia, zazdrość, ból – czy to była miłość? Włożył głowę między kolana, a później ponownie spojrzął na księżyc.

– Powiedz mi coś o sobie – poprosił. – Powiedz mi cokolwiek. Możemy nie mieć już szansy.

Spojrzała mu w twarz. Poczuł to raczej, niż zobaczył: przeniosła całą swoją uwagę na niego.

– Moje pierwsze wspomnienie – zaczęła – jest takie, że siedzę na słońiatku.

Rozmawiam z Quinnem, patrząc mu w oczy. Opowiadam mu moje wspomnienia, tak jak je pamiętam, mimo że mogą być nieprawdziwe i stworzone przez obrazy lub zmienione na przestrzeni lat przez ich przywoływanie czy obracanie w anegdotę. Lub przez coś niewidzialnego, co narasta w moim mózgu. Jeśli czegoś mnie to wszystko nauczyło, to tylko tego, że rzeczywistość, którą masz w sobie, jest jedyną, którą należy się kierować.

Możliwe, że spadłam i złamałam rękę, ale możliwe też, że matka złapała mnie w swoje ramiona, zanim uderzyłam o ziemię. Mój umysł chce mnie zapewnić, że byłam bezpieczna i kochana i nigdy nie zagrażał mi żaden słoń. To ważniejsza prawda?

Mówię mu to wszystko i jeszcze więcej w świetle księżycowej pełni. Jego telefon wibruje, ale on nie zwraca na to uwagi. Słucha mnie. Dwa razy się roześmiał, raz wykonał gest, jakby chciał ująć moją dłoń, ale się rozmyślił.

Mówię mu o tym, co wydarzyło się jedynie między mną a moją matką, o czym nikomu nigdy nie mówiłam: o odczuciu jej ramion wokół mnie, wiecznym zapachu oleju lnianego, o uśmiechu na jej twarzy, kiedy opowiedziałam jej pierwszą historię o Igorze, o sposobie, w jaki mówiła o swojej jedynej, prawdziwej miłości, której nigdy nie poznałam, ale która miała swój udział w powołaniu mnie na ten świat.

Jeśli coś mi się jutro stanie, jeśli zapomnę o tym wszystkim, nawet nie będę o tym wiedzieć. Quinn będzie to pamiętał. Tak jak pamięta wszystkie nasze sekretne chwile, które wydarzyły się tylko między nami. Może nie w ten sam sposób, co ja – mogą być dla niego zatrute przez zdradę i rozczarowanie – ale jego rzeczywistość jest równie istotna, co moja. Ufam mu zupełnie.

– Dlaczego wcześniej nie opowiedziałaś mi tego wszystkiego? – pyta. – Kiedy cię prosiłem, gdy zabrałem cię do Nowego Jorku. Zamykałaś się w sobie. Przecież to są dobre wspomnienia, Felicity.

– Kiedy myślę o życiu mojej matki, nie mogę nie myśleć o jej śmierci. A to była moja wina, że umarła tak, a nie inaczej.

Ledwo mogę uwierzyć, że mówię to całkiem szczerze na głos. Ale jesteśmy tutaj, w tym ogrodzie. Mogę już nigdy nie rozmawiać w ten sposób zarówno z Quinnem, jak też z nikim innym. W nocy przed tym, gdy mogę na zawsze ulec zmianie, chcę powiedzieć komuś, co zrobiłam.

Chcę, żeby Quinn wiedział. Chcę, żeby znał prawdziwą mnie.

– Zmarła na raka, prawda? – pyta Quinn. – To nie mogła być przecież twoja wina.

Powiedziałam coś podobnego Ewanowi, kiedy opowiadał mi o śmierci Lee. Udawałam, że nie wiem, że poczucie winy może przyjść w wielu formach. Nawet jeśli to nie twoja wina – nawet jeśli to los, rak, usterka techniczna lub tętniak – jeśli miałeś w tym jakiś udział, jesteś odpowiedzialny.

– Mieszkała w Kornwalii – opowiadam. – Ja byłam w Londynie i nie widywałam jej tak często, jak powinnam była. Od dłuższego czasu nie czuła się najlepiej, ale nikomu nie powiedziała. Pojechałam z wizytą. Była taka chuda, a ja byłam przerażona. Nie była u lekarza. Powiedziała, że nie chciała wiedzieć. Woląca żyć, jak żyła.

– Brzmi znajomo – mówi Quinn, ale jego głos jest serdeczny.

– Zmusiłam ją, żeby poszła do lekarza pierwszego kontaktu i zrobiła badania. Czwarte stadium raka wątroby. Doktor powiedział, że ją to zabije. Bez leczenia dawał jej miesiąc, a jeśli zdecydowałaby się na chemoterapię – może sześć miesięcy. Moja matka uśmiechnęła się, podziękowała mu i kazała się odwieźć do domu.

– Nie zrobiłaś tego, prawda?

– Powiedziała mi, że osiągnęła wszystko, czego chciała, zdecydowanie więcej niż inni. Ponadto, że doświadczyła wszystkiego, widziała, jak dorastam, i że już jej nie potrzebuję. Była gotowa odejść. Zakładała, że będzie pracować, dopóki będzie w stanie, później wyda ogromne przyjęcie dla przyjaciół, kochanków i znajomych, a potem odejdzie.

– Dobrze – powiedział Quinn. – Rozumiem, że czujesz się winna, bo pozwoliłaś jej umrzeć tak, jak chciała. Ale mogłaś mi o tym powiedzieć. Nie osądzałbym cię.

– Nie pozwoliłam jej umrzeć, jak chciała – mówię. – Zmusiłam ją, żeby podjęła leczenie. Była chora po chemii. Nie mogła wstać z łóżka ani pójść do toalety, a mimo to nie pozwoliłam jej umrzeć w domu, tylko zawiozłam ją do szpitala, żeby żyła jeszcze tydzień. Jeszcze dzień. Cały ten czas, którego nie chciała. Nie chciałam jej puścić i dlatego przeszła przez więcej bólu, niż można sobie wyobrazić.

Spodziewam się, że coś powie: że będzie mnie obwiniał, że zrobiłam matce coś takiego lub że nie powiedziałam mu tego wcześniej. Lub że zaoferuje mi pociechę i powie, że postąpiłby tak samo, gdyby to Molly była chora.

Nie mówi nic i na dachu jest tak cicho z powodu naszego milczenia, że nie zagłusza tego nawet ruch uliczny. Ale cisza daje mi możliwość dalszego opowiadania.

– Dzień przed jej śmiercią byłam przy jej łóżku. Trzymałam ją za rękę, a ona popatrzyła na mnie, nie mogła już prawie mówić – była na tyłu lekach przeciwbólowych, że czasami nawet mnie nie poznawała. Ale wtedy spojrzała na mnie i wiedziałam, że mnie rozpoznała. Wyszeptała: „Dlaczego mi to zrobiłaś?”

Moje policzki są mokre. Wycieram je.

– Zapytała: „Dlaczego mi to zrobiłaś?”. I nie miałam dla niej odpowiedzi, Quinn. Nie miałam odpowiedzi.

Zmienia pozycję na ławce, żeby mnie objąć. Przyciąga mnie do siebie i kulę się w jego cieple. Zawsze wydawało mi się to takie zwyczajne, ale teraz wiem, że mogę to stracić.

Jak zawsze nocą Quinn wydaje się większy, niż jest za dnia. Bardziej postawny, silniejszy. Przytula twarz do moich włosów i mówi:

– Wszystko, co zrobiłaś, zrobiłaś z miłości.

– Nie sądzę, żeby to cokolwiek zmieniło.

Tuli mnie – ten mężczyzna, który, przynajmniej na razie, jest moim mężem. Słucham jego oddechu i bicia serca. Czuję jego obejmujące mnie ramiona i wdycham jego zapach: pachnie bawełną i kawą z niewielką domieszką wilgoci z naszej chatki. Aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo za nim tęskniłam. Jak bardzo byłam bez niego zagubiona. Jak wiele zawsze dla mnie znaczył.

Zbieram to wszystko i próbuję zachować w środku, gdzieś, gdzie nikt nie będzie mnie jutro dotykał, kiedy platynowy drucik będzie zmieniał mój mózg.

Nie wiem, co stracę, ale mam nadzieję, że dzisiejsza noc nie zblaknie. Mam nadzieję, że będę pamiętać nazwy mórz księżycowych.

Nie był pewien, która była godzina, kiedy się obudził, ale Felicity też spała z głową na jego ramieniu. Był tylko trochę zesztywniały od spania na ławce, a księżyc nie przemieścił się zbyt daleko, więc nie sądził, żeby trwało to zbyt długo. Ostrożnie, żeby jej nie obudzić, przesunął ją, objął ją ramionami i wziął na ręce.

Nie przeniósł jej nad progiem chatki, kiedy była panną młodą. Za mocno padało i zbyt im się spieszyło, żeby wejść do środka. Wniósł ją teraz do szpitala, dwa piętra po schodach i na oddział. Podeszła do niego pielęgniarka, ale uśmiechnął się do niej i wyszeptał, że wszystko jest w porządku. Poszła z nim i rozłożyła pościel, tak aby Quinn mógł położyć Felicity wygodnie.

– Powinien pan pójść do domu – powiedziała mu. – Zajmiemy się nią.

Szafka przy łóżku nadal była otwarta.

– Zostawiła swoją torebkę na dachu – zauważył Quinn. – Wrócę za sekundę.

Torebka leżała otwarta na ziemi obok ławki. W środku migał jej telefon. Nie zastanawiając się, nie myśląc o tym, że to złe nawet w tej sytuacji, wyciągnął komórkę i odczytał wiadomość wysłaną przez Ewana niecałą godzinę wcześniej.

„Kocham cię. Spotkaj się ze mną 12. września w Greenwich, w naszym miejscu, w południe. Będę czekał. E. xxx”

Quinn usiadł, poczuł się niedobrze. Wiadomość przyszła, kiedy siedzieli razem na ławce. Kiedy Felicity zwierzała mu się ze swoich wspomnień, kiedy ją przytulał. Kiedy zaczął myśleć, że może jednak uda im się z tego wyjść.

W końcu z nim porozmawiała.

Ale nic się nie zmieniło.

Telefon w jego dłoni był taki niewielki. Kilka naciśnieć klawiszy i wiedziałby dokładnie, ile razy rozmawiała z Ewanem. Mógłby odsłuchać wiadomości, które zostawił, przeczytać SMS-y, które wymienili. Dowiedziałby się wystarczająco dużo, żeby dopowiedzieć sobie resztę.

Jak długo jego matka podnosiła dodatkową słuchawkę telefonu na górze, jak tylko jego ojciec odbierał telefon na dole? Przez ile miesięcy czy lat, czy nawet kiedy było już po wszystkim, przyglądała się uważnie każdemu listowi adresowanemu do Dereka i martwiła się, kiedy spóźniał się z pracy?

Nigdy jej o to nie spyta, ale chyba sam wiedział. Każda ilość czasu była za duża. Nawet raz było za dużo.

Quinn włożył telefon Felicity do jej torebki i zaniósł ją na oddział. Schował ją do szafki. Felicity spała odwrócona od niego, jej ciało wyglądało na łóżku jak znak zapytania.

– Idzie pan do domu odpocząć? – spytała pielęgniarka, która pomogła mu wcześniej, kiedy mijał jej stanowisko. Przytaknął.

– Tak – powiedział. – Już skończyłem.

Kiedy budzę się rano, Quinna nie ma. Są za to dwie pielęgniarki i anestezjolog, który sprawdza mi ciśnienie.

– Operacja będzie trochę wcześniej, niż się spodziewaliśmy – mówi jedna z pielęgniarek.

– Ale to i tak bez znaczenia, skoro nie może pani zjeść śniadania.

– Nie ma jeszcze mojego męża.

– Cóż, proszę do niego szybko zadzwonić, a z pewnością będzie czekał na panią już po operacji. Albo, jeśli pani woli, my do niego zadzwonimy.

Znajduję telefon i szukam wiadomości od Quinna. To nie w jego stylu, że nadal go tu nie ma z nieodzowną gazetą w ręku. W ogóle do mnie nie dzwonił i Ewan też już przestał. Chociaż nie mam nieprzeczytanych wiadomości, sprawdzam listę na wypadek, gdybym coś przeoczyła, i widzę na samej górze SMS-a od Ewana. Prosi mnie, żebym znów spotkała się z nim w Greenwich za trzy tygodnie. Píše, że mnie kocha.

Wiadomość oznaczona jest jako przeczytana. Nie wydaje mi się, żebym ją odczytała, choć nie mogę ufać swojej pamięci. Ale mam nagle pewność, choć mogę się mylić, że przeczytał ją Quinn, i dlatego teraz go tu nie ma.

Mdli mnie w pustym żołądku. To podobne uczucie jak wtedy, kiedy czułam plumerie. Ale teraz jestem na lekach, które blokują te wspomnienia, więc wiem, że mój lęk jest prawdziwy.

– Właściwie to byłoby cudownie, gdyby mogła siostra zadzwonić za mnie do męża. Dziękuję.

Dają mi do podpisania zgodę na operację. Nie ma sensu się wahać. Logika wygrywa z wątpliwościami, chociaż, kiedy składam podpis, czuję, jakbym skazywała część samej siebie na śmierć.

– Czy kiedykolwiek ktoś odmówił podpisania tego? – pytam, wyobrażając sobie pacjenta, który odłącza się od kroplówki i rezygnuje ze zobowiązań wobec swojego zdrowia, ubiera się i wychodzi, aby podążać za iluzją, którą bierze za prawdę.

– Nie w przypadku tej operacji – mówi anestezjolog. – Ta operacja ratuje życie.

Nie operacja jest dla mnie problemem, ale to, co zrobię po niej.

Jeśli Ewan naprawdę mnie kocha i liczy na moją miłość, którą wszyscy inni uważają za symptom chorobowy, co się z nim stanie, gdy nie spotkam się z nim w Greenwich za trzy tygodnie? Za pierwszym razem, kiedy się tam spotkaliśmy, chodziło o jego życie, choć o tym nie wiedziałam. Jeśli się z nim nie spotkam, w ciągu jednego lata straci najlepszego przyjaciela i miłość.

Może powinnam była odbierać jego telefony albo zadzwonić do niego, kiedy nie miałam napadów, i wyjaśnić mu sytuację. Ale nie mogłam mu przecież powiedzieć, że wszystko, co robiłam, było spowodowane uciskiem na niewłaściwą część mojego mózgu. Wydawało mi się, że łatwiej będzie poczekać na to, jak będę się czuła po operacji. Ewan, mimo swojego mocnego ciała i całego uporu, jest niezwykle kruchy.

Quinn taki nie jest. Skrzywdziłam go, ale się nie rozleciał. Chociaż przeczytana wiadomość i jego nieobecność świadczą o tym, że uczucie, którego doświadczyłam zeszłej nocy, rozmawiając z nim i będąc w jego ramionach, również nie było prawdziwe. Było to

tylko chwilowe wytchnienie od milczenia. Nasza rozmowa w świetle księżyca stanowiła koniec.

– Jest pani bardzo cicha – mówi jedna z pielęgniarek, ta, która zaproponowała, że zadzwoni do Quinna. – Wszystko dobrze?

– Po prostu korzystam z ostatniej chwili, żeby pomyśleć, zanim zaczniecie gmerać mi w głowie – odpowiadam i wszyscy się śmieją.

Przychodzi neuroradiolog. Kiedy rozmawialiśmy wczoraj, wyjaśniła mi, o co chodzi w tej operacji, ale teraz przygląda mi się z większym zainteresowaniem.

– Wczoraj nie byłam jeszcze zaznajomiona z pani symptomami – powiedziała. – Teraz słyszę, że ataki sprawiały, że czuła się pani, jakby była zakochana. Cudowny rodzaj napadów, jak sędzę.

Jak powinna brzmieć odpowiedź? Nie? Tak? Pilnuj swojego nosa, do cholery, i przestań sobie wyobrażać publikacje naukowe na mój temat?

– Może miłość to tylko to – odpowiadam. – Zaburzenia w mózgu.

Znów wszyscy się śmieją. Jakże zabawna jestem dzisiaj.

– Cóż – mówi lekarka. – Nie ma się czym martwić. Kiedy się pani obudzi, będzie pani wyleczona.

Ta dobrze wykształcona i doświadczona kobieta, którą tak zaintrygowały moje objawy, wsadzi coś do mojej żyły w pachwinie, skąd znajdzie to drogę przez całe moje ciało, obok serca, które nie czuje emocji, choć zwykliśmy tak uważać, przez szyję do mózgu. Będzie знаła drogę dzięki maleńkiej kamerze. Rurka wprowadzi platynowy drucik, który, umieszczony w tętniaku, zdusi go. Ponieważ platyna nie zmienia swojej wielkości, choć wielu ludzi z pewnością chciałoby, żeby było inaczej, tętniak się spłaszczy i mój płat skroniowy uwolni się od nacisku. Moje krążenie się unormuje.

Chyba że stanie się inaczej. Zabiegi te udają się w dziewięćdziesięciu pięciu procentach, ale to dane techniczne mówiące o tym, czy sprzęt się sprawdził, czy nie. Sukces kliniczny zostaje odniesiony w osiemdziesięciu procentach. W pozostałych dwudziestu drucik rozrywa tętniak albo następuje wylew w innej części mózgu, albo metoda z drucikiem nie skutkuje i trzeba spróbować czegoś innego. Oczywiście są jeszcze możliwe powikłania anestezjologiczne. Ale jest też nadzieja, że wszystko się uda.

„Widzisz? Słucham faktów”, mówię w myślach do Quinna, którego tu nie ma.

Środek znieczulający rozlewa się po moich żyłach jak ciepły miód, ulga od bólu, z którego nie zdawałam sobie sprawy. Zapytałam, czy będę miała sny podczas operacji, ale powiedzieli, że nie. To nie jest zwykły sen. To pustka. Powiedzieli mi też, że kiedy się obudzę, nie będę nic pamiętać i może mi być niedobrze, ale to normalne. Godziny, kiedy będę nieprzytomna to czas, który spędzę na ulepszaniu mnie.

Więc pewnie nie jest to sen, ale może coś spowodowanego przez maleńki przyrząd, który wcisnął się w mój umysł. W tym niby-śnie trzymam w rękach połyskującą książkę z kolorową okładką. To kolejny tom *Igora Sowy*, ten, którego jeszcze nie napisałam, ale kiedy otwieram ją na pierwszej stronie, okazuje się, że nie jest to ta historia, nad którą pracowałam. Chociaż rysunki są moje. Rozpoznaję swój styl.

Na pierwszej stronie Igor jest zagubiony. Leci przez ciemny las i nie może wznieść się wystarczająco wysoko nad drzewa, żeby zobaczyć, dokąd leci. Tego rodzaju obrazek umieszczam zazwyczaj w trzech czwartych książki, kiedy czytelnik myśli, że tym razem

Igor nie zdoła rozwiązać zagadki, ale tutaj wcześniej jest tylko strona tytułowa. To nowy pomysł, żeby zacząć od ukazania Igora od razu w niebezpieczeństwie. Dlaczego wcześniej na to nie wpadłam?

Strona druga i trzecia są rozkładane. Igor jest tylko małą sówką, ale drzewa rosną coraz większe i coraz gęściej, tak że już nie może rozpościerać skrzydeł. Robi się też ciemniej, a w cieniach czają się jakieś istoty. Sowy nie muszą obawiać się drapieżników, ale sówki i to takie, które rozwiązują zagadki – owszem.

To jest przerażające, ale oczywiście to są historie na dobranoc, czytane pod kołdrą. Niepisaną umową w tych książkach jest to, że problem zawsze zostaje wyleczony. To znaczy rozwiązany.

Na stronie czwartej Igor ląduje na gałęzi, na której siedzi mysz. Ty i ja wiemy, że myszy są naturalnym pożywieniem dla sów, ale to kolejna niepisana umowa. Poza tym to jest mówiąca mysz, a mówiących myszy się nie je.

– Co się dzieje? – pyta mysz. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Zgubiłem się – odpowiada Igor. – Jestem słynnym sowim detektywem, ale nie mogę znaleźć drogi. Obawiam się, że mojej drogi w ogóle nie da się znaleźć.

– Jeśli masz wątpliwości – odpowiada mysz – zawsze powinieneś podążać za głosem serca.

Na stronie piątej Igor jednak zjada mysz, widać jej ogon znikający w jego dziobie.

Wracam na stronę tytułową. Widziałam już ją, ale nie przeczytałam, co było na niej napisane. *Igor Sowa podąża za głosem serca.*

Na stronie szóstej i siódmej Igor rzeczywiście podąża za głosem serca. Wygląda ono prawie tak jak Igor, ale jest mniejsze, różowe i ma małe skrzydełka jak cherubinek. Las się przerzedza, zmniejsza do rozmiaru patyczków, niknie. Na stronie ósmej Igor jest na pustyni. Ląduje na skale. Wokół jest tylko piasek. W zasięgu wzroku nie ma żadnej innej sowy, ale słońce bieli kruche czaszki innych stworzeń, które się tutaj zapuściły i zmarły. Na każdej z nich jest małe jaśniejące miejsce w kształcie fasolki.

„I tam pozostał” – głosi tekst pod obrazkiem.

Następna strona jest pustą stroną końcową. Koniec książki.

Książka nie może być taka krótka, jest mniej warta niż papier, na którym została wydrukowana. Ludzie poczują się oszukani. Dzieci będą się bały. Wracam do początku i oglądam książkę jeszcze raz, ale za każdym razem wszystko jest tak samo: Igor jest zagubiony, zjada mysz, podąża za głosem serca i kończy samotnie na pustyni.

To nie jest dobra książka dla dzieci. To nie jest dobra książka dla nikogo.

EWAN

Był to ostatni dom stojący przy ślepej uliczce w okolicy Leicester. Był zwyczajny. Ewan zaparkował przed nim wypożyczony samochód i siedział kilka chwil z rękoma na kierownicy, przyglądając się trawnikowi przed pomalowanymi na czerwono drzwiami. To tutaj Lee powracał. To tutaj zawalił się sufit sypialni, ponieważ wniósł na strych za dużo sprzętu, i to tutaj urządził istny chaos w kuchni, próbując samemu położyć w niej kafelki. Lee opowiadał historie o każdym pomieszczeniu w tym domu, chociaż Ewan nigdy w nim nie był. Sceną ich przyjaźni był droga.

Przejście ścieżką do czerwonych drzwi było jedną z najtrudniejszych chwil w życiu

Ewana. Każda jego część chciała obrócić się i uciec z powrotem do samochodu. Ale sam sobie obiecał nowy początek. Nowe życie, w którym miał już nie uciekać. Miał być odpowiedzialny. I uprzejmy dla pracowników poczty.

Potarł palce prawej ręki, w których nadal czuł materiał koszuli Lee.

Petra otworzyła, zanim jeszcze zapukał. „Stary” powiedziała i objęła go na progu. Później cofnęła się i przyjrzała mu, nadal trzymając dłonie na jego ramionach.

– Spóźniłeś się półtorej godziny.

– Zgubiłem się – powiedział, ale się poprawił: – Siedziałem w kawiarni w nieskończoność, próbując zebrać się na odwagę.

– Cieszę się, że jesteś tu teraz. – Miała na nosie okulary w grubych oprawkach i ubrana była w ogromny sweter, który pewnie należał do Lee. Na nogach miała zdeptane klapki. Jej włosy straciły kształt i sterczały samowolnie. Wyglądała inaczej niż ta wymalowana, roześmiana, seksowna dziewczyna, którą poznał u boku Lee. Ale jej uśmiech, choć smutny, był ciepły. Za nią dom pachniał kawą.

– Petra – powiedział. – Tak mi przykro. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie ja. Wiem, że nigdy ci tego nie wynagrodzę, ale czegokolwiek będziesz potrzebowała, spróbuję ci to dać.

– Nie winię cię za śmierć Lee – odparła. – I wystarczy mi, że przyjechałeś się ze mną zobaczyć. Ale skoro sam to zaproponowałeś i jeśli masz siłę, mógłbyś mi pomóc.

Trzy godziny później cała zawartość szopy Lee leżała rozłożona na trawniku. Petra potarła obolałe plecy i powiedziała:

– Nie mam najmniejszego pojęcia, do czego służy cokolwiek z tego gówna.

Ewan ustawił lutownicę na wypatroszonym głośniku.

– Był z niego zbieracz, ale potrafił naprawić wszystko. Nie tylko elektronikę, ale dosłownie wszystko.

– Zwłaszcza za pomocą płócienną taśmy i śliny. Na tym stoi nasz dom – Petra usiadła na trawie obok głośnika. – Nie robisz miny, kiedy o nim mówię.

– Miny? To znaczy?

– Chodzi mi o coś takiego. – Przybrała wyraz tragicznej maski. – Do tego jeszcze panika w oczach. Tak wyglądają wszyscy w mojej rodzinie, kiedy mówię o Lee. Podobnie jak wszyscy moi przyjaciele tutaj. Jakbym nie mogła mówić o nim normalnie, jako o moim mężu. Jako o kimś, kogo nadal Kocham. Spodziewają się, że rozplacę się i zeświruję. Nie zrozum mnie źle, czasem mam na to ochotę. Ale niekiedy też chcę o nim porozmawiać.

– Tak – odparł. – Czasem też mam na to ochotę.

– Byłeś jego najlepszym przyjacielem, cały czas o tobie opowiadał. A tak przy okazji, mówił, że jesteś totalnie pomyłony, ale mówił to z uczuciem.

– O tobie mówił tylko miłe rzeczy.

– Och, skarbie, ani trochę ci nie wierzę. – Wyciągnęła nogi. – Co mam zrobić z tym wszystkim? Jakaś rada?

– Jesteś pewna, że chcesz się tego pozbyć? Nie masz związanych z tym wspomnień?

– Tych akurat nie potrzebuję. Ta szopa to bramy piekieł. Widziałeś te pająki?

– Możemy spróbować na eBayu.

– Nie wiedziałabym nawet w jakiej kategorii to wystawić.

– Ja chyba w większości wiem, co to jest – powiedział Ewan. – Jeśli masz aparat i laptop, opiszę to dla ciebie. Niektóre z tych rzeczy są trochę warte.

– Tak, tak, byłoby świetnie. Dziękuję. – Położyła się na trawie z rękami na brzuchu. – Jestem niewiarygodnie zmęczona.

Ewan patrzył na sprzęt na trawniku.

– Co zrobisz z szopą? Pomalujesz ją?

– Trochę farby tu nie pomoże. Zamierzam to rozebrać. Postawię tam huśtawkę albo coś.

– Jesteś...

– W ciąży. Tak. Trzynasty tydzień. To się stało tuż przed tym, jak wyjechał. Teraz robisz tę minę. Przestań.

Usiadł obok niej, choć wcześniej musiał odsunąć zwój kabli. Zamknął oczy i z wysiłkiem odsunął od siebie poczucie winy, ponieważ Petra kazała mu przestać, a ona była dużo ważniejsza od jakiegokolwiek jego uczucia.

– Ja tylko... No dobra. Czy Lee wiedział?

– Tak. Domyślam się, że ci nie powiedział.

– Coś mówił. W większości o tym, że muszę uporządkować swoje życie.

– Cały Lee. A teraz musisz to zrobić, bo to była jego ostatnia prośba.

– Niedawno ktoś powiedział mi dokładnie to samo.

– Właśnie dlatego nie potrzebuję tej szopy. Ani żadnej z tych rzeczy. Mam kogoś znacznie ważniejszego, kto zawsze będzie mnie z nim łączył. Po prostu nie chcę, żeby ludzie robili taką minę za każdym razem, kiedy to dziecko zapyta o tatusia. Rozumiesz?

– Cóż... – powiedział Ewan. – Ja mam mnóstwo historii. Jak tylko dzieciak będzie odpowiednio duży, podeślij go do mnie. Albo ją. Opowiem historię o tym, jak w Memphis zepsułem Graceland^[4], a tatuś to naprawił.

– Założę się, że taśmą płócienną – zażartowała Petra i oboje roześmiali się śmiechem, po którym się płacze.

Tej nocy w hotelu Ewan włączył jakiś film o zombie i położył się do łóżka, patrząc na komórkę. Flick nie odpowiadała na jego telefony i nie odpisywała na wiadomości. Ale podobało mu się to. Powiedziała mu, żeby się z nią nie kontaktował, dopóki nie ułoży sobie w głowie i trzymała się tego. Nie chciał kobiety, która była żoną kogoś innego. Chciał choć raz zakochać się w kobiecie, która była dla niego dostępna. W kimś, kto potrafiłby go naprawdę zrozumieć. Było to trochę przerażające, ale był na to gotowy. A przynajmniej miał taką nadzieję.

Następnego dnia miał znów pójść do Petry i skończyć opisywać rzeczy na eBayu. Napiją się kawy i będą sobie opowiadać historie. Tej nocy był w kolejnym pokoju hotelowym, takim samym jak setki innych, w których był na całym świecie. I podobnie jak w każdym z nich przez ostatnie dwa lata, odłożył swoją komórkę i podniósł słuchawkę telefonu hotelowego. Nacisnął najpierw dziewięć, żeby uzyskać połączenie zewnętrzne, a następnie z pamięci wciskał numer Alany, oprócz ostatniej cyfry.

To było zero. Przez ostatnie dwa lata zero równało się tak wielu sprawom. Może dlatego nigdy go nie wciskał.

A może po prostu i zupełnie zwyczajnie był tchórzem i bał się zadzwonić do swojej byłej żony, żeby poprosiła do telefonu ich córkę. Nie potrafił wysłać kartki urodzinowej. Zawsze mógł się połączyć, ale nigdy tego nie robił.

Odłożył słuchawkę i zaczął oglądać na ekranie stwory polujące na mózgi.

[4] Nazwa posiadłości Elvise Presleya w Memphis w stanie Tennessee. Obecnie mieści się tam muzeum poświęcone piosenkarzowi – przyp. tłum.

Na pustyni czas mija inaczej. Otwieram oczy i jest gorąco, bardzo gorąco, i Quinn jest tu i patrzy na mnie. Jest rozmazany, ale to on. Przyszedł.

Czyli jest dobrze. Jestem bezpieczna.

Ponownie zamykam oczy. Kiedy otwieram je jakiś czas później, jest przy mnie Lauren i wyjada winogrona z torebki.

– Cześć – mówi. – Koszmarnie wyglądasz.

Nie powinno jej tu być. Mam sucho w ustach. Jest pielęgniarka.

– Możesz mi powiedzieć, kochanie, jak się nazywasz? – pyta.

Muszę powiedzieć Lauren coś ważnego. To jest gdzieś głęboko z tyłu mojej głowy, a głowa mnie boli. Coś o drzewach. Nie, o czymś, co jest z nich zrobione.

– Możesz ścisnąć moją dłoń?

– Papier – mówię.

– Idzie ci naprawdę dobrze – chwali mnie pielęgniarka. – Powiedz mi, jaki mamy miesiąc.

– Głowa mnie boli. – Zamykam oczy, kiedy otwieram je ponownie, pielęgniarka i Lauren nadal są przy mnie, ale winogrona zniknęły. Brakuje jeszcze czegoś. Próbuję spojrzeć za Lauren, ale nie mogę.

– Papierowe wiadomości – mówię. To nie są dokładnie te słowa, ale ten sens. Jestem już blisko. – Gazeta.

Lauren uśmiecha się do mnie, jakby nie było mnie kilka miesięcy.

– Cześć Fliss, miło cię widzieć. Jak się czujesz?

– Okropnie. Sucho. Czy nadal mam serce?

– Czy powinna już móc mówić normalnie? – Lauren pyta pielęgniarkę.

– Będzie się jej mieszać, dopóki znieczulenie nie ustąpi.

– Nie miesza mi się.

– Oczywiście, że nie, Fliss. Nie bardziej niż Dalem.

– Roztapiające się zegary. Na pustyni.

– Dokładnie. Wszystko będzie z tobą dobrze, wiem to.

Moja głowa wypchana jest watą, piaskiem i platyną, a małe sprężynki tłuką się o moją czaszkę. Brakuje gazety, nie gazety, ale...

– Quinn.

Lauren ujmuje moją dłoń.

– Quinn był, żeby się upewnić, że operacja się udała. Zadzwonił do mnie i poprosił, żebym była tutaj, kiedy dojdiesz do siebie. Kochanie, nie mieliśmy pojęcia, że byłaś taka chora.

– Gdzie on teraz jest?

Wymienia spojrzenia z pielęgniarką.

– Po prostu odpoczywaj, dobrze?

– Najpierw kilka testów – mówi wesoło siostra.

„Proszę, powiedz, jak ma na imię przyjaciółka, proszę, powiedz, jaki mamy miesiąc, proszę, podążaj wzrokiem za światłem, proszę, otwórz usta, żebyśmy mogły zmierzyć ci

temperature”.

Męczą mnie to na tyle, że znów muszę zasnąć. Nie ma pustki, jestem na pustyni. Słońce pali mi pióra i przenika do skóry. Daleko, z drugiego końca świata Quinn dzwoni do Lauren i Naomi, żeby były przy mnie, kiedy się obudzę, bo jego nie będzie. Ponieważ nadal jest w lesie. Ponieważ odleciałam od niego na zawsze.

Budzę się, łkając.

Na moim czole jest czyjaś chłodna dłoń, dłoń obcej, nowej pielęgniarki.

– Ma pani niewielką pooperacyjną gorączkę, powinna wkrótce spaść. Podajemy pani antybiotyki. Nie ma się o co martwić. Radzi sobie pani bardzo dobrze. Neuroradiolog mówi, że operacja zakończyła się pełnym sukcesem.

– Gdzie...

Podaje mi szklankę wody ze słomką. Wypijam połowę, smakuje jak lzy na moich ustach.

– Przyjaciółki powiedziały, że wrócą później, nie chcą pani męczyć.

Za oknem robi się ciemno.

– Znosi się na deszcz – mówię i zostaję nagrodzona pełnym aprobaty skinieniem.

– Dobrze. Mówi pani. Wszystko będzie z panią dobrze. Tak, mój ogród się z tego ucieszy.

Podaje mi chusteczkę, wygładza moją pościel, sprawdza wykresy, przyciemnia dla mnie światło i mówi, że niedługo przyjdzie doktor, żeby zbadać mnie dokładnie. Kiedy odchodzi, widzę to, czego nie mogłam dostrzec wcześniej: na krześle obok łóżka leży starannie złożona gazeta.

Serce mi podskakuje. Gazeta wydaje się niewiarygodnie daleko. Powoli przysuwam nogę na skraj materaca i dalej. Czuję ból między nogami, jakby ktoś mnie dźgnął. Przypominam sobie. Tędy włożono to urządzenie. Głowa nie boli mnie już tak bardzo, po tamtym bólu zostało jedynie echo. Teraz druga noga. Używam rąk, żeby się odepchnąć. Oddział zaczyna kołysać mi się przed oczami, ale umysł mam nadal jasny. Mam jeden cel. Jestem skoncentrowana na gazecie.

Sięgam, ale jest za daleko. Muszę wstać, opierając się o łóżko. Podłoga jest tak zimna, że przechodzi mnie dreszcz, a plastikowa rurka łączy moją rękę z workiem pełnym płynu. Jeśli gazeta tam jest, mam szansę. On na mnie poczeka mimo wszystko. To znak, że tu siedział i pilnował mnie, kiedy spałam.

Moje palce muskają ją, łapią i przyciągają. Nagłówki mówią o Syrii i cierpiących staruszkach. To „Express” sprzed dwóch dni.

Quinn nie wrócił.

QUINN

Znowu nie było tego cholernego roweru. Ściana, o którą powinien się opierać, była pusta, a furтка uchylona. Quinn podbiegł do drogi w nadziei, że mignie mu skręcający za rogiem Cameron Bishop, ale nikogo nie zobaczył.

– A niech to – powiedział. Musiał iść teraz ukraść swój własny rower, a jeśli Camerona nie było w domu, to szukać go po całym miasteczku. Ostatnim razem chłopak był z grupą swoich kolegów. Wszyscy mieli naciągnięte kaptury w bardzo nieudanej próbie wyglądania na twardzieli. To było utrapienie. Tym bardziej że był to ze strony Camerona w równym stopniu brak szacunku, co niebezpieczne zachowanie, więc Quinn będzie musiał przekazać to wszystko mamie chłopaka, która z nim porozmawia, z czego nic

dobrego nie wyniknie. Skończy się to tak, że Lisa Cameron poczuje, iż zawodzi jako matka, a Cameron ponownie ukradnie rower Quinna. I tak w kółko.

Quinn kopnął ścianę Hope Cottage w miejscu, gdzie powinien stać jego rower. Odpadło trochę tynku, więc kopnął ją raz jeszcze.

Felicity wyglądała, jakby była martwa. Nigdy nie widział jej w tak złym stanie, nawet w trakcie ataku, ponieważ wtedy przynajmniej się ruszała. Kiedy otworzyła oczy, nie rozpoznała go. Miało się wrażenie, jakby nikogo nie było w środku. Ale neuroradiolog powiedziała, że wszystko w porządku. Powiedzieli, że będzie jak nowa.

Ponownie kopnął ścianę, tym razem mocniej. Palce jego butów były pokryte białym pyłem i kawałkami tynku. W ścianie była całkiem spora dziura. Ktokolwiek tynkował tę ścianę, nie zrobił tego jak trzeba. To zresztą odnosiło się do całej chatki. Wilgotna i pleśniejąca. Mogła rozwalić się w każdej chwili, nie wiadomo, jakim cudem stała od trzystu lat.

– A niech to! – wrzasnął tak głośno, że aż wybrzmiało echo.

Nosił w sobie wściekłość od wielu dni.

Uderzył ścianę pięścią, ale tym razem nic nie odpadło. Najwyraźniej było bardziej solidne na tej wysokości niż przy ziemi. Uderzył w ścianę jeszcze i jeszcze, a później dodatkowo lewą pięścią. Wszystkie jego cholerne nadzieje. Wszystko, czego kiedykolwiek w życiu chciał.

– Skarbie?

Jego matka nadeszła zza chatki, trzymając płócienną siatkę na zakupy i grabie. Miała na sobie ubranie do pracy w ogrodzie.

– Skarbie, co robisz? Zrobisz sobie krzywdę. – Odłożyła siatkę i pospieszyła do niego. – Twoja biedna dłoń, popatrz.

– Nic mi nie jest.

– Nie możesz tłuc ściany, to głupie. Pozwól mi na to spojrzeć, chodźmy do środka, zabandażuję ci dłoń. Zrobię ci filiżankę pysznej herbaty.

Wyrwał rękę z powrotem.

– Przestań, mam! Jestem dorosły!

Molly się cofnęła.

– Nie chciałam...

– Nie możesz mi pomóc! Po prostu przestań. Przestań! Zostaw mnie.

Quinn obrócił się i znów uderzył ścianę, tym razem na tyle mocno, że rozwalił sobie knykcie, zostawiając czerwoną smugę na ścianie.

– Quinn? – głos jego matki był bardzo cichy.

Była zdziwiona i wstrząśnięta. Tak bardzo martwiła się. Oni tak się nie zachowywali: nie przeklinali, nie wrzeszczeli i nie walili w budynki.

– Jestem taki zły – powiedział do ściany. – Nienawidzę być taki zły i nienawidzę jej za to, że przez nią tak się czuję. Nienawidzę jej za to, że jest chora, i nienawidzę siebie za to, że nie jestem w stanie być przy niej, kiedy tak bardzo tego potrzebuje. Nienawidzę tego, że wszystko tak bardzo się liczy.

Molly nic nie powiedziała, a on miał już tego dość. Całej tej ciszy, tego wiecznego łagodzenia, tego strachu, że jeśli powiesz prawdę, wszystko się zawali. Miał tego dość już od dawna. Obrócił się.

– Jak tobie się to udało? – zapytał. – Kiedy tata miał romans. Jak to przetrwałaś?

W jednej chwili cała krew odpłynęła z twarzy Molly. Sięgnął w jej kierunku, myśląc, że zemdleje, ale ona przytrzymała się płotu. Quinn zobaczył, jak przyłożyła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać słowa.

Boże. Jaki był sens pytać? Za minutę znów zaczniesz mówić o herbacie.

– Tata nie miał romansu – powiedziała.

– Mamo, przecież wiem o tym. Wiem przynajmniej, że coś się zdarzyło. Pamiętam wszystkie te kłótnie. Wiem, że to było dawno i że nie rozmawiamy o tym. Ale wiem, że to miało miejsce.

– Nieprawda.

Ponownie zacisnął pięści.

– Nie możemy z tym skończyć? Z tym udawaniem, że wszystko jest zawsze w porządku? Ponieważ ja cały czas udawałem przy Felicity. Nauczyłem się tego od ciebie. I to w ogóle nie działa.

– Ja nie udaję.

– Ależ udajesz, mamo! Każdego dnia! Musisz nadal być zła, podobnie jak ja. Inaczej czemu byś nakrzyczała na Felicity?

– To nie tata miał romans – powiedziała. – Tylko ja.

Widział swoją matkę niemal każdego dnia, ale tak rzadko ją dostrzegał. Tym razem mu się to udało: siwizna we włosach, zmarszczki na jej miękkiej twarzy, sposób, w jaki jej ramiona się zaokrąglały. Oznaki upływającego czasu nałożyły się na młodą kobietę ze zdjęć, na których trzyma niemowlęta, na kobietę, która istniała przed narodzeniem Quinna.

– To był błąd – przyznała. – Straszny, głupi błąd. Myślałam, że mogę, ale nie mogłam.

– Myślałaś, że co mogłaś?

Potrząsnęła głową.

– Już sama nie wiem co. Może, że mogłam mieć coś innego. Coś, o czym czyta się w książkach. Ale takie uczucie nie trwa. Naprawdę, Quinn. Nie tak, jak to, które mam teraz.

– Kto...

– To nieistotne. Istotne jest to, że ostatecznie wybrałam waszego ojca. Miałam dom i rodzinę, która była ważniejsza. I udało się nam przejść przez to, ponieważ wasz ojciec jest takim dobrym człowiekiem.

– A te wszystkie kłótnie?

– To był okropny czas. Ale Derek mi wybaczył i nie rozmawiamy o tym. To zostało dawno zapomniane.

Z tą różnicą, że teraz działa się to od nowa w życiu Quinna. Może dlatego, że jako dziecko nauczył się wszystko łagodzić i nie rozmawiać o trudnych sprawach. Gdyby pytał i wciąż dopytywał się, czy Felicity nie powiedziała mu wcześniej o swoim poczuciu winy z powodu śmierci matki i czy to ich do siebie by nie zbliżyło? Może wtedy wyznałaby mu, że nawiedzały ją dziwne uczucia dotyczące kogoś innego. Gdyby zadawał właściwe pytania we właściwym czasie, zamiast obawiać się odpowiedzi.

– Zastanawiałam się... – powiedziała jego matka. – Nie powinnam była tak do niej mówić. Ona była chora, ale ja widziałam jedynie, ile bólu ci sprawiła. Przypomniało mi się, że ja też tak raniłam i zabolalo mnie to. Sama świadomość tego, że i ja tak postąpiłam.

Ponownie dotknęła dłonią ust i wzięła się w garść.

– To jest już przeszłość – oznajmiła.

– Nie jestem pewien.

– Tak, tak. Wszystko to już skończone i nic dobrego nie przyniesie rozprawianie o tym. –

Zniżyła podbródek. – Jeśli walenie w ścianę i ranienie samego siebie ma ci przynieść ulgę, Quinn, to się nie krępuj. Jesteś dorosły i podejmujesz własne decyzje. Przyszłam tylko dlatego, że pomyślałam, iż przydałoby się posprzątać trochę w twoim ogrodzie. – Poklepała go po ramieniu i pocałowała w policzek. A on nie czuł się wcale jak dorosły mężczyzna. Czuł, że chciałby się do niej przytulić i zaufać, że ona sprawi, że wszystko, co złe, minie.

Ona się tego dopuściła. Ale była jego matką.

– Nie wiem, co robić, mamo.

– To przyjdzie, skarbie. Jesteś znacznie mądrzejszy, niż ja byłam w twoim wieku. –

Pogłaskała jego policzek w miejscu, gdzie go wcześniej pocałowała. – Mądrzejszy i dzielniejszy. Jestem dumna z mojego chłopca.

Spojrzał na nią, próbując ją dostrzec. Jeszcze jako mały chłopak wierzył, że wiedziała i potrafiła wszystko. Mogła też ulżyć wszystkim jego cierpieniom. Ale przez cały ten czas ona również miała swoje wady i zadawała ból. Była znacznie bardziej podobna do niego.

Ujęła jego twarz w dłoń.

– Zacznę od obrywania zwiędłych kwiatów, dobrze? – Podniosła swoją torbę i odeszła, żeby krzątać się po ogrodzie, jakby nic się nie stało.

Powiedzieli mi, że operacja się udała. Stwierdzili, że jestem wyleczona, i jak tylko przejdę rekonwalescencję, będę jako nowa. Będę musiała regularnie robić sobie badania i na wszelki wypadek przez jakiś czas przyjmować leki przeciwpadaczkowe, ale poza tym mogę wrócić do normalnego życia. Lauren zabrała mnie ze sobą z powrotem do Canary Wharf. Odwołała swoje spotkania w Belgii, żeby móc zostać ze mną w Londynie, i ignorowała wszelkie moje próby protestu, kiedy usiłowałam powiedzieć jej, że poradzę sobie sama. Kiedy musi wyjść do pracy, dzwoni po którąś przyjaciółkę, żeby ze mną posiedziała.

Nic nie czuję. Lauren karmi mnie wysokobiałkowymi koktajlami, chudym mięsem i zupami warzywnymi – nawet część z tego sama gotuje. Nic jednak nie ma dla mnie smaku.

– To antybiotyki – mówi. – Wyniszczają organizm.

Daje mi małe plastikowe buteleczki pitnego jogurtu z dobrymi bakteriami. Piję je przed telewizorem, gdzie mam swoje legowisko, żeby móc swobodnie oglądać *Cash in the Attic* i *Bargain Hunt*. Wszystkie te programy o sprzedawaniu starych rzeczy, żeby kupić nowe. Klamoty i bagaże. To mnie wykańcza. Picie jogurtu mnie wykańcza. Zmiana skarpetek mnie wykańcza.

Lekarka powiedziała, że będę zmęczona, ale to zdecydowanie nie podpada pod żadną normalną formę zmęczenia. Wszystko jest szare. Naomi i Yvonne, i jeszcze inni moi przyjaciele przynoszą mi książki, kwiaty i czekoladki i próbują nawiązać ze mną rozmowę, za którą nie mogę nadażyć. Kiedy mówię, słowa pojawiają się wolno, a moje ciało walczy, żeby się podnieść. Fala upałów minęła i Lauren stale wygłasza radosne uwagi o tym, jak przyjemnie chłodno jest na zewnątrz, ale ja czuję, jakbym nie oddychała świeżym powietrzem od tamtej nocy na dachu pod księżycem. Pozbawiono mnie emocji, wyciśnięto je ze mnie.

– Pozbawiono mnie miąższu – mówię Lauren pewnego wieczoru, kiedy wraca z pracy ze świeżym ananasm. Trzymam owoc w ręce. Kiedyś uśmiechnęłabym się na widok jego niewielkich kolców, tej broni nieadekwatnej wobec pokusy jego zapachu. Obracam go i odkładam na stolik kawowy. – Tak jak wyjmują mózgi żabom.

– Mówisz tak, bo dopiero wracasz do zdrowia – odpowiada, kładąc dłoń na moim ramieniu. – Wiele przeszłaś. Twoje ciało musi zużywać swoją energię, żebyś mogła wyzdrowieć. Nie zostaje mu już nic, żeby radzić sobie z tym, co się dzieje w sferze emocji.

– Nie przechodzę przez nic emocjonalnie – mówię. – Może gdybym mogła zobaczyć się z Quinnem...

– To nie jest dobry pomysł. Oboje potrzebujecie trochę czasu, żeby uporać się z tym, co zaszło.

– Albo z Ewanem. Powinnam do niego zadzwonić. Wiem, że go nie lubisz, Lauren, ale on też przechodził trudne chwile. Nie ma nikogo innego.

– Ponownie, to nie jest dobry pomysł. W tej chwili wszystko jest zbyt skomplikowane. Pozwól temu wszystkiemu trochę okrzepnąć. – Powiedziałam jej, co się wydarzyło. Pewnie słyszała też coś od Quinna. Znając jej stosunek do Ewana, udaje się jej być bardzo

stonowaną. – Twoje leczenie nadal trwa. Potrzebujesz na to czasu. Za tydzień będziesz się już czuła dużo lepiej.

– Myślę, że to przepadło, Lauren. To, co mi zrobili, jakoś mnie uszkodziło. Pamiętam, że kiedyś czułam, ale już tego nie umiem. Uszkodzili mi jakąś część mózgu, która produkuje emocje.

– Kochanie – mówi bardzo łagodnie. – Jeśli twój mózg nie mógłby już wytwarzać emocji, to nie płakałabyś każdej nocy, prawda?

To prawda. Budzę się za każdym razem na poduszce mokrej od łez. Budzę się z wszechogarniającym poczuciem straty.

– Poradzisz sobie z tym – przekonuje mnie. – Z czasem wyjaśni się, co powinnaś zrobić. W międzyczasie przygotuję ci owocowe szaszłyki. Ananas stymuluje wydzielanie dopaminy. Wiesz, hormonu szczęścia.

– Skąd nagle wiesz tyle o jedzeniu? – pytam.

Obejmuje mnie i całuje w policzek. Jest dobrą przyjaciółką, ale nie potrafię dojść do tego, czy wiem to na drodze logicznego rozumowania, czy też na drodze uczucia.

W przerwach między materialistycznymi programami telewizyjnymi usiłuję analizować fakty z mojego życia: jestem w separacji z mężem, ponieważ zdradziłam go z mężczyzną, którego myślałam, że kocham. A przynajmniej od czasu do czasu wierzyłam, że go kochałam. Zrobiłam sobie wrogów z moich teściów i zaniepokoiłam przyjaciół. Nawiązałam relację z niemal obcym mężczyzną i sprawiłam, że troszczy się o mnie dużo bardziej, niż na to zasługuję – pewnie zdecydowanie bardziej, niż jest to dla niego dobre. Zrobiłam to wszystko z powodu dysfunkcji mózgu. A może nie. Być może to było coś, co i tak zrobiłabym w sprzyjających okolicznościach. Może jestem z natury niewierna, niemoralna. Wiem tylko tyle, że wcześniej świat był kolorowy, teraz jest szary.

Dotykam tych faktów niczym zepsutego zęba, żeby sprawić sobie ból. Nawet to byłoby lepsze. W szpitalu po operacji czułam ból, wiem, że tak było. Kiedy sięgnęłam po gazetę i okazało się, że jest sprzed dwóch dni. Kiedy śniłam o książce o Igorze, której nigdy nie napisałam.

Naciskam i naciskam na splątane fakty, ale płakać mogę tylko we śnie.

W drugim tygodniu września powoli docierają do mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, Lauren spędza dużo czasu, pisząc wiadomości na telefonie, które sprawiają, że się śmieje. Po drugie, dwunasty września jest coraz bliżej – dzień, w którym Ewan chce się ze mną spotkać. Wiem, czemu poprosił o spotkanie w Greenwich o tej samej porze, co poprzednio. To wiadomość dla mnie, że jeśli się nie zjawię, on zrobi to, o co mnie wtedy poprosił: wróci do swojego życia i zapomni o tym wszystkim.

Ale czy uda mu się zapomnieć? Czy mi się to uda?

Z drugiej strony, czy jeśli się z nim spotkam, to będzie słuszne? Czy powinnam wskakiwać w kolejny związek, do tego tak intensywny, z takim pośpiechem, kiedy nadal nie wiem, co czuję? Kiedy nie jestem pewna, czy w ogóle mam w sobie jakieś uczucia?

W piątkowy wieczór chodzę wokół salonu. Lauren leży zwinięta na sofie, naciskając klawisze telefonu. Powinna teraz gdzieś się dobrze bawić, ale przyniosła nam film do obejrzenia. Na zewnątrz jest ciemno: jesień skraca dni.

– Przestań tak krążyć – mówi do mnie. – Kręci mi się od tego w głowie.

Siadam na sofie, ale od razu wstaję. Potrzebuję mieć coś do zrobienia, coś bezmyślnego,

jak prasowanie lub sprzątanie, ale mieszkanie jest idealnie czyste, a Lauren oddaje swoje rzeczy do pralni, więc nie mogę przestać chodzić w kółko, jak myśli w mojej głowie. Potrącam stolik i leżące na nim koperty rozsypują się – poczta, którą dostałam, ale nawet nie zabrałam się za jej otwieranie.

Tym mogę się zająć. Zanoszę je na sofę i zaczynam otwierać. Są to w większości kartki z życzeniami powrotu do zdrowia od mojej redaktorki Madelyne („Nie przejmuj się pracą, kochana – zdrowiej!”) i mojej agentki oraz od znajomych, którzy mieszkają poza Londynem. Pudełko drogich czekoladek od Andrew i Toma. Otwieram je i częstuję Lauren.

– Skąd ci wszyscy ludzie w ogóle wiedzą, że byłam chora? I że jestem tutaj?
– Wieści się roznoszą. Wielu ludzi cię uwielbia.
– Wyrzuciłam wszystkie kartki, które dostałam po śmierci matki – mówię. – Nawet ich nie przeczytałam. Zaczynam myśleć, że to był błąd.

Na samym spodzie jest żółta koperta. Na kartce widnieje puszysta kaczuszką w kapeluszu. Podejrzewam, że to ironiczna wiadomość od kogoś z moich przyjaciół.

*Droga Felicity,
powiedziała ci kiedyś, żebyś uważała mnie za swoją matkę. Byłabym bardzo złą matką, gdybym cofnęła swoją miłość z powodu czegoś, co zrobiłaś. Ubolewam z powodu mojego zachowania, kiedy ostatnio się widziałyśmy. Mam nadzieję, że masz się znacznie lepiej.
Kochający Molly i Derek*

Czytam tę wiadomość raz i drugi, a następnie ponownie spoglądam na kaczuszkę. Nie wiem, jak mogłam pomyśleć, że mógł mi ją przysłać ktoś oprócz Molly.

Ni z tego, ni z owego nachodzi mnie tęsknota za Molly: za jej uściskami pachnącymi konwalia, za jej filizankami w kwiatki, za dumnym wyrazem jej twarzy, kiedy cała rodzina zbiera się w komplecie. Pamiętam, jaka mi się wydawała wspaniała w ogrodzie, kiedy broniła swojego syna. Ile siły jest w jej uprzejmości, miękkości i miłości.

– Muszę gdzieś pojechać – oznajmiam.
– Dobrze – zgadza się Lauren. – Cały czas mówię, że powinnaś wyjść z tego mieszkania. Gdzie chcesz pójść? Do pubu na jednego?
– Nie. Muszę pojechać do Saint Ives. – Idę do sypialni, by poszukać butów, a Lauren podąża za mną.

– Saint Ives? W Kornwalii? Teraz?
– Tak – mówię, zakładając tenisówki i znajdując sweter.

Lauren się uśmiecha.

– No, to jest ta Felicity, którą znam. Nareszcie! Jak zamierzasz się tam dostać?
– Nie wiem. Pociągiem?

Sprawdza coś szybko na telefonie.

– Kochana, o tej porze w nocy nie dojechałabyś tam nawet przed jutrem. Trzeba pojechać samochodem. A ponieważ ty nie możesz prowadzić, jadę z tobą.

– Nie masz samochodu.

Uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Mam pomysł. Daj mi chwilę.

Kiedy znika, żeby porozmawiać przez telefon, pakuję trochę ubrań do plecaka: coś

ciepłego i przeciwdeszczowego. Pakunek zawinięty w foliową torbę leży w szufladzie z moimi skarpetkami, odkąd przyjechałam do Lauren. Z łatwością mieści się w plecaku. Myślałam, że Lauren rozmawia z agencją wynajmującą samochody, ale kiedy wchodzę do salonu, ona chichocze.

– Do zobaczenia za chwilę – mówi do telefonu i wkłada go do kieszeni.

– Dobra. Spakuj czekoladki, a ja zrobię kawę do termosu.

– Masz termos?

– Jestem pełna niespodzianek – mówi, stukając się po nosie.

Piętnaście minut później jej telefon świergocze i schodzimy na dół. Lauren w biegu naciąga swój kaszmirowy sweter.

– Pamiętasz, jak nas wykopali z hotelu w Bangkoku? – pyta, ale ja zatrzymuję się jak wryta na widok samochodu, który stoi przed budynkiem. To zielony wan z napisem TWO SLICES CATERING z boku.

– Czyje to jest? – pytam. Otwierają się drzwi od strony kierowcy i wychodzi mężczyzna.

– To jest Bill – mówi Lauren, czerwieniąc się. Bill, wysoki facet z kręconymi włosami, które należałoby podciąć, podaje mi rękę.

– Już cię widziałam – stwierdzam. – Dzięki wielkie.

– Hej, to ja dziękuję. Nie miałem żadnych planów, a uwielbiam plażę.

Lauren bez tchu siada na siedzeniu dla pasażera, a ja wciskam się z tyłu obok kilku pustych plastikowych pojemników po majonezie. Kiedy Bill wiezie nas przez Londyn, wysyłam SMS-a z tylnego do przedniego siedzenia: „Czy ten też jest niezależny finansowo?”.

Obraca się do mnie.

– Po uważnym przemyśleniu tej sprawy i po tym, jak widziałam, jak prawie umarłaś, zdecydowałam, że z całym szacunkiem, ale moja lista może pójść do diabła.

– Całe szczęście – mówi Bill, skręcając na autostradę A4.

Zostawiam buty na początku Porthmeor Beach i podwijam spodnie. Lauren i Bill są z tyłu. Może wyczuwają moją potrzebę samotności, a może dlatego, że chcą być tylko we dwoje. Idę po piasku na brzeg morza, wsłuchuję się w jego głośny, posępny dźwięk.

Nie ma tu mojej matki. Wiem, że żyje jedynie w moich wspomnieniach. Mimo to biorę głęboki wdech, chcąc poczuć jej zapach, próbując doszukać się jakiegoś znaku.

Nie ma nic. Nic oprócz syku wody na piasku, pieniącego się przyplýwu. Nie ma gwiazd ani księżyca, tylko zapach glonów i soli. Nigdy nie było żadnego znaku, to był tylko nabiegły krwią pęcherzyk w moim mózgu.

Odwijam urnę z plastikowej torby, odkręcam pokrywkę.

– Żegnaj, mamó – mówię i wysypuję prochy do morza. Może stać się częścią cyklu wodnego, pływać w oceanie, opaść wraz z deszczem. Wyobrażam sobie cząsteczki jej ciała tańczące na fali w łagodnym blasku księżyca.

Ona chciała tylko, żebym była gotowa się z nią pożegnać.

Pozwalam, żeby woda zalewała mi stopy i kostki, tu, na skraju lądu, gdzie kończy się ziemia, i gdy wiem w końcu, co to znaczy podróżować lekko. Nie chodzi o to, żeby rozdać rzeczy. To nie jest przeciwieństwo trwania.

To znaczy wybaczać i uzyskać wybaczenie. To znaczy trzymać się miłości i niczego więcej.

Przyjazd tutaj zajął nam pięć godzin, a może nawet całe moje wcześniejsze życie. Ale po zaledwie piętnastu minutach na plaży wiem dokładnie, co powinnam zrobić. Dla siebie, żebym dowiedziała się, czym jest miłość.

Nie mam pojęcia, czy to się uda.

EWAN

Deszcz sprawił, że turyści pobiegli poszukać schronienia w budynkach, ale Ewan naciągnął swoją skórzaną kurtkę na głowę i czekał dalej. Była za kwadrans dwunasta, a on czekał już od pół godziny, stojąc przed bramą na dziedzińcu, żeby zobaczyć ją, jeśli będzie szła z dołu.

Przez ostatnie kilka dni był chory z nerwów. Wydobył Gibsona ze schowka i zaczął znów na nim grać, co było przyjemne, ale nie mógł się jeszcze na tym skupić. Był zbyt świadomy mijających dni – data, którą wybrał właściwie zupełnie przypadkowo, zbliżała się dużymi krokami. Z każdym dniem stawał się coraz bardziej niespokojny.

Był gotowy na zmianę. Ale wydawało mu się, że minęły całe wieki, odkąd wysłał Felicity tę wiadomość. Tyle się od tego czasu wydarzyło: jego wyprawa do Leicester, ponowne spotkanie z Ginge'em i kilka sesji z Alim – jego nowym terapeutą. Powoli przestał czuć potrzebę, żeby dzwonić do Flick za każdym razem, kiedy widział coś, co mogło jej się spodobać.

Ale to się zmieni.

Kiwał się na stopach, rozglądając się dokoła, widząc ją wszędzie. Ludzie byli w pelerynach i kapeluszach, kryli się pod parasolami, wychodząc z Królewskiego Obserwatorium Astronomicznego, aby stanąć nogami po obu stronach południka. Ponoć to tutaj świat się kończył. Lub zaczynał.

Chciał zacząć od nowa, obmyć się w miłości.

Zbliżała się do niego wielka, czarna parasolka, spod której mógł dostrzec jedynie dzinsy i kalosze w pomarańczowe groszki.

– Flick? – powiedział, pochylając głowę, żeby się lepiej przyjrzeć.

To nie była Flick. Ale była to osoba tak znajoma, że zajęło mu chwilę, zanim dotarło do niego, kogo widzi.

– Nie byłam pewna, czy tu będziesz – powiedziała Alana.

Mógł się tylko gapić.

– Co?

– To daleka droga. Więc cieszę się, że raczyłeś się pokazać, choć mogłeś wybrać jakieś zadaszone miejsce. Gdzie ona jest?

– Kto?

– Felicity.

Choć nadal nie rozumiał, co się działo, zaczął rozglądać się za Felicity. Park Greenwich był niemal pusty. Jedynie u stóp wzgórza pod drzewem ulokował się uliczny artysta.

– Muszę wiedzieć, czy na pewno chcesz to zrobić. I tak jest już wystarczająco trudno, nawet bez ciebie, żeby mieszać jej w głowie.

– Komu mieszać w głowie?

Alana posłała mu nieprzyjazne spojrzenie.

– Naprawdę musisz pytać? – Zerknęła ponownie w dół wzgórza w kierunku muzyka,

który grał piosenkę zespołu „Katrina and the Waves”. Przed nim stała mała postać pod różową parasolką w różowych kaloszach, która obróciła się tak, że widać było część jej twarzy i rude włosy.

Serce Ewana uderzyło boleśnie, a później jeszcze przyspieszyło.

– Dwa lata bez słowa i nagle to. W porządku, ona chciała przyjechać, ale tym razem nie możesz zniknąć na tak długo, Ewan. Musisz postanowić, czy chcesz być w jej życiu, czy nie. A my nie możemy przybiegać za każdym razem, kiedy zdecydujesz się machnąć ręką. Musisz się wysilić. Ty sam.

Nie mógł przestać patrzeć na córkę słuchającą grajka. Była chuda, a rękawy jej pelerynki były za krótkie. Jej stopy tańczyły w błocie.

– Skąd... skąd znasz Felicity? – zapytał.

– To z nią rozmawiałam? To ona przysłała nam bilety na pociąg i poinformowała o godzinie spotkania. Kim ona właściwie jest: twoją dziewczyną czy asystentką?

– Felicity jest...

Osobą, która uratowała mu życie. Osobą, która je zmieniła. Osobą, która nie przyjdzie, nie zjawi się już nigdy, ale wiedziała, jak dać mu drugą szansę. Drugą szansę, której naprawdę potrzebował, a która teraz kiwała głową w deszczu w takt melodii.

– Czy Rebecca chce się ze mną zobaczyć? – zapytał.

– Powiedziałam już, że tak, prawda? Dwoje młodszych zostało z Mikiem. Całe szczęście, że udało mi się dostać w pracy wolne z takim niewielkim wyprzedzeniem. Ale ona była podekscytowana, to ważne. – Alana wskazała na Rebecę. – To prawdziwa królowa przegranych spraw. Ma serce miękkie jak masło. Błagała mnie, żebym pozwoliła jej popatrzeć na tego gitarzystę. Powiedziała, że jest jej przykro, ponieważ nikt nie będzie go słuchał w deszczu. – Alana obróciła się i złapała go za rękaw. – Słuchaj, Ewan, mówię poważnie. Tylko jeśli od teraz będziesz już na stałe. Ona dorasta szybko i nie możesz już więcej złamać jej serca. Decyduj się.

Piosenka się skończyła i jego córka biła brawo, przytrzymując parasolkę pod brodą. Obróciła się i zobaczył, jak wypatrywała go w parku.

– Jestem – powiedział, ledwie słysząc sam siebie przez dudnienie deszczu i swojego serca. – Jestem dla niej.

A wtedy jego córka go dostrzegła i zaczął biec ze wzgórza. Kurtka zsunęła mu się z głowy, a deszcz padał wprost na jego twarz i na twarz Rebekki, która także biegła, żeby spotkać go w połowie wzgórza.

Jest południe dwunastego września i jak tylko dochodzę do Hope Cottage, wiem, że nikogo nie ma w środku. Ktoś uprzątnął frontową część ogrodu: skosił trawę, przyciął krzewy. Poznaję w tym rękę mojej teściowej, choć chwasty już zaczynają odrastać. Nie widzę samochodu Quinna.

Zatrzymuję się przed furtką. Wiedziałam, że nie będzie go w domu, że będzie w pracy. Jego zachowania są w zupełności przewidywalne. Powiedziałam sobie, że to dlatego wcześniej nie zadzwoniłam. Planowałam wejść do środka i poczekać na niego, być w domu, kiedy wróci. Choć raz poczekać na niego, choć raz być wcześniej. Ale chatka wygląda na opuszczoną, jakby uleciała z niej dusza. Może to dlatego, że Molly przycięła rośliny. Ale może chodzi o coś więcej.

Tak naprawdę nie zadzwoniłam, bo bałam się, że nie odbierze albo powie mi, żebym nie przyjeżdżała.

Deszcz, na który zanosilo się od rana, zaczął padać po kilka kropli naraz. Idę ścieżką do tylnych drzwi, ale zatrzymuję się z boku chatki. O ścianę stoi oparty rower Quinna. Na jego kole zamocowano duże, ciężkie zapięcie w kształcie podkowy.

Niemal nie mogę w to uwierzyć, zanim go nie dotknę. Jest nowe. Wygląda na odporne na wszystko. Spada na nie kropla deszczu i się rozpryskuje. Pewnie w mieście złodziej poradziłby sobie z nim w dziesięć sekund, ale tutaj jest to czarny, połyskujący środek zapobiegawczy wymierzony w dziewięćlatka.

– Och, Quinn – szepczę. – Co ja ci zrobiłam?

Słyszę chrzęst żwiru i zauważam, że samochód Quinna wjeżdża na podjazd. Widzę jego cień za szybą, ale on pewnie jeszcze mnie nie dostrzega, ponieważ szopa zasłania pół podjazdu, a ja stoję za nią. Silnik gaśnie, słyszę otwieranie drzwi, jego kroki na żwirze, otwieranie i zamykanie bagażnika. Wyłoni się zza szopy lada chwila. Nasłuchuję jego kroków na tle deszczu.

Wychodzi zza rogu. Ma na sobie dzinsy i niebieski sweter, przez ramię przerzucił plecak, a w ręce niesie walizkę. Na głowie ma okulary przeciwsłoneczne. Zapamiętał brodę i opalił się, jak zawsze jest wyższy, niż to pamiętam, a we włosach ma krople deszczu.

To jest to uczucie. Czysta radość. Szklanka wody po pustyni.

– Cześć, kochanie – mówię.

Wiem, co Quinn miał na myśli za każdym razem, kiedy to mówił, bo i ja to czuję.

Patrzy na mnie, jakby nie mógł uwierzyć, że tu jestem. To nie radość na jego twarzy, ale zaskoczenie i ostrożność – ja mu to zrobiłam.

– Przepraszam – mówię.

– Ja... – Potrząsa głową, aby odpędzić myśli, okulary mu spadają, łapie je jedną ręką, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Jak się czujesz?

– Czuję się dobrze. Czuję się dokładnie tak, jak mam ochotę się czuć. Chociaż jestem trochę zdenerwowana. – Wskazuję na jego walizkę. – Gdzie byłeś?

– Och, w Chorwacji.

– W Chorwacji?

– Potrzebowałam gdzieś uciec. To była pierwsza zorganizowana wycieczka na stronie

internetowej, na którą wszedłem. Wziąłem dwa tygodnie wolnego z pracy i poleciałem.

– Było miło?

– Nie wiem. – Wiesza okulary na kołnierzyku, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby to robił, i przeciera twarz. Pada teraz mocniej, krople są większe i częstsze, ale żadne z nas się tym nie przejmują.

– Myślałem, że dziś jest ten dzień, kiedy miałaś się spotkać z nim.

– Wolałam spotkać się z tobą, jeśli nie masz nic przeciwko.

Nie ruszył się do przodu, odkąd mnie zobaczył, ja również ani drgnęłam. Włosy przylgnęły mi do głowy, a deszcz zaczyna spływać mi po szyi. Jego oczy są koloru zachmurzonego nieba, koloru deszczu.

– Pójdę sobie, jeśli chcesz – mówię. – Wiem, że cię zraniłam. Ale tak bardzo za tobą tęsknię, Quinn. Kocham cię. Przyjechałam, żeby przekonać się, czy możesz mi wybaczyć.

Quinn rzuca plecak, stawia walizkę na mokrej ziemi i zaczyna szybko iść do przodu. Sięga ręką za mną i jednym wprawnym ruchem kluczyka otwiera zapięcie roweru. Następnie wyrzuca je w krzaki w kawałkach. Słysząc uderzenie, kiedy jego części osobno spadają na ziemię.

– Straszna rzecz – mówi, robi pół obrotu w moją stronę i bierze mnie w ramiona. Mocno przytulam go w pasie i z całej siły przyciskam twarz do jego piersi, gdzie słyszę jego serce, jego silne, czułe serce.

I to właśnie jest miłość. To właśnie zaczynamy od nowa. Wszystko, co robiliśmy razem i co razem zrobimy, wszystkie te niezwykle zwyczajne rzeczy. To zapach ulubionego swetra – wełna i cedr. To dźwięk zaparzonej o poranku herbaty i zgrzyt furtki o zachodzie słońca. To kłótnie i rozstania, nieporozumienia przez telefon, to niewłaściwe nastawienie prania, które w efekcie się kurczy. To nakreślone podwójne „x”, oznaczające „całusy” na spodzie listy zakupów, moment, w którym oboje dostrzegacie wschodzące słońce, a wasze dłonie spotykają się i zaplatają jedna o drugą, to wymiana spojrzeń przy niedzielnym obiedzie, która zapowiada rozmowę w łóżku. To chwile, kiedy jego matka doprowadza cię do szaleństwa, a on pamięta o urodzinach twojej najlepszej przyjaciółki, choć ty zapomniałaś, co jest bardziej irytujące niż pomocne. To mokre buty ustawione razem przed kominkiem i senna dłoń głaszcząca cię po włosach, kiedy obudziłaś się smutna. To cisza zawsze na końcu przerwana przez właściwe lub niewłaściwe słowa, które jednak okazują się słuszne. Składa się z wielu warstw niczego, niedbale połatanych dziur, niewypielonych chwastów, żaden jej kąt nie jest idealny, ale wszystko jest piękne.

Przytula mnie i szepcze w moje włosy.

– Cześć, kochanie.

OD AUTORKI

W 2010 roku mój przyjaciel, Ken, powiedział mi, że musi poddać się operacji mózgu. Od jakiegoś czasu miewał dziwne dolegliwości przypominające ataki lęku, którym towarzyszyły urywki gdzieś zasłyszanej muzyki lub dialogu z programu telewizyjnego. Kiedy Ken zwrócił się z tym do lekarza, okazało się, że w jego mózgu znajduje się spory tętniak, który rósł najprawdopodobniej od wielu lat i niepokojąco przypominał swoim wyglądem kałamarnicę. Mimo że Ken żartował sobie z tego, wiedział, podobnie jak wszyscy jego bliscy i przyjaciele, że to dziwnie wyglądające coś może pozbawić go wszystkiego, kim był.

Od zawsze fascynowała mnie potęga ludzkiego umysłu. Książki Olivera Sacksa czytam jednym tchem: w *Mężczyźnie, który pomylił swoją żonę z kapeluszem* znalazłam opis przypadku padaczki skroniowej u starszej kobiety, u której choroba przejawiała się tym, że słyszała muzykę, i to nie byle jaką. Były to bowiem irlandzkie piosenki z jej dzieciństwa, które silnie przypominały jej matkę, miejsca, w których była, minione uczucia – wszystko, co składało się na jej życie, kiedy ostatnio słyszała je w rzeczywistości. Piosenki przeszkadzały jej, czasem bywały bardzo głośne... ale dodawały jej również otuchy. Sacks pisze, że „takie epileptyczne halucynacje stanowią prawdziwe wspomnienia, którym towarzyszą te same emocje, jakie kobieta odczuwała podczas pierwotnych zdarzeń”.

Powieściopisarze są niczym sroki, a ta „błyskotka” od razu mnie zafascynowała. Natychmiast przepisałam sobie ów fragment i powiesiłam go na ścianie: pomyśleć, że mózg w dowolnym momencie może nie tylko przywołać coś, czego doświadczyło się w przeszłości, ale również towarzyszące temu emocje! Zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdyby jakaś osoba miała ataki, które odczuwałaby właśnie jako emocje? Coś, co byłoby dla niej prawdziwsze i intensywniejsze niż wszystko dokoła? Co, jeśli byłoby to uczucie zakochania – wysławiane w milionach popularnych piosenek, wierszy czy romansów – które zwykliśmy uważać, za prawdziwsze i cenniejsze niż wszystko inne?

Zasięgnęłam rady doktora Dirka Baumera, pracownika naukowego i neurologa stażysty w John Radcliffe Hospital w Oxfordzie, który powiedział mi, że choć padaczka skroniowa wywołana przez tętniaka mózgu nie zdarza się często, jest jak najbardziej możliwa. Potwierdził również, że takim napadom mogą towarzyszyć sugestywne zapachy fantomowe i emocje związane z konkretnym zdarzeniem z przeszłości. Doktor Baumer wyjaśnił mi, na czym polegają napady, i udostępnił wiele analiz ciekawych przypadków. Jeden z nich dotyczył mężczyzny, który z powodu tętniaka mózgu przeżywał w swoim umyśle konkretne zdarzenia ze swojej przeszłości.

Cytat z Dostojewskiego na początku części trzeciej niniejszej powieści również zaczerpnęłam z książki Sacksa, ponieważ dał mi on wiele do myślenia. Osoba chora z miłości może wcale nie chcieć wyzdrowieć. Może nadal chce być zakochana, choć istnieje ryzyko, że tę miłość przyplaci życiem. To może działać jak uzależnienie, sztuczne uczucie euforii, które jednak pochodzi z samego wnętrza odczuwającej je osoby.

Byłam w połowie pisania tej powieści, kiedy natknęłam się na cytat z opowiadania Katherine Mansfield *Bliss*, który umieściłam jako wprowadzenie do części pierwszej.

Bohaterka tego opowiadania, Bertha, kobieta zameżna, jest bardzo mocno wiązana z przyjaciółką, co sprawia, że czuje się niewiarygodnie szczęśliwa i postrzega wszystko w jaśniejszych barwach. A jednak ta historia ma bardzo ironiczny wydźwięk (autorka zastosowała po mistrzowsku okrutny zwrot akcji), ponieważ chociaż możemy się w kimś zakochać, nigdy nie będziemy mieli pełnego dostępu do najskrytszych uczuć tej osoby. Możemy jedynie rozumieć rzeczywistość naszego własnego umysłu.

Zebrałam wszystkie te wątki razem i poczułam się bardzo podekscytowana. Chciałam napisać historię opowiedzianą przez nie do końca wiarygodnego narratora, kogoś, kto nie bardzo wie, czym jest miłość, co dzieje się naprawdę i czego właściwie pragnie. Miała to być osoba, która chce być autentyczna, ale jest zdana na pastwę własnych struktur mózgowych. Z mojego własnego doświadczenia wiem, że zapachy mają wielką moc przywoływania przeszłości. Sama doznałam niepokojącego doświadczenia, kiedy poczułam od przechodzącego obok mnie mężczyzny zapach jego wody po goleniu i byłam przekonana, że to chłopak, z którym umawiałam się w liceum. Quinn opowiada Felicity historię o wspomnieniu przywołanym przez zapach uwięziony między stronami książki – to również mi się przytrafiło. Tytuł moich przyjaciół i krewnych powiedział mi dokładnie to samo: zapach może porwać cię i przenieść z powrotem do przeszłości.

Operacja Kena udała się pod względem usunięcia tętniaka – kałamarnica została usunięta z jego głowy i nie słyszy już zniecka urywków z filmu *Star Trek: Następne pokolenie*. Jednakże podczas operacji Ken doznał udaru, który uszkodził inną część jego mózgu. Od czterech lat Ken na nowo uczy się, co to znaczy być nim. Był tak wspaniałomyślny, że otwarcie porozmawiał ze mną o swoich objawach, leczeniu i rehabilitacji oraz dał mi pozwolenie, abym obdzieliła jego chorobą pewną fikcyjną kobietę. Możecie przeczytać jego nadal rozgrywającą się historię na www.mylifeasasemicolon.com.

PODZIĘKOWANIA

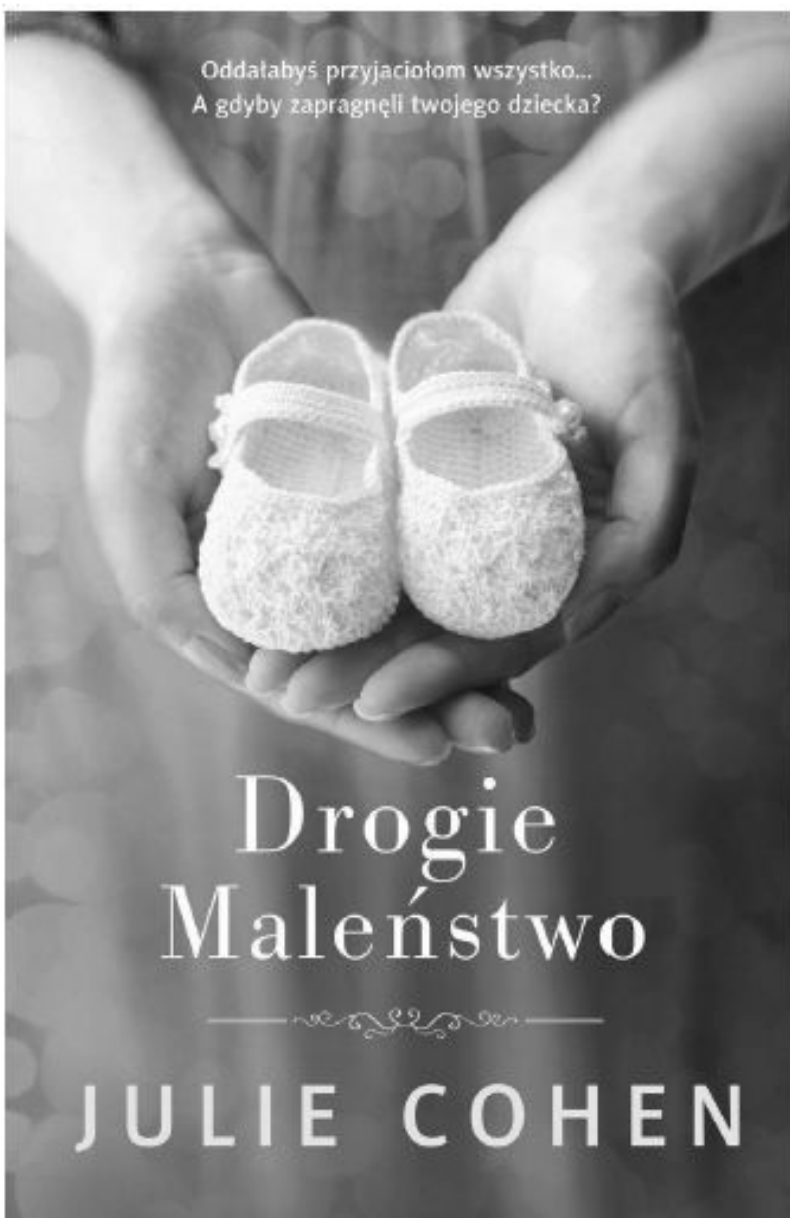
Dziękuję Kenowi Shapiro, doktorowi Dirkowi Baumerowi, doktor Natashy Onwu, doktorowi Matthew Cohenowi, doktor Joannie Cannon, dyplomowanym pielęgniarce Monice Mann i Jennifer Cohen oraz mamie mojego przyjaciela Bena Pearsona.

Dziękuję również Cat Cobain, która wyciągnęła ze mnie tę historię za pomocą herbaty, Gemmie Sims i jej matce, Sue Edwards, Lee Wetherly i Ruth Ng, Brigid Coady i Annie Louise Lucii oraz wszystkim znajomym z klubu czytających mam. Dziękuję Rowan Coleman, Mirandzie Dickinson, Kate Harrison, Tamsyn Murray i Cally Taylor za pewien wspólny weekend przed powstaniem tej książki. Dziękuję Kathy Lewis, która wpłaciła darowiznę na rzecz dzieci chorych na raka poprzez fundację CLICK Sargent – na jej cześć nazwałam pierwszą miłość Quinna. Dziękuję mojemu mężowi, Dave’owi Smithowi (alias „Rockowemu bożyszczu”), za informacje o życiu w drodze i autobusach trasowych oraz za faktyczne „zepsucie” Graceland.

Pełne wdzięczności uściski dla mojej agentki, Teresy Chris, oraz dla Harriet Bourton, Larry’ego Finalaya i dla wszystkich z Transworld, którzy sprawili, że czułam się tak mile widziana.

Oczywiście dziękuję mojej rodzinie, dzięki której wiem, czym jest miłość.

Oddalabyś przyjaciółom wszystko...
A gdyby zapragnęli twojego dziecka?



Drogie Maleństwo

JULIE COHEN

Drogie Maleństwo

*Dwie kobiety, jeden kochany mężczyzna,
jedno drogie maleństwo...*

wydawnictwofilia.pl

SPIS TREŚCI

Okladka

Karta tytułowa

Dedykacja

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

CZĘŚĆ DRUGA

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

CZEŚĆ TRZECIA

28

29

30

31

32

33

34

35

36

OD AUTORKI
PODZIĘKOWANIA

Reklama
Karta redakcyjna

